

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLERÓW **DELIRIUM** I 7 RAZY DZIŚ

LAUREN
OLIVER

REPLIKA
GEMMA

DWIE DZIEWCZYNY
DWIE HISTORIE
JEDNA ZAPIERAJĄCA DECH
W PIERSIACH POWIEŚĆ

moondrive

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLERÓW **DELIRIUM** I **7 RAZY DZIŚ**

LAUREN
OLIVER

REPLIKA
GEMMA

DWIE DZIEWCZYNY
DWIE HISTORIE
JEDNA ZAPIERAJĄCA DECH
W PIERSIACH POWIEŚĆ

moondrive

LAUREN
OLIVER
REPLIKA

tłumaczenie Monika Bukowska

moondrive

Mojej siostrze Lizzie

Od autorki

Chociaż w książce niejednokrotnie występują identyczne dialogi, przedstawiane zarówno z perspektywy Gemmy, jak i Liry, czasami znajdziecie też drobne różnice w rozłożeniu akcentów. Jest to zabieg celowy, służący uwypukleniu odmiennych punktów widzenia bohaterek. Każda ma własną wizję rzeczywistości, z którą wchodzi w interakcję ze światem i która tym samym oddziałuje na jej doświadczenia, podobnie jak obserwacja rzeczy wpływa na zachowanie samej rzeczy.

Drobne różnice w powieści odzwierciedlają przekonanie, że nie istnieje coś takiego jak obiektywny ogląd zdarzeń. Nie ma dwóch ludzi, którzy postrzegają daną sytuację dokładnie w ten sam sposób, o czym może zaświadczyć każdy, kto kłócił się z bliską osobą. Z tej perspektywy naprawdę stajemy się twórcami własnego doświadczenia. A prawda przypomina tworzenie fikcji.

LIRA

1

W pogodne noce słyszymy ich skandowanie i okrzyki: życzą nam śmierci. Widać ich wtedy, a raczej nie tyle ich, ile poświatę na brzegu Barrel Key, gdzie się gromadzą i skąd spoglądają poprzez czerní nocy nad mrocznymi wodami w stronę wyspy i prostokątnej białej fasady Haven Institute. Z tej odległości zakład musi wyglądać jak długa zielona szczęka z miniaturowymi zębami.

Potwory – tak nas nazywają. Demony.

Czasami w bezsenne noce zastanawiam się, czy nie mają racji.

Lira obudziła się w środku nocy z uczuciem, jakby ktoś siedział jej na piersi. Zaraz potem uświadomiła sobie jednak, że to tylko gorąco – wilgotne i namacalne jak nacisk czyjejs dłoni. Wysiadł prąd.

Coś się działo. Słysząc było krzyki. Trzaskanie drzwiami. Echa kroków na korytarzu. Za oknem pojawiły się zygzakowate promienie latarek przecinające dziedziniec, oświetlające srebrzyste plamki deszczu i surową, białą postać mężczyzny nachylającego się, jak gdyby chciał coś wyrwać z ziemi. Pozostałe repliki też się obudziły. Dormitorium nagle wypełniło się zaspanymi głosami. W nocy łatwiej się rozmawiało. Nie było tylu pielęgniarek, nie miał kto ich uciszać.

– O co chodzi?

– Co się stało?

– Cicho bądźcie. – To była Kasjopeja. – Nasłuchuję.

Drzwi na korytarz otworzyły się tak gwałtownie, że trzasnęły o ścianę. Lirę oślepił promień omiatający salę.

– Wszystkie są na miejscach? – To był chyba doktor Kawowy Oddech.

– Tak sędę – odpowiedziała siostra Ani-Mi-Się-Waż głosem piskliwym i przestraszonym.

Zza promienia latarki nie było widać jej twarzy. Lira mogła dostrzec jedynie krawędź koszuli nocnej i bosc stopy.

– No to je policz.

– Jesteśmy wszystkie – odpowiedziała Kasjopeja. Któraś z nich jęknęła. Ale Kasjopeja nigdy nie bała się odzywać. – Co się dzieje?

– To musi być któryś z męskich osobników – rzucił doktor Kawowy Oddech do siostry Ani-Mi-Się-Waż, która naprawdę nazywała się Maxine. – Kto ich sprawdza?

– O co chodzi? – powtórzyła Kasjopeja.

Lira zaczęła mimowolnie dotykać parapetu, poduszki, oparcia łóżka numer 24. Jej rzeczy. Jej świat.

W tej samej chwili otrzymały odpowiedź: głosy, krzyki, nawoływania. *Stan najwyższej gotowości. Stan najwyższej gotowości.*

Zaraz potem zaczął działać drugi generator. Włączył się prąd, a wraz z nim alarm. Zawyły syreny. W każdym pokoju rozbłysły światła. Wszystkie repliki, oślepiene tą nagłą jasnością, zaczęły mrużyć oczy. Siostra Ani-Mi-Się-Waż cofnęła się i podniosła rękę, jak gdyby chciała się zasłonić przed tym widokiem.

– Proszę się stąd nie ruszać – przykazał doktor Kawowy Oddech.

Lira nie była pewna, czy te słowa kierował do pielęgniarce czy do replik. W każdym razie one i tak nie miały wyboru. Doktor wyszedł na korytarz. Pielęgniarka została tylko na chwilę – cała drżała, zwrócona plecami do drzwi, jak gdyby spodziewała się, że lada moment dziewczęta ją zaatakują. Jej latarka, której blask rozmywał się teraz w świetle lamp u sufitu, rzucała mlecznobiały krąg na płytki podłogi.

– Co za niewdzięczność. – Westchnęła, po czym sama również wyszła z sali.

Było ją widać przez okna wychodzące na korytarz, jak przechadza się w tę i w tę, od czasu do czasu dotykając swojego krzyżyka.

– Co to jest „stan najwyższej gotowości”? – zapytała Róża, przyciskając kolana do piersi.

Zabrakło im nazw gwiazd, od kiedy doktor O'Donnell, jedyny członek personelu, któremu Lira nie nadała przezwiska, przestała je uczyć. Więc repliki zaczęły wybierać sobie imiona z zestawu słów, które znały, słów, które wydały im się ładne albo interesujące. Były zatem: Róża, Palmolive i Private. Lilac Springs i Tide, czyli Przyływ. Była nawet Fork – Widelec.

Jak zwykle tylko Kasjopeja – numer 6, jedna z najstarszych replik oprócz Liry – znała odpowiedź.

– Stan najwyższej gotowości oznacza, że nawalił system bezpieczeństwa – powiedziała. – Oznacza, że ktoś uciekł.

2

„L-u-d-z-k-i”. Pierwszym słowem było „ludz-ki”.

Istniały dwa rodzaje ludzi: Ci normalnie urodzeni, kobiety i mężczyźni, dziewczęta i chłopcy, tacy jak personel medyczny, strażnicy i Wąźniacy, którzy zjawiali się czasami na inspekcję wyspy i jej mieszkańców.

Oprócz tego były ludzkie modele obojga płci, stworzone w laboratorium i wszczepione surogatkom, które mieszkały w barakach i nie mówiły po angielsku. „Klony”, jak je czasami nazywano, ale Lira wiedziała, że było to złe słowo, słowo obraźliwe, choć nie miała pojęcia dlaczego. W Haven nazywano je replikami.

Drugie słowo brzmiało „m-o-d-e-l”. Przeczytała je, poruszając bezgłośnie ustami, tak jak nauczyła ją doktor O'Donnell. A potem: „numer 24”. A więc to była jej karta.

– Jak się dzisiaj czujesz? – zapytała siostra Pastuch.

Lira nadała jej ten przydomek w zeszłym miesiącu. Nie miała pojęcia, co to znaczy, ale siostra Rachel powiedziała wtedy, że czasami wolałaby być pastuchem, i spodobało jej się to słowo.

– Dużo się działo dzisiaj w nocy, co? – Jak zwykle nie czekała na odpowiedź, tylko położyła Lirę na stole zabiegowym, tak że ta nie była już w stanie dojrzeć dokumentów.

Wybuchnął w niej gniew, ale dość szybko zgasł. Nie chodziło o to, że była ciekawa, co zawiera jej karta. Nie musiała wiedzieć na swój temat zbyt wiele, dlaczego była chora i czy można ją wyleczyć. Z podsłuchanych rozmów i półsłówek domyślała się, że w procesie wciąż występowały pewne

nieprawidłowości. Repliki rodziły się genetycznie identyczne z materiałem źródłowym, ale wkrótce potem dawały o sobie znać różne problemy zdrowotne: zakłócenia pracy narządów, brak regeneracji krwinek, zapadanie płuc. Z wiekiem traciły na wadze, zapominały słów i nazw, łatwo się gubiły i częściej płakały. W skrócie: „nie zdołały się rozwinąć”. Były chude i opóźnione w rozwoju. Często rozbijały sobie głowy o podłogę, a kiedy pojawiali się Ważniacy, krzyczały, żeby je stąd zabrać. (Kilka lat temu Bóg rozkazał, żeby osobniki z najnowszych miotów brać na ręce, kołysać i angażować w zabawę przez przynajmniej dwie godziny dziennie. Badania wskazały bowiem, że kontakt międzyludzki pomógłby im na dłużej zachować zdrowie. Lira i inne repliki zajmowały się więc nimi na zmianę, łaskotały ich tłuste nóżki i starały się wywołać uśmiech na ich twarzach).

Chodziło o to, że Lira zakochała się w czytaniu. Stało się to podczas krótkiego, cudownego okresu, kiedy w Haven przebywała doktor O'Donnell, który to czas Lira uważała obecnie za najszcześniejsze miesiące swojego życia. Kiedy czytała, miała wrażenie, że w jej głowie jedno po drugim otwierają się małe okienka, zalewając ją światłem, świeżym powietrzem i wyobrażeniami innych miejsc, innego życia, po prostu inności. Jedynymi książkami w Haven były publikacje naukowe i podręczniki anatomii, tyle że okazały się trudne i pełne słów, których nie potrafiła wymówić. Ale czytała karty pacjentów, jeśli ktoś ich nie schował, czytała też czasopisma, które pielęgniarki zostawiały w pokojach socjalnych.

Siostra Pastuch, nie przestając trąkotać, zmierzyła Lirze ciśnienie Ściskaczem i wetknęła Termomierz pod język. Lira lubiła to uczucie, kiedy Ściskacz zaciskał się jej wokół ramienia, miała wrażenie, że to ręka, która ma ją gdzieś zaprowadzić. Lubiała też kojące pikanie Termomierza.

– Absolutnie normalne – powiedziała siostra Pastuch i dodała: – Nie wiem, po co toto uciekało. Weź głęboki oddech, okej? Dobrze. A teraz wydech.

Dobrze. Utonie, nie dopłynie nawet do falochronu. Słyszałaś, jakie wczoraj w nocy były fale? Ale huczało! Aż dziwne, że ciało jeszcze nie wypłynęło.

Lira wiedziała, że siostra nie oczekuje odpowiedzi. Gdy raz odpowiedziała na jej radosne pytanie: „Jak się dzisiaj czujesz?“, zaskoczona pielęgniarka upuściła strzykawkę – Lira nienawidziła strzykawek, nie chciała ich nawet nazywać – i musiała zaczynać zabieg od nowa. Ale zastanowiło ją teraz, jak by to było natknąć się na plaży na martwe ciało. Nie bała się zwłok. Widziała setki replik, które chorowały i umierały. Wszystkie Żółte zmarły, większość nie dożyła nawet roku. Jakiś pasożyt wywołujący gorączkę – orzekli lekarze. Lira widziała ich ciała zapakowane w plastikowe worki i przygotowane do wywozu.

Fioletowa z siódmego miotu, numer 333, po prostu przestała jeść. Zanim podpięli ją do sondy, było już za późno. Numer 501 połknęła dwadzieścia cztery małe białe Usypiacze po tym, jak siostra Em, która pomagała golić jej głowę i zawsze najdelikatniej obchodziła się z golarką, odeszła. Numer 421 zmarła nagle, w czasie snu. Lira dotknęła jej ręki, by ją obudzić, i poznała po dziwnym plastikowym chłodzie jej ciała, że jest martwa. Dziwne, że całe życie po prostu wyparowało w jednej chwili, zniknęło, zostawiając jedynie skórę i kości, worek mięsa.

Tym właśnie były: ciałami. Należały do rasy ludzkiej, ale nie były ludźmi. Nie zdołała jeszcze pojąć dlaczego. Wyglądała jak normalna osoba. Tak samo inne żeńskie repliki. Były zrobione z normalnych ludzi, a nawet z nich zrodzone.

Ale to, jak zostały stworzone, naznaczało je. Właśnie to wszyscy powtarzali. Wszyscy z wyjątkiem doktor O'Donnell.

Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zobaczyć osobnika męskiego z bliska – męskie i żeńskie repliki były trzymane osobno, nawet te martwe, które opuszczały wyspę w plastikowych workach. Była ich ciekawa, studiowała przekroje anatomiczne w podręcznikach medycznych, których zresztą i tak nie

potrafiła czytać. Wyjątkowo dokładnie przyglądała się żeńskim i męskim narządom płciowym, które wydawały jej się główną różnicą między nimi, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jak naprawdę wyglądają te męskie. Jedyni mężczyźni, których widziała, to lekarze, pielęgniarze, ochroniarze i inni członkowie personelu.

– W porządku. Prawie skończone. Podejź teraz tutaj i stań na wadze, okej?

Lira weszła na wagę, mając nadzieję, że uda jej się raz jeszcze rzucić okiem na kartę i jej piękne symetryczne litery, które maszerowały po kartce równo jak żołnierze. Ale siostra porwała podkładkę, by zapisać wyniki badań. Trzymała ją mocno, a drugą ręką profesjonalnym ruchem poprawiała przesuwak na skali i czekała, aż się właściwie ustawi.

– Hmm. – Zmarszczyła brwi, tak że bruzdy między nimi pogłębiły się i zbiegły ku sobie.

Dawno temu, gdy Lira była bardzo mała, oznajmiła, że już wie, jaka jest różnica między ludźmi a replikami: ludzie są starzy, a repliki młode. Pielęgniarka, która ją wtedy kąpała, a która nie została długo, dlatego Lira nie pamiętała jej imienia, wybuchnęła śmiechem. Historia ta szybko obiegła personel medyczny.

– Straciłaś na wadze – oznajmiła siostra Pastuch, wciąż marszcząc brwi. – Jak tam twój apetyt?

Minęło kilka sekund, zanim Lira zorientowała się, że to było pytanie, na które powinna odpowiedzieć.

– W porządku.

– Nie masz nudności? Nie boli cię brzuch? Nie wymiotujesz?

Lira pokręciła głową.

– Problemy ze wzrokiem? Z koncentracją?

Lira pokręciła głową, bo nie miała wprawy w kłamaniu. Dwa tygodnie temu wymiotowała tak bardzo, że następnego dnia aż bolały ją żebra. Wczoraj też zwymiotowała – w poszewkę na poduszkę, żeby nikt jej nie usłyszał. Udało jej

się przemycić ją do śmieci, które co niedzielę wywożono z wyspy na łodziach, a potem palono albo kończyły w morzu, albo pozbywano się ich jeszcze inaczej. Biorąc pod uwagę burzę, ucieczkę i pewnie już nieżywego osobnika męskiego, była pewna, że nikt nie zwróci uwagi na brak jednej poszewki.

Ale najgorsze, że wczoraj się zgubiła, w drodze powrotnej do dormitorium. To było bardzo dziwne. Znała jak własną kieszeń każdy centymetr kwadratowy skrzydła D, od Oddziału Noworodków i Obserwacji Neurologicznej po ogromne sypialnie – w każdej z nich mieszkało sto żeńskich replik – i łazienki z mnóstwem słuchawek prysznicowych przytwierdzonych do ściany, umywalką w kształcie rowu i dziesięcioma toaletami. W każdym razie po wyjściu z ubikacji musiała skrócić w prawo zamiast w lewo i nagle znalazła się przed zamkniętymi drzwiami wiodącymi do skrzydła C, gdzie zaczęła mrugać oczami z zakłopotania. Dopiero kiedy zawołał ją strażnik, dotarło do niej, gdzie się znajduje.

Ale nie przyzna się do tego. Nie pójdzie do Grobowca. Tak wszyscy nazywali skrzydło G. Grobowcem albo Domem Pogrzebowym, ponieważ połowa replik, która tam trafiła, nigdy już stamtąd nie wyszła.

– No dobra, idź już – rzekła pielęgniarka. – Daj mi znać, jeśli źle się poczujesz, dobrze?

Tym razem Lira wiedziała, że nie oczekuje się od niej odpowiedzi. Nie będzie musiała mówić nikomu, że ciągle wymiotuje. Do tego służyły Szklane Oczy zamontowane w suficie. (Sama nie wiedziała, czy je lubi czy nie. Czasami lubiła, kiedy krzyki z Barrel Key były wyjątkowo głośne – czuła wtedy, że kamery zapewniają jej bezpieczeństwo. A czasami, kiedy chciała ukryć, że źle się czuje, nienawidziła ich, tych bezrzęsych soczewek rejestrujących każdy jej ruch. Na tym polegał problem: nigdy nie wiedziała, w którą stronę były skierowane Szklane Oczy).

Ale i tak kiwnęła głową. Miała plan, a plan ten wymagał, żeby była posłuszna, przynajmniej przez jakiś czas.

3

Trzy dni później wbrew oczekiwaniom ciało osobnika męskiego numer 72 dalej nie wypłynęło na plażę. Podczas śniadania dzień po wywozie śmieci Lira usłyszała rozmowę pielęgniarek na ten temat. Ani-Mi-Się-Waż pokręciła głową i oznajmiła, że z pewnością dopadły go aligatory. Jeśli udało mu się dotrzeć na stały ląd, rzekła, pewnie z miejsca dostał kulkę w łeb – w okolicy mieszkali przeważnie wariaci i kryminaliści. A teraz przychodzą oni, dodała, kręcąc głową. Tak właśnie wszystkie siostry mówiły o Wążniakach – „oni”.

Lira widziała ich łódź w oddali, gdy szła na śniadanie: elegancką motorówkę, zupełnie różną od wysłużonych barek, które dostarczały zaopatrzenie i wywoziły śmieci, a wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły zatonać. Nie wiedziała dokładnie, co robią Wążniacy, kim są ani dlaczego odwiedzają Haven. Przez lata słyszała różne słowa, które kojarzyły jej się z wojskiem, tyle że nie wyglądali oni jak żołnierze, przynajmniej nie tacy, jakich czasami widywała w telewizji, którą oglądały pielęgniarki. Ci mężczyźni nie nosili mundurów ani spodni w ziemistych kolorach. Nie nosili też broni tak jak strażnicy.

Kiedy była młodsza, bała się ich, zwłaszcza gdy wszystkie repliki musiały stanąć przed nimi w szeregu na przegląd. Wążniacy otwierali jej usta i sprawdzali zęby. Kazali się uśmiechać albo odwracać, albo klasnąć na żądanie, by udowodniła, że nie jest idiotką, że „prawidłowo się rozwija”, kazali poruszać palcami albo wędrować wzrokiem z lewej do prawej.

W każdym razie inspekcje zakończyły się dawno temu. Teraz Wążniacy przyjeżdżali, przechodzili przez wszystkie skrzydła od administracji do Grobowca, rozmawiali z Bogiem, a potem powracali na stały ląd swoją łodzią

i Lira zdała sobie sprawę, że coraz mniej ją interesują. Należeli do innego świata. Byli jak muchy, które przysiadają na chwilę i zaraz potem odlatują. Nie mieli dla niej znaczenia takiego jak Termomierz, jak jej małe łóżko, jej parapet i sens ukryty gdzieś głęboko w hieroglifach słów.

Dzisiaj tym bardziej nie była w stanie myśleć o Ważniakach ani o tajemniczym zniknięciu numeru 72. Dniem po wywożeniu śmieci był poniedziałek, a to oznaczało testy psychologiczne i Tłuste Dupsko, a tym samym ostatnią dla niej szansę w tym tygodniu.

Sama nie pamiętała, kiedy po raz pierwszy przyszedł jej do głowy pomysł zakradnięcia się do administracji. Właściwie zaczęło się to od doktor O'Donnell. Przybyła do Haven sześć albo siedem lat temu. Było to, zanim zaczęły się comiesięczne krwawienia Liry. („Okres – poprawiła ją kiedyś opryskliwie siostra Ani-Mi-Się-Waż i w przypływie rzadkiej u niej wielkoduszności pokazała Lirze, jak szorować bieliznę przy użyciu zimnej wody. – »Krwawienie« brzmi jak »rana postrzałowa«”). Doktor O'Donnell – oprócz Kasjopei i numerów 7–10, jej czterech genotypów, genetycznie i fizycznie identycznych – była najpiękniejszą osobą w Haven.

W przeciwieństwie do reszty personelu medycznego panią doktor cechowało przyjazne nastawienie do replik. Przychodziła do dormitoriów nawet poza swoją zmianą. Zadawała im pytania. Była pierwszą osobą, która kiedykolwiek zadała Lirze pytanie i oczekiwała odpowiedzi – nie licząc tych typu: „Czy cię boli, gdy tu dotykam?” albo „Jak tam twój apetyt?”. I często się śmiała, zwłaszcza z rzeczy, w które wierzyły inne repliki, takich jak to, że reszta świata jest pięć–sześć razy większa niż Haven albo że wśród urodzonych naturalnie ojcowie nie są do niczego przydatni. Uczyła repliki wyliczanek i śpiewała im wysokim, czystym głosem.

Doktor O'Donnell była w szoku, kiedy dowiedziała się, że w Haven nie ma biblioteki – jedynie podręczniki medyczne, w których z rzadka coś sprawdzano,

gnijące w pomieszczeniu o dziwnym kształcie służącym nie wiadomo do czego, i Biblia, którą Ani-Mi-Się-Waż taszczyła ze sobą po to, by od czasu do czasu walnąć nią jakąś nieposłuszną replikę albo trzepnąć którąś zbyt głupią, by w ogóle wykonywała polecenia.

Za każdym razem gdy doktor O'Donnell wracała na wyspę, przywoziła ze sobą jakieś książki. W niedzielne popołudnia siadała w dormitoriach i czytała im na głos. Na początku były to książki z mnóstwem obrazków. Potem dłuższe, z małą czcionką biegnącą przez całą stronę i tyloma literami, że Lirze od samego patrzenia kręciło się w głowie. Za każdym razem do słuchania tych opowieści zbierało się kilkadziesiąt replik, a potem przy zgaszonych światłach powtarzały je szeptem pozostałym, często zmyślając coś albo myśląc szczegóły, na przykład opowiadały o Jasiu i magicznej fasoli rosnącej aż do Krainy Oz albo o lwie, czarownicy i przyjaznym olbrzymie. To było wytchnienie od nudy, od ograniczoności ich świata. Pięć skrzydeł, a w zasadzie sześć, licząc Grobowiec. Połowa drzwi zamknięta. Wszystko otoczone przez wodę. Połowa replik nie nadawała się do rozmowy z powodu niedorozwoju umysłowego, kolejna jedna czwarta była zbyt chora, a reszta zbyt wściekła i agresywna.

Nie było od tego ucieczki. Żadnej możliwości ucieczki.

Ale dla Liry to wszystko miało poważniejsze konsekwencje. Zakochała się, choć sama o tym nie wiedziała i nie byłaby w stanie pomyśleć o tym w tych kategoriach, ponieważ nawet nie wiedziała, czym jest miłość i w ogóle rzadko słyszała to słowo. Pod wpływem głosu doktor O'Donnell, pod wpływem szelestu kartek, które przewracała swoimi długimi, lekko piegowatymi palcami, dotąd uśpiona część świadomości Liry obudziła się, otrząsnęła i otworzyła na świat.

To doktor O'Donnell nauczyła je nazw różnych konstelacji – Herkules i Lira, zwana też Lutnią, Kasjopeja i Wenus, Mała i Wielka Niedźwiedzica – i wyjaśniła, że gwiazdy to rozgrzane do białości kule gazowe, znajdujące się miliony

kilometrów stąd, dalej, niż sięga wyobraźnia.

Lira pamiętała, jak siedziała na swoim łóżku w pewne niedzielne popołudnie, podczas gdy doktor O'Donnell czytała im jedną z jej ulubionych książek: *Dobranoc, Księżycu*, i nagle Kasjopeja – którą wtedy znano tylko jako numer 6 – odezwała się:

– Chcę mieć imię. Chcę się nazywać tak jak gwiazdy.

Lira była wtedy ogromnie zdziwiona: do tej pory myślała, że „6” to imię Kasjopei, tak samo jak „24” było jej imieniem.

Doktor O'Donnell przeszła więc po pokoju i zaczęła nadawać imiona.

– Kasjopeja – rzekła. – Niedźwiedzica. Wenus. Kaliope.

Kaliope, do tej pory numer 7, najśłabszy z genotypów Kasjopei, zachichotała. Oczy doktor O'Donnell napotkały spojrzenie Liry.

– Lira – powiedziała, a przez nią przebiegł dreszcz, jak gdyby właśnie dotknęła czegoś gorącego.

Potem sama przeszła po Haven, nadając nazwy rzeczom, które dzięki temu stały się jej bliższe, jak gdyby należały do niej. Każdy zwał skrzydło G Grobowcem, ale ona nazwała też inne miejsca: stołówkę Kotłem, a skrzydło C, gdzie mieszkały męskie repliki, Tajemną Doliną. Kamery bezpieczeństwa, które wszędzie ją śledziły, zostały Szklanymi Oczami, a urządzenie do pomiaru ciśnienia krwi owinięte wokół jej ramienia – Ściskaczem. Wszystkie pielęgniarki dostały przydomki, lekarze również, przynajmniej ci, których widywała regularnie. Nie mogła nazwać badaczy ani surogatek, ponieważ prawie ich nie widywała, ale baraki, w których spały surogatki, nazwała Fabryką, bo wszystkie nowe modele ludzkie pochodziły właśnie stamtąd, zanim zostały przeniesione na Oddział Noworodków, a potem, jeśli przeżyły, do dormitoriów, gdzie je kołysano i łaskotano przynajmniej przez dwie godziny dziennie.

Doktora Sapersteina nazwała Bogiem, ponieważ wszystko kontrolował.

Lira zawsze siadała obok doktor O'Donnell, kiedy ta czytała. Niemal kładła

głowę na jej kolanach i próbowała ogarnąć oszłamiające mrowie odciśniętych na papierze symboli, a także połączyć dźwięki z literami. Tak bardzo się koncentrowała, że aż czuła ból w oczodołach.

Pewnego dnia odniosła wrażenie, że doktor O'Donnell zaczęła czytać wolniej – nie na tyle, żeby ktoś inny to zauważył, ale na tyle, by Lira mogła lepiej zrozumieć, co robią odstępki między wyrazami i jak niektóre litery łączą się z innymi. Na początku myślała, że tylko jej się tak zdaje. Ale potem, kiedy pani doktor położyła palec na kartce i zaczęła śledzić każdą linijkę tekstu, uderzając od czasu do czasu w tajemnicze kropki i kreski lub zatrzymując się pod jakimś szczególnie zagmatwanym słowem, Lira zrozumiała, że to jednak nie tylko jej wyobraźnia.

Doktor O'Donnell starała się nauczyć ją czytać.

I powoli, powoli – jak mikroskop dopasowywany stopniowo, aż obraz stawał się wyraźniejszy – słowa przestawały być tajemniczymi plamami tuszu na kartce i zaczynały nabierać sensu. „Ja”. „Oraz”. „Poszedł”. „Teraz”.

To nie mogło trwać wiecznie. Lira powinna to wiedzieć, ale oczywiście nie wiedziała.

Dopiero co nadano jej imię. Tak naprawdę narodziła się po raz drugi. Właściwie niewiele wiedziała.

Pewnego niedzielnego popołudnia doktor O'Donnell się nie zjawiała. Dziewczęta czekały prawie godzinę, zanim znudzona Kasjopeja oznajmiła, że idzie na plażę za skrzydłem A, by poszukać muszelek. Chociaż nie było to wprost zakazane, Kasjopeja jako jedna z niewielu replik wyprawiała się nad wodę. Lira czasem szła za nią, ale bała się pójść sama – przerażona opowieściami pielęgniarek o rekinach ludojadach w cieśninie Wahlee, o aligatorach i jadowitych wężach gnieźdzących się na mokradłach.

Dzień był ładny, niezbyt gorący, po niebie płynęły wielkie pękate chmury. Mimo to Lira nie chciała wychodzić na zewnątrz. Jedyne, czego chciała, to

siedzieć na podłodze obok pani doktor, tak blisko, by czuć mieszaną srodką dezynfekującego i balsamu cytrynowego na jej skórze oraz zapach papieru wzbijający się w powietrze za każdym razem, gdy doktor O'Donnell przewracała stronę.

Przyszła jej do głowy straszna myśl: pani doktor zachorowała. To było jedyne wyjaśnienie. Od kiedy zaczęła im czytać, nie ominęła żadnej niedzieli, a Lira nie chciała dopuścić do siebie myśli, że po prostu zmęczyła się ich wspólnymi popołudniami. Że ona, Lira, była męcząca. Że była zbyt upośledzona, zbyt powolna dla pani O'Donnell.

Zapominając o tym, że nienawidzi Grobowca, że wstrzymuje oddech za każdym razem, kiedy przechodzi w odległości choćby kilkunastu metrów od jego czerwonych drzwi, zaczęła biec w tamtą stronę. Nie umiała wyjaśnić, skąd wziął się nagły strach, który ją pochwyił, uczucie podobne do tego, gdy człowiek budzi się w środku nocy otoczony przez ciemność i nie ma pojęcia, gdzie się znajduje.

Była już niemal przy skrzydle C, kiedy usłyszała podniesione, przepełnione gniewem głosy – jeden z nich należał do doktor O'Donnell. Szybko ukryła się we wnęce w ścianie. Widziała z tego miejsca doktor O'Donnell i Boga kłócących się w jednym z pustych pokoi testowych. Głosy wylewały się na korytarz przez uchylone drzwi.

– Zatrudniłem cię – mówił Bóg – żebyś wykonywała swoje obowiązki, a nie bawiła się w Matkę Teresę. – Podniósł rękę i Lira pomyślała, że uderzy panią O'Donnell, ale wtedy zobaczyła, że trzyma stary, wysłużony egzemplarz *Małego Księcia*, którego czytała im pani doktor.

– Jak możesz? – Twarz doktor O'Donnell płonęła. Jej piegi zniknęły. – To, co tu robimy... Chryste. Zaslugują na choć trochę szczęścia, nie uważasz? Poza tym sam powiedziałeś, że odrobina uczucia wspomaga ich rozwój.

– Mówiłem o stymulacji i dotyku. Nie o cotygodniowym czytaniu bajek. –

Bóg cisnął książką o stół i Lira podskoczyła. A potem westchnął. – Nie jesteśmy organizacją humanitarną. Jesteśmy naukowcami, Cat. A one obiektami naszych badań. Koniec dyskusji.

Doktor O'Donnell uniosła podbródek. Włosy zaczęły jej się wyslizgiwać z kucyka. Gdyby Lira знаła słowo „miłość”, gdyby je naprawdę rozumiała, wiedziałyby, że w tej chwili kocha panią O'Donnell.

– To nie oznacza, że nie możemy ich traktować jak normalnych ludzi – rzuciła.

Bóg był już blisko drzwi. Lira ujrzała jego gęste ciemne brwi, jego krótko przyciętą brodę, jego oczy tak zapadnięte, że wyglądały, jakby ktoś wcisnął mu je do głowy. Na te słowa zeszywniał i się odwrócił.

– Owszem, oznacza – powiedział. Jego głos był zimny jak dotyk Metalowego Ucha, które wślizgiwało się pod jej podkoszulek, by posłuchać bicia serca. – A potem co? Zacziesz uczyć szczury gry w szachy?

Zanim doktor O'Donnell opuściła Haven, dała Lirze własny egzemplarz *Małego Księcia*. Lira miała wrażenie, że pani doktor płakała.

– Schowaj ją i strzeż jak oka w głowie – wyszeptała i musnęła ręką jej twarz.

Po tym Lira się położyła. Przez całe popołudnie jej poduszka pachniała środkiem odkażającym i balsamem cytrynowym jak palce doktor O'Donnell.

4

Testy psychologiczne odbywały się w dużej, nękaniej przeciągami sali w skrzydle D, w której dawniej trzymano klatki z królikami i gdzie wciąż unosił się zapach sztucznej karmy oraz zwierzęcego moczu. Lira nie wiedziała, co się stało z królikami. Haven było duże i do wielu z jego pomieszczeń nie miała dostępu, więc doszła do wniosku, że pewnie zostały przeniesione. A może po prostu one również „nie zdołały się rozwinąć”, tak jak część replik.

Testy co tydzień były inne: replikom polecano na przykład zebrać jak najszybciej małe i śliskie szpilki, ułożyć trójwymiarowe puzzle albo rozpoznać, co przedstawia wzór na kartce. Żeńskie repliki, wszystkie dziewięćset sześćdziesiąt, przyjmowano w ciągu całego dnia według kolorów, w czterdziestoosobowych grupach. Lilac Springs wyszła już z Grobowca i siedziała koło Liry. Dziewczyna miała na imię tak jak nazywał się produkt reklamowany w telewizji, którą oglądały pielęgniarce. Nawet po tym, jak siostry wybuchnęły histerycznym śmiechem i wyjaśniły jej – oraz pozostałym – czym jest irygator do miejsc intymnych, nie chciała zmienić imienia, twierdziła bowiem, że podoba jej się jego brzmienie.

– Nie wyglądasz za dobrze. – Takie były pierwsze słowa Lilac Springs skierowane do Liry. Mała rzadko się odzywała. Była jedną z opóźnionych replik. Wciąż potrzebowała pomocy przy ubieraniu i nigdy nie nauczyła się alfabetu. – Jesteś chora?

Lira pokręciła głową ze wzrokiem wlepionym w stół. Znowu wymiotowała w środku nocy i tak jej się potem kręciło w głowie, że musiała odczekać, trzymając się toalety, dobre dwadzieścia minut. Kasjopeja przyłapała ją na tym,

kiedy przyszła się wysikać. Ale Lira nie sądziła, żeby dziewczyna mogła na nią donieść. Kasjopeja zawsze wpadała w tarapaty: za niejedzenie obiadu, za gadanie, za otwarte gapienie się na osobniki męskie, a nawet za próby rozmowy z nimi przy kilku okazjach, gdy natknęła się na nich na korytarzu, w Grobowcu lub w Kotle.

– Bo ja jestem – dopowiedziała Lilac. Mówiła tak głośno, że Lira instynktownie podniosła wzrok na Szklane Oczy, chociaż wiedziała, że nie rejestrują dźwięku. – Zamknęli mnie w Grobowcu.

Lira nie miała w Haven przyjaciół. Nawet nie wiedziała, co to znaczy. Ale pomyślała, że byłoby jej smutno, gdyby Lilac Springs umarła. Lira miała pięć lat, kiedy zrobiono Lilac Springs, i wciąż pamiętała, jak Lilac, gdy ją urodzono i przeniesiono na oddział postnatalny na obserwację, kopnęła swoją małą różową nóżką i zamachała piąstkami, jak gdyby tańczyła.

Ale to nie wyglądało dobrze. Coś się działo z Brązowymi, a lekarze z Grobowca nie byli w stanie tego powstrzymać. W ciągu ostatnich czterech miesięcy zmarło pięcioro z nich – cztery osobniki żeńskie i numer 312 z części męskiej. Dwoje z nich zmarło jednej nocy. Pielęgniarki założyły ciężkie rękawice i maski, załadowały ciała do jednego plastikowego worka, a potem zaciągnęły do miejsca, skąd je wywożono. A skóra Lilac Springs wciąż była lśniąco czerwona i wyglądała na podrażnioną jak po oparzeniu. Włosy, przycięte krótko jak u innych replik, miała przerzedzone. Miejscami przeświecała między nimi goła skóra czaszki.

– Nie jest tak źle – oznajmiła Lilac Springs, mimo że Lira wciąż się nie odezwała. – Przyszła Palmolive.

Palmolive także należała do Brązowych. Zaczęła wymiotować kilka tygodni temu i znaleziono ją, jak błąkała się po korytarzu w środku nocy. Przeniesiono ją do Grobowca, gdzie ledwie była w stanie przełknąć parę łyków wody bez zwracania.

– Myślisz, że wkrótce będę martwa? – zapytała Lilac.

Na szczęście zanim Lira zdążyła odpowiedzieć, zjawily się pielęgniarki. Testy przeprowadzały Tłuste Dupsko i Masz Ci Los. Niemal zawsze tak było, ale Lira aż do teraz bała się, że mógłby to być ktoś inny.

Dzisiaj odbyły się trzy testy. Za każdym razem gdy serce Liry biło szybciej, wyobrażała sobie jego cztery zastawki: jak otwierają się i zamykają niczym przesłona, jak krew, której zamknięty obieg przypominał zazębające się skrzydła Haven, przepływa w jednym kierunku. Nauczyła się o budowie serca, tak jak nauczyła się o reszcie ludzkiego ciała: bo w Haven nie było niczego innego, co mogłaby poznawać, żadnej prawdy oprócz naukowej, niczego poza bólem i reakcją, objawem i leczeniem, wdechem i wydechem oraz skórą rozciągniętą na mięśniach i kościach.

Najpierw siostra Masz Ci Los odczytała głośno pięć cyfr i poprosiła repliki, żeby je zapamiętały. Potem miały ułożyć kolorowe kawałki papieru, stopniując odcienie od zielonego do żółtego. Następnie musiały włożyć małe drewniane klocki w otwory tego samego kształtu, absurdalnie banalne zadanie, chociaż Lilac Springs najwyraźniej miała z nim problem – próbowała włożyć romb w trójkątną dziurę, a do tego raz na jakiś czas klocki wypadały jej z rąk i ze stukotem lądowały na podłodze.

Do ostatniego testu Masz Ci Los rozdała kartki i długopisy – Lira ukradkiem przyłożyła długopis do języka, by delektować się smakiem tuszu, ogromnie pragnęła mieć kolejny do kolekcji – i poprosiła repliki, żeby zapisały w kolejności te pięć cyfr, które zapamiętały na początku. Repliki w większości nauczyły się liczb do stu i alfabetu od A do Z, zarówno po to, by mogły identyfikować własne łóżka, jak i na potrzeby testów, i Lira czerpała wielką przyjemność z rysowania krągłości i kątów każdej cyfry po kolei, wyobrażając sobie, że liczby też stanowią jakiś język. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że kartka Lilac Springs jest pusta. Dziewczynka niezdarnie trzymała długopis,

gapiąc się na niego, jak gdyby widziała taki przedmiot po raz pierwszy w życiu. Nie zapamiętała ani jednej cyfry, chociaż Lira wiedziała, że znała swój numer i była z tego bardzo dumna.

Tłuste Dupsko oznajmiła koniec czasu i siostra Masz Ci Los zebrała kartki, repliki zaś siedziały w ciszy, podczas gdy kompletowano wyniki, ujmowano je w tabelę i wpisywano do kart. Dłonie Liry zaczęły się pocić. Teraz.

– Zapomniałam cyfr – powiedziała Lilac Springs. – Nie mogłam sobie przypomnieć.

– Dobrze, to tyle. – Tłuste Dupsko podniosła się z krzesła, krzywiąc się, jak zawsze po testach.

Repliki także wstały. Tylko Lira siedziała, a serce mocno waliło jej w piersi.

Jak zwykle, gdy już stała, Tłuste Dupsko zaczęła się żalić:

– Cholerne buty. Cholerna pogoda. A teraz jeszcze muszę zawlec swoje tłuste dupsko do tej przeklętej administracji. Dwadzieścia minut tam i z powrotem. A jakby tego było mało, dzisiaj przyjeżdżają Wężniacy.

Tłuste Dupsko na co dzień pracowała w monitoringu, ale często pomagała też przy testach. Miała jakieś pięćdziesiąt kilo nadwagi, a kostki spuchły jej od upału tak, że zaczęły przypominać grube i okrągłe pnie palm, które stały w rzędzie na dziedzińcu.

– Masz ci los – powiedziała jak zwykle Masz Ci Los. Miała lśniąca brązową skórę, która zawsze wyglądała tak, jakby ją przed chwilą natłuszczono.

Teraz. Większość replik już wyszła. Tylko Lilac Springs została – wciąż siedziała i gapiła się w stół.

– Ja to zrobię – odezwała się Lira.

Czuła, że brakuje jej tchu, mimo że nawet się nie ruszyła, i zastanawiała się, czy Tłuste Dupsko to zauważy. Ale nie. Oczywiście, że nie. Wiele sióstr nawet nie było w stanie odróżnić replik. Lira pamiętała, jak w dzieciństwie wpatrywała się w pielęgniarki, pragnąc, żeby odpowiedziały jej tym samym, żeby ją

zauważyły, chwyciły za rękę, podniosły albo powiedziały, że jest ładna. Raz została przeniesiona do izolatki na dwa dni po tym, jak ukradła kartę wejściową siostrze Em, bo pomyślała, że dzięki temu pielęgniarka nie będzie mogła wyjść od nich pod koniec dnia, że będzie musiała zostać. Ale oczywiście kobieta i tak się wydostała, a wkrótce potem opuściła Haven na zawsze.

Lira przyzwyczała się do tego – że wszyscy wyjeżdżali, że ją zostawiano. Ale teraz cieszyła się, że jest niewidzialna. Dla niej one też na swój sposób takie były. Właśnie dlatego nadała im te przydomki.

Obie siostry odwróciły się i spojrzały na nią. Twarz Liry płonęła. Rumień. Wiedziała to, w końcu przez całe życie słuchała lekarzy.

– Co toto powiedziało? – odezwała się Tłuste Dupsko bardzo powoli. Nie zwracała się do Liry, jednak Lira odpowiedziała.

– Powiedziało, że może to zrobić – rzekła, ze wszystkich sił starając się nie poruszyć. Kiedy była mała, miała problemy z pierwszą i trzecią osobą, nigdy nie umiała ich rozróżnić. Czasami, kiedy była zdenerwowana, dalej się myliła. Spróbowała raz jeszcze: – Mogę zanieść za panią dokumenty do administracji.

– Jezu, Maryjo i Józefie! – parsknęła Masz Ci Los.

Ale Tłuste Dupsko nie spuszczała wzroku z Liry, jak gdyby widziała ją pierwszy raz w życiu.

– Wiesz, jak się dostać do administracji?

Lira skinęła głową. Mieszkała w Haven od zawsze. I zawsze będzie tu mieszkać. Było tu wiele pomieszczeń zamkniętych, zakazanych, dostępnych jedynie przy użyciu kart wejściowych i kodów – wiele miejsc, do których nie miała wstępu, wiele zablokowanych drzwi, za którymi ludzie ubrani na biało poruszali się w osłonach na twarzy. Ale znała długość wszystkich korytarzy oraz czas w sekundach, jaki był potrzebny, by dostać się z toalety do Kotła i z powrotem. Znała wszystkie biurka i pokoje socjalne, klatki schodowe i tylne wejścia, tak jak znała kształt swoich kości biodrowych albo własne łóżko, numer

24, które zawsze należało do niej. Tak jak znała Ściskacze, Gumorękawiczki, Wężorurki, Czerwone Ampułki czy Szklane Oczy.

Swoich przyjaciół, swoich wrogów, swój świat.

– Lira, co to jest „administracja”? – spytała ją Lilac Springs.

Rany, zaraz wszystko zepsuje, a przecież i ona wiedziała, gdzie jest administracja. Wszyscy to wiedzieli. Nawet Lilac nie była aż tak głupia.

– Nie zajmie mi to wiele czasu – powiedziała Lira, nie zwracając uwagi na Lilac Springs.

– Doktorowi Sappo się to nie spodoba – skomentowała Masz Ci Los.

Doktorem Sappo personel nazywał Boga, ale tylko wtedy, gdy ten nie słyszał. W jego obecności nazywali go doktorem albo dyrektorem Sapersteinem.

– Nie powinny mieć w rękach niczego ważnego – dodała.

Tłuste Dupsko prychnęła.

– Mam gdzieś, czy mu się to spodoba czy nie – rzekła. – To nie jemu wyskoczą odciski wielkości wulkanu na obu stopach. Poza tym i tak się o tym nie dowie.

– A jeśli toto coś nabroi? – odezwała się Masz Ci Los. – Będziesz mieć kłopoty.

– Na pewno nie nabroi – zaprotestowała Lira i odchrząknęła, bo jej głos stał się chrapliwy. – To znaczy nie nabroję. Wiem, co robić. Mam iść na poziom minus jeden w skrzydle A.

Nagle Lilac Springs zaczęła jęczeć:

– Chcę iść do administracji.

– Aha – powiedziała Masz Ci Los, odwracając się do Lilac. – To tutaj idzie ze mną. – A potem, ciszej, ale nie na tyle cicho, by Lilac i Lira nie mogły jej dosłyszeć, dodała: – Brązowe padają jak muchy. Zabawne, jak na każdej odbija się to inaczej.

– To dlatego, że jeszcze nie rozpracowali wszystkiego. – Tłuste Dupsko pokręciła głową. – Oby tylko mieli rację, że nie można się tym zarazić. – Wciąż obserwowała Lirę lekko zwięzonymi oczami, oceniając sytuację, i bębniła w stos wyników, jak gdyby odpowiedź mogła przyjść przez jej palce.

– Mówiłam ci: to nie jest zaraźliwe. Przynajmniej nie w ten sposób. Jestem tutaj od samego początku. Czy twoim zdaniem wyglądam na martwą?

Lilac Springs zaczęła płakać – zawodziła głośno, żałośnie jak małe repliki na oddziałach obserwacyjnych. Masz Ci Los musiała siłą postawić ją na nogi i wyciągnąć na korytarz. Dopiero gdy Lira przestała słyszeć jej wycie, uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech.

Tłuste Dupsko wysunęła dokumenty o centymetr w jej stronę. Lira podniosła się tak szybko, że aż krzesło zgrzytnęło o podłogę.

– Prosto do administracji i bez zatrzymywania – oznajmiła Tłuste Dupsko. – A jeśli ktoś cię spyta, gdzie idziesz, nie zatrzymuj się i nie odzywaj. W administracji powinien siedzieć Werner. Powiedz mu, że cię przysłałam.

Lira czuła, jak mięśnie wokół jej ust drgają. Ale Tłuste Dupsko nabrałyby podejrzeń, gdyby zobaczyła radość na jej twarzy. Zabrała więc dokumenty – już sam szelest papieru brzmiał dla niej rozkosznie – i ostrożnie przycisnęła je do piersi.

– No, idź – powiedziała Tłuste Dupsko.

Lira wolała nie zwlekać w obawie, że pielęgniarka zmieni zdanie. Nawet gdy już wyszła na korytarz, wciąż spodziewała się, że kobieta ją zawoła, bo dotrze do niej, że to zły pomysł. Czuła pod bosymi stopami chłód linoleum.

Haven składało się z sześciu skrzydeł, od A do G. Nie było skrzydła E, z niewiadomych przyczyn, chociaż wśród personelu krążyła plotka, że to za sprawą pierwszego Boga – Richarda Havena, którego była żona miała na imię Ellen. Nie licząc Grobowca, oficjalnie zwanego skrzydłem G, wszystkie budynki były ze sobą połączone, ułożone w kształt pięciokąta wokół dziedzińca

o powierzchni półtora hektara, który zdobiły ogrody, rzeźby i ławki. Było tam nawet boisko do gier zespołowych, z którego mógł korzystać personel. Elektroniczne drzwi łączyły poszczególne skrzydła jak mechaniczne stawy. Grobowiec był większy – miał co najmniej cztery piętra i może nawet jeszcze trzy pod ziemią, choć biorąc pod uwagę podmokły teren, nie wydawało się to prawdopodobne. Zbudowany z szarego betonu stał w odosobnieniu, usytuowany dobre sto metrów od reszty kompleksu.

Najszybsza droga z sali testowej do skrzydła A wiodła przez skrzydło F. Lira już wymyśliła, że jeśli ktoś ją zagadnie, powie, że idzie do Kotła na obiad.

Ale nikt jej nie zaczepił. Minęła kilka pielęgniarek siedzących w pokoju dziennym i śmiejących się z dwóch kobiet w telewizji – replik, pomyślała Lira z ekscytacją, która jednak szybko minęła, gdy uświadomiła sobie, spostrzegłszy drobne różnice między nimi, że kobiety to tylko bliźniaczki. Następne były dormitoria, mniejsze dla podstawowego personelu – pielęgniarki i badacze spali w czteroosobowych pokojach z piętrowymi łózkami. Potem kwatery lekarzy, bardziej przestronne. Aż wreszcie Kocioł. Zapach gotowanego mięsa natychmiast przyprawił ją o skręt kiszek.

Przyspieszyła, cały czas szła ze spuszczoną głową. Gdy weszła do skrzydła A, strażnik ledwie podniósł wzrok. Przeszła przez marmurowy hol z kamiennym popiersiem Richarda Havena, pierwszego Boga, przystrojonym w czerwono-niebieską pelerynę i śmieszny czapkę – jak zrozumiała Lira, była to jakaś zabawa związana z miejscem zwanym Uniwersytetem Pensylwanii, z którego pochodzili zarówno pierwszy, jak i drugi Bóg. Plastikowa choinka, kupiona kiedyś na przyjęcie bożonarodzeniowe, stała od trzech lat tuż przy głównym wejściu, tyle że poza sezonem świątecznym światelka były wyłączone. Ze ścian uśmiechały się fotografie nieznanomych ludzi, a na jednej z nich stali Richard Haven i doktor Saperstein, dużo młodszy i ubrany w czerwono-niebieskie barwy. Mieli nawet pomalowane twarze.

Ale dzisiaj nie przystanąła, żeby im się przyjrzeć. Przeszła przez drzwi prowadzące na klatkę schodową. Unosił się na niej lekki zapach dymu papierosowego.

Im bliżej była administracji, tym większy czuła ścisk w piersi, jak gdyby Inwazyjny Wąż przeciskał się przez jej gardło, pompując płyn do płuc. Poziom minus jeden zawsze wyglądał na spokojniejszy niż parter. Większość drzwi wyposażono w zamki na kod i oznaczono wielkimi czerwonymi kołami przedzielonymi na pół po przekątnej – znakami ograniczonego dostępu. Do tego ściany zdawały się tłumić hałas, pochłaniały odgłosy kroków Liry, gdy przechodziła.

Dostęp do administracji również był ograniczony. Tłuste Dupsko powiedziała, że Werner będzie siedział na recepcji – od tego zależało powodzenie planu Liry. Przez szyby w drzwiach widać było przestrzeń wypełnioną biurkami, kartki przypięte do tablic korkowych, klawiatury zakopane pod stosami szarych teczek, telefony i komputery podpięte do przepelnionych przedłużaczy. Cała papierkowa robota z Haven przychodziła tutaj – od poczty po raporty medyczne – i dopiero potem dokumenty rozsyłano do docelowych odbiorców.

Lira dała nura do wnęki w ścianie kilka metrów za wejściem do administracji. Gdy wyglądała na korytarz, miała widok na drzwi. Modliła się, by się okazało, że przybyła na czas i nie przegapiła swojej szansy. Kilka razy ostrożnie wychylała się na korytarz, żeby sprawdzić teren. Ale drzwi były szczelnie zamknięte.

Aż wreszcie, kiedy niemal straciła nadzieję, usłyszała ciche kliknięcie otwieranych zamków. Skrzypnęły drzwi. Chwilę później czyjeś kroki skierowały się w stronę schodów. Gdy tylko usłyszała, że otwiera się wejście na klatkę schodową, wślizgnęła się na korytarz.

Od czasu nagłego zniknięcia doktor O'Donnell zdarzało jej się przemykać pod drzwi administracji. Wiedziała, że codziennie, kiedy większość personelu administracyjnego je w Kotle, Werner opuszcza swoje stanowisko, blokuje

otwarte drzwi do administracji i pali papierosa – albo dwa – na klatce schodowej.

Dzisiaj między podwójne drzwi wetknął pusty segregator. Lira wślizgnęła się do środka i delikatnie je przymknęła, upewniając się, że segregator się nie przesunął.

Przez kilka sekund stała nieruchomo, pozwalając, by spowiła ją cisza. Administrację stanowiło kilka połączonych ze sobą pokoi. Pierwszy z nich, ten, w którym się znajdowała, jasny i nowoczesny, oświetlały zawieszane u sufitu długie lampy, podobne do tych używanych w laboratoriach na górze. Lira ruszyła dalej, w gęstwinę szaf i starych plastikowych pojemników na dokumenty, pomiędzy stopy papierów, których od lat nikt nie dotykał. Kilka pokoi było ciemnych albo słabo oświetlonych. I w tej ciszy słyszała szept miliona słów, słów uwięzionych w każdej szufladzie, słów drapiących paznokciami o wnętrza szaf.

Wszystkie słowa, o jakich mogła kiedykolwiek pomarzyć – słowa, którymi mogła się napchać, aż będzie pełna, aż oczy wyjdą jej z orbit.

Ruszyła do najdalszego zakątka najciemniejszego pokoju i na chybił trafił wybrała szafę. Nie chodziło jej o żadne konkretne raporty, o to, co mogłyby mówić czy znaczyć. Jedyne, na czym jej zależało, to możliwość ćwiczeń. Doktor O'Donnell wyjaśniła jej kiedyś, czym jest prawdziwa biblioteka i do czego służy w zewnętrznym świecie, więc Lira wiedziała, że administracja to coś najbliższego bibliotece, do czego kiedykolwiek będzie mieć dostęp.

Wybrała teczkę z samego tyłu, taką, po którą na pewno od dawna nie sięgano, i na tyle chudą, by łatwo było ją ukryć. Zamknęła szafkę i pokonała z powrotem tę samą trasę, przez coraz jaśniejsze i coraz mniej zakurzone pokoje.

Wreszcie znalazła się na korytarzu. Wślizgnęła się do wnęki i czekała. Chwilę później drzwi od klatki schodowej otworzyły się ze skrzypieniem i zaraz potem zatrzasnęły, a na korytarzu rozległy się kroki. Werner wrócił.

Musiła jeszcze załatwić to, po co oficjalnie przysłała. Oznaczało to, że musi schować zdobytą z takim trudem teczkę gdziekolwiek, choćby na chwilę. Nie

było zbyt wielu możliwości. Wybrała metalowy kosz przytwierdzony do ściany i oznaczony znakiem „materiały niebezpieczne”. Personel medyczny zazwyczaj wyrzucał do nich zużyte rękawiczki, czepki, a nawet strzykawki, ale ten akurat był pusty.

Werner nawet jej nie wpuścił. Gdy zastukała palcem w szybę, podszedł tylko do drzwi, marszcząc brwi.

– O co chodzi? – zapytał. Głos zza szyby dochodził przytłumiony. Werner mówił bardzo powoli, jak gdyby nie był pewien, czy Lira zrozumie. Od razu było widać, że rzadko miał do czynienia z replikami.

– Przysłała mnie Shannon z ochrony – odparła, w ostatniej chwili powstrzymując się przed powiedzeniem „Tłuste Dupsko”.

Werner zniknął. Kiedy wrócił, by otworzyć drzwi, miał na sobie rękawiczki i maseczkę chirurgiczną. Zdarzało się, że personel odmawiał kontaktu z replikami bez dodatkowych środków ostrożności, co Lira uważała za głupie. Choroby zabijające repliki, warunki, które uczyniły je chorowitymi i opóźnionymi w rozwoju, były bezpośrednio związane z klonowaniem i wychowaniem w Haven.

Spojrzał na dokumenty, które trzymała w ręce, jak gdyby było to zdechłe zwierzę.

– No dobra, daj to. I powiedz Shannon z ochrony, żeby następnym razem sama robiła, co do niej należy. – Porwał teczkę z jej rąk i szybko się wycofał. Rzucił jej zza szyby krzywe spojrzenie.

Lira nawet nie zwróciła na to uwagi. Nie mogła się doczekać, aż rozgości się wśród tych wszystkich liter: nowe strony, nowe słowa, które mogła odczytać, na których mogła się zatrzymać, by je rozszyfrować.

Wyjęła teczkę z metalowego kosza, sprawdzwszy wcześniej, czy na korytarzu jest sama. To był jedyny punkt planu, który nie do końca przemyślała. Będzie musiała zanieść teczkę do swojego łóżka, ale jeśli zrobi to jawnie, ktoś

może zacząć się zastanawiać, skąd ją wzięła. Mogłaby powiedzieć, że jakaś pielęgniarka kazała ją dostarczyć – ale co, jeśli ktoś sprawdzi? Nie była nawet pewna, czy potrafi przekonująco kłamać. Przez ostatnie lata nie rozmawiała zbyt wiele z personelem, poza tym naprawdę była wykończona.

Włożyła ją więc za pasek luźnych spodni – wszystkie repliki w Haven nosiły takie same – i wyciągnęła podkoszulek na wierzch. Jedyнным sposobem, żeby nie wypadła, było objęcie się rękami, jak gdyby bolał ją brzuch. Nawet wtedy musiała stawiać drobne kroczki, poza tym wydawało jej się, że słycać szelest papieru. Nie miała jednak wyjścia. Pozostało wierzyć, że zdoła wrócić do skrzydła D niezaczepona przez nikogo.

Ale gdy tylko przeszła przez drzwi i ruszyła po schodach, usłyszała odbijające się echem głosy. Zanim udało jej się wycofać, zobaczyła Boga schodzącego z jednym z Waźniaków. Spuściła głowę i ustąpiła im, mocno przyciskając ramiona do teczki i modląc się, by minęli ją bez zatrzymywania.

Zatrzymali się jednak.

– Hej. – To Waźniak ją zaczepił. – Hej. Ty. – Jego oczy były prawie czarne. Odwrócił się do Boga. – Które to?

– Nie jestem pewien. Niektóre pielęgniarki potrafią odróżnić je po wyglądzie. – Bóg spojrział na Lire. – Która jesteś? – zapytał.

Przez chwilę Lira miała ochotę przedstawić się z imienia (może sprawiła to ukradziona teczka przyciśnięta do jej brzucha), ale powiedziała tylko:

– Numer 24.

– I pozwalacie im tak po prostu włóczyć się po ośrodku? – Mężczyzna wpatrywał się w Lire, ale pytanie to było skierowane do Boga. – Zwłaszcza po tym, co się stało?

Lira domyśliła się, że mówił o ucieczce.

– Postępujemy zgodnie z procedurami – odparł Bóg. Jego głos przypominał Lireze ukłucie strzykawki. – Kiedy powstało Haven, nasi sponsorzy z sektora

prywatnego życzyli sobie, żeby traktować je po ludzku.

– Nie ma już sektora prywatnego. Teraz to my wykładamy kasę – odparł mężczyzna. – A co z zarażeniem?

Lira słuchała tylko jednym uchem. Pot zbierał się między teczką a jej brzuchem. Wyobrażała sobie, jak przesiąka przez okładkę i moczy strony. Teczka nieco się przesunęła i Lira zaczęła się martwić, że jakaś strona może wypaść, ale nie miała odwagi poprawić uchwytu.

– Nie ma ryzyka, jeśli nie doszło do spożycia... o czym by pan wiedział, gdyby naprawdę czytał pan raporty. W porządku, 24 – powiedział Bóg – możesz iść.

Lira poczuła taką ulgę, że miała ochotę krzyczeć z radości. Ale tylko pochyliła głowę i trzymając ręce ciasno owinięte wokół pasa, zaczęła ich mijać.

– Zaczekaj! – To Ważniak ją zawołał.

Lira zeszywniała i odwróciła się w jego stronę. Stali teraz niemal twarzą w twarz. Czowała się tak jak w czasie badań, kiedy drżała w swojej jednorazowej koszuli, wbijając wzrok w ostre światła umieszczone wysoko na suficie – zmarznięta i obnażona.

– Dlaczego ona trzyma się za brzuch? Ma problemy żołądkowe? – zapytał.

Lira zacisnęła ręce wokół pasa. „Błagam – pomyślała. – Błagam”. Nie była w stanie dokończyć tej myśli. Jeśli każą jej opuścić ręce, teczka wypadnie. Wyobraziła sobie, jak dokumenty wylatują z jej nogawek i zsuwają się po schodach.

Bóg wskazał na plastikową opaskę, którą Lira nosiła na ręce.

– Zielona – powiedział. – Jeden z pierwszych wariantów. Działają wolniej niż typowe vCJD. Większość Zielonych wciąż żyje, choć widzieliśmy ostatnio kilka objawów aktywności neurodegeneratywnej.

– A gdyby to przełożyć na normalny język?

W przeciwieństwie do faceta w garniturze Bóg nigdy nie nawiązywał

kontakty wzrokowego. Patrzył na jej ramiona, ręce, kolana, czoło – wszędzie, byle nie w oczy.

– Skutki uboczne – odpowiedział z lekkim uśmiechem.

A potem pozwolili Lirze odejść.

Lira nie była jedyną repliką, która kolekcjonowała przedmioty. Róża chowała pod poduszką zużyte szczoteczki do zębów. Palmolive szukała po korytarzach monet, które komuś wypadły, i trzymała je w pudełku po wacikach antybakteryjnych. Kasjopeja ułożyła w rzędzie na parapecie obok swojego łóżka dziesiątki muszelek, a do tego namówiła siostrę Dolly, by przemyciła dla niej trochę taśmy klejącej, i powiesiła kilka rysunków, które zrobiła na serwetkach ukradzionych ze stołówki. Widniały na nich kosze na śmieci, czerwone przekreślone kółka, stetoskopy, popiersie pierwszego Boga w czerwono-niebieskiej pelerynie oraz skalpele błyszczące w fałdach czystej szmatki. Była w tym bardzo dobra. A Kaliope zabrała kiedyś telefon komórkowy jednej z pielęgniarek, za co wszystkie jej genotypy zostały ukarane.

Ale Lira uważała na swoje skarby. Trzymała je w ukryciu. Teczke starannie schowała pod cienkim materacem, obok reszty kolekcji: kilku długopisów – w tym jej ulubionego, zielonego z wysuwaną końcówką, na którym białymi literami było napisane „FINE & IVES”, pustej puszki z napisem „Altoids”, kilku monet znalezionych za automatem z napojami oraz wysłużonego egzemplarza *Małego Księcia*, który przeglądała tak często, że wiele stron wypadło ze środka i teraz leżało luzem.

– W tej książce jest przesłanie – powiedziała Lirze doktor O’Donnell, zanim opuściła Haven. – W miłości Małego Księcia do róży jest mądrość, której wszyscy moglibyśmy się uczyć.

A Lira pokiwała głową, starając się udawać, że rozumie, choć wcale nie rozumiała. Nic nie wiedziała o miłości. Nic o nadziei. Doktor O’Donnell

wyjeżdżała, a ona znów zostawała sama.

5

– Okłamałaś mnie, 24.

Lira klęczała, mrugała oczami, by powstrzymać łzy, i przełykała smak wymiocin, kiedy otworzyły się drzwi schowka. Nie była w stanie dostatecznie szybko się podnieść. Odwróciła się, uderzając łokciem o miotłę.

Siostra Sprężyna patrzyła nie na Lirę, ale na wiadro za nią, obryzgane wymiocinami. Co dziwne, nie wydawała się zła.

– Wiedziałam – stwierdziła, kręcąc głową.

Było wczesne popołudnie, Sprężyna musiała dopiero co wrócić z lunchu rozpoczynającego jej zmianę. Nie miała jeszcze na sobie fartucha, tylko niebieski podkoszulek na ramiączkach ozdobiony paciorkami, dżinsy oraz skórzane sandały. Lirę zawsze fascynowały wszelkie przejawy życia spoza Haven – czasopisma pomarszczone od wody, porzucone czasami na umywalkach w toaletach pielęgniarek, zużyte opakowanie po balsamie do ust znalezione w koszu albo zepsuty kłapek leżący na ławce na dziedzińcu – szczeliny, które na ułamek sekundy odsłaniały inny świat.

Dzisiaj jednak nie miało to dla niej znaczenia.

Była pewna, że tutaj, w komórce na poziomie minus jeden skrzydła D, gdzie trzymano szczotki i środki czystości, będzie bezpieczna. Obudziła się zlaną potem, z mocno bijącym sercem i uczuciem, jakby coś ciężkiego i obślizgłego chciało się wydostać z jej żołądka. Ale dzwonek na pobudkę zadzwonił zaledwie minutę wcześniej, wiedziała więc, że łazienki wkrótce zapełnią się replikami, które będą brać prysznic i myć zęby, szepcząc pod szumiącą wodą o Wazniakach, o tym, czego tak właściwie mogli chcieć oraz czy aligatory zdążyły już rozerwać

numer 72 na strzępy i czy jego płuca, nerki i śledziona leżą gdzieś porozrzucane po mokradłach.

Łazienki dla personelu były równie ryzykowne. Po pierwsze oficjalnie repliki nie miały tam wstępu, a po drugie łazienki te bywały zatłoczone – pielęgniarki często zamykały się w kabinach, by porozmawiać przez telefon albo wysłać esemesa.

– Nie jestem chora – powiedziała szybko Lira, wyciągając rękę, by przytrzymać się półki. Wciąż kręciło jej się w głowie.

– Chodź, idziemy. – Jak zwykle siostra Sprężyna zachowywała się tak, jak gdyby nie słyszała. I może rzeczywiście tak było.

Lira miała przedziwne wrażenie, że jest niewidzialna, że żyje za zasłoną, a lekarze i pielęgniarki widzą tylko jej rozmazane kontury.

– Pójdziemy do doktora Levy’ego.

– Nie. Błagam.

Doktor Levy pracował w Grobowcu. Nienawidziła jego i tej dużej dudniącej maszyny, którą nazwała Panem Rezonansem. Nienawidziła szczerzących się lamp, które wyglądały jak puste, obojętne twarze. Nie cierpiała cewników i Wężorurek, Kapiących Torebek i Ponurych Worków, strzykawek używanych jedna za drugą. Nienawidziła dziwnych snów, które ją tam nawiedzały: o lwach maszerujących wokół wysokiego, podłużnego naczynia, o dawnych głosach, których na pewno nigdy nie słyszała, ale które zdawały się realne. Nawet punkcja przy użyciu Wampira – długiej igły wsadzanej między dwa dolne kręgi kręgosłupa w celu pobrania płynu rdzeniowego do badań – wydawała się czymś lepszym.

– Nic mi nie jest.

– Nie histeryzuj – powiedziała Sprężyna. – To dla twojego dobra. Wychodź stąd.

Lira przesunęła się w stronę wyjścia, cały czas przytrzymując się ścian

ponabijanych gwoździami, na których wisały miotły, mopy i szufelki. Nie pamiętała, co to za dzień tygodnia. Wydawało jej się, że cała wiedza wyciekła przez dziurę w jej świadomości. Nie pamiętała też, jaki dzień był wczoraj ani co się wtedy wydarzyło.

– Za mną. – Pielęgniarka położyła rękę na jej ramieniu, wprawiając tym Lire w osłupienie.

Rzadko się zdarzało, by pielęgniarki je dotykały, o ile nie chodziło o badania. Wiedza, jak się ta siostra nazywa, również wyparowała, choć Lira była pewna, że pamiętała to jeszcze chwilę wcześniej. Co się z nią działo? Czuła się tak, jakby wymioty wytrząsnęły wszystkie informacje z jej mózgu, zamieniając go w bezużyteczną breję.

Oczy ją piekły, a w gardle paliło. Kiedy sięgnęła ręką do twarzy, by otrzeć usta, z zakłopotaniem uświadomiła sobie, że płacze.

– To normalne – stwierdziła pielęgniarka, ale Lira nie była pewna, co kobieta ma na myśli.

Najszybsza droga do Grobowca z tego miejsca wiodła przez skrzydło C, gdzie trzymano męskie repliki. Siostra Cheryl – imię to pojawiło się w głowie Liry nagle, jakby uwolnione z ciemnej jamy, w której przedtem utknęło – nazwana Sprężyną z powodu mocno kręconych włosów, sprawiła, że drzwi zabręczały i otworzyły się. Lira się zawahała. W ciągu tych wszystkich lat spędzonych w Haven była w skrzydle C zaledwie kilka razy. Nie zapomniała Pepper ani tego, co się z nią stało. Pamiętała, jak Pepper płakała, kiedy przedstawiono jej przyszły los – że dołączy do surogatek, tych wszystkich ciemnoskórych kobiet, które przyplływały i odpływały na łodziach i których nigdy nie widziano poza barakami. Pepper rozorała paznokciami skórę na swoim brzuchu i błagała lekarzy, żeby to z niej wyjęli.

Ale dwa miesiące później, zanim lekarze orzekli, że nie uda jej się utrzymać tego stanu, mówiła już o imionach – że będzie to Ocean, Sunday albo Valium.

Po tym zdarzeniu wszystkie noże na stołówce zastąpiono plastikowymi, a męskie i żeńskie repliki trzymano z daleka od siebie jeszcze bardziej restrykcyjnie.

– Nie bój się. – Sprężyna ją szturchnęła. – Jesteś ze mną.

W skrzydle C było dużo cieplej. A może to jej zrobiło się gorąco. W pierwszym mijanym pomieszczeniu zobaczyła męską replikę leżącą na stole do badań z rurkami przyczepionymi do nagiej piersi. Szybko odwróciła wzrok. Unosił się tu inny zapach – była to ta sama mieszanka antyseptyków, wybielacza oraz ludzkiego potu, ale wyrazistsza.

Ruszyły schodami do góry, na parter, i minęły kilka dormitoriów z łózkami połowymi stojącymi w rzędach, zupełnie jak w żeńskiej części, ale na szczęście pustymi. Osobniki męskie, które nie były chore ani badane, przypuszczalnie jadły teraz w Kotle. Widziała standardowe wyposażenie: białe prześcieradła, szare koce i plastikowe pojemniki pod łózkami, ale miała wrażenie, jakby w ich pokojach panował większy bałagan.

Weszły do skrzydła B i Sprężyna wylegitymowała się dwóm strażnikom. W skrzydle B przeprowadzano badania i nie wolno było do niego wchodzić osobom niepowołanym. Minęły laboratoria, oślepiająco białe, oświetlone rzędami lamp fluorescencyjnych. Lira widziała pracowników, którzy poruszali się powoli, ubrani w rękawice i fartuchy, z włosami schowanymi pod półprzezroczystymi szarymi czepkami i z oczami powiększonymi przez gogle, przez co przypominali insekty. Rzędy komputerów, ekrany wypełnione wirującymi kolorami, duży sprzęt medyczny, słowa, które Lira słyszała przez całe życie, choć nie wiedziała, co znaczą: „spektrometria”, „biometria”, „chromatografia cieczowa” – piękne słowa, słowa, o które można się potknąć i wpaść w nie po uszy.

Pewnego razu zdobyła się na odwagę, by zapytać doktor O'Donnell, co robiono całymi dniami w laboratoriach. Nie wydawało się możliwe, że wszystkich tych ludzi zatrudniono tylko po to, by udoskonalić proces replikacji,

żeby uchronić surogatki od częstych poronień po transferze embrionów albo repliki od śmierci w młodym wieku.

Doktor O'Donnell zastanawiała się przez chwilę.

– Robią badania, by się dowiedzieć, przez co chorujecie – powiedziała wreszcie powoli, jak gdyby musiała ostrożnie obchodzić się ze słowami, bo inaczej zrobią jej krzywdę. – By się dowiedzieć, jak rozwija się choroba i dlaczego.

– I jak to naprawić? – spytała Lira.

Tym razem doktor prawie się nie zawahała.

– Oczywiście.

Grobowiec, nie dość, że usytuowany z dala od głównego kompleksu, był otoczony dodatkowym ogrodzeniem. W przeciwieństwie do reszty Haven skrzydło G nie miało okien, a wzmożona kontrola bezpieczeństwa wymagała od siostry Sprężyny, by wylegitymowała się dwa razy, musiała też pokazywać swój identyfikator różnym uzbrojonym strażnikom, którzy patrolowali teren.

Sprężyna zostawiła Lirę w holu, przed windą, która zjeżdżała na poziom minus jeden i prawdopodobnie na ukryte podziemne kondygnacje. Lira starała się nie patrzeć na drzwi prowadzące do ambulatorium, w którym tyle replik zmarło albo „nie udało im się rozwinąć”. Nawet pielęgniarki nazywały skrzydło G Domem Pogrzebowym lub Cmentarzyskiem. Lira zastanawiała się, czy Lilac Springs jest tam teraz i ile czasu jej zostało.

Wkrótce drzwi windy otworzyły się i technik w białym wielkim fartuchu, z włosami ukrytymi pod czepkiem, przyszła, by eskortować Lirę na dół na spotkanie z Panem Rezonansem. Jeśli Lira się nie myliła, była to ta sama kobieta, którą widziała kilka razy, kiedy była tu w zeszłym miesiącu. Ale miała problemy z odróżnieniem ich wszystkich, ponieważ ich twarze zazwyczaj zasłaniały gogle i maska chirurgiczna, a do tego nigdy z nią nie rozmawiali.

Na poziomie minus jeden ruszyły długim korytarzem bez okien, z mnóstwem

drzwi oznaczonych zakazem wstępu. Gdy jeden z techników wymknął się na korytarz, Lirze udało się dojrzeć pokój przygotowawczy, a za nim podłużne laboratorium, w którym dziesiątki analityków pochylały się nad lśniącem sprzętem. Byli ubrani od stóp do głów w kombinezony i ogromne kaptury ochronne, przez co przypominali astronautów, których Lira czasami widziała w telewizorze pielęgniarek.

Pan Rezonans siedział sam w chłodnym, jasnym pomieszczeniu, w którym rozlegał się pomruk klimatyzacji. Przypominał Lirze otwarte usta, a stół, na którym miała się położyć, wyglądał jak długi blady język. Poczowała gęsią skórę.

– Pamiętaj, żeby się nie ruszać – powiedziała kobieta głosem stłumionym przez papierową maskę. – W przeciwnym razie będę musiała wszystko powtórzyć. A tego nie chcemy, prawda?

Po tym badaniu przeniesiono ją do mniejszego pokoju i kazano się położyć. Czasami, gdy leżała w ten sposób, a lekarze krzatali się wokół i pochylali nad nią, traciła rozeznanie, czy jest w ogóle istotą ludzką czy czymś innym: płatem mięsa albo leżącą na stole przewróconą szklanką. Rzeczą.

– Nie wierzę, żeby Teksas był dalej niż my. To bzdury. Blefują. Jeszcze dwa lata temu infekowali tkankę bydła...

– Nie ma znaczenia, czy blefują, jeśli sponsorzy odetną nam fundusze. Ważne, że wszyscy sądzą, że oni są bliżej. Fine & Ives mogą stracić kontrakt. A wtedy mamy przerąbane.

Wysokie jasne światła, zimne czujniki na jej ciele, ręce w rękawiczkach, szczypanie i naciskanie.

– Sappo uważa, że najnowszy wariant świetnie rokuje. Podobno jest szansa na przejście wszystkich stadiów w ciągu tygodnia. Wyobrażasz sobie skutki?

– Oby miał rację. Co my, u diabła, zrobimy z nimi wszystkimi, gdy zamkną nam zakład? Zastanawiałeś się nad tym?

Lira zamknęła oczy, nagle potwornie zmęczona.

– Otwórz oczy. Podążaj wzrokiem za moim palcem, z lewej do prawej.
Dobrze.

– Odruchy wciąż wyglądają na prawidłowe. – Lekarka rozsunęła jednorazowy fartuch na jej piersi i mocno ścisnęła sutek.

Lira krzyknęła.

– Reakcja na ból. Zrób coś dla mnie i sprawdź kartotekę tego przypadku, okej? Który to wariant?

– Ten jest podobny do wariantu Creutzfeldta–Jakoba, tyle że wolniej działa. To dlatego widać objaw poduszkowy na rezonansie magnetycznym. Bardzo rzadkie w naturze, niemal zawsze dziedziczne.

Przez chwilę pracowali w ciszy. Lira pomyślała o *Małym Księciu*, o doktor O'Donnell i odległych gwiazdach, pięknych rzeczach żyjących i umierających na wolności. Nie była w stanie pohamować łez.

– W jaki sposób decydują, które z nich zostają pod kontrolą, a które dostają różne warianty? – zapytał po chwili mężczyzna.

– Och, to wszystko jest skomputeryzowane – odparła kobieta. Teraz podtrzymywała dwoma palcami rozwarte powieki Liry, żeby ta nie mogła mrugnąć. – Popatrz tutaj. Widzisz, jak lewe oko drga? Mioklonia. To kolejny wskaźnik.

– Mhm. Więc to odbywa się losowo?

– Całkowicie losowo. Komputer stosuje jakiś algorytm. W ten sposób, rozumiesz, nikt nie czuje się źle. Podasz mi stetoskop? Założę się, że jej tętno nieźle podskoczyło.

To była bardzo pogodna noc, więc krzyki i odgłosy bicia w bębny – zawsze głośniejsze, kiedy Ważniacy odwiedzali wyspę – niosły się swobodnie po wodzie. Lira długo nie mogła zasnąć, zwalczała nieustające mdłości

i nasłuchiwała tego rytmu, który wcale nie brzmiał tak odległe. Czasami wyobrażała sobie, że ten rytm się przybliży, że nagle Haven zostaje opanowane przez obcych. Wyobrażała sobie ich wszystkich ukształtowanych z mroku i cienia zamiast z krwi, mięśni i kości. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że może numer 72 jednak przeżył. Kiedyś podsłuchiwała, że mokradła były zatopionymi wyspami, kilometrami lądu, który z biegiem czasu został pochłonięty przez wodę.

Zastanawiała się, czy 72 też został pochłonięty, czy może gdzieś tam jest i również słyszy te głosy.

Ukojenie dawała jej obecność nowego nabytku w kolekcji, ukrytego dokładnie pod plecami. Wyobrażała sobie, że teczka wydziela ciepło, jak serce, jak dotyk doktor O'Donnell. Temperatura: trzydzieści sześć i sześć. Wyobrażała sobie zapach cytryny i środka odkażającego, jak gdyby pani doktor wciąż tu była i krążyła między łózkami.

– Nie martw się – powiedziała jej kiedyś w noc taką jak ta, kiedy krzyki były głośniejsze niż zwykle. – Nie dostaną cię – dodała cichszym głosem. – Nie dostaną się do środka.

Ale w tej sprawie doktor O'Donnell się pomyliła.

6

Lira nie spała dobrze. Zbudziła się przyduszona, z uczuciem ucisku w klatce piersiowej, jak wiele lat temu, kiedy siostra Ani-Mi-Się-Waż trzymała jej głowę w umywalce z wodą, by ukarać ją za kradzież czekoladek z pokoju socjalnego pielęgniarek.

Skutki uboczne. To minie. Czasami po zażyciu jakiegoś lekarstwa następowało pogorszenie, żeby potem mogło się polepszyć. W przyćmionym świetle poranka, wsłuchana w oddech tyłu replik leżących obok niej, zamknęła oczy. Pod powiekami błysnęło wspomnienie sprzed wielu lat, wspomnienie surogatki, która kołysała ją, śpiewała jej i laskotała włosami po czole. Otworzyła oczy. Surogatki nie śpiewały. Krzyczały i wyły. Albo płakały. Mówiły w innych językach. Ale nigdy nie śpiewały.

Znowu poczuła mdłości.

Tym razem nie zaryzykuje, nie będzie wymiotować na terenie budynku. Znajdzie jakieś odludne miejsce – na plaży, może za blaszanymi beczkami na niebezpieczne odpady czekającymi na wywóz, gdzieś, gdzie nie zobaczą jej strażnicy.

Wybrała drogę przez dziedziniec, który był prawie pusty. Pielęgniarki z nocnej zmiany przygotowywały się do powrotu motorówką do Barrel Key. Minęła pomnik pierwszego Boga, Richarda Havena. Stał pośrodku dziedzińca, w miejscu, gdzie przecinały się cztery ścieżki spacerowe. Tutaj przystanęła, by odpocząć, oparła się o zimny marmurowy postument, obok tabliczki upamiętniającej zasługi i osiągnięcia Havena. „Miał miłą twarz”, pomyślała Lira. A przynajmniej artysta tak go przedstawił.

Nie pamiętała tego człowieka za życia. Zmarł, zanim ją zrobiono. Rzeźbiarz przedstawił go w pozycji klęczącej, z uniesioną dłonią. Lira domyślała się, że miał przyzywać do siebie niewidzialne tłumy, ale dla niej zawsze wyglądało to tak, jakby wyciągał rękę w stronę chmur, w stronę tego drugiego Boga, w którego wierzyły pielęgniarki. Ich Bóg również nienawidził replik.

Przykucnęła obok dwóch beczek oznaczonych jako „zagrożenie biologiczne” i zwymiotowała na rosnącą między nimi wysoką trawę. Gdy się podniosła, stwierdziła, że czuje się nieco lepiej, ale wciąż była osłabiona. W drodze powrotnej do głównego gmachu zatrzymywała się kilka razy, łowiąc krzywe spojrzenia patrolujących strażników. Zazwyczaj cieszyła się, że Haven jest takie rozległe, że są tu takie duże obszary otwartej przestrzeni, chodniki ocienione drzewami orzesznika i wysokimi palmami. Lubiła jasne eksplozje heliotropów na rabatkach i dzikie kolokazje przeciskające się między kostkami brukowymi, chociaż nie kojarzyła nazwy żadnej z nich, знаła rośliny tylko z nazw ogólnych: kwiaty, drzewa, warzywa. Ale dzisiaj była zbyt zmęczona i marzyła tylko o tym, by z powrotem znaleźć się na łóżku 24.

Gdy weszła do skrzydła D, usłyszała krzyki. Bliżej dormitorium rozpoznała jeden z głosów: doktora Sapersteina. Przystanęła, miała ochotę zawrócić. Bóg nigdy nie przychodził do ich sypialni, przenigdy.

Ale wtedy usłyszała krzyk Kasjopei:

– Nie dotykaj ich! To niesprawiedliwe!

Ruszyła dalej.

Nagle ujrzała pielęgniarkę, która wybiegła na korytarz, ślizgając się na płytkach, i rzuciła Lirze dziwne spojrzenie, a potem pomknęła w przeciwnym kierunku. Drzwi dormitorium kołysały się, Lira ledwie zdążyła je złapać, zanim się zamknęły.

Stała jak wryta, a oddech uwiązał jej w gardle. U stóp doktora Sapersteina Kasjopeja na klęcząco zbierała swoją kolekcję muszelek, zrzuconych z parapetu

i potrzaskanych. Wszystkie jej rysunki zostały zerwane ze ściany. Wyglądało to tak, jak gdyby nad łóżkiem przeszedł silny wiatr i wszystko zdemolował, choć resztę pokoju oszczędził. Wtedy zobaczyła, że Bóg trzyma zwinięte rysunki w pięści.

– Nie do wiary! – krzyczał, ale nie na repliki, tylko na zgromadzone w sali pielęgniarki, w tym na siostrę Dolly, która znalazła dla Kasjopei taśmę samoprzylepną, żeby ta mogła sobie powiesić serwetki. – Czy macie pojęcie, że grozi nam odcięcie funduszy? Chcecie stracić pracę? Mamy zobowiązania, mamy procedury...

– To moja wina – odezwała się siostra Dolly. – Nie widziałam w tym nic złego.

Bóg zrobił krok w jej stronę, o mało nie potykając się o Kasjopeję, która wciąż czołgała się po podłodze i pochlipywała cichutko. Lira chciała do niej podejść, ale nie była w stanie się ruszyć. Połamane muszelki chrupały pod butami Boga.

– Nic złego? – powtórzył, a siostra Dolly szybko odwróciła wzrok. Teraz mówił ciszej, ale co dziwne, Lira nigdy nie bała się go tak jak teraz. – Całą swoją karierę poświęciłem na ten projekt. Pracujemy nad najważniejszymi zagadnieniami medycznymi w ciągu ostatnich dwudziestu lat, a wciąż... – urwał i pokręcił głową. – Wyniki. Tego nam trzeba. Wyników. To placówka naukowa, a nie przedszkole. Czy to jasne dla wszystkich?

Nikt się nie odezwał. W ciszy Lira słyszała bicie swojego serca. Bum, bum, bum. Jak rytm skandowanych okrzyków, który niósł się od Barrel Key aż do Spruce Island.

„Potwory! Potwory! Spalić Haven do gołej ziemi!”

Bóg westchnął. Zdjął okulary i potarł oczy.

– Mamy do wykonania bardzo ważne zadanie – powiedział. – To nasza misja. Nigdy o tym nie zapominajcie. – Już miał się odwrócić, ale jeszcze na

koniec dodał: – Tak będzie lepiej... dla wszystkich.

Lira poznała po tonie jego głosu, że nie chodziło mu o repliki.

Żeby dojść do drzwi, Bóg musiał jeszcze raz przejść obok Kasjopei. Ledwie zaszczyił ją spojrzeniem. Za to kopnął muszelkę, która przesunęła się po podłodze.

– Niech ktoś posprząta ten bałagan – rzucił w przestrzeń.

Lira szybko się odsunęła, żeby zejść mu z drogi.

Po jego wyjściu przez chwilę nikt się nie poruszył, nie licząc Kasjopei, wciąż przeglądającej szcztąki swojej kolekcji, z której pozostała żalosna kupka skorupki i kurzu. Wreszcie podeszła do niej siostra Dolly.

– No już... – Przykucnęła i złapała Kasjopeję za nadgarstek, by powstrzymać ją przed sięgnięciem po kolejną połamaną muszelkę. – Dostyc tego.

Wszystko stało się w mgnieniu oka. Kasjopeja odwróciła się i popchnęła siostrę Dolly.

– Zostaw mnie – warknęła.

Z piersi kilku osób wydobył się krzyk. Lira zrobiła krok do przodu.

– Nie rób tego – powiedziała.

Może Kasjopeja nie chciała popchnąć siostry Dolly mocno, a może chciała. W każdym razie pielęgniarz straciła równowagę i poleciała do tyłu. W jednej chwili siostra Ani-Mi-Się-Waż doskoczyła do Kasjopei i szarpnięciem poderwała ją na nogi.

– Podłe stworzenie. – Kobieta splunęła na nią, nie wypuszczając jej z uścisku. – Jak śmiałaś ją tknąć...?! Jak śmiałaś, skoro dajemy wam jeść, ubieramy was i opiekujemy się wami? Spadnie na ciebie kara boska, zapamiętaj to sobie.

– Nie jestem twoją własnością. – Kasjopeja cała się trzęsła, a jej oczy błyszczały.

Lira wpatrywała się w nią, zdjeta nagłym przerażeniem. Nie wiedziała, o co jej chodzi, nie rozumiała, skąd wzięły się w niej te słowa, ten gniew, i przez chwilę miała wrażenie, że pokój rozpada się na pół, odsłaniając czarną przepaść, ukrytą wyrwę.

– Nie możesz mi mówić, co mam robić. Nie należę do ciebie. Jestem prawdziwa. Jestem.

– Jesteś niczym – powiedziała Ani-Mi-Się-Waż. Jej twarz nabrzmiała z gniewu jak żylaste płyty wołowiny leżące w zamrażarkach w kuchni. – Należysz do instytutu i doktora Sapersteina. Możesz tu zostać albo odejść i zginąć.

– I tak zginę. – Kasjopeja wyglądała nieomal na szczęśliwą, jak gdyby zdała testy psychologiczne.

Lira nie rozumiała dlaczego, ale wiedziała, że to niewłaściwe. Gęsi Puch, jeden z genotypów Kasjopei, obejmowała się rękami, jak gdyby to na nią wrzeszczano. Wyglądały identycznie, tyle że Gęsi Puch miała obojętny wyraz twarzy. Gdy była mała, w chwilach rozdrażnienia uderzała głową o ziemię i do tej pory musiała na noc zakładać pieluchę.

– Nie mam racji? Wszystkie tu kiedyś umrzemy. Więc co za różnica?

– Daj spokój, Maxine. – Siostra Dolly wstała, krzywiąc się i trzymając za krzyż.

Lira była zła na Kasjopeję – uważała siostrę Dolly za jedną z najmilszych tutaj osób.

– I tak nie zrozumie – dodała pielęgniarka.

Siostra Ani-Mi-Się-Waż stała przez chwilę, wciąż trzymając Kasjopeję za nadgarstki. A potem nagle puściła ją i się odwróciła.

– Wszystko to wbrew naturze – wymruczała. – Szatański pomiot.

– Dość tego. – Tym razem odezwała się siostra Sprężyna, zwracając się do wszystkich. – Wy dwie – wskazała na Gęsi Puch i Bounty, wciąż zastygłe,

z nieruchomym wzrokiem – pomóżcie numer 6 posprzątać.

Ale Kasjopeja rzuciła się do drzwi, odpychając siostrę Ani-Mi-Się-Waż i odtrącając Lire, która chciała dotknąć jej ręki.

– Łapcie ją! – krzyknęła Ani-Mi-Się-Waż, ale siostra Dolly pokręciła głową.

– Wróci. – Westchnęła.

Wyglądała na wykończoną. Pod jej oczami widniały ciemne kręgi i Lira przez chwilę zastanawiała się, jakie jest jej drugie życie, to poza wyspą. Jak by to było mieć swój własny świat, swoje miejsce gdzieś z dala od Haven, z dala od innych replik, pielęgniarek i Szklanych Oczu? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Siostra Dolly napotkała spojrzenie Liry, więc ta szybko odwróciła wzrok.

– I tak nie ma dokąd uciec – dodała pielęgniarza, ale delikatnie, jak gdyby przepraszała.

Kasjopeja nie pojawiła się na lunchu. Repliki nie rozmawiały o niej, zresztą w ogóle nie rozmawiały. Ciężko było czuć się swobodnie w otoczeniu połowy pielęgniarek i kilku strażników pod ścianami – stali w milczeniu z twarzami bez wyrazu i obserwowali, jak repliki jedzą. Wielu z nich nosiło maski i kombinezony ochronne, przez co wyglądali jak nadmuchane balony.

Lira nie miała apetytu. Wciąż ją mdliło, a od zapachu Kotła jej żołądek się kurczył, jak gdyby chciał coś zwrócić. Ale bała się nie zjeść. Nie chciała znowu wylądować w Domu Pogrzebowym. Stała więc w kolejce z innymi replikami i nałożyła na talerz purée ziemniaczane i kurczaka pływającego w jasnoczerwonym sosie przypominającym kolorem organy wewnętrzne, po czym porozwalała jedzenie na talerzu, pokroiła je na małe kawałeczki i część schowała do serwetki.

Musiła znaleźć nową kryjówkę. Dormitorium już nie było bezpieczne. Sama zmieniała sobie pościel, ale co, jeśli pewnego dnia zapomni i książka, teczka,

długopis i puszka wpadną w czyjeś ręce? Zaraz by je zabrano i zniszczono, a po czymś takim Lira nigdy by się nie pozbierała. Zwłaszcza po stracie książki – to była jej ostatnia pamiątka po doktor O'Donnell i jedyna rzecz, którą od kogoś dostała, nie licząc regulaminowych ubrań i szorstkiego koca na zimne noce.

Po jedzeniu ruszyła prosto do sypialni. Dormitorium było prawie puste – po lunchu żeńskie repliki miały pół godziny czasu wolnego przed popołudniowymi badaniami. Tylko kilka replik wróciło przed nią, a na dyżurze siedziała jedna pielęgniarka, siostra Śmierdziel, starsza kobieta, która żuła specjalne imbirowo-czosnkowe cukierki na trawienie, w wyniku czego sama wydzielala taki zapach.

Lira ruszyła prosto w stronę łóżka 24 i zwrócona plecami do pielęgniarki zaczęła zdejmować pościel. W pewnym momencie wsunęła rękę między materac a ramę i wyjęła książkę, potem teczkę, po czym od razu wsunęła je do poszewki. A potem ruszyła do drzwi, mocno przyciskając pościel do piersi, jak gdyby mogła ona stłumić bicie serca.

– Co ty robisz? – spytała pielęgniarka. Siedziała na składanym krześle przy drzwiach i odwijała cukierek.

– Idę do pralni – odparła Lira, zaskoczona, że jej głos brzmi tak spokojnie.

– Dzień prania był wczoraj – zauważyła siostra Śmierdziel.

– Wiem – powiedziała Lira i ściszyła głos. – Ale mam miesięczne krwawienie.

Pielęgniarka machnęła ręką na znak: „Okej, idź”.

Lira skręciła w lewo, by przejść do końca skrzydła D. Ale zamiast skierować się w dół, do pralni, dała nura w pierwsze wyjście, drzwi przeciwpożarowe, które wychodziły na południowo-wschodnią stronę instytutu, gdzie teren opadał lekko w stronę ogrodzenia i otaczających je rozległych mokradeł. Ptaki krążyły po jasnobłękitnym niebie, woń dzikiej kolokazji i zdechłych ryb mocno wdzierala się w nozdrza. Widziane stąd mokradła były tak pokryte wodną roślinnością, że wyglądały niemal jak stały ląd. Ale Lira wiedziała swoje. Mnóstwo razy

opowiadano jej o tych mokradałach, o rybakach, o natrętnych poszukiwaczach sensacji z Barrel Key, którzy zgubili drogę wśród wybujałych traw i skończyli jako topielcy.

Lira ukryła zwiniętą pościel za przyciętym żywopłotem. Poszewkę ze swoimi rzeczami wetknęła pod podkoszulek i ruszyła dalej, okrążając główny budynek. Zauważyła Kasjopeję, która siedziała nieruchomo przy ogrodzeniu z kolanami przyciągniętymi do piersi i gapiła się na mokradała. Lirze przyszło do głowy, żeby do niej podejść, ale nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć. Zresztą Kasjopeja zachowała się niewłaściwie. Popchnęła siostrę Dolly. Wylądować w izolatce albo przywiązać ją do łóżka na dzień lub dwa. Poza tym Lira wciąż czuła się osłabiona i sama myśl o pocieszeniu Kasjopei wydała jej się męcząca.

Musiała znaleźć miejsce niezbyt oddalone od głównego kompleksu, miejsce, do którego będzie mogła łatwo się wymykać bez wzbudzania podejrzeń, ale zarazem takie, z którego nie korzystano i gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy zaglądać.

Szła dalej w stronę części wyspy, którą rzadko odwiedzała, i modliła się, by nikt jej nie zatrzymał. Nie była pewna, czy łamie jakieś przepisy, i gdyby ktoś spytał, co robi albo dokąd idzie, nie umiałaby odpowiedzieć.

Północna część wyspy była niezagospodarowana i w większości nietknięta, ponieważ dziesiątki lat temu należała do tartaku. Teraz stał tam stary sprzęt, zapieczętowane beczki z chemikaliami i przyczepy osadzone na pustakach, zaplombowane za pomocą ciężkich łańcuchów i kłódek. Lira przystanęła przy zardzewiałej bramie, na której wisiał duży znak z napisem „Uwaga! Zagrożenie biologiczne”. Ale brama była otwarta, więc postanowiła zaryzykować. W Haven niemal na każdym kroku można się było natknąć na niebezpieczne odpady medyczne.

Nie widziała już równo przyciętych żywopłotów ani kamiennych ścieżek. Było tu chłodniej, teren ocieniały dęby i rozłożyste sosny, ale dla Liry wszystkie

drzewa wyglądały tak samo. Gdy tak szła, pomyślała o zwierzętach ukrytych w ciemnych kryjówkach, aligatorach pełzających pod ogrodzeniem, węzach gnieźdzących się na drzewach. Dwa lata temu dzika świnia wyskoczyła z zarośli i zaczęła biegać wokół strażników stojących przed Grobowcem. Był to jeden z niewielu razy, kiedy Lira widziała roześmianych lekarzy.

Podążała przez szpaler utworzony ze zniszczonego sprzętu: ze starych traktorów, z zardzewiałych zwiniętych łańcuchów, plastikowych koszy i kontenerów na śmieci. Był tam nawet stary dźwig z wyciągniętym ramieniem, jak gdyby chciał nim dotknąć nieba. Jej stopy chlupotały w błocie, które stawało się coraz gęstsze i głębsze, w miarę jak zbliżała się do bagien. Nawet owady były tu większe i głośniejsze. Wiedziała, że wciąż jest na terenie Haven – między drzewami widziała ogrodzenie oraz migotanie późnopołudniowego słońca w jasnozielonych wodach mokradeł i orientowała się, że najbliżsi strażnicy znajdują się jedynie sto–dwieście metrów stąd – ale miała wrażenie, że wkroczyła do innego świata. I że mogłaby tak iść bez końca, coraz głębiej między drzewa, tak by nikt nigdy jej nie znalazł. Sama nie wiedziała, czy ta myśl była bardziej ekscytująca czy przerażająca.

Zauważyła starą motorówkę podpartą na pustakach, zakrytą niebieską brezentową płachtą, wilgotną i zagrzybioną. Idealna kryjówka. Poczowała ulgę. Była taka zmęczona. Przez chwilę, gdy się zatrzymała, wydawało jej się, że słyszy za sobą kroki, ale kiedy się odwróciła, nie było tam nikogo.

Odsunęła kawałek płachty i znieruchomiała. Dno łodzi było zardzewiałe, ale względnie suche – ktoś, jak zauważyła, już urządził sobie w niej kryjówkę. Leżał tam złożony brązowy koc, dokładnie taki, jakich używano w Haven, dwie równo poskładane pary spodni, dwa podkoszulki i dwie pary męskiej bielizny. Były tam też latarka oraz kilka opakowań mleka w proszku, otwieracz z napisem „Własność kuchni Haven” i parę puszek zupy.

Jakaś myśl zaczęła kiełkować w jej głowie – jakaś zależność, jakies

połączenie – ale zanim mogła się na niej skupić, usłyszała za plecami czyjś głos.

– To moje. Nie dotykaj.

Odwróciła się i oddech uwiązł jej w piersi.

Na początku pomyślała, że chłopak jest włóczęgą, który jakoś przedostał się na wyspę. Wyglądał tak dziwnie, tak dziko, że musiał należeć do innego gatunku. Zaraz potem pojawiła się myśl, że na pewno jest głodny. Kości policzkowe sterczały mu ostro, jak gdyby wyciosane nożem. Jego przedramiona były poznaczone małymi ukośnymi bliznami, które wyglądały jak małe schody wykute w jego ciele.

I wtedy zauważyła opaskę z Haven – Biały – i myśl, która wcześniej kielkowała, teraz zakwitła, czysta, jasna i niezaprzeczalna: to numer 72. Uciekinier.

Tyle że on nigdzie nie uciekł, a przynajmniej niezbyt daleko. Przez cały ten czas ukrywał się tutaj, w północnej części wyspy.

– Wiem, kim jesteś – odezwała się. – Jesteś 72.

Nie zaprzeczył.

– Jak mnie znalazłaś? – Zrobił krok w jej stronę i Lira poczuła jego zapach: ostry, zwierzęcy, ale nie do końca nieprzyjemny. – Kto cię przysłał?

– Nikt mnie nie przysłał – odparła. Nie podobało jej się, że stał w tak niewielkiej odległości. Nigdy nie była tak blisko żadnego z osobników męskich i od razu przyszła jej na myśl Pepper oraz anatomiczny przekrój przez ciało ciężarnej kobiety, która wydawała się trawić swoje dziecko. Ale nie mogła się od niego odsunąć. Kadłub łodzi wbijał jej się w plecy. – Wcale cię nie szukałam.

– No to co tu robisz?

Zawahała się. Wciąż trzymała poszewkę z całym swoim dobytkiem i teraz przycisnęła ją do piersi.

– O nic takiego mi nie chodziło – rzekła.

Pokręcił głową.

– Nie mogę cię wypuścić – powiedział. Wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek.

I w tej samej chwili świat eksplodował.

7

Później mieszkańcy Barrel Key prześcigali się w relacjach z tego, jak zobaczyli eksplozję. Kilku rybaków o mało nie wypadło za burtę – ich łodziami wstrząsnęła niespodziewana ogromna fala. Pojawiła się zaraz po wybuchu, wywołana, jak się później okazało, przez ogromny betonowy blok ze skrzydła A, który zniszczył ogrodzenie i wpadł do wody tuż przy brzegu. Panna Gallagher zobaczyła w oddali palec ognia wystrzelony w górę i pomyślała o apokalipsie i końcu czasów. Bill Collops uznał, że to terroryści, i pobiegł do piwnicy, krzycząc do żony, żeby pomogła mu przytaszczyć pudła amunicji.

Pierwsza bomba, zdetonowana w holu tuż obok popiersia Richarda Havena, rozerwała ściany i sufit na kawałki, wskutek czego zawalił się dach. Zabiła dwudziestu siedmiu członków personelu, którzy zginęli pod gruzami. Kobieta, która dostała się na teren instytutu oklejona materiałami wybuchowymi, została rozerwana na strzępy, tak że nie można było jej zidentyfikować nawet z pomocą kartoteki dentystycznej. Udało się ustalić jej tożsamość tylko dlatego, że zostawiła na brzegu plecak z dokumentami wyjaśniającymi motywy jej postępowania, wskazującymi na powiązania z organizacją Anioły Jedynego Zbawiciela, który to plecak znaleźli później żołnierze. Jej blog, z licznymi odwołaniami do strony internetowej o nazwie „Z archiwum Haven”, sugerował, że działała z polecenia Jezusa Chrystusa, który kazał jej zniszczyć Haven – gdzie dopuszczano się sprzecznych z naturą, perwersyjnych czynów – i ukarać grzeszników bawiących się w Boga. Blog zanotował krótki, trzygodzinny przypływ popularności, zanim został w tajemniczych okolicznościach skasowany.

Wybuch dwóch kolejnych bomb spowodował powstanie kuli ognia, która

z hukiem przedarła się przez ściany, osiągając tak wysoką temperaturę, że osmolila metal i roztopila plastikowe tacki obiadowe, zamieniając je w bezkształtną masę. Skutki wybuchu nie byłyby aż tak fatalne, gdyby nie spore opakowanie azotynu izoamylu, które ktoś z personelu odebrał i pozostawił w holu, bo nie wiedział, dokąd je dalej skierować.

Później pojawiły się plotki: Że kobieta wierzyła, jakoby Haven Institute „produkowało ludzi”, by ich potem wykorzystać w jakiejś diabelskiej armii, i że zarówno stworzenia, jak i ich twórcy powinni być ukarani ogniem. Że w swoim plecaku miała wszystkie siedemdziesiąt sześć stron „Z archiwum Haven” – wydrukowane, popodkreślane, opatrzone komentarzami i zalaminowane – obok egzemplarza Biblii, małego obrazka Jezusa na krzyżu i nadgryzionej kanapki z szynką i serem. Że coś musiało być na rzeczy, ponieważ sprawą zajęło się wojsko i mężczyźni w kombinezonach ochronnych, którzy przez następne tygodnie przeczesywali wyspę, usuwając gruzy – po ich odejściu Spruce Island została zrównana z ziemią i pogrążona w ciszy. I dlaczego ta historia nie przedostała się do telewizji ani do żadnej z głównych gazet?

– To spisek – stwierdził Bill Collops, polerując swoją broń.

– Co za świat – westchnęła panna Gallagher i pokręciła głową.

Oficjalna wersja – która pojawiła się w mediach – głosiła, że nowy technik laboratoryjny nieostrożnie obszedł się z chemikaliami, co wywołało ogromny pożar całego laboratorium. Ale nawet te plotki szybko ucichły i Spruce Island – oraz to, co się tam wydarzyło albo nie – odeszła w zapomnienie.

Oczywiście Lira w tamtym czasie nie mogła wiedzieć o żadnej z tych rzeczy. W tamtym czasie myślała, że niebo się rozstąpiło. W tamtym czasie myślała, że świat się kończy.

8

Siła pierwszego wybuchu zwała ją z nóg. Upadła twarzą do ziemi, a 72 obok niej. Oczy ją zapiekły od opadającego pyłu, który zdawał się unosić wszędzie jak delikatna mgiełka. Słysząc było krzyki. Alarm był przeraźliwie, ciągle i ciągle, bez końca.

Ten dźwięk ją paraliżował: jego fala uderzeniowa, krzyk dzwoniący jej w uszach i z tyłu zębów, jakby atom rozszczepiał się na pół. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że 72 zniknął. Zdażył się podnieść i uciekał.

Po kilku metrach jednak zatrzymał się, odwrócił, zobaczył, że Lira wciąż leży w błocie, nieruchomo jak salamandra, i wrócił po nią. Próbował przekrzyczeć huk ognia i wrzaski.

– Rusz się! – ryknął, ale przez to dzwonienie w jej uszach nawet jego słowa brzmiały odległe, jak niewyraźna muzyka.

Nie mogła się ruszyć. Czowała zimno i ogromne zmęczenie. Chciało jej się spać. Nawet jej usta nie były w stanie powiedzieć „nie”.

– No rusz się, już!

Nie była zbyt dobra w nazywaniu czyichś emocji, ale stwierdziła, że chyba jest zły.

Koncentrowała uwagę na bardzo drobnych szczegółach, takich jak krab pomykający po spienionym błocie, syk wiatru między drzewami, który niósł ze sobą swąd dymu, bosa męskie stopy o centymetr od jej ręki, brud za paznokciami.

Wtedy 72 chwycił ją za łokieć i ten gwałtowny ruch przywrócił jej świadomość ciała. Poczwała, jak jej serce pompuje krew, jak zastawki otwierają się

i zamykają.

– No już – powtórzył 72. – No już, już.

Zastanawiała się, czy jego umysł zafiksował się na tym słowie, czy też tak jak w przypadku Lilac Springs, Gęsiego Puchu i tylu innych jego mózg nigdy się w pełni nie ukształtował. Porwała poszewkę z ziemi. Była pokryta pyłem i miała teraz matowy, szary kolor. Puszka leżała w błocie, ale Lira nie miała czasu, by po nią sięgnąć. Chłopak wciąż trzymał ją za łokieć, a ona nie myślała jasno.

Seria głuchych trzasków sprawiła, że serce jej podskoczyło, ponieważ wiedziała, co to jest – czasami znudzeni strażnicy strzelali do aligatorów, które podpływały zbyt blisko wyspy. Zastanawiała się, czy są tu aligatory, czy może zginęły w płomieniach. A może ich legowiska dały im wystarczające schronienie?

Pokonali z powrotem trasę między zepsutymi maszynami, kierując się nie w stronę mokradeł, ale huczącego ognia i krzyków. Lira poczuła popiół w gardle, oddychanie sprawiało jej ból. Nie zdziwiło jej, że idą w stronę pożaru – widziała migoczącą mgiełkę dymu w oddali za drzewami, dymu, który zdawał się przyjąć kształt budynku – ponieważ wiedziała, że muszą znaleźć jakąś pielęgniarkę, że muszą stanąć w szeregu, muszą się dowiedzieć, co dalej robić. Siostry im powiedzą. Dzięki nim wszystko się ułoży. W tej chwili tęskniła do Ściskacza i Termomierza, pragnęła poczuć znajomy ucisk na ramieniu i smak plastiku, pragnęła z powrotem znaleźć się w łóżku numer 24, dotknąć jego ramy, swojego parapetu, pościeli. Minęli beczki z chemikaliami i ogrodzenie w tym samym miejscu, gdzie przedtem przechodziła Lira. Jedną ręką przyciskała poszewkę do piersi i dzięki temu poczuła się nieco lepiej, a w jej głowie się przejaśniało.

Ale kiedy zobaczyła instytut, stanęła jak wryta. Przez chwilę miała wrażenie, jakby kula przeszła przez nią i zrobiła jej dziurę w brzuchu. Nie czuła nóg. Nie docierało do niej, co tak naprawdę widzi. Było tak, jakby ktoś rozbił

rzeczywistość na kawałki, a potem starał się ją skleić bez ładu i składu. Skrzydło A zniknęło, skrzydło B stało w ogniu. Płomienie przebijały się przez okna i przedzierały z rykiem przez smolisty dach. Strażnicy biegli dziedzińcem i coś krzyczeli, ale nie dało się ich zrozumieć.

Na trawie leżały porozrzucane ciała, ludzkie ciała, które wciąż miały na sobie pielęgniarские płaskie buty i lekarskie fartuchy poplamione krwią, z rękami rozrzuconymi na boki. Ludzi od replik dało się odróżnić z odległości jedynie po ubraniach.

Jedno ciało ktoś chyba zawlókł na plażę – widzieli stąd fale rozbijające się o parę nóg – albo po prostu ktoś tam był, kiedy nastąpiła eksplozja. Lira pomyślała o Kasjopei i jej kolekcji muszelek i chociaż stale widziała umierające repliki, poczuła, jak zbiera się jej na wymioty. „Ośrodek wymiotny jest zlokalizowany w tylnej części mózgu”, usłyszała raz od jednej z pielęgniarek. Nie pamiętała już kiedy.

72 zmierzał teraz nie w stronę bezpieczeństwa, nie w stronę pielęgniarek, lekarzy i spokojnych Szklanych Oczu, dobrych i czujnych Szklanych Oczu, ale ku jednej z wież strażniczych. Widziała, jak ludzie wylewali się z innych skrzydeł, widziała pielęgniarki i lekarzy oszołomionych i we łzach, tak pokrytych sadzą, że wyglądali jak wykuci z kamienia. Po raz pierwszy do Liry dotarło, że oni też się boją. Że nic z tego nie było zaplanowane. Że nikt do nich nie przyjdzie, by powiedzieć im, co mają robić.

Potknęła się o coś – była to długa biała ręka, na której nadgarstku widniała zielona plastikowa opaska. Jej palce drgały. Osobnik żeński – wywnioskowała Lira z kształtu dłoni. Leżała pogrzebana pod ciężkim kawałkiem sidingu, który pierwszy wybuch wyrzucił na drugą stronę dziedzińca. Lira zobaczyła, że palce zwijają się w pięść – ta replika, kimkolwiek była, wciąż żyła.

– Zaczekaj! – Zostawiła 72 i przykucnęła, by uwolnić dziewczynę. – Pomóż mi – rzuciła, ponieważ 72 tylko stał i gapił się w przestrzeń, najwyraźniej czymś

przejęty.

Zmarszczył brwi, ale przykucnął obok i razem udało im się przesunąć kawał metalu.

Pod nim leżała Kasjopeja z twarzą wykrzywioną bólem. Lewą nogę miała wykręconą w kolanie, a z rany na udzie przesiąkała przez spodnie krew. Ale żyła. Lira przyklękła i dotknęła jej twarzy. Dziewczyna otworzyła oczy.

– Lira – jęknęła, albo Lirze tak się tylko wydawało. Głos Kasjopei był tak słaby, że Lira ledwie ją słyszała.

– Zostaw ją – warknął 72.

– Ona potrzebuje lekarza. – Lira włożyła rękę pod plecy Kasjopei i pomogła jej usiąść. Gdy cofnęła dłoń, ta była mokra i ciemna od krwi. Zatem nie tylko w nogę była ranna.

– Już nie ma lekarzy. Nie ma Haven. Już po wszystkim – oznajmił 72.

Lira poczuła napływ paniki, jak gdyby jej płuca powoli wypełniały się wodą, jak w snach, kiedy była zanurzona w oceanie i nie mogła się wydostać na powierzchnię.

Nie było świata bez Haven. To Haven było całym światem.

A teraz ten świat płonął. Płomienie objęły skrzydło C, fale gorąca dosięgały ich aż tutaj. Strażnicy wciąż krzyczeli, lekarze czołgali się po ziemi. Widziała też repliki klęczące w rzędzie, z rękami za głową, na muszce uzbrojonych strażników – i nic z tego nie rozumiała.

Pomogła Kasjopei się podnieść. Dziewczyna pociła się i roztaczała nieprzyjemny zapach. Mocno oparta na Lirze próbowała iść, podskakując na zdrowej nodze. Lira pomyślała, że to dziwne być tak fizycznie blisko kogoś. Ona i Kasjopeja nigdy się nie dotykały, chyba że przez przypadek, kiedy myły się przy tej samej umywalce, i nawet gdy bawiły się z nowym miotem, dotykały go i łaskotały, robiły to, bo im kazano. Kiedyś siostra Em objęła ją ręką – Lira sama nie pamiętała czemu – i potem przez następne kilka dni dotykała własnego

ramienia, starając się wywołać to samo mrowienie. Nawet doktor O'Donnell nigdy nie posunęła się do niczego więcej niż dotknięcie jej czoła, gdy Lira miała gorączkę. To było jak ze Ściskaczem, ale mocniej, intensywniej. Chciało jej się płakać.

Wieża strażnicza okazała się wyludniona, stanowisko opuszczone. Odór gnijących ryb i wodorostów był nie do zniesienia, jak gdyby dym go wyostrzył. Lira wreszcie zobaczyła, dokąd zmierzają: niemal tuż pod wieżą znajdował się uszkodzony fragment ogrodzenia, wyrwany z ziemi przez wiatr albo przez jedną z dzikich świń, które nocami bląkały się po wyspie.

Widząc, że 72 zamierza przejść pod wyrwą, znowu się zatrzymała. W głowie kręciło się jej od gorąca, hałasu i zwierzęcych wrzasków. Kasjopeja sapała ciężko, Lira czuła przez skórę, jak mocno bije jej serce, czuła krew krążącą w jej delikatnych żyłach. Ale gdzieś tam ziała dziura. Podkoszulek Kasjopei był ciężki i ciepły od krwi.

„Pomocy”, pomyślała, kierując to wezwanie do nikogo i do wszystkich. Wiedziała, że ludzie wierzą w Boga, który im pomaga, ale ten Bóg nienawidził replik i nie obchodziło go, czy żyły, czy umierały, ponieważ ich nie stworzył. To doktor Saperstein je stworzył. To on był ich Bogiem. „Pomocy”. Jedyne, czego pragnęła, to wrócić do skrzydła D, położyć się w chłodnym dormitorium i udawać, że nic się nie stało.

– Jeśli tu zostaniesz, zginiesz – rzekł 72, jak gdyby wiedział, o czym myśli. Ale zostawił ją i wydawał się nie przejmować dłużej jej losem. Ruszył przodem, położył się na plecach i z nogami do przodu prześlizgnął się przez dziurę pod siatką.

Dobiegła ją dziwna woń – słodkawa i ostra, którą знаła z Domu Pogrzebowego, i wiedziała, że to zapach krwi. Odwróciła się i spojrzała na instytut, wciąż podtrzymując Kasjopeję. Dormitoria zniknęły. Tak samo jak szpiczasty dach skrzydła A. W jego miejscu pozostała tylko gęsta chmura dymu

i gniewnie plujący ogień.

Całą wieczność zajęło przecięnięcie Kasjopei na drugą stronę. Oczywiście miała zamknięte i chociaż jej czoło było rozpalone, tak mocno się trzęsała, że Lira ledwie łapała z nią kontakt. Musiała powtarzać jej imię kilka razy, a potem jej numer, zanim tamta odpowiedziała. Co chwila traciła i odzyskiwała przytomność. Wreszcie 72 schylił się, wziął ją pod rękę i brutalnie przeciągnął pod siatką, a jej ranna noga wlokła się za nią wykrzywiona pod dziwnym kątem. Kasjopeja krzyknęła z bólu. Przynajmniej przywróciło jej to świadomość.

– Co się dzieje? – pytała raz po raz, trzęsąc się. – Co się dzieje?

Teraz przyszła kolej na Lire. Ale zanim zaczęła przechodzić, usłyszała za sobą krzyk. Dostrzeżono ją. Jeden ze strażników, z twarzą ukrytą pod hełmem, biegł w jej stronę, a ona przez chwilę stała nieruchomo, zahipnotyzowana widokiem jego broni, wszystkich tych spustów i luf, jej rozmiarami. Do tej pory widziała karabiny jedynie z daleka i nie rozumiała, dlaczego ten akurat był wycelowany w nią, ale przez ułamek sekundy wyobraziła sobie, jak kule z rykiem pokonują dzielącą ich przestrzeń, jak przechodzą przez warstwy jej skóry.

– Stój! – krzyknął. – Nie ruszaj się!

Jednak ona rzuciła się na brzuch, wślizgnęła pod wyrwę w ogrodzeniu i przez chwilę kołysała biodrami, kiedy spodnie zahaczyły o siatkę. Strażnik wciąż nakazywał jej się zatrzymać, ale była już po drugiej stronie, wolna, i znów pomagała Kasjopei się podnieść. Nie wiedziała, czemu tak bardzo się bała, ale się bała. W każdej chwili spodziewała się, że usłyszy świst kul i poczuje, jak jej serce eksploduje, rozdarte pociskiem na pół.

Ale strzały nie nastąpiły, mimo że strażnik wciąż krzyczał i biegł w ich stronę. W tej samej chwili doszło do kolejnego gwałtownego wybuchu (ogień dostał się do magazynu w piwnicy skrzydła B, w którym trzymano stare próbki chemiczne, lekarstwa oraz roztwory oznaczone jako łatwopalne i niebezpieczne), finałowej eksplozji. Pióropusz zielonego ognia wystrzelił piętnaście metrów w górę

i zatrzęsała się ziemia. Kasjopeja poślizgnęła się i wylądowała plecami w błocie. Lira też się zachwiała, ale 72 ją podtrzymał. Przez kilka sekund dzieliły ich zaledwie centymetry, znów czuła jego zapach i mogła dojrzeć ciemne linie wokół jego tęczówek oraz zwięźlenie źrenic, skurczonych do małych punkcików.

Z góry spadł grad granitowych i betonowych odłamków, kilka z nich przeleciało nad ogrodzeniem i runęło niedaleko nich. Strażnik padł na kolana i zakrył głowę. Lira dostrzegła w tym szansę dla nich trojga. Razem z 72 postawili Kasjopeję na nogi i ruszyli w stronę mokradeł. Nie miała pojęcia, co zrobią z ranną dziewczyną. Już zaczynała żałować, że ją zabrała. Ale Kasjopeja była numerem 6. Tak jak Lira należała do generacji numer 3, pierwszego udanego miotu. Znały się od zawsze.

Woda była cieplejsza, niż się spodziewała, i gęsta od mułu. Wysoka do pasa trawa porastała przestrzeń między wałami gęstego błota i małymi jeziorkami pokrytymi warstwą martwych owadów. Wszystko to było dla niej nowe i dziwne – nieznanne słowa i uczucia, doznania pozostawiające w ustach posmak krwi oraz panika, która wyciągała macki, by ją udusić. Kilka lat temu repliki zbudził krzyk: jakiś kilometr od Spruce Island aligator zaatakował mężczyznę i odgryzł mu nogę, zanim strażnicy zdążyli odstraszyć gada strzałami w powietrze. Ofiarę przetransportowano drogą powietrzną do najbliższego szpitala. Pielęgniarki pozwoliły replikom ten jeden raz opuścić łóżka i popatrzeć na lądujący helikopter, który wydawał dźwięk przypominający brzęczenie skrzydeł gigantycznego owada. Białą trawę przygniótł do ziemi sztuczny wiatr. Kiedyś, kiedy była mała, widziała aligatora wygrzewającego się na skalistej plaży na najbardziej wysuniętym na południe krańcu wyspy, ponad metr od ogrodzenia. Zdumiona przyglądała się wtedy jego guzowatej skórze, wydłużonemu pyskowi, ostrym wystającym zębom. Pamiętała, jak dopadł ją wtedy nagły wstyd: Bóg stworzył to zwierzę, tę bestię żądną krwi, i kochał je. Ale jej nie stworzył.

Miała wrażenie, że idą przez niekończący się tunel o ścianach z błota i trawy, i trudno jej było sobie wyobrazić, że 72 wie, dokąd zmierza i dokąd ich prowadzi. Kasjopeja płakała i tylko dym, który wciąż wypełniał Lirze płuca, zamieniał słońce w przyćmiony, rozżarzony węgielek i rozmazywał niebo, powstrzymywał ją od tego, by samej się nie rozplakać. Haven zniknęło. Byli poza jego murami. Znaleźli się na otwartej przestrzeni, w świecie aligatorów i ludzi, którzy ich nienawidzili i nimi gardzili. Zostawiali za sobą bezpieczną rzeczywistość, a Lira nawet nie wiedziała dlaczego. Wiedziała tylko, że strażnik biegł za nią z bronią gotową do wystrzału.

Dlaczego wyciągnął broń? Przecież ich zadaniem jest ochrona replik przed światem zewnętrznym i zapewnienie im bezpieczeństwa.

Dym odegnał komary, choć chmary muszek wciąż krążyły nad wodą i wdzierały się Lirze do nosa, ust, a nawet pod powieki. Z tej odległości huk ognia brzmiał dziwnie melodyjnie, jak szum silnej ulewy. Ale niebo miało przerażający zielonkawy odcień i spadał na nich popiół.

Ramiona drżały jej pod ciężarem Kasjopei. Nawet poszewka wydawała się niemożliwie ciężka. Lira ledwie była w stanie oddychać, tak mocno Kasjopeja wczepiała się jej w szyję. Co chwila traciła przytomność i Lira wyobrażała sobie jej umysł niby sieć rozwidlających się i łączących tuneli, jak mokradła przecinane żyłami wody, ciemniejące, a potem znowu jaśniejące.

– Daleko jeszcze? – spytała. Mówienie sprawiało jej ból.

72 tylko pokręcił głową. Wiedziała, że ludzcy mężczyźni są zdecydowanie silniejsi od kobiet, i zastanawiała się, czy tak samo jest z replikami. 72 wyglądał na silnego – miał mocno zarysowane mięśnie pleców i ramion – mimo że z pewnością niedojadał od swojej ucieczki. Zastanawiała się, skąd wziął jedzenie. I dlaczego tak rozpaczliwie pragnął wydostać się z Haven, czy wiedział coś, czego ona nie wiedziała. A może po prostu był nienormalny – wiele replik zwariowało, tak jak Lilac Springs postradała zmysły w trakcie badań, zapominała

liczb, które powinna pamiętać. No i były Pepper, która przecięła sobie nożem nadgarstki, numer 220, która po prostu przestała jeść, oraz numer 35, która zaczęła wierzyć, że jest szczurem, i potrafiła całymi godzinami czołgać się po ziemi. Może 72 był podobny. Może wierzył, że jest zwierzęciem, które żyje na wolności.

Nie mogła dłużej iść. Kasjopeja była zbyt ciężka. Każdy oddech sprawiał Lirze ból, jakby ktoś szarpał gigantyczny hak wbity w jej pierś. Próbowwała zawołać 72, ale nie miała siły nawet na to. Skierowała się więc z Kasjopeją w stronę szuwarów, przeszły przez błotniste wały rozciągające się w wodzie jak palce, dopóki grunt nie stał się bardziej pewny, tak że mogła usiąść. 72 zawrócił, kiedy zorientował się, że została w tyle.

– Nie jesteśmy tu bezpieczni – oznajmił. Nie brzmiał jak obłąkany.

Zwróciła uwagę, jakie ma ciemne oczy: zdawały się pochłaniać światło, zamiast je odbijać.

– Powinienem cię zostawić – dodał po chwili.

– No to zostaw.

Ale nie zrobił tego. Zaczął się przedzierać przez szuwary i łapał je wpół, kiedy stawiały za duży opór. Trawa była tutaj tak wysoka i gęsta, że przysłaniała niebo.

– Połóż się – nakazał.

Posłuchała go. Kasjopeja już leżała w błocie – usta miała sine, oczy zamknięte i wydzielala zapach chorego zwierzęcia, który unosił się w Domu Pogrzebowym i którego nie mogły zatuszować żadne ilości środków czystości i wybielaczy. Lira dostrzegła błysk czegoś metalowego w plecach dziewczyny, utkwionego gdzieś głęboko. Widać było żywe mięso pulsujące krwią. Odruchowo dotknęła rany, ale gdy Kasjopeja krzyknęła z bólu, cofnęła rękę. Nie wiedziała, co zrobić, żeby zatrzymać krwawienie. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jak się robi cokolwiek tutaj, w tym zewnętrznym świecie. Nigdy nie

jadła poza stołówką. Nigdy nie zasypiała bez polecenia pielęgniarki, by wyłączyć światło. Nie ma tu szans na przeżycie – dlaczego w ogóle poszła za tą męską repliką? Ale ktoś po nią przyjdzie. Ktoś musi. Jakiś lekarz ją znajdzie i znowu będzie bezpieczna. To wszystko była pomyłka, straszliwa pomyłka.

Mocno zacisnęła powieki – zobaczyła pod nimi małe eksplozje i płomienie unoszące się nad Haven. Z powrotem otworzyła oczy. Kasjopeja jęknęła. Lira dotknęła jej czoła, tak jak kiedyś doktor O'Donnell dotknęła jej. Na myśl o pani doktor poczuła szarpnięcie w piersi. Dla tego uczucia także nie znalazła wyjaśnienia – nie przypominało jej niczego znajomego.

Kasjopeja znowu jęknęła.

– Ciii – powiedziała Lira. – Wszystko będzie dobrze.

– Toto i tak wkrótce umrze – powiedział bezbarwnym głosem 72.

Na szczęście Kasjopeja nie usłyszała tego, a nawet jeśli, była zbyt słaba, żeby zareagować.

– Nie „toto”, tylko „ona” – poprawiła go Lira.

– Niech ci będzie: ona i tak wkrótce umrze.

– Ktoś po nas przyjdzie.

– Wtedy też umrze. Tylko wolniej.

– Przestań – skarciła go, ale on jedynie wzruszył ramionami i się odwrócił.

Przybliżyła się do Kasjopei. – Chcesz usłyszeć bajkę? – wyszeptała.

Kasjopeja nie odpowiedziała, ale Lira i tak mówiła dalej:

– Dawno, dawno temu była sobie mała dziewczynka o imieniu Matylda. Matylda była bardzo mądra. Mądrzejsza niż jej rodzice, którzy byli okropni.

Matylda była jedną z pierwszych długich książek, które przeczytała jej doktor O'Donnell. Zamknęła oczy i się skoncentrowała. Znowu zobaczyła ogień, ale wyobraźnia nadała dymowi kształt różnych liter, słów płynących po niebie. Niezwykłe. W oddali usłyszała warkot silnika i huk młóconego powietrza –

helikoptery.

– Jej tata sprzedawał używane samochody. Często oszukiwał ludzi. A jej mama cały czas oglądała telewizję. – „Bezpieczna”, pomyślała, wyobrażając sobie to słowo przyczepione do chmur. – Matylda lubiła czytać.

– Co to jest? – zapytał 72 ściszym głosem, jak gdyby się bał, że ktoś obcy mógłby go usłyszeć. Ale znowu pobrzmiwał w nim gniew.

– To jest bajka – odparła.

– Ale... – Pokręcił głową. Widziała piasek przylepiony do jego dolnej wargi i pył na policzkach. – Co to dokładnie jest?

– Jest taka książka pod tytułem *Matylda*. – A potem, choć nigdy przedtem nikomu tego nie zdradziła, dodała: – Czytała mi ją jedna z lekarek.

72 znowu zmarszczył brwi.

– Kłamiesz – powiedział, ale z wahaniem, jakby wcale nie był tego pewien.

– Nie kłamię.

Uznała, że 72 jest okropnie brzydki. Miał za wysokie czoło i zbyt gęste brwi. Wyglądały jak dwie ciemne gąsienice. Z kolei usta wyglądały jak u osobników żeńskich.

– Mam tutaj inną książkę. Dała mi ją pani O'Donnell... – Nagle oddech uwiązł jej w piersi. Sięgnęła do poszewki. Nic tam nie było, nic oprócz teczek z administracji i długopisu. Książka zniknęła.

– Nie wierzę ci – stwierdził 72. – Nie umiesz czytać. A lekarze nigdy... – urwał nagle i spojrzał w niebo.

– Mam gdzieś, czy mi wierzysz czy nie – rzuciła. Książka zniknęła. Nagle zrobiło jej się strasznie zimno. Zastanawiała się, czy po nią nie wrócić. – Miałam ją tutaj, była tu...

– Cicho – powiedział, podnosząc dłoń.

– Muszę mieć tę książkę. – Chciało jej się wyć. – Doktor O'Donnell dała mi

ją, żebym mogła ćwiczyć...

W tej samej chwili położył rękę na jej ustach i przyciągnął do siebie. Zaczęła wierzcąc nogami i próbowała krzyczeć. Czuła jego ciepły oddech na swoim uchu.

– Proszę – wyszeptał.

To ją uspokoiło. Nikt nigdy nie mówił „proszę” do replik.

– Bądź cicho.

Nawet gdy już przestała stawiać opór, wciąż trzymał ją przy sobie i oddychał ciężko przy jej uchu. Czuła przez plecy bicie jego serca. Jego ręka miała błotnisto-słony posmak. Pot zbierał się między ich ciałami. Słysząc było brzęczenie owadów.

Poszatowane powietrze pulsowało teraz rytmicznie niczym bijące serce. Zbliżały się helikoptery. Huk stawał się tak głośny, że chciała zatkać uszy. Teraz po mokradłach przeszedł wiatr, położył płasko trawę i wzbil błoto, które ochlapywało jej nogi i twarz, i kiedy ryk osiągnął nieznośne apogeum, wydawało jej się, że 72 coś krzyknął. Nachylił się w jej stronę i całym ciałem osłonił ją przed hałasem i wiatrem. A potem rozluźnił uścisk i Lira zobaczyła kilkanaście helikopterów przelatujących nad mokradłami w stronę tego, co zostało z Haven. W środku przez otwarte drzwi widać było mężczyzn w hełmach, ubranych w brązowo-szare mundury. Żołnierze. Wszyscy byli uzbrojeni.

Cała trójka leżała w ciszy. Kilka śmigłowców zawracało. Lira zastanawiała się, czy odwozili rannych, tak jak to było w przypadku mężczyzny, któremu aligator odgryzł nogę i który krzyczał w ciemności, podczas gdy strażnicy rozświetlali wodę wystrzałami. Za każdym razem gdy jakiś helikopter przelatywał nad ich głowami, miała ochotę się ujawnić, podnieść rękę albo stanąć ponad wysoką trawę i karłowatymi drzewami i zamachać. Ale nie zrobiła tego, jak gdyby jakaś ogromna niewidzialna ręka przygwaździła ją i unieruchamiała w tej samej pozycji. To z powodu tego hałasu, od którego aż bolały ją zęby. To

z powodu wspomnienia strażnika z wyciągniętą bronią, który kazał jej się zatrzymać. To z powodu 72, który leżał obok niej.

W chwilach względnej ciszy dochodziły ich krzyki i ryk ognia szalejącego na wyspie. Głosy zawieszane w popielistej mgle niosły się z nią jak jakiś nieprzyjemny zapach. Po pewnym czasie Lira uznała, że pożar ustał, ponieważ krzyki ucichły. W tym samym czasie dotarło do niej, że niewiele widać. Niebo, które przez długie godziny było trójwymiarową szarością ołówkowego grafitu, pociemniało. Słońce zachodziło, a wiatr, kiedy budził się z sykiem, przynosił nieprzyjemny chłód. Potem zaczął padać deszcz i jak co wieczór przyszła burza, krótka i gwałtowna. Gdy minęła, słońce zdążyło już zejść.

Kasjopeja leżała nieruchomo. Lira bała się jej dotknąć, by się nie okazało, że nie żyje, ale kiedy wreszcie się odważyła, wyczuła puls. Co jakiś czas niebo rozjaśniały helikoptery przelatujące w jedną i drugą stronę, a po wodzie niósł się krzyk. Lira pomyślała o swoim małym czystym łóżku pod trzecim oknem w dormitorium i znowu musiała stłumić łzy. Nigdy nie wyobrażała sobie, że może być tak zmarznięta, przerażona i zmęczona. W którymś momencie musiała jednak przysnąć, ponieważ obudziła się z koszmaru o potworach z długimi metalowymi pyskami i poczuła, że 72 znowu zatkał jej usta ręką i przylgnął do niej, by szepnąć jej do ucha:

– Przeszukują mokradła. Bądź cicho. Nie ruszaj się. Staraj się nie oddychać.

Jej serce nie zdążyło się jeszcze uspokoić po koszmarze. Było tak ciemno, że ledwie widziała leżącą w pobliżu Kasjopeję. Ale po chwili ujrzała światła przebijające przez wysoką trawę jak małe słońca, wschodzące i zachodzące. Słyszała też głosy – nie przerażone krzyki zlewające się w jeden, jak wcześniej, ale pojedyncze słowa.

– Tutaj! To krew, chłopaki.

– Chryste. Jak ślad po ślimaku.

– Zabrałeś ze sobą sól...?

Bała się. Ale dlaczego? Nie wiedziała. Nie była w stanie jasno myśleć. Przecież strażnicy byli po jej stronie. Trzymali innych z daleka i zapewniali replikom bezpieczeństwo. Jednak strach wciąż ścisnął ją za gardło. Teraz miała okazję, żeby zmienić zdanie i krzyknąć, by ktoś ją uratował. Poczowała, jak 72 poruszył się obok niej, i pozostała cicho.

– Tu coś jest! – krzyknął jeden z mężczyzn.

Światła znowu błysnęły i zaczęły się ślizgać nad ciemną wodą. Pozostali żołnierze podeszli do niego. Tak bardzo chciała popatrzeć, ale gdy tylko zaczęła się podnosić na łokciu, 72 przyciągnął ją do ziemi.

– Leż spokojnie – rzucił szeptem.

Usłyszała śmiech żołnierzy, a wiatr przyniósł kolejne słowa.

– Czy zabrałem...?

– Nie ma po co... nie żyje...

– Nie zostało... żadnych ciał...

– Wygląda normalnie, co nie?

Lirę wypełniło przenikliwe, wszechogarniające zimno. „Wygląda normalnie, co nie?”. Wiedziała, że znaleźli inną replikę – martwą – i zastanawiała się, jak sama wyglądałaby w ich oczach, gdyby ich latarki ją napotkały: jak jakiś mechanizm, jak maszyna albo jak lalka z ruchomymi częściami. Wyobraziła sobie, że jest niby układanka – raz widziała taką w pokoju pielęgniarek – dobrze wykonana, prawidłowo złożona, ale pełna złączy i spoin widocznych dla wszystkich. Zastanawiała się, czy ludzie mieli jakąś niewidzialną właściwość decydującą o ich istocie, której ona nigdy nie będzie w stanie powielić.

Brodzący w wodzie żołnierze byli coraz bliżej. Teraz już nie potrafiła krzyknąć, nawet gdyby chciała. Miała wrażenie, że płuca jej się skurczyły. Musiała zacisnąć zęby, żeby nie szczękały.

– Tu też jest krew, widzicie?

Serce Liry przestało bić. Mężczyźni stali po drugiej stronie wału, światło

latarek przeświecało przez trawę. Zastanawiała się, czy są dobrze ukryci, czy tamci mogą ich dojrzeć.

– Uważaj na aligatory. Te mokradła aż się od nich roją.

– Może powinniśmy rzucić im Johnsona na pożarcie.

I znowu śmiechy. Lira zacisnęła powieki. „Idźcie dalej”, powiedziała w myślach, wciąż niepewna, czy to właściwe. Wiedziała jedynie to, że nie chce, by ją dostrzegli. Nie mogli jej zobaczyć. „No, idźcie”.

Wtedy rozległo się okropne rżenie, ciężkie bulgotanie, jakby woda próbowała się przedrzeć przez zatłoczony odpływ. Na początku Lira nie mogła stwierdzić, skąd dochodzi ten dźwięk. I wtedy dotarło do niej, że to Kasjopeja próbuje mówić.

– Pomocy – westchnęła niewyraźnie z powodu płynu w płucach.

– Nie, Kasjopeja – szepnęła Lira, zdjęta paniką. Ale zrozumiała, że jest już za późno.

Żołnierze umilkli.

Kasjopeja jęknęła nieco głośniej.

– Pomocy.

– Tutaj. – Jeden z mężczyzn zaczął się przedzierać przez drzewa w ich stronę i mokradła znowu ożyły światłami i krzykami. – Ktoś tu jest.

– Zostaw ją. Zostaw ją – szeptał przerażony 72.

Tym razem Lira nie protestowała. 72 zaczął się czołgać w stronę gęstych zarośli, a ona za nim, tak szybko, jak mogła. Czuła, jak ziemia się trzęsie pod butami żołnierzy. Gdy wdzierała się głębiej w chaszczę, sosnowe igły chłostały jej skórę. Była zbyt przerażona, by się odwrócić, i niemal pewna, że tamci ich usłyszą, ale żołnierze zachowywali się głośno, nawoływali się szczekliwym slangiem, którego nie rozumiała.

Wtedy drzewa się rozstały i przed nimi odsłoniło się błotniste bajoro. 72

wślizgnął się do wody pierwszy, a Lira obok niego, w tej samej chwili, gdy promień światła omiótł wał, na którym przed chwilą stała. Zsunęła się do wody aż po podbródek, z cichym jękiem, pewna, że musieli ją słyszeć, a potem zanurzyła się po oczy. Promień światła dalej przeszukiwał teren jak pies gończy. Trzydzieści centymetrów od niej, dwadzieścia...

– Tu jest jakiś ślad! – wykrzyknął jeden z mężczyzn, który przedarł się przez zarośla i butem odsunął gałęzie oświetlone przez jego latarkę.

Lira zrozumiała, że już po nich.

– Wygląda tak, jakby coś się tędy przeczło.

Światło zbliżyło się jeszcze odrobinę i dotknęło wody tak blisko jej nosa, że się cofnęła...

– Jest!

Światło zastygło w miejscu. Jeśli byłby to pies gończy, znajdowałby się na tyle blisko, żeby dotknąć ją pyskiem. Wtedy żołnierz na wale odwrócił się i dołączył do reszty.

– Martwe czy żywe?

– A niech to cholera, żywe.

– Nie wygląda na to.

Ilu ich było? Trzech? Czterech? Ciężko było stwierdzić. A na całych mokradłach ilu, wyposażonych w latarki, wojskowe buty i karabiny?

Kasjopeja znowu jęknęła, tym razem słabiej.

– Pomóżcie mi.

– O Jezu Chryste. Ile tu krwi. Toto dostało chyba kulkę w plecy.

– Albo w pierś. Nie przetrwa drogi do bazy.

– Żartujesz sobie? Wiesz, ile kosztuje ich produkcja? Równie dobrze mógłbyś wyrzucić w błoto sto patyków.

Pod wodą coś śliskiego i ciężkiego musnęło rękę Liry. Stłumiła krzyk.

Zastanawiała się, czy aby nie krążą teraz wokół nich aligatory albo jadowite węże z gładką czarną skórą. Wysoko na idealnie czystym niebie migotały zimne gwiazdy.

– No dobra. Niech ci będzie. To co, na trzy?

– Żartujesz chyba. Ono krwawi. Właśnie tak się to roznosi.

– Najpierw musiałbyś je zjeść, idioto. A co? Jesteś głodny?

I znowu śmiech. Na pewno było ich trzech. Co najmniej trzech. Lira po raz pierwszy w życiu poczuła, jak coś czarnego, głębokiego i nienawistnego zalega się w jej brzuchu. Nienawidziła ich. Nienawidziła za to, że się śmiali i że bali się dotknąć Kasjopei. Nie mogła znieść ich beztroskiej paplaniny. Nie mogła znieść tego, że wyglądała jak człowiek, a mimo to nie była człowiekiem, a oni to widzieli.

Ale tak szybko, jak przyszła, nienawiść minęła. Lira była zmarznięta, zmęczona i przerażona. Nie miała siły na gniew.

Wreszcie żołnierze postanowili odejść i zostawić Kasjopeję na mokradłach.

– I tak już nie żyje – stwierdził jeden z nich. – O, widzicie? Niech służby porządkowe zajmą się tym jutro.

Rozległo się kilka głuchych odgłosów buta kopiącego ciało. Lira zanurzyła się w wodzie jeszcze głębiej, jak gdyby chciała zmyć z uszu ten dźwięk.

Gdyby w wodzie były aligatory, mogłyby jej odgryźć nogę i nawet by nie zauważyła... a może już nie miała stóp, może ból ją otepił... Ta myśl była tak okropna, że aż ją rozbawiła. Możliwe, że właśnie stoi na dwóch kikutach i wykrwawia się jak Kasjopeja.

– Już w porządku. Poszli sobie. – W ciemności rysy twarzy 72 wydawały się bardziej miękkie.

Nagle zdała sobie sprawę, że śmieje się w głos, śmieje się i trzęsie. Mężczyźni odeszli. Mokradła były spokojne i nieruchome, a ciszę zakłócał jedynie kolejny helikopter, który wystartował w oddali i poleciał w stronę Barrel Key. 72

wyczołgał się z wody po śliskim błocie, a Lira za nim.

– A jeśli wrócą? – zapytała, czując zimno w piersi.

Wiedziała, że tak naprawdę nie mogło być zimno. 72 nie wydawał się zmarznięty, a pielęgniarki jeszcze wczoraj skarżyły się na upał nie do zniesienia. To zimno musiało być w środku niej, zakleszczone w jej piersi jak kawałek metalu, który utkwiał Kasjopei w plecach. Chciała tam wrócić i sprawdzić, czy ona naprawdę nie żyje. Ale była wykończona.

– Nie wrócą – odparł 72. – Dokończą przeszukiwanie mokradeł, ale nie wrócą, przynajmniej przez jakiś czas. Połóż się – powiedział. I tak zrobiła.

Była tak zmęczona, że nawet się nie odsunęła, kiedy położył się obok niej. Pogrzyżyła się w półśnie, zanurzyła w jego gęstej mgle, ale kiedy 72 objął ją ramieniem, wzdrygnęła się, na chwilę przywołana do przytomności.

– Ludzkie ciało – rzekł głosem cichym i sennym, nie cofając ręki – jest pełne komórek nerwowych.

– Wiem – odparła uspokojona. – Jest ich dziesięć bilionów.

Po czym znowu zasnęła i śniło jej się dziesięć bilionów komórek nerwowych zapalających się jak gwiazdy na krwawoczerwonym, pulsującym niebie.

9

Obudziła się zgrzana i zlana potem. Nie pamiętała, co jej się śniło. Zapach dymu był coraz słabszy. Do policzka przywarło jej zaschnięte błoto. Pierwszy szok po tym, co się stało, minął. Od razu wiedziała, gdzie się znajduje, chociaż nie zdawała sobie sprawy, co ją obudziło. Ale coś na pewno ją obudziło.

Usiadła, zastanawiając się, która jest godzina. Ciało miała obolałe. Było ciemno, więc musiał to być środek nocy. Obok niej spał 72 z rękami pod głową i otwartymi ustami. W czasie snu wyglądał jak dziecko.

Jeszcze zanim usłyszała kroki, wiedziała, że ktoś jest w pobliżu i że właśnie to ją obudziło – czyjaś obecność. Chwyliła za rękę 72, który ocknął się w tej samej chwili, gdy rozległ się głos jakiejś dziewczyny.

– I co teraz? – powiedziała. – Myślisz, że możemy podejść jeszcze... – urwała i Lira zdała sobie sprawę, że nieświadomie jęknęła.

Zapewne przysłano kolejnych żołnierzy do przeczesywania mokradła. Tyle że dziewczyna wcale nie mówiła jak żołnierz i nie poruszała się jak żołnierz, z tą pewnością siebie, którą daje im posiadanie broni. Ci ludzie – nie miała wątpliwości, że to ludzie, a nie repliki – starali się nie hałasować. Tak jakby oni również nie chcieli, by ktoś ich zauważył.

Kim byli? Czego szukali?

72 bacznie nasłuchiwał. Wydawało się, że ci ludzie – kimkolwiek byli – znajdują się po drugiej stronie poskręcanych drzew, które rosły wszędzie na mokradłach. Siostra Ani-Mi-Się-Waż powiedziała kiedyś, że te drzewa przynoszą nieszczęście. Lira i 72 musieli się stąd oddalić. Gdy przykucnęła, pod jej ciężarem trzasnęła gałązka.

– Nie ruszaj się – szepnął 72. – Nie ruszaj się.

Ale było już za późno. Usłyszała szelest w zaroślach. W ciemności dźwięki mąciły zmysły, a do tego Lira nie miała pojęcia, co się tak właściwie stało i czy zostali znalezieni.

– Kto tam?! – zawołał 72.

Nikt mu nie odpowiedział.

Lira podniosła się i na oślep rzuciła do ucieczki. Ślizgała się w błocie, a własny oddech wydawał jej się chrapliwy i obcy. Nagle ból przeszył jej piętę – musiała na czymś stanąć, w końcu na mokradłach roiło się od kłujących roślin i zębatach stworów żądnych krwi. Przez chwilę widziała tylko gwiazdy wysoko nad sobą, była świadoma ich odległości i zimna, świadoma zanurzenia w ciemną pustkę. Nie miała dokąd iść, dokąd uciec. W świecie poza Haven była nikim, bez przeszłości ani przyszłości.

Po lewej poruszyły się cienie. Coś uderzyło ciężko o ziemię i nieznajoma krzyknęła.

Lira zamarła. Dotarło do niej, że chciała uciekać w zupełnie niewłaściwym kierunku, prosto na obcych, a nie od nich.

– Jezu. Jezu Chryste.

– Ten głos... – odezwała się znowu dziewczyna. – Skąd dobiegał?

– Nie mam pojęcia. Chryste, Gemma. Patrz...

Lira usłyszała kaszel, jak gdyby ktoś próbował powstrzymać wymioty. To – wyraźny objaw skutków ubocznych choroby – uspokoiło ją. Może wcale nie miała racji. Może to też były repliki, którym udało się uciec. Podeszła bliżej, rozsunęła szuwały i w świetle księżyca zobaczyła chłopaka, który trzymał rękę przy ustach, oraz przykucniętą obok, pojękującą dziewczynę.

– Rany boskie, co to? Rany boskie, co to? – powtarzał chłopak.

Księżyc przedarł się przez chmury i oświetlił ich twarze. Lira, zapominając o strachu, wyszła z ukrycia.

– Kasjopeja – odezwała się, ponieważ wciąż była w szoku.

Ale oczywiście dziewczyna nie mogła być Kasjopeją, tak jak nie mogła być żadnym z jej genotypów, od 7 do 10: Kasjopeja nie żyła, a jej genotypy nie miały takich miękkich brązowych włosów, miękkiego wszystkiego, takich ładnych kragłości na twarzy i na ciele. Lira znowu przystanęła, ujrawszy w trawie obok dziewczyny ciało: chude kostki, znajomą opaskę i podkoszulek ciemny od krwi. Kasjopeja. A mimo to kucająca obok niej dziewczyna miała twarz Kasjopei, ten sam mały zaokrąglony nosek i piegi. Była zatem jej genotypem tak jak Kaliope i Gęsi Puch, jak Tide i Charmin, tyle że nieznanym Lirze. Czy wobec tego repliki robiono też w innych miejscach? To jedyna sensowna myśl, jaka przyszła jej do głowy.

Chłopak cofnął się, jak gdyby się bał, że Lira go zaatakuje. Dziewczyna – replika Kasjopei, identyczna, nie licząc dodatkowych kilogramów i włosów sięgających do ramion – gapiła się na Lirę z otwartymi ustami, jak gdyby chciała krzyczeć, ale nie była w stanie.

Wreszcie się odezwała:

– O mój Boże. To chyba... to chyba jedna z nich.

– Kim jesteście? – wydusiła z siebie Lira. – I skąd jesteście?

– A kim ty jesteś? – Chłopak miał miłą, symetryczną twarz, na którą przyjemnie się patrzyło.

– Jestem Lira – odparła, stwierdziła bowiem, że nie ma sensu kłamać. – Jestem numerem 24 – doprecyzowała, ponieważ skądkolwiek pochodzili, też musieli mieć system numeryczny.

Ale oni tylko patrzyli na nią w osłupieniu. Była zdezorientowana. Czuła się tak samo jak wtedy, kiedy zaczęła uczyć się czytać i wpatrywała się w litery, te kanciaste złośliwe znaczki, które ukrywały przed nią swój sens.

– O mój Boże. – Dziewczyna przyłożyła rękę do ust. – Tam jest jeszcze jeden.

Lira odwróciła się i zobaczyła 72 zmierzającego w ich stronę z nożem w ręku. Domyślała się, że wykradł go z kuchni przed ucieczką, więc wątpiła, żeby był ostry, ale nieznajomi o tym nie wiedzieli. Chłopak podniósł ręce. Wyglądał na zdenerwowanego. Przez ułamek sekundy patrzył na nich takim samym podejrzliwym wzrokiem, jakim spoglądały na repliki pielęgniarki, i Lira niemal życzyła mu, żeby 72 go zranił.

– Zaczekaj. – Oblizął dolną wargę. – Nie ruszaj się. Stój.

– Kim jesteście? – 72 stanął obok Liry.

Nie miała pojęcia, o czym myślał. Jego twarz, tak szczera podczas snu, znowu stała się maską, a ona nigdy nie umiała odczytywać czyichś nastrojów i uczuć, bo nigdy jej tego nie nauczono.

– Nikim – odparł tamten.

Powoli pomógł dziewczynie się podnieść. Miała na sobie normalne ubranie. Ludzkie ubranie. Lira była teraz zupełnie zdezorientowana.

– Nie chcemy wam zrobić krzywdy, jasne? Nazywam się Jake Witz. A to jest Gemma. Zgubiliśmy się na mokradłach, i tyle.

Lira miała mętlik w głowie.

– Ale...

Po raz pierwszy spojrzenia jej i dziewczyny się spotkały. Ciężko było na nią patrzeć, kiedy Kasjopeja, biedna Kasjopeja, leżała martwa u ich stóp. Kto zabierze jej ciało? Kto je przygotowuje do spalenia?

– Kto cię zrobił?

– Co? – wyszeptwała dziewczyna.

– Kto cię zrobił? – powtórzyła Lira.

Nigdy nie słyszała o innych ośrodkach podobnych do Haven i poczuła lekkość w sercu, jakby spadł z niego wielki ciężar. Może jednak są takie miejsca, dokąd mogliby teraz pójść, gdzie ktoś się nimi zajmie tak jak w Haven, miejsca

otoczone wysokimi murami, które broniłyby ich przed zewnętrznym światem.

– Nie... nie rozumiem – odparła tamta. Oczy miała szeroko otwarte, tak że Lira widziała, jak odbija się w nich spory kawałek nieba.

– Jesteś repliką – powiedziała Lira niecierpliwie.

Dziewczyna była opóźniona umysłowo, dużo głupsza od Kasjopei. Ale takie przypadki nie należały do rzadkości. Pomyślała o Lilac Springs, która pewnie już nie żyła. I o 101, która nigdy nie nauczyła się, jak trzymać widelec. Zastanawiała się, ile replik zginęło w pożarze.

– Czym? – spytała cichym głosem dziewczyna.

– Repliką – powtórzyła Lira.

Tamta pokręciła głową. Skądkolwiek pochodziła, najwyraźniej nazywano ich tam inaczej. Wyrecytowała więc:

– „Organizmem powstałym w wyniku kopiowania informacji genetycznej od jednego dawcy”.

– Klon – powiedziała dziewczyna, wpatrując się w nią tak intensywnie, że Lira poczuła się jak na badaniu i odwróciła wzrok. – Ona ma na myśli kłona, Jake.

– No tak. Już przedtem o tym pomyślałem – odparł chłopak. Miał taką minę, jakby widok ciała Kasjopei był dla niego obrazą.

Lirę ogarnęła nagła chęć, by zamknąć Kasjopei oczy, i zastanawiała się, skąd się to pragnienie wzięło – może któraś z pielęgniarek mówiła coś o tym, jak ludzie chowają swoich bliskich. W Haven repliki zawsze po prostu palono albo wyrzucano.

– Ale... ale to niemożliwe. – Głos dziewczyny stał się niemal płaczliwy. – To niemożliwe, taka technologia nie istnieje, to nielegalne...

Lira straciła cierpliwość. Nieznajomej albo bardzo dawały się we znaki skutki uboczne, albo była bardzo, bardzo głupia. Nie rozwinęła się.

– To nie jest niemożliwe – odparła. – W Haven mieszkały tysiące replik.

– O Jezu. – Chłopak zamknął oczy. Jego twarz, blada i błyszcząca, przypominała księżyc. – Klony. Teraz to wszystko ma sens...

– Czyś ty oszalał? Nic nie ma sensu. – Dziewczyna odwróciła się, zasłaniając usta ręką, jak gdyby powstrzymywała wymioty. – Tu leży martwa dziewczyna z moją twarzą. Stoimy na jakichś cholemych bagnach w środku nocy, a ci... ci ludzie mówią mi, że tam wszędzie biegają klony, tysiące klonów...

– Gemma, uspokój się, okej? Uspokójmy się wszyscy – powiedział głośno chłopak, choć tylko jego towarzyska była zdenerwowana, a w każdym razie tylko ona to okazywała. – Czy możesz to odłożyć? – zwrócił się do 72, który ciągle trzymał nóż. – Nie zrobimy wam krzywdy.

Nagle Lirę zalała fala nudności. Przykucnęła z głową między kolanami. W jej głowie panowała gorąca i lepka ciemność, wszystko w niej wirowało niczym chmary komarów.

– Co jej jest? – Dotarł do niej głos dziewczyny, ale jakby z oddali.

Nawet jeśli 72 coś odpowiedział, Lira tego nie usłyszała.

– Hej. – Chwilę później dziewczyna była obok niej. – Dobrze się czujesz?

Położyła rękę na jej plecach. Lira odsunęła się gwałtownie. Była przyzwyczajona do tego, że ją dotykano, coś z nią robiono, nawet dostawano się do środka przy użyciu skalpeli i igieł. Ale to było coś innego, osobistego i niemal wstydlivego, tak jak wtedy, gdy została przyłapana przez siostrę Ani-Mi-Się-Waż w łazience, z rękami w wybielaczu, gdy starała się usunąć z bielizny plamy po swoim pierwszym okresie. Nie była w stanie mówić. Bała się, że gdy otworzy usta, zwymiotuje. Dziewczyna podniosła się i odsunęła, a Lira niemal pożałowała swojej reakcji. Ale nie chciała, by dotykali jej obcy, już nie, a przynajmniej nie wtedy, kiedy miała na to jakiś wpływ.

Tyle że – gdy leżąc na ziemi wyczerpana, zapadała w sen, a gwiazdy rozmazywały się w jeden jasny punkt wiodący ją do krainy snu – nie miała nic

przeciwno temu, że 72 objął ją ramieniem, by było im cieplej. Ale była wtedy otumaniona i zmęczona. Potrzebowała ciepła czyjś ciało. Zewnętrzny świat okazał się zbyt duży – miło było czuć się przez coś ograniczonym.

– Może jest głodna – powiedział chłopak.

Nie czuła głodu, ale się nie odezwała. Najgorsze mdłości już minęły. Dziwne, że tym napadom zawsze towarzyszyły zawroty głowy, jak gdyby dostała w czaszkę. Usiadła, zbyt wyczerpana, żeby stać. Ale już się nie bała. Było oczywiste, że nieznajomi nie chcieli zrobić im krzywdy ani nigdzie ich zabrać. Teraz marzyła tylko o tym, żeby tamci ruszyli dalej. Nie rozumiała, kim jest ta dziewczyna, która była repliką, ale o tym nie wiedziała. Nie rozumiała, kim jest ten chłopak ani co ich łączyło.

72 ruszył w jego stronę.

– Macie jedzenie?

Chłopak spojrzał na genotyp Kasjopei, a ona wykonała ręką szybki, niecierpliwy gest. Zdjął plecak i przykucnął, aby go otworzyć. Lira nigdy nie miała okazji obserwować dwóch osobników męskich tak blisko siebie i zauważyła, że ten poruszał się inaczej niż 72. Jego ruchy były powolne, jak gdyby całe ciało go bolało. 72 poruszał się z szybkością, która przywodziła na myśl atak.

– Niestety nie mamy ze sobą zbyt wiele.

72 podszedł do niego ostrożnie. Porwał baton i butelkę wody, szybko się wycofał, po czym rozerwał opakowanie zębami, wypluł je i zaczął jeść. Nie spuszczał z oczu chłopaka – Jake'a – ani na chwilę, najwyraźniej bał się, iż ten może próbować odebrać mu baton. Ale Jake tylko go obserwował.

72 otworzył wodę, wypił połowę butelki i podał ją Lirze, nie odrywając wzroku od nieznajomego chłopaka.

– Napij się – powiedział. – Poczujesz się lepiej.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zaschło jej w gardle, dopóki się nie

napiała. Choć trochę mniej czuła posmak popiołu i spalenizny. Chciała, żeby ten cały Jake i replika Kasjopei sobie poszli, by znowu mogła spać. Jednocześnie bała się, co przyniesie ranek, gdy znajdą się sami na mokradłach, bez jedzenia, bez picia, nie mając dokąd pójść.

– Posłuchaj – zwrócił się chłopak do Liry. Może uznał, że łatwiej będzie rozmawiać z nią. Może nie zapomniał, że 72 ma nóż. – Wiem, że musisz być zmęczona, przeszłaś przez... Nawet nie wiem, przez co przeszłaś...

– Jake... – Replika Kasjopei zakryła ręką oczy.

– Oni mieszkali w Haven, Gemma – przerwał jej. – Mój ojciec za to zginął. Muszę się dowiedzieć.

„Ojciec”. Na to słowo Lirę przebiegł dreszcz wzdłuż kręgosłupa, jak podczas punkcji. Więc nie myliła się co do niego. Był naturalnie urodzony.

– Jake, nie. – Replika Kasjopei, którą chłopak nazwał „Gemma”, przypominała teraz tonem i postawą pielęgniarki.

Jake umilkł.

– Nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć. Ci biedni ludzie przeszli przez Bóg wie co, są głodni, zmarznięci, nie mają dokąd pójść, a ty chcesz ich przesłuchiwać...

– Nie chcę ich przesłuchiwać. Chcę zrozumieć.

Lira znowu się napiała, choć przelękanie sprawiało jej ból.

– Nie ludzie – wtrąciła się. Dziewczyna była dla nich miła, więc pomyślała, że warto ją poprawić.

Gemma odwróciła się do Liry i wbiła w nią spojrzenie.

– Co?

– Nie jesteśmy ludźmi – wyjaśniła. – Powiedziałaś: „Ci biedni ludzie przeszli przez Bóg wie co”. Jesteśmy replikami. To nie Bóg nas zrobił, tylko doktor Saperstein. To on jest naszym bogiem. – Powstrzymała się przed dodaniem, że

Gemma też musiała zostać przez kogoś zrobiona, nawet jeśli o tym nie wiedziała.

Dziewczyna wciąż się na nią gapiła, aż Lira poczuła się niezręcznie i wbiła wzrok w swoje dłonie. Czy znowu powiedziała coś nie tak? Ale przecież powtórzyła tylko to, co jest prawdą, co zawsze jej mówiono.

Wreszcie Gemma znowu się odezwała. Jej ton był teraz dużo delikatniejszy.

– Powinniśmy rozłożyć się na noc tutaj – rzekła. Przez chwilę nawet brzmiała jak doktor O'Donnell. – Wrócimy do Wahlee jutro rano.

– Nigdzie z wami nie idziemy – zaprotestował natychmiast 72.

Lira była zaskoczona, że użył liczby mnogiej. Nigdy z nikim nie czuła się jak „my”. Może tylko pomyliły mu się słowa, tak jak jej często myliły się pierwsza i trzecia osoba.

– Oczywiście – przytaknęła Gemma. – Oczywiście, nie musicie z nami iść. O ile sami tego nie chcecie.

– Dlaczego mielibyśmy chcieć? – zapytał 72. W ciemności wyglądał surowo, jakby był wyrzeźbiony z cienia.

Lira sama już nie wiedziała, czy jest brzydki czy nie. Jego twarz ciągle się zmieniała i za każdym razem gdy światło padało na nią inaczej, wyglądał jak ktoś inny.

Replika Kasjopei odparła szybko:

– Nie możecie zostać tu na zawsze. Nie macie pieniędzy. Nie macie dokumentów. Nawet nie powinniście istnieć. I będą was szukać.

Miała rację. „Nawet nie powinniście istnieć”. Lira wiedziała, że te słowa to prawda, nawet jeśli nie była pewna, co to dokładnie znaczy. Czy nie to było powodem, dla którego zatrudniono strażników i zbudowano ogrodzenie? Żeby zapewnić replikom bezpieczeństwo, osłonę tajemnicy i ochronę? Każdy, kto je znał, pogardzał nimi. Nie powinniście istnieć. Czy nie to ciągle powtarzały pielęgniarzki? Że były potworami i czymś wstrętnym? Wszystkie oprócz siostry Em i doktor O'Donnell. Ale one odeszły.

Każdy w końcu odchodził.

– Macie więcej wody? – zapytała i w ten sposób jakoś się to zadecydowało.

72 odwrócił się do niej z nieodgadnionym wyrazem twarzy, ale była zbyt zmęczona, by przejmować się nim, tym, co myśli i czy podejmują dobrą decyzję.

Żadne z nieznajomych nie chciało spać w pobliżu ciała Kasjopei, więc przedarli się przez gęstwinę powykęcanych drzew i wysokich traw upstrzonych ptasimi odchodami, żeby się od niego oddalić. Lira nie wiedziała czemu. Jej akurat bliskość ciała Kasjopei odpowiadała. Było w niej coś kojącego, mogłaby sobie wyobrazić, że znowu znajduje się w Haven, a nawet że Kasjopeja leży na łóżku obok.

Gemma zasugerowała, żeby spróbowała coli. Lira nigdy czegoś takiego nie piła. W Haven automaty z napojami były przeznaczone tylko dla personelu, chociaż czasem pielęgniarki litowały się nad młodszymi replikami i dawały im monety z maszyn do zabawy albo na wymianę. Na początku uznała, że to strasznie słodkie, za słodkie. Ale po kilku łykach poczuła się lepiej, mdłości zelżały. Ręce przestały jej się tak trząść.

Gemma znalazła w plecaku Jake'a czystą bluzę od dresu i podała ją 72, ale ten odmówił. Wzięła ją więc Lira, chociaż ubranie było na nią o wiele za duże, i włożyła na swój podkoszulek. Było jej teraz ciepło, a do tego dobrze działał na nią dotyk przytulnej bawełny i jej zapach przypominający proszek używany w pralni w Haven, z której prześcieradła wracały sztywne i szeleszczące jak papier. Ta bluza nie była sztywna – była miękka, mięciutka.

Lira zwinęła się w kłębek na ziemi, a 72 usiadł obok niej.

– Nie ufam im – wyszeptał, spoglądając w stronę tamtych dwojga, którzy szykowali się do snu i kłócili, kto ma spać z plecakiem pod głową. – Oni nie są tacy jak my.

– Nie – potwierdziła. Miała wrażenie, że język jej spuchł. Mózg też wydawał się spuchnięty, jak gdyby i on został otulony bawełną. Chciała powiedzieć: „My

nie istniejemy”. Chciała powiedzieć: „Nie mamy wyjścia”. Ale gdy sięgała po słowa, sznur pętający jej myśli pękł i odpłynęła, bez słów, bez myśli, w ciemność.

Wydawało jej się, że dopiero co zasnęła, kiedy obudziło ją jakieś poruszenie. Usiadła i zobaczyła 72 przykucniętego z nożem w dłoni.

Dziewczyna, Gemma, stała nad nimi i przez jedną chwilę, zanim sen zupełnie wypuścił ją z objęć, Lira znów wzięła ją za Kasjopeję i poczuła iskrę uczucia, którego nie potrafiła nazwać.

– Nie bójcie się – powiedziała nieznajoma. – To tylko ja, Gemma, pamiętacie?

72 opuścił rękę, w której trzymał nóż. Pewnie śnił mu się jakiś koszmar. Był blady. Obudzili się bardzo blisko siebie, znów ciało przy ciele. Lira zastanawiała się, czy i tym razem obejmował ją, gdy spali. Żeby im było cieplej. Temperatura ciała spada podczas snu, i to czasami nawet o pół stopnia – to kolejna rzecz, którą gdzieś zasłyszała i zapamiętała.

– Na wyspie wciąż są ludzie – rzekła Gemma. – Pałają to, co zostało z Haven.

– Widziałaś ich? Podeszłaś bliżej? – Ten drugi, Jake, też się obudził. Podniósł się i przejechał ręką po włosach.

Lirę zawsze fascynowały włosy – wszystkim replikom golono głowę co tydzień – więc przez chwilę patrzyła urzeczona, jak opadają.

– Powinnaś była mnie obudzić. To niebezpieczne.

Do Liry ledwie docierało to, co mówił. Ona także stanęła, chociaż nogi miała jak z waty. Niebo się rozjaśniało.

– Co masz na myśli, mówiąc, że pałają to, co zostało z Haven?

– Dokładnie to, co powiedziałam.

Lirę nagle dopadły wspomnienia: zapach Kotła o poranku i promienie słońca na linoleum, ścieżki na dziedzińcu ubrudzone ptasimi odchodami, ostry zapach

wacika na ramieniu, ukłucie igły, głos mruczący, że nic jej nie będzie. Wszyscy jej przyjaciele, Ściskacz i Termomierz, i nawet Szklane Oczy, którym nie można było do końca ufać – wszyscy oni zniknęli. Wspomnienia stały się nagle jak materialne rzeczy, wdzierały się brutalnie do jej świadomości. Małe łóżko z jej numerem przytwierdzonym do metalowej ramy. Prysznic ustawione w rzędzie, pachnąca mydłem para i echo dziesiątek głosów. Dzień prania, dzień wywozu śmieci i żałobny ryk odpływających barek. Nawet rzeczy, których nienawidziła: papierowe kubeczki wypełnione pigułkami i witaminami, pielęgniarki patrzące na repliki z pogardą, albo nawet gorzej – jakby się ich bały.

Mimo to Haven było jej domem. Ona była jego częścią.

– A więc nie możemy tam wrócić?

Nie zdawała sobie sprawy, nie tak do końca, dopóki te słowa nie wyszły z jej ust, że gdzieś tam, głęboko w środku, wierzyła, że to wszystko minie – wybuchy, ogień, żołnierze krzyczący „Stój!” albo mówiący „Wiesz, ile kosztuje ich produkcja?” – że wszystko to da się jakoś wyjaśnić. A potem zagonią ich z powrotem do Haven, 72 również. Lekarze ich zbadają, a pielęgniarki rozdadzą pigułki: białe Ciii-Ciii na ból i nieco większe Usypiacze, po których świat rozpląwał się we mgle. Wszystko znów będzie normalne.

– Nie możemy tam wrócić – potwierdził 72. Nie był wobec niej tak ostry jak dzień wcześniej. Lira zastanawiała się, czy to nie dlatego, że jest mu jej żal. – Już ci to mówiłem. Zabiją nas, jeśli nas znajdą. W taki czy inny sposób, zabiją nas.

Lira się odwróciła. Nie chciała go słuchać. Owszem, strażnicy i żołnierze byli szkoleni, by zabijać. I sama nie lubiła lekarzy ani pielęgniarek, badaczy ani surogatek z ich niezrozumiałą mową. Ale wiedziała, że Haven istniało po to, by ich chronić, że lekarze próbowali obronić ich przed rakiem pleniącym się w ich płucach, wątrobach i mózgach, przed chorobami odwracającymi normalne procesy życiowe i sprawiającymi, że jedzenie wychodziło góra, a nie dołem, albo że płuca tonęły w płynie, który same wytworzyły.

Skutki uboczne. Proces replikacji wciąż nie był doskonały. Gdyby nie lekarze, Lira i 72 zmarliby dawno temu, w dzieciństwie, tak jak wiele innych replik, tak jak cały żółty miot. Pamiętała te wszystkie małe ciała starannie zawinięte w papierowe pokrowce, nie większe niż bochenek chleba. Jakąś setkę wywieziono na barce na środek oceanu, by je tam spalić.

– Musimy się stąd wydostać. Teraz, kiedy jest jasno, pojawią się nowe patrole. Będą szukać tych, którzy przeżyli. – Gemma mówiła cichym głosem, takim samym jak pielęgniarki, gdy czegoś chciały: „Uspokój się, weź głęboki oddech, poczujesz tylko lekkie pieczenie”. – Chodźcie z nami. Zdobędziemy dla was ubrania i ukryjemy was gdzieś, gdzie nikt nie będzie was szukał. A potem pomyślicie, dokąd pójść. Wspólnie pomyślimy.

– Okej – powiedziała Lira, ponieważ 72 właśnie otworzył usta, a ona miała już dość tego, że ktoś mówi za nią, dość tego, że się za nią decyduje.

Nie był lekarzem. Nie miał prawa mówić jej, co ma robić. Chociaż do tej pory podążała za nim i jakoś wciąż żyła.

Poza tym nie sądziła, by Gemma chciała im zrobić krzywdę, choć trudno by jej było uzasadnić to przecucie. Może wzięło się stąd, że Gemma i Kasjopeja były replikami, chociaż wiedziała, że to bez znaczenia – genotypy często miały różne osobowości. Numer 120 próbowała udusić swój własny genotyp w czasie snu, ponieważ chciała być tą prawdziwą. Tą jedyną. Kasjopeja była miłą dla Liry, ale Kaliope miała mordercze instynkty. Raz na oczach Liry zabiła ptaka. A 121 nigdy nie wymówiła ani słowa.

– Okej, pójdziemy z wami – powtórzyła nieco głośniejszym głosem, kiedy 72 odwrócił się do niej. Ulżyło jej, że się z nią nie sprzeczał, poczuła się trochę silniejsza, jakby miała większy wpływ na bieg wydarzeń.

Replika Kasjopei im pomoże. Muszą się dowiedzieć, co się stało z Haven i dlaczego. Wtedy postanowią, co robić dalej.

Jake i Gemma podeszli do łódki zwanej kajakiem. Lira nigdy wcześniej nie

widziała niczego podobnego i niespecjalnie chciała do niej wsiąść, ale nie miała wyjścia. Gemma i Jake mieli iść obok, a na głębszych odcinkach podpływać. Ani 72, ani Lira nie umieli pływać. Aż miała ochotę go zapytać, dlaczego próbował uciec z Haven, jak niby chciał przetrwać. Kiedy była mała, czasami marzyła o ucieczce, marzyła o powrocie do domu motorówką razem z kimś z personelu, chciała, żeby ją ubierano, przytulano, żeby ktoś się o nią troszczył. Ale potem zmadrzała, ukryła tę potrzebę głęboko w środku, odsunęła ją od siebie. Wiedziała, że w przeciwnym razie zwariowałyby, tak jak tyle innych replik, które wybrały śmierć albo próbowały się wymknąć na barkach wywozających śmieci i zatruty się spalinami w maszynowni.

Znowu zaczęła się zastanawiać, czy aby 72 jest zupełnie normalny.

Płynięcie kajakiem przypominało trochę leżenie na wąskim, bardzo chwiejnym szpitalnym łóżku na kółkach. Siedzenie było mokre. Poczowała szarpnięcie w żołądku, gdy 72 popchnął kajak na wodę i sam się do niego wdrapał, odrzucając pomoc Jake'a. Nie mogła uwierzyć, że nie toną. Była świadoma chlupotania wody pod sobą, miała wrażenie, że fale próbują wyrzucić ją z miejsca. Bała się poruszyć, bała się nawet oddychać.

Ale kajak jakimś cudem utrzymywał się na wodzie, a 72 szybko nauczył się wiosłować. Mięśnie na jego ramionach przeżyły się podczas ruchu – Lira nieoczekiwanie stwierdziła, że przyjemnie się jej na niego patrzy. Zaczęła się odprężyć, mimo że poruszali się bardzo powoli, mimo ciągłego ryku motorówek w oddali i wytwarzanych przez nie fal, które uderzały o kajak.

Powinna się bać. Nie znała się zbyt dobrze na uczuciach, ale wiedziała, że Gemma się boi, że Jake się boi, że nawet 72 się boi. Jednak z jakiegoś powodu na krótką chwilę strach ją opuścił. Sunęła ku nowemu życiu. Nigdy nie sądziła, że dowie się, jak to jest płynąć po wodzie, nigdy nie wyobrażała sobie, że istnieje życie poza Haven. Zewnętrzny świat, który widziała przez siatkę, był dla niej niczym opery mydlane oglądane czasami przez pielęgniarki: miłe dla oka, tyle że

nieprawdziwe.

Ale sytuacja wkrótce straciła ekscytujący posmak nowości. Nie mogli się opędzić od owadów. Roiły się nad nimi chmary komarów. Posuwali się w żółwym tempie. Gęste szuwary utrudniały wiosłowanie, tak że musieli je rozgarniać rękami albo wiosłem. Gemma kilka razy straciła grunt pod nogami i o mało nie poszła pod wodę. Lira zastanawiała się, jak długo będą w stanie tak iść i czy dotrą do celu. Zastanawiała się, czy będą musieli zostawić Gemmę, i pomyślała o Kasjopei leżącej w szuwarach, której pewnie teraz słońce wypalało oczy.

Na chwilę ogarnął ją żal, choć sama nie wiedziała, z jakiego powodu. Śmierć była przecież czymś naturalnym. Rozkład również. To była kolejna cecha, która łączyła repliki i ludzi: wszyscy umierali.

Wreszcie Gemma zawołała, żeby się zatrzymali. Lira z ulgą przyjęła możliwość wyjścia na brzeg, zwłaszcza teraz, gdy przedpołudniowe słońce prażyło bezlitośnie.

Ledwie wyciągnęli kajak z wody, kiedy Jake krzyknął:

– Kryć się!

Huk zbliżającego się helikoptera przybrał na sile. Podmuch powietrza był tak mocny, że Lira na chwilę straciła oddech. Przykucnęli pod gęstym skupiskiem namorzynów. Śmigłowiec z rykiem przeleciał nad nimi. Ziemia się zatrzęsała. Szuwary położyły się płasko pod wpływem wiatru wywoływanego przez gigantyczne śmigło. Spoglądając pomiędzy gałęziami, Lira ujrzała żołnierza wychylającego się przez otwarte drzwi i wskazującego coś na horyzoncie. A potem helikopter zniknął.

Zostawili kajak i resztę drogi pokonali pieszo. Grunt był miękki i mokry, a do tego musieli przechodzić przez małe jeziora, gdzie z błota wystawały ostro zakończone małże i kawałki połamanych muszelek. Roślinność zmieniła się, drzewa były tu wyższe i jakby bardziej obce. Lira miała wrażenie, że zanurzają się

w jakiś dziki i egzotyczny teren, więc zdziwił ją radosny okrzyk Gemmy i widok przeredzających się drzew. Odśloniły małą polanę, na której stały zardzewiałe metalowe kosze na śmieci i różne znaki, ale Lira była zbyt zmęczona, by je przeczytać.

– Dzięki Bogu – westchnęła Gemma.

Jake ruszył w stronę zaparkowanego tam brudnego samochodu i wrzucił plecak do środka. Lirę znowu ogarnął strach. Wiedziała, co to samochód – widziała je w telewizji, a poza tym Tłuste Dupsko zawsze skarżyła się na swój, „kupę złomu”, jak go określała – ale wolałaby nim nie jechać. Tym bardziej że – przynajmniej według Tłustego Dupska – ciągle się psuły, wyciekał z nich olej albo w inny sposób sprawiały kłopoty.

Ale i tak nie miała wyboru. Okazało się jednak, że w samochodzie było wygodniej i stabilniej niż w kajaku, chociaż gdy zaczął podskakiwać na drodze, Lira musiała zamknąć oczy, bo zrobiło jej się niedobrze, lecz to tylko pogorszyło sprawę. Samochód był też głośniejszy, niż myślała. Szyby grzechotały, silnik ryczał jak dzikie zwierzę, a radio było tak głośne, że o mało nie pękła jej głowa. Jechali tak szybko, że świat na zewnątrz się rozmywał, więc znowu musiała zamknąć oczy.

Żeby się uspokoić, zaczęła powtarzać w głowie alfabet, a potem liczyć od jednego do stu. Wymieniła też wszystkie konstelacje, jakie знаła, ale to sprawiło jej ból: przypomniała sobie twarz Kasjopei, Niedźwiedzicę, która obsesyjnie gromadziła rzeczy ze stołówki – stare łyżki i papierowe kubki, torebki krakersów i małe paczuszki musztardy – i zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś zobaczy inne repliki.

– Hej. Wszystko w porządku? – spytała Gemma. – Już jest okej... już się zatrzymaliśmy.

Lira otworzyła oczy i zobaczyła, że samochód rzeczywiście stanął. Miejsce, w którym się znajdowali, wyglądało jak ogromny dok przeladunkowy, ale

zamiast łodzi stały tu dziesiątki aut – parking, kolejna rzecz, o której do tej pory tylko słyszała od pielęgniarek. Czy wszystkie te samochody należą do różnych ludzi? W oddali stał budynek trzy razy większy od samego Grobowca. W-A-L-M-A-R-T. Lira z bólem poruszyła zdrętwiałymi palcami. Przez całą drogę nieświadomie trzymała się kurczowo siedzenia.

– Zostańcie tutaj, okej? – odezwała się znowu Gemma. – Nie oddalajcie się stąd. Kupimy wam jedzenie. I ubrania. Wiesz, jaki masz rozmiar butów?

Lira pokręciła głową. W Haven dawano im sandały albo pantofle. Czasami były za duże, a czasami za małe, ale Lira tak często chodziła boso, że nie miało to dla niej znaczenia.

– No dobrze. – Gemma wzięła głęboki oddech. – Jeszcze raz: jak macie na imię?

– Ja jestem Lira. A to jest 72. – Jej uwaga przeniosła się nagle na Jake’a, który wysiadł z samochodu i rozmawiał przez telefon. Zaniepokoiło ją to. Do kogo dzwonił? Co jakiś czas spoglądał na samochód, jak gdyby chciał się upewnić, że Lira i 72 dalej tam są. A jeśli 72 miał rację i tym dwojgu nie można ufać?

– 72? – powtórzyła Gemma. – To nie jest imię.

– To mój numer – oznajmił 72.

– Ja jestem 24 – wyjaśniła Lira. – Ale jedna z lekarek nadała mi imię.

72 wyglądał na zirytowanego, Lira wiedziała jednak, że pewnie po prostu jest zazdrosny, ponieważ nie miał imienia.

– Nieźle – skomentował Jake. – A ja myślałem, że moje imię po ojcu to dramat. Przepraszam – dodał szybko. – Głupi dowcip. Po prostu... Nie oddalajcie się stąd, okej? Wrócimy za dziesięć minut.

Przez chwilę 72 i Lira siedzieli w milczeniu. Lira wpadła na to, jak opuścić szybę, ale żar z zewnątrz nie przyniósł żadnej ulgi. Właśnie to siostra Ani-Mi-Się-Waż nazywała upałem gęstym jak smoła. Lira obserwowała Jake’a i Gemmę,

którzy stawali się coraz mniejsi, aż wreszcie zniknęli w środku budynku z napisem W-A-L-M-A-R-T.

– Nie sędzę, żeby dziewczyna wiedziała, że jest repliką – odezwała się wreszcie.

72 wyglądał przez okno – z dłońmi wciśniętymi pod pachy, przygarbiony, jak gdyby czuł zimno, co raczej nie było możliwe. Odwrócił się do niej.

– Co?

– Ta dziewczyna jest repliką. Ale wydaje mi się, że o tym nie wie. – Ta myśl nabierała teraz kształtów i zaczynała nieśmiało sugerować, że poza Haven mogło istnieć dla nich życie. Jednocześnie Lira bała się powiedzieć o tym głośno z obawy, że mogłoby to zabrzmieć głupio, i z lęku przed tym, co powie 72. – A to oznacza... że może pochodzi z miejsca, gdzie bycie repliką nie ma znaczenia. Gdzie repliki mają rodziny i jeżdżą samochodami, i takie tam...

Lira widziała swoje odbicie w oczach 72. Miały kolor syropu klonowego, który podawano w Kotle przy wyjątkowych okazjach, takich jak święta Bożego Narodzenia albo rocznica śmierci pierwszego Boga.

– A więc tego właśnie chcesz? – odezwał się wreszcie. – Mieć rodzinę?

– Nie wiem. – Lira odwróciła się, zawstydzona intensywnością jego spojrzenia.

Za bardzo przypominało jej to pobyt w Grobowcu, gdzie ją badano, sprawdzano oczy i kolana pod kątem odruchów. Gdy próbowała sobie wyobrazić matkę, na myśl przychodziły jej pielęgniarki i personel Haven. Matka to ktoś, kto karmił, ubierał i pilnował, żeby wzięło się lekarstwa. Ale teraz, nieproszony, pojawił się przed nią obraz doktor O'Donnell. Wyobraziła sobie siebie samą otuloną w dużym białym łóżku, podczas gdy pani doktor czyta jej na głos. Przypomniała sobie zapach jej dłoni i to, jak palcami muskała jej głowę. „Dobranoc, Liro”. I były też sny, oderwane obrazy, w których surogatka tuliła ją i kołysała, oraz naczynie ozdobione rysunkiem lwów. Kiedy była młodsza,

przeczesała stołówkę w poszukiwaniu czegoś takiego, zanim pogodziła się z myślą, że wszystkie kubki w Haven są bez ozdób, zrobione ze zwykłego plastiku. Wiedziała, że jej sny to tylko sny, nic więcej. Coś w rodzaju myślenia życzeniowego.

Była zbyt zawstydzona, by się przyznać, o czym tak naprawdę myślała – że mogłaby odnaleźć doktor O'Donnell. Że pani doktor mogłaby być jej matką.

– A ty czego chcesz? – zapytała więc 72. – W końcu uciekłeś, nawet jeśli niezbyt daleko.

– Nie dałem rady – odparł. – Nie znalazłem sposobu, by ominąć strażników.

– Musiałeś mieć nadzieję, że zdarzy się coś takiego – powiedziała i nagle błysnęło w niej podejrzenie: czy 72 mógł mieć jakiś związek z katastrofą w Haven? Ale nie. To nie miało sensu. Stał obok niej, gdy rozległ się wybuch. Dotykali się.

72 zmarszczył brwi, jak gdyby wiedział, o czym Lira myśli.

– Na nic nie liczyłem – odparł. – Czekałem tylko na okazję.

– Ale musiałeś mieć jakiś plan. – Nie dawała za wygraną. – Musiałeś mieć jakiś pomysł, gdzie pójdziesz, gdy już wydostaniesz się z wyspy.

– Nie miałem żadnego planu. – Oparł się o siedzenie i zamknął oczy. I znowu wyglądał jak dziecko. Albo nawet nie to. Jakby był pozbawiony ubrania, nagi.

Lira przypomniała sobie, jak kiedyś ona, Wielka Niedźwiedzica i Kasjopeja zakradły się i podglądały z dziedzińca męskie dormitorium. Przez rozchyloną żaluzję widziały niewyraźną kościstą sylwetkę jednego z męskich osobników, bez koszulki. Cofnęły się z jękiem, przerażone, kiedy odwrócił się w ich stronę. Spoglądając na 72, Lira czuła to samo, co wtedy, ekscytację i przerażenie jednocześnie.

Niemal odczuła ulgę, kiedy znowu otworzył oczy.

– Zapytałaś mnie, czego chcę. Powiem ci, czego nie chcę. Nie chcę spędzić

reszty życia w ten sposób, nie chcę, by ktoś mi mówił, co mam robić, co mam jeść, kiedy spać, kiedy korzystać z łazienki. Mam już dość bycia szczurem laboratoryjnym.

– Szczurem laboratoryjnym? To znaczy? – Przez ten upał ciężko jej było myśleć.

Raz czy dwa wysłano ją do skrzydła B w jakiejś sprawie i widziała mlecznobiałe szczury w klatkach, widziała, jak wystawiają łapy przez kratki, oraz ich długie różowe palce, dziwnie podobne do ludzkich. Niektóre z nich cierpiały, poddawane eksperymentom, nabrzmiałe bólem lub pokryte dziesiątkami rakowatych narośli, tak ciężkich, że nie mogły podnieść głowy.

– Obserwowałem – rzekł po prostu. – Przyglądałem się. – Odwrócił twarz do szyby. – Kiedy byłem mały, nie znałem różnicy. Myślałem, że może jestem zwierzęciem. Myślałem, że nie ma innej możliwości.

Lirę znów nawiedziło przykre wspomnienie tego, jak numer 35 chodziła na czworakach i domagała się, by dawano jej jeść z miski postawionej na ziemi. Ale 35 była opóźniona umyślowo. Wszyscy to mówili.

– Nie boisz się, co się stanie, gdy zachorujemy? – zapytała. – Bez lekarstw, bez badań, bez pomocy? Nie nadajemy się do życia na zewnątrz.

Ale gdy to mówiła, znowu pomyślała o doktor O'Donnell. Ona wiedziała, jak są zbudowane repliki. Była lekarzem i pracowała w Haven. Mogłaby im pomóc.

– Ty naprawdę w to wierzysz. – To nie było pytanie. Odwrócił się do niej. – Wierzysz we wszystko, co ci powiedziano.

– Co masz na myśli? – zapytała. Było tak gorąco. Twarz jej płonęła.

Spoglądał na nią jak niektóre pielęgniarki, jak gdyby nie była do końca prawdziwa, jak gdyby dostrzeżenie jej wymagało wysiłku.

Ale zanim odpowiedział, pojawił się Jake i zasiadł za kierownicą.

– Przepraszam – rzucił. – Zapomniałem włączyć klimę. Dotarło do mnie, że

pewnie się tutaj gotujecie. Cholernie dziś gorąco, co nie?

72 wciąż patrzył na Lireę. Ale potem odwrócił się w stronę okna.

– Tak – odpowiedział. To był pierwszy raz, kiedy zwrócił się bezpośrednio do jednego z tamtych inaczej niż w złości, i Lira zauważyła, że Jake się wzdrygnął, jak gdyby nie spodziewał się odpowiedzi. – Gorąco.

10

Lira nigdy nie widziała tylu domów ani nie wyobrażała sobie, że na świecie może być tylu ludzi. Znała fakty – słyszała, jak personel medyczny rozmawiał o problemach przeludnienia, podziale na bogatych i biednych, a pielęgniarki często oglądały telewizję, słuchały radia albo puszczały filmiki na swoich telefonach, kiedy się nudziły. Ale wiedzieć coś to nie to samo, co zobaczyć: dom przy domu, nieraz identyczne, od czego miała wręcz zawroty głowy – było to dziwne wrażenie, jak gdyby posuwała się naprzód i jednocześnie kręciła w koło. Na ulicach samochód za samochodem, przycięta jasnozielona trawa. I wszędzie ludzie. W autach albo na trawnikach przed domem, albo stojący w grupach na rogach ulic z niezrozumiałych dla niej przyczyn, jakby na coś czekali.

Jake zatrzymał się przy jednym z domów i Gemma wysiadła z samochodu. Lira obserwowała przez szybę, jak ze środka wychodzi dziewczyna o ciemnych włosach i pada Gemmie w ramiona. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć, tak samo jak o relacji Jake'a z Gemmą, swobodnym tonie ich rozmów czy o tym, że Gemma była repliką, ale o tym nie wiedziała. Tyle jednak innych rzeczy przyprawiało ją o zawrót głowy, że nie miała siły się tym przejmować.

Przez chwilę Gemma i ta druga dziewczyna rozmawiały przed domem. Lira próbowała odgadnąć, czy czarnowłosa jest repliką czy zwykłym człowiekiem, ale trudno to było stwierdzić. Nosila ludzkie ubrania i miała długie włosy. Dużo gestykulowała. A potem weszła do środka, a Gemma wróciła do samochodu.

– April otworzy bramę – powiedziała do Jake'a. Była zdyszana, chociaż wcale nie przeszła daleko. – Możesz zaparkować obok domku przy basenie.

Jake ruszył i skręcili za domem w lewo. Lira ujrzała oszałamiający widok –

prostokąt wypełniony wodą, nieruchomy jak wanna, który pewnie był basenem. Chociaż nie umiała pływać, miała ochotę się w nim zanurzyć, zmyć z siebie to wszystko, ten cały brud i pot – czuła się tak, jakby nie myła się od kilku dni. Na oddziale postnatalnym znajdowały się wanny i chociaż były za małe, by się w nich położyć, Lira – kiedy nadchodziła jej kolej na łaskotanie, zabawę i utrzymywanie kontaktu fizycznego z nowymi replikami – czasami napełniała je wodą i wchodziła do nich po kostki.

Gdy brama zamknęła się za nimi z głośnym szczękiem, Lira po raz pierwszy od momentu opuszczenia Haven poczuła się bezpieczna. Zamknięta. Kontrolowana. Chroniona.

Obok basenu stała miniaturowa wersja głównego domu. Przesuwne drzwi otwierały się na duży pokój z dywanem, który był ciemny i rozkosznie chłodny. We wnętrzu dominował biały kolor, co Lirze się podobało. Miała wrażenie, że znalazła się z powrotem w Haven. Na rękach poczuła gęsią skórę, jak gdyby ktoś jej dotknął. Tam, gdzie kończył się dywan, znajdowała się mała kuchnia, którą Lira poznała tylko po sprzęcie – wcale nie przypominała kuchni w Kotle, wielkiego błyszczącego miejsca, gdzie ciągle było słycać syk pary z przemysłowych zmywarek. Przez otwarte drzwi zobaczyła duże łóżko, również zasłane białą pościelą, z mnóstwem poduszek – nie miała pojęcia, po co było ich aż tyle. I... zobaczyła je, stojące na półkach przy sofie – książki. Dziesiątki książek, było ich jakieś cztery razy więcej niż w pokoju socjalnym pielęgniarek. Było ich tyle, że w całym tym podeksycytowaniu tytuły zlewały jej się ze sobą i nie mogła żadnego z nich odczytać.

Chciała ich dotknąć. Ich grzbiety wyglądały jak kolorowe cukierki, którymi częstowały się pielęgniarce, jak słodkie pastylki do ssania, które dostawały czasami repliki, kiedy męczył je kaszel. Bała się jednak, że jeśli ich dotknie, rozpadną się na kawałki. Rozważała, ile czasu zajęłoby jej przeczytanie tych wszystkich książek. Pewnie parę miesięcy. A może nawet lat. Może pozwolą im

tu zostać, w tym ładnym, czystym pokoju, gdzie słońce rzucało cienie na dywan i cicho brzęczała ukryta klimatyzacja.

W tamtym sklepie o nazwie W-A-L-M-A-R-T Gemma kupiła im obojgu nowe ubrania – „nic wyszukanego, do tego strzelałam z rozmiarami” – mydło, szampon, szczoteczki do zębów i pastę oraz jedzenie, w tym płatki i mleko, batony, a także zupy w puszcze – obiecała nauczyć ich, jak się je podgrzewa w mikrofalówce – i kilkanaście mrożonych dań. Pokazała im, gdzie jest prysznic – pojedyncza kabina prysznicowa, pierwsza, jaką Lira w życiu widziała – i przeprosiła, że mają tu tylko jedno łóżko.

– Więc wiecie, będziecie musieli spać razem, chyba że jedno z was pójdzie na sofę – oznajmiła.

Lira nagle poczuła się skrępowana. Przypomniała jej się Pepper, jej nienarodzone dziecko i to, jak została znaleziona z podciętymi żyłami... przyjęcia bożonarodzeniowe, na których lekarze się upijali i czasami późno w nocy przychodzili do dormitoriów, chwiali się na nogach i wydzielali ostry zapach gazików nasączonych alkoholem. Właśnie dlatego lepiej było, gdy osobniki męskie i żeńskie trzymały się od siebie z daleka.

– Pewnie jesteście wykończeni, więc zostawimy was na chwilę samych, okej? Tylko nigdzie się nie oddalajcie.

Lira darowała sobie wyjaśnienie, że i tak nie mają dokąd pójść.

– Prześpijcie się trochę – dodała Gemma.

Im dłużej Lira na nią patrzyła, tym mniej przypominała Kasjopeję i jej inne genotypy. Była jedna ciekawa rzecz, jeśli chodziło o genotypy, coś, czego pielęgniarce i lekarze, którzy nigdy nie mogli ich odróżnić, nie rozumieli. Jeśli się dokładnie przyjrzeć, widać było różnice w ich sposobie poruszania się, mówienia i gestykulacji. Z czasem ich osobowość wpływała nawet na wygląd. I oczywiście Gemma była dużo okrąglejsza od Kasjopei, a poza tym miała długie do ramion włosy, które wyglądały na miękkie w dotyku. Gemma była miłsza od Kasjopei.

I bardziej się przejmowała. Ale miały w sobie ten sam upór – to Lira także dostrzegła.

Gdy tylko zostali sami, podeszła do półek z książkami. Czuła na sobie wzrok 72, ale nie obchodziło jej to, nie była w stanie dłużej się powstrzymać. Przebiegła palcem wzdłuż grzbietów: każdy z nich wykonano z innego materiału, niektóre były gładkie, błyszczące i twarde, a inne miękkie albo chropowate jak ziemia. M-A-Ł-E K-O-B-I-E-T-K-I. *Małe kobiety*. Z-Ł-O-T-E W-Y-B-R-Z-E-Ż-E. Na myśl o *Małym Księżciu*, zagubionym gdzieś na mokradłach, wciąż zbierało jej się na płacz. Ale te książki wynagradzały jej to odrobinę.

– Nie kłamałaś – odezwał się 72. Obserwował ją uważnie. – Rzeczywiście umiesz czytać. – W jego ustach zabrzmiało to jak zarzut.

– Mówiłam ci. Doktor O’Donnell mnie nauczyła. – Wciąż przebiegała palcami po tytułach i jednocześnie czytała na głos: – *Stary człowiek i morze*. *Wielki marsz*. *Igrzyska śmierci*.

72 podszedł do niej i stanął obok. Znowu poczuła jego zapach, ziemistą słodycz, od której lekko zakręciło jej się w głowie. Nigdy się nie dowiedziała, który z osobników męskich był z Pepper, chociaż zdaniem Kasjopei był to lekarz – z powodu tego, co się wydarzyło na przyjęciu bożonarodzeniowym, ponieważ Pepper została wtedy wybrana. Ale teraz zastanawiała się, czy to aby nie był 72.

– Czy to trudne? – zapytał.

– Na początku – odparła. Nie miała pojęcia, dlaczego pomyślała o Pepper. Odsunęła się od 72. – Ale jak już się załapie, to nie.

– Myślałem, że tylko ludzie potrafią czytać – wyrzucił z siebie. Kiedy spojrzała na niego, zdziwiona jego tonem, odwrócił się. – Idę się umyć.

Chwilę później usłyszała dudnienie rur prysznic i w łazience zaczęła szumieć woda – znajomy dźwięk, który sprawił, że znowu poczuła się zmęczona i senna. Nie rozumiała 72 ani jego nagłych zmian nastroju. Ale został z nią. Nie zostawił

jej. Może ta złożoność była cechą męskich replik – tego nie wiedziała, nigdy nie pozwolono jej na kontakty z nimi.

Wyjęła teczkę z zabrudzonej poszewki i położyła ją delikatnie na biurku pod oknem. Przebywała teraz w pokoju pełnym książek i mogła im się przyglądać w spokoju – co było tak ekscytujące, że znowu dostała gęsiej skórki. Teczka i kartka w jej środku były ostatnim ogniwem łączącym ją z domem. Rozpoznała starą kartę pacjenta – widziała wystarczająco dużo własnych kart, by rozpoznać aktualną wersję. Ale była zbyt zmęczona, by czytać, więc zostawiła otwartą teczkę i wróciła do półek. Nie starała się już zrozumieć słów, tylko podziwiała wygląd liter, ich kąty, krągłości i pętelki.

– Już skończyłem.

Nie słyszała, jak woda przestała się łać ani jak 72 wychodził z łazienki. Odwróciła się i zamarła. Jego skóra, przedtem umazana krwią, pokryta warstwami mułu oraz zaschniętego błota, stała się czysta i błyszcząca jak kamienie na plaży, a przy tym miała kolor surowego drewna. Jego rzęsy, przedtem szare od popiołu, teraz były długie i czarne. Wokół bioder miał przewiązany ręcznik. Znów oszołomiła ją odmienność męskiego ciała, widok szerokich ramion i płaskiego, umięśnionego brzucha.

– Dziękuję – odparła, łapiąc ubrania, które zostawiła dla niej Gemma.

Idąc do łazienki, starała się ominąć go jak najszerszym łukiem. Zatrzasnęła drzwi, nieco zaskoczona działaniem zamka. W Haven wszystkie drzwi były zamykane na kody, z wyjątkiem łazienek, które w ogóle nie miały zamków.

Rozebrała się i zwinęła brudne ubrania w kącie. Nigdy wcześniej nie brała prysznicza sama. Było to cudowne uczucie: echo rozchodzące się po dużej łazience, przestrzeń, samotność. Czy właśnie tak mieszkali wszyscy ludzie? Jej wydawało się to luksusem. Przez kilka minut kręciła kurkami, zachwycona tym, jak szybko zmieniała się temperatura. W Haven ciągle brakowało ciepłej wody. Mydło, które kupiła im Gemma, było jasnofioletowe i miało zapach bzu – Lira

złapała się na tym, że wyobraża sobie, jak 72, nagi, myje się nim, i poczuła wzbierający w piersi chichot, po którym nadeszła fala zawrotów głowy. Przykucnęła i spuściła głowę, podczas gdy woda spływała jej po ramionach, i siedziała tak, dopóki jej nie przeszło.

Namydliła i spłukała głowę, wyczyściła uszy małym palcem i umyła podeszwy stóp, które stały się tak śliskie, że bała się, że się przewróci. Wreszcie poczuła się czysta. Nawet ręczniki tutaj były lepsze, w Haven stały się cienkie i twarde od prania setki razy. Jej nowe ubrania były miękkie i czyste. Gemma kupiła jej kolorową bawełnianą bieliznę. Lira nigdy nie miała majtek w innym kolorze niż wypłowiały, sprany beż. Gdy spojrzała na siebie w lustrze, stwierdziła, że gdyby nie przycięte krótko włosy, można by ją wziąć za prawdziwą osobę. Przejechała palcem po szramie nad prawą brwią. Całe jej ciało znaczyły blizny od punkcji i pobierania próbek do badań szpiku kostnego, ale kiedy miała na sobie ubranie, większość z nich była zakryta. Z wyjątkiem tej.

Gdy wróciła do sypialni, zastała tam 72 wyciągniętego na łóżku ze wzrokiem wbitym w wentylator na suficie. Był bez koszulki, jedynie w dżinsach kupionych przez Gemmę. Wszystko to kierowało uwagę Liry na jego nagi tors oraz linię umięśnionych piersi i ramion. Nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na to, jak piękne mogą być ciała. Zawsze myślała o nich jako o częściach składowych maszyny obsługujących całość. Oczywiście interesowała się męskimi osobnikami – była ich ciekawa – ale nauczyła się też, że ciekawość prowadzi do rozczarowania i że lepiej nie chcieć, nie patrzeć, nie zastanawiać się. Nagle przeraziło ją, że mogłaby się koło niego położyć, choć nie wiedziała, skąd wziął się ten lęk. Może z powodu tego, co przydarzyło się Pepper. Miała jednak wrażenie, że chodzi o coś więcej.

– Co się dzieje? – 72 podniósł się na łokciach. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Bez powodu.

Uświadomiwszy sobie, że rzeczywiście się na niego gapi, ruszyła w stronę łóżka. Wślizgnęła się pod pościel, która również była delikatniejsza od tej w Haven, i zwinęła się w kłębek, przysuwając kolana do piersi, byle jak najdalej od 72. Mimo to jej serce waliło jak młotem. Czuła, albo wyobrażała sobie, bijące od 72 ciepło. Pachniał teraz innym rodzajem słodczy: szamponem, mydłem i świeżo wyszorowaną skórą. Przez długi czas leżeli w milczeniu, a ona wyobrażała sobie jego ciało rozciągnięte obok, jego rzęsy spoczywające na policzkach, kiedy miał zamknięte powieki, jego wydatne kości policzkowe i ciemne oczy.

Po chwili 72 poruszył się i położył rękę na jej talii. Jego dłoń była gorąca, paląca.

– Lira? – wyszeptał.

Czuła na uchu jego oddech. Potwornie bała się ruszyć, bała się odwrócić i przekonać się, jak blisko się znajduje.

– Tak? – spytała również szeptem.

– Podoba mi się twoje imię. Chciałem je tylko powiedzieć na głos.

Potem łóżko znowu się poruszyło i Lira wiedziała, że odwrócił się, by spać. Wreszcie, po długim czasie, napięcie w jej ciele ustąpiło i ona również zasnęła.

Gdy się obudziła, było ciemno. Przez moment myślała, że znajduje się w Haven. Czuła zapach obiadu gotowanego w Kotle i słyszała rozmowę pielęgniarek chodzących między łózkami. Wtedy otworzyła oczy i wszystko jej się przypomniało. Ktoś zamknął drzwi sypialni, ale do środka wpadała smuga światła z salonu. Jake i Gemma rozmawiali przyciszonymi głosami i coś się gotowało. Zapach jedzenia wycisnął Lirze łzy z oczu. Umierała z głodu, już dawno nie była tak głodna.

Wyszła z łóżka, ostrożnie, by nie obudzić 72. Poczowała rozczarowanie, gdy zobaczyła, że spali dosyć daleko od siebie. W jej śnie znów leżeli wtuleni jedno

w drugie, drżący i spoceni. W jej śnie znów powiedział jej imię, ale tym razem wyszeptał je wprost do jej ust.

W dużym pokoju Jake pochylał się nad laptopem leżącym obok coli na ławie. Posłał Lirze przelotny uśmiech. Zaskoczyło ją to – już od dawna, pewnie od wyjazdu doktor O'Donnell, nikt się do niej nie uśmiechał. Starła się odpowiedzieć tym samym, ale policzki ją bolały i nie chciały jej słuchać. Zresztą było to już bez znaczenia. Spóźniła się. Jake znowu skierował uwagę na komputer.

W tym samym momencie Gemma, która stała przy kuchence, ruszyła w jej stronę z miską w ręce, okrążając stół oddzielający kuchnię od biblioteki – a przynajmniej Lira uznała, że to musi być biblioteka, ponieważ doktor O'Donnell powiedziała jej, że można tam czytać książki za darmo.

– Masz – rzekła. – Chili. Z puszki. Wybacz – dodała w odpowiedzi na spojrzenie Liry – nie umiem gotować.

Ale Lira zastanawiała się tylko nad zakresem jej wolności, nad tym, że Gemma umie robić zakupy, zdobyć jedzenie i ubranie. Gdziekolwiek ją zrobiono, przez większość życia musiała mieszkać z prawdziwymi ludźmi.

– Powinnaś jeść – oznajmiła Gemma stanowczym tonem i wydawała się mile zaskoczona, gdy Lira wzięła miskę z łyżką i zaczęła jeść tak szybko, że aż poparzyła sobie podniebienie.

Nawet nie usiadła. Było to dla niej jednocześnie ekscytujące i niepokojące, że nikt na nią nie krzyczy ani nie każe zajmować miejsca.

– Zakaźne encefalopatie gąbczaste – przeczytał na głos Jake, wciąż pochylony nad komputerem. – To kategoria chorób. Choroba wściekłych krów również do niej należy.

– Okej. – Gemma przeciągnęła ostatnią sylabę. – Ale co to oznacza? – Usiadła obok Jake'a na kanapie, a Lira, upewniwszy się, że nikt na nią nie patrzy, wylizwała miskę do czysta.

Jake obracał puszkę z colą i poprawiał ją, dopóki mała kwadratowa serwetka pod nią nie leżała równolegle do krawędzi stołu.

– Nie wiem. – Potarł czoło, po czym poprawił laptopa, żeby i on leżał równolegle. – W raporcie są o tym tylko wzmianki.

Lira zwróciła uwagę na leżącą obok komputera teczkę, którą ukradła z Haven. Z brzękiem odłożyła miskę na stół.

– Nie... nie powinniście tego czytać – wybąkała.

– Dlaczego? – Jake uniósł brew. – Ukradłaś ją, prawda?

– Tak – odparła spokojnym głosem. – Ale to co innego.

– Przecież już jej nie potrzebują. Całe to miejsce jest teraz kupą gruzu.

W głowie Liry pojawił się obraz Haven zamienionego w słup dymu. Czasami palone ciała wracały do Haven pod postacią dymu, w słodkawym zapachu, który szczypał ją w gardle. Pielęgniarki go nie cierpiały, ale nie Lira.

– Jake – skarciła go Gemma.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Przepraszam. Ale przecież to prawda.

Oczywiście miał rację. Nie mogła wpaść teraz w tarapaty z powodu kradzieży teczki albo tego, że ktoś inny ją zobaczył – a w każdym razie nie w większe niż te, w których już się znajdowała. Jake wrócił do stukania w klawiaturę. Gemma sięgnęła po teczkę. Lira spostrzegła, że dziewczyna marszczy brwi, zastanawiając się nad czymś. Może nie umiała czytać?

Ale po chwili Gemma się odezwała:

– Lira, wiesz, co to znaczy? Tu jest napisane, że pacjent... to znaczy replika – podniosła wzrok, jak gdyby czekając na aprobatę, więc Lira pokiwała głową – należała do żółtej gromady.

Żółta gromada. Najbardziej nieudany miot ze wszystkich. Lira wciąż miała w pamięci wszystkie te małe ciała z miniaturowymi żółtymi opaskami na

nadgarstkach, leżące w punkcie odbioru śmieci. Pielęgniarki w rękawiczkach i maskach, które upodabniały je do owadów, szczelnie owijały ciała przeznaczone do wywozu.

– Żółte umarły – odparła, a Gemma się wzdrygnęła. – Była ich jakaś setka, wszystkie z młodszych miotów. Mioty – kontynuowała, ciągle obserwując zakłopotanie na twarzy dziewczyny – oznaczają różne generacje. A kolory oznaczają gromady. Ja należę do trzeciego miotu, zielonej gromady. – Pokazała swoją opaskę, na której wszystko było wydrukowane. „Gen-3, GT-ZL”. Generacja trzecia, Grupa Testowa Zielona. Zastanawiała się, czy Gemmę boli brzuch, bo tak wyglądała. – Musieli popełnić jakiś błąd z Żółtymi. Czasami tak się zdarza. Popełniają błędy. Różowe też poumieraly.

– Wszystkie? – zapytał Jake.

Lira kiwnęła głową.

– Zachorowały.

– O Boże. – Gemma przyłożyła rękę do ust. Wydawała się przejęta, nie wiadomo czemu. Przecież nie знаła nikogo z żółtej gromady. A poza tym były to tylko repliki. – Tutaj jest napisane, że miała zaledwie czternaście miesięcy.

Lira o mało nie wtrąciła, że najmłodsza replika zmarła, gdy miała trzy albo cztery miesiące, ale się powstrzymała.

– Powiedziałaś, że kolory oznaczają gromady – rzekł powoli Jake. – Gromady czego?

Lira wzruszyła ramionami.

– Istnieją różne gromady, a my dostajemy różne warianty.

– Warianty czego? – dopytywał.

Lira nie wiedziała dokładnie, ale nie zamierzała się do tego przyznawać.

– Leku – powiedziała stanowczo, z nadzieją, że o nic więcej nie będzie jej pytał.

Gemma wzięła głęboki oddech.

– Popatrz, Jake. To jest podpisane przez doktora Sapersteina, tak jak mówiłeś.

– Doktor Saperstein nadzoruje rozwój nowych miotów – rzekła Lira. Chociaż wciąż była na nich zła, że przeczytali raport z tej teczki, prywatnej teczki, jej teczki, przysunęła się do kanapy zaciekawiona tym, co robią. – Podpisuje wszystkie świadectwa zgonu.

Poniżej widniał drugi podpis, imię, które dobrze znała. Siostra Em była jedną z najmilszych pielęgniarek: gdy wbijała im igły, robiła to ostrożnie, tak by nie bolało. Czasami opowiadała też dowcipy.

– Siostra Em też to podpisała.

– Siostra Em. – Gemma zamknęła oczy i się oparła.

– Jasna cholera – zaklął Jake, a Gemma otworzyła oczy i rzuciła mu spojrzenie, którego Lira nie potrafiła odszyfrować.

– Siostra Em była dla nas bardzo miła. Ale odeszła – wyjaśniła.

Wróciło do niej wspomnienie sprzed lat. Stała na korytarzu i przez szparę w drzwiach podglądała doktor O'Donnell i siostrę Em. Pani doktor trzymała ręce na ramionach płaczącej pielęgniarki i mówiła jej: „Pomyśl o tym, co jest właściwe, Emily. Jesteś dobrym człowiekiem. Tylko znalazłaś się w sytuacji, która cię przerosła”. Ale wtedy siostra Em wyszarpnęła się jej, przewracając mopa, i wybiegła, przez co Lira była zmuszona wycofać się w pośpiechu.

Jednak pamięć musiała jej płatać figle – w tym wspomnieniu obie kobiety kryły się w schowku na śródki czystości, co nie miało sensu, skoro personel medyczny miał swoje pokoje socjalne. Do tego siostra Em płakała – niby dlaczego doktor O'Donnell miałaby wywołać u niej łzy?

– Daj, rzucę okiem. – Jake wziął teczkę od Gemmy i znów pochylił się nad komputerem.

Lira z zafascynowaniem obserwowała, jak jego palce uderzają o klawiaturę,

jak strumień liter pojawia się na ekranie w niemal magiczny sposób, o wiele za szybko, by była w stanie je odczytać. Klik. Klik. Klik. Ekran wypełniała teraz mała czcionka, zdjęcia, wykresy. W głowie jej się kręciło od tego wszystkiego. Nie była nawet w stanie odróżnić jednej litery od drugiej.

– Ten raport, cała ta terminologia: zakaźna encefalopatia gąbczasta, neurodegeneracja i zwijanie białka, to wszystko dotyczy prionów.

– Prionów? – powtórzyła Gemma. Najwyraźniej nigdy wcześniej nie słyszała tego słowa i Lira ucieszyła się, że przynajmniej raz to nie ona jest skonsternowana.

– Istnieją bakterie, wirusy, grzyby i priony – zaczął wyjaśniać Jake, przechylając ekran. – Priony to cząsteczki zakaźne. Właściwie są to białka, tyle że źle się fałdują.

– Repliki są pełne prionów – oznajmiła Lira, dumna, że wie to wszystko.

Lekarze nigdy nie powiedzieli jej tego bezpośrednio, ale uważnie słuchała ich rozmów – w Haven nie było za wiele do roboty oprócz słuchania. Właśnie taki był cel punkcji i wycinania fragmentów tkanek – pobrać próbki, by sprawdzić, czy przeniknęły do nich priony. Gdy repliki umierały, ich ciała często poddawano autopsji, a kości rozwiercano, z tego samego powodu. Wiedziała, że priony były niezwykle ważne – doktor Saperstein zawsze podkreślał, że trzeba ulepszyć i przyspieszyć inżynierię prionów – ale dokładnie nie orientowała się, czym są.

Jake spojrzał na nią dziwnie, miał minę, jak gdyby przełknął lekarstwo o paskudnym smaku.

– Wciąż nie rozumiem – powiedziała Gemma. – Co właściwie robią te priony?

Chłopak odczytał więc na głos:

– „Priony najszybciej rozprzestrzeniają się, i wyrządzają najwięcej szkód, w mózgu i innych tkankach centralnego układu nerwowego, a nieco słabiej

w śledzienie, węzłach chłonnych i szpiku kostnym...” Zaraz, to nie to. „Jeśli prion dostanie się do zdrowego organizmu, sprawia, że jego białka, właściwie złożone, przekształcają się w formę chorobowych, źle złożonych prionów. W tym sensie funkcjonują niczym urządzenia klonujące”. – Spojrzał na Gemmę, a potem szybko wrócił wzrokiem do komputera. – „Prion działa jak matryca prowadząca do niewłaściwego złożenia większej ilości białek w formę prionów, co skutkuje wykładniczym wzrostem liczby prionów w centralnym układzie nerwowym, a w rezultacie objawami choroby prionowej. Taki proces może potrwać miesiące, a nawet lata”. – Znowu przejechał ręką po włosach.

Lira obserwowała, jak opadają, i zastanawiała się, czy włosy 72 urosną i czy będą się układać w taki sam sposób.

– „Choroba prionowa rozprzestrzenia się przez spożycie zarażonej tkanki, tak jak w przypadku gąbczastego zwyrodnienia mózgu, zwanego chorobą szalonych krów. Priony mogą też zatruć ujęcia wody, jeśli dostanie się do nich krew albo inne wydzieliny...”

– Więc priony są rodzajem choroby?

– Zły rodzaj prionów jest chorobą – odpowiedział cicho Jake.

– To nie może być prawda – oświadczyła Lira.

Nie rozumiała wszystkiego, co przeczytał, ale miała pewność, że przynajmniej tutaj się mylił. Wiedziała, że repliki były fizycznie gorsze od normalnych ludzi: proces klonowania wciąż był niedoskonały, więc były „podatne na choroby”. Tego określenia często używali lekarze i pielęgniarki, kiedy repliki stały w kolejce po witaminy i pigułki, czasami po kilkanaście naraz. Ale ona zawsze uważała – i nie wiedziała, skąd wzięła się ta myśl, choć musiała mieć coś wspólnego z tym, co zasłyszała, wyczuła albo co dawano im do zrozumienia – że priony były dobre. Zawsze miała wrażenie, że w tej jednej dziedzinie repliki są lepsze od ludzi: ich ciała buzowały prionami, które można było od nich pobrać.

Poczuła dziwne łaskotanie z tyłu gardła, niemal jakby miała kichnąć. Pot szczypał ją pod pachami.

Jake nie spojrzał na nią. Była do tego przyzwyczajona.

– Posłuchajcie tego. – Znalazł kolejny artykuł, tyle linijek tekstu, że Lira czuła się przytłoczona. Ile słów istnieje na świecie? – Wpisz w Google „Saperstein” i „priony”, a wyrzuci ci artykuł z początku lat dziewięćdziesiątych. Saperstein przemawiał na konferencji o terroryzmie biologicznym. „Broń chemiczna oraz biologiczna, w postaci wirusów i bakterii, stanowi duży problem. Na jej działanie są narażeni również nasi żołnierze, nawet jeśli jest skierowana przeciwko naszym wrogom. Sposób prowadzenia wojny się zmienia. Nasi wrogowie też się zmieniają, stają się liczniejsi i się radykalizują. Moim zdaniem przyszłość wojny biologicznej zależy od wyizolowania prionów o szybkim działaniu, które można by rozprzestrzeniać poprzez sprzedawaną żywność”. – Jake się pocił.

Lira również, ale jednocześnie czuła zimno na całym ciele. Chciała skorzystać z łazienki, ale nie mogła się ruszyć.

– „Można sparaliżować grupy terrorystyczne dzięki dystrybucji zmodyfikowanych leków i szczepionek, które byłyby wprowadzane do obiegu przez pracowników opieki medycznej, bez ich wiedzy, na obszarach niebezpiecznych i trudno dostępnych, na których zawodzą tradycyjne metody ataku. Wszystkie znane choroby prionowe wśród ssaków wpływają na strukturę mózgu lub inne tkanki neuronowe. Wszystkie dotychczas są nieuleczalne i prowadzą do śmierci. Proszę sobie wyobrazić – Jake ledwie szeptał – terrorystów lub partyzantów na wrogich terenach, którzy nie są w stanie myśleć, chodzić czy mówić. Sparaliżowanych lub martwych”.

– O Boże. – Gemma przyłożyła rękę do ust. – To okropne.

Nagle, nie wiadomo skąd, Lirze stanął przed oczami widok obszernego, pokrytego pyłem pola, a na nim tysiące ciał owiniętych w ciemną płachtę, tak jak

niegdyś Żółte, nieruchomych i milczących pod bladoniebieskim niebem.

Jak brzmiało to, co przeczytał Jake?

„Wszystkie znane choroby prionowe wśród ssaków są na razie nieuleczalne i prowadzą do śmierci”.

– Jezu. – Jake oparł się o kanapę i zamknął oczy.

Przez długi czas nikt nie odezwał się ani słowem. Lira czuła się dziwnie, jak gdyby wyszła poza swoje ciało, jak gdyby przestała istnieć. Była ścianą. Była podłogą i sufitem.

– Oto odpowiedź, co takiego robią w Haven. – Chociaż zwracał się do Gemmy, kiedy otworzył oczy, od razu spojrzął na Lire, a ona natychmiast wróciła do swojego ciała i nienawidziła Jake’a za to. – Priony żyją w ludzkiej tkance. Rozumiesz już?

Lira rozumiała. Ale nie była w stanie nic powiedzieć. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Była pełna źle złożonych kryształów, jakby małych okruchów szkła, które powoli rozcinały ją od środka. To Gemma się odezwała.

– Przeprowadzali eksperymenty na replikach – powiedziała powoli. Nie patrzyła na Lire. – I obserwowali skutki choroby.

– Nie tylko na nich eksperymentowali. – Głos Jake’a się załamał. – Inkubowali je. Gemma, oni wykorzystywali repliki, by tworzyć priony. Hodowali choroby wewnątrz nich.

– Mówiłem ci.

Lira odwróciła się i zobaczyła 72. Jego policzek znaczyły pręgi od poduszki. Patrzył nie na Jake’a ani Gemmę, ale na Lireę, a jego twarz była dla niej nieprzenikniona. Przez całe życie lekarze mówili jej o działaniu płuc i wątroby, barierze krew–mózg, liczbie białych krwinek, ale nigdy nie słyszała ani jednego wyjaśnienia, jak działają twarze, co oznaczają, jak je czytać.

– Mówiłem ci – powtórzył, ale tym razem bardziej miękko. – Nigdy się o nas nie troszczyli. Nigdy nie starali się nas chronić. To było kłamstwo.

– Wiedziałaś?

Wpatrywał się w nią przez chwilę.

– A ty nie? – zapytał cichym głosem. – Nie wiedziałaś, naprawdę?

Odwróciła wzrok, zawstydzona. Oczywiście miał rację. Ostatnia zasłona opadła, wszystko zostało obnażone, gra, w którą grała przez lata, kłamstwa powtarzane samej sobie. Wszystko nabierało teraz sensu. Numery zamiast imion, pogardliwe „toto” zamiast „ona” lub „on”. „Zamierzasz uczyć szczury gry w szachy?” Traktowano ich jak przedmioty jednorazowego użytku, nic więcej. Wcale nie byli bardziej podatni na choroby, nie mieli słabszej wątroby ani płuc. Zostali wyprodukowani po to, aby umrzeć.

Za każdym razem gdy robiło jej się niedobrze, gdy kręciło jej się w głowie albo nie mogła zapamiętać, gdzie jest lub dokąd idzie, były to skutki uboczne choroby, nie leczenia. Tak właściwie to nie były żadne skutki uboczne.

To były objawy.

Gemma się podniosła.

– Zrobiliśmy wystarczająco dużo jak na jeden wieczór – zwróciła się do Jake’a.

Lira wiedziała, że dziewczynie jest ich żal. A może tylko była przerażona. Może myślała, że to zaraźliwe.

Zastanawiała się, ile jej zostało. Pół roku? Rok? Teraz ucieczka wydawała się czymś głupim. Jaki był jej sens, jeśli i tak miała umrzeć? Może powinna była dać strażnikom się zastrzelić.

Jake wyłączył laptopa.

– Jest już po dziesiątej – powiedział, pocierając oczy. – Moja ciotka wraca jutro z Decatur. Muszę jechać do domu.

– Porozmawiamy o tym jutro rano, okej? Jutro rano wymyślimy, co robić. – Gemma mówiła do Jake’a, ale Lira miała wrażenie, że słowa były skierowane do niej.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jake. Wyciągnął rękę, jak gdyby chciał dotknąć ramienia Liry, ale ona szybko się cofnęła i jego dłoń trafiła w próżnię.

Wzruszyła ramionami. W końcu jakie to miało znaczenie? Ciągle myślała o tym, co powiedział. Hodowano w nich choroby. Jak w szklarniach w Haven, w których uprawiano warzywa i owoce. Wyobraziła sobie swoje ciało pełne powietrza i źle złożonych białek podobnych do płatków śniegu. Przypomniła sobie ilustrację przedstawiającą kobietę w ciąży i dziecko zwinięte w jej brzuchu. Wszczepiono ją. Jakaś kobieta nosiła w sobie obce dziecko, do tego skazane na chorobę i przedwczesną śmierć.

– Jeśli będziecie czegoś potrzebować, krzyknijcie – powiedziała Gemma.

– Macie. – Jake pochylił się i nagryzmolił coś na kawałku papieru.

Zazwyczaj Lira uwielbiała obserwować, jak ktoś pisze, jak litery wypadają spod długopisu, ale teraz nie robiło to na niej wrażenia. Jake nie mógł jej pomóc w żaden sposób. Nikt nie mógł jej pomóc.

– To mój numer. Korzystaliście kiedyś z telefonu?

– Wiem, czym jest telefon – odparła.

Chociaż sama nigdy żadnego nie używała, pielęgniarki nie zajmowały się niemal niczym innym. Gdy była mała, brała do ręki różne przedmioty – pastę do zębów, mydło, buteleczki z lekarami – i udawała, że do nich mówi, wyobrażała sobie, że ktoś z tamtego świata odbierze.

Jake skinął głową.

– A to mój adres. Tak na wszelki wypadek. Umiecie to przeczytać?

Lira przytaknęła, ale nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

Przez kilka minut po wyjściu Gemmy i Jake'a siedziała nieruchomo na kanapie. 72 chodził po pokoju w milczeniu, podnosił różne rzeczy i odkładał je na miejsce. Z niewiadomego powodu była na niego zła. Przewidział to. A zatem to jego wina.

– Kiedy się dowiedziałeś? – odezwała się wreszcie. – I jak?

Spojrzał na nią, a potem znowu skierował uwagę na małą szklaną kulę. Kiedy ją odwrócił, plastikowy śnieg zaczął wirować w dół.

– Mówiłem ci. Nie wiedziałem tego tak do końca – odparł. – Ale domyśliłem się, że to przez nich chorujemy. Że to jest ich cel – oznajmił takim tonem, jakby to nie było nic ważnego.

– Ale jak? – powtórzyła pytanie Lira.

Odłożył szklaną kulę, a ona patrzyła, jak sztuczny śnieg spada na dwie małe figurki na zawsze uwięzione w swoim małym okrągłym świecie, na który składały się fragment plastikowej plaży i palma. Było jej żal tych figurek. Rozumiała je.

– Mam wrażenie, że wiedziałem to od zawsze – rzekł, marszcząc brwi. Ku jej zaskoczeniu usiadł obok niej na kanapie. Wciąż przyjemnie pachniał, co z jakiegoś powodu sprawiało jej ból, jak gdyby ktoś wbijał gwóźdź w jej ciało. – Kiedy byłem mały, ciężko zachorowałem. Bardzo ciężko. Myśleli, że umrę. Zabrali mnie do Domu Pogrzebowego. – Spuścił wzrok, spojrzał na swoje

dłonie. – Byli bardzo podekscytowani. Kiedy myśleli, że już ich nie słyszę, bardzo się ożywili.

Lira nic nie powiedziała. Przypomniało jej się, jak leżała na stole po spotkaniu z Panem Rezonansem, radosny szczebiot lekarzy nad jej głową, ich pachnący kanapkami oddech i śmiech, gdy jej oczy nie chciały podążać za latarką.

– Kiedy byłem mały, wyobrażałem sobie różne rzeczy – kontynuował. – Wyobrażałem sobie, że jestem mrówką albo jaszczurką, albo ptakiem. Czymkolwiek. Łapałem karaluchy wychodzące z odpływu. Pielęgniarki ich nie cierpiały. Ale nawet karaluchy były w lepszej sytuacji niż my. Mogły stamtąd uciec. – Rozwarł dłoń i spojrzał na nią, jak gdyby jej nie rozpoznawał, a potem znowu zacisnął ją w pięść. – Byłoby lepiej – dodał nieco głośniejszym głosem – gdyby nas nienawidzili. Ale rzeczywistość była inna.

Co do tego również miał rację. Gorszy niż siostra Ani-Mi-Się-Waż, niż ci, którzy się bali, byli ci, którzy ich nie zauważali. Którzy nie patrzyli na repliki, ale jakby poprzez nie, którzy rozmawiali o tym, co będą jeść na obiad, nawet wtedy, gdy przygotowywali zwłoki do spalania.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytała Lira.

– Próbowałem. A zresztą co by to dało?

Pokręciła głową. Potrzebowała kogoś obwinić. Nigdy wcześniej nie była tak wściekła – nawet nie sądziła, że ma do tego prawo. Ludzie, prawdziwi ludzie, byli przekonani, że zasługują na pewne rzeczy, i byli źli, gdy ich nie dostawali. Repliki nie zasługiwały na nic, niczego nie dostawały, więc nigdy się nie złościły.

Co to był za Bóg, zastanawiała się, który stworzył ludzi zdolnych do robienia tego, co zrobiono jej?

– To dlatego uciekłeś? – zapytała. Zbierało jej się na płacz. Nie doznawała fizycznego bólu, a mimo to czuła się tak, jakby coś nieprzyjemnego działo się

w jej ciele, jak gdyby ktoś umieścił w jej piersi płataninę rurek.

– Nie – odparł 72. – Niezupełnie.

– No to dlaczego?

Chłopak tylko pokręcił głową. Wątpiła, by to wiedział. Może po prostu chciał odmiany.

Po chwili wreszcie się odezwał:

– Wiesz, że nie możemy tu zostać.

Lira nie spodziewała się tego.

– Dlaczego nie?

– Nie jesteśmy tutaj bezpieczni – odparł, a jego twarz znowu się zmieniła, jakby się skurczyła. – Mówiłem ci już. Nie ufam im. Oni nie są replikami.

– Dziewczyna jest.

Zmarszczył brwi.

– Ale o tym nie wie. Nikt jej nie powiedział.

– Przecież nie mamy dokąd pójść – stwierdziła i znowu dotarło do niej, jakie to prawdziwe.

Jak duży był świat? Nie miała pojęcia. Wydawało się, że jechali dzisiaj przez całe godziny, a drogom, sklepom, ulicom i domom nie było końca. I mimo to wciąż byli na Florydzie, jak mówiła Gemma. Jak daleko rozciągało się to wszystko?

– Poza tym jakie to ma znaczenie? – „I tak umrzemy”, o mało nie dodała, ale wiedziała, że on to zrozumiał.

– Nie po to uciekałem, żeby być czyjąś zabawką. Jeśli o to by mi chodziło, wróciłbym do Haven.

Nie wiedziała, co dokładnie chciał przez to powiedzieć, ale mogła się domyślić po tonie jego głosu.

– Są dla nas dobrzy. Pomogli nam. Dali nam jedzenie, ubrania i schronienie.

– No właśnie. A więc czego chcą? Muszą czegoś chcieć. Są ludźmi – powiedział. – A oni to właśnie robią. Nie zauważyłaś? Nie robią niczego innego. Tylko czegoś od nas chcą.

Czy to była prawda? Nie umiała odpowiedzieć. Czego mogła chcieć od niej doktor O'Donnell? Albo siostra Em, która zawsze uśmiechała się do replik, która raz powiedziała, że Lira ma ładne oczy, i która zachowała swoje stare żetony na prom, żeby dać je młodszym dzieciom, by mogły nimi grać w warcaby?

Ale może dlatego opuściły Haven – nie pasowały tam. Lira wciąż nie rozumiała, co czyniło ludzi tak różnymi od replik, nigdy nie była w stanie tego pojąć. Ona także miała marzenia. Kiedyś chciała nauczyć się czytać. Bywała głodna, zmarznięta i zmęczona, chciała jeść i spać. Ale nigdy nie zrobiła nikomu krzywdy, żeby dostać to, czego chciała.

Czy to sprawiało, że była czymś gorszym od ludzi?

– To ci wystarczy? – zapytał 72.

Bała się go w takich chwilach, przypominał jej wtedy pomnik z dziedzińca w Haven, którego twarz, zniszczona przez deszcz i wiatr, była nieodgadniona i zimna.

– Chcesz, żeby ktoś cię karmił, rozkazywał ci i mówił, kiedy masz spać? Jak psu?

Podniosła się z kanapy.

– A co za różnica? – rzuciła i wiedziała, że się tego nie spodziewał, ponieważ się skrzywił. Sama również była zaskoczona siłą swojego głosu. – Jesteśmy replikami, prawda? Równie dobrze moglibyśmy być psami. W każdym razie tak o nas myślą. Właśnie po to zostaliśmy zrobieni. Żeby być psami. Albo szczurami. Wtedy to nie była tylko twoja wyobraźnia. Byłeś karaluchem.

Spoglądał na nią przez długą chwilę. Jego pierś unosiła się wraz z oddechem i Lira wiedziała, że pod skórą setki małych mięśni pracują, by jego twarz pozostała nieruchoma i mógł ją obserwować. Sama myśl o nim i o tym, z czego

był zrobiony, o tych wszystkich delikatnych częściach złączonych ze sobą, sprawiała, że kręciło jej się w głowie.

Wreszcie odwrócił wzrok.

– Właśnie dlatego uciekłem. Chciałem się dowiedzieć, czy nadajemy się do czegoś innego. Chciałem spróbować. – Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się delikatnie. – Poza tym nawet karaluchy uciekają. I szczury też.

Przeszukali domek gościnny i zabrali wszystko, co mogłoby im się przydać. W szafie w sypialni pod dodatkowymi poduszkami znaleźli stary plecak, do którego spakowali batony i butelki wody, a także przybory higieniczne i kosmetyki, które kupiła im Gemma. Lira wiedziała, że raczej nie będą potrzebować mydła, ale nie potrafiła się rozstać z tymi ładnymi, opakowanymi w papier kostkami, tak różnymi od wszystkiego, co do tej pory miała.

Jake zapomniał o telefonie, który ładował się w kącie, więc 72 zabrał go, chociaż i tak nie mieli do kogo zadzwonić. Dla Liry ekscytująca była sama myśl o posiadaniu go, dotykaniu ekranu i zostawianiu na nim swoich odcisków. Tylko ludzie mieli telefony komórkowe.

Zabrali też noże z kuchni i koc z szafki przy łóżku. Nie czuła się winna, że okrada Jake'a i Gemmę, którzy im pomogli. Niczego nie czuła. Może, pomyślała, pielęgniarzki nie myliły się co do nich. Może repliki nie miały duszy.

Do tego czasu duży dom spowiała ciemność. 72 zasugerował, by oni również wyłączyli światła – gdyby Jake i Gemma wyglądali przez okno, będą myśleli, że repliki poszły spać. Oczekali w ciemności kolejne dwadzieścia minut, tak dla pewności. Usiedli raz jeszcze na kanapie obok siebie i Lira pomyślała o swoim śnie, w którym byli objęci, o całej tej powierzchni odsłoniętej skóry. Cieszyła się, że 72 jej teraz nie widzi.

Wreszcie dotknął jej łokcia.

– Czas na nas – powiedział. Jego twarz miała różne odcienie szarości.

Gdy wyszli na zewnątrz, Lirę przestraszyło brzęczenie owadów i terkotanie rzekotek. Słyszając ten rytmiczny i niemal mechaniczny pomruk, pomyślała o Panu Rezonansie i jego gardłowym dudnieniu.

– Popatrz. – 72 ją szturchnął.

Na plastikowym leżaku, w ubraniu, zwinięta w kłębek spała Gemma, a kilka kolorowych ręczników służyło jej za koce. Lira nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy Gemma chciała mieć ich na oku? Chciała się upewnić, że nie uciekną? Trudno jej było sobie wyobrazić, z jakiego innego powodu można było wybrać spanie na zewnątrz.

Zanim zdołała go powstrzymać, 72 ruszył ostrożnie w stronę dziewczyny, Lira zaś za nim, z rosnącym niepokojem. W świetle księżyca Gemma była tak bardzo podobna do Kasjopei, że Lira miała ochotę wyciągnąć rękę i położyć na jej piersi, by poczuć, jak oddycha, i móc uwierzyć, że Kasjopeja ożyła. Ale oczywiście tego nie zrobiła.

Obok leżał otwarty notes. Długopis zsunął się do środka. Jak zwykle uwagę Liry przyciągnęły napisane słowa. Zdawały się delikatnie błyszczeć w świetle księżyca. Pomyślała, że Gemma ma piękne pismo. Słowa przypominały ptaki wykonujące pętle na niebie albo kroczące z godnością w poprzek strony.

Nagle jej uwagę przykuło znajome imię: Emily Huang. Siostra Em.

Przyłożyła palec do kartki i bezgłośnie poruszając ustami, zaczęła czytać słowa napisane bezpośrednio pod imieniem. Palm Grove. Nic jej to nie mówiło. Na stronie były też inne nazwy, wszystkie dla niej obce, z wyjątkiem nazwiska doktora Sapersteina, który był połączony małą strzałką z Fundacją Dom – co to znaczyło, również nie wiedziała. Za to poniżej znajdowało się jeszcze jedno słowo, które rozpoznała: Gainesville. Wiedziała, że to nazwa miejscowości. Dużej miejscowości. Jake i Gemma sprzeczali się, czy powinni zjechać z autostrady zjazdem na Gainesville, a wówczas chłopak skwitował: „Kto niby jeździ do Gainesville?”. Wtedy Gemma rzuciła: „Jakieś pół miliona ludzi, którzy tam

mieszkają”. Stwierdziła więc, że Palm Grove też może być miejscowością.

Zabrała notes. Jake przywłaszczył sobie ukradzioną przez nią teczkę z raportem, więc była to uczciwa wymiana. Podniosła się i zobaczyła, że 72 szuka w plecaku Gemmy portfela. Złapała go za ramię i potrząsnęła głową. Kiedyś, dawno temu, skradziono portfel Ani-Mi-Się-Waż ze stołówki i Lira wciąż pamiętała tamtą okropną sytuację, jak przeszukiwano łóżka replik i wywracano regały z ich rzeczami, jak Ani-Mi-Się-Waż chodziła w paskudnym nastroju przez kilka dni i uderzyła Lirę w twarz za to, że krzywo na nią spojrzała. Wreszcie znaleziono go w dziurze wydartej pod materacem Wielkiej Niedźwiedzicy, a wraz z nim wszystkie rzeczy, które dziewczyna zachomikowała przez lata: brudne skarpetki, zgubiony kolczyk, żetony na prom, zawlecзки z puszek i papierki po gumach.

Ale nie mogła się odezwać, nie ryzykując, że Gemma się obudzi. 72 wyjął plik banknotów z portfela, po czym schowawszy pieniądze do kieszeni, włożył go z powrotem do plecaka. Lira odłożyła notes. Raczej nie zapomni nazwy Palm Grove.

Przeszli przez bramę górą, ponieważ nie wiedzieli, jak ją otworzyć, a gdy znaleźli się poza terenem posesji, na ulicy oświetlonej lampami, ruszyli przed siebie. Gdy po obu stronach mieli domy z żywopłotami i bramami, Lira nawet się nie bała. Ale gdy tylko doszli do drogi, która ciągnęła się przez puste ciemne pola, poczuła strach, który kojarzył jej się ze spadaniem – otaczał ją niewyobrażalny bezmiar przestrzeni.

Dopiero wtedy się odezwała. Oddalili się na tyle, że nikt nie mógł ich usłyszeć. Poza tym przerażała ją pustka tej drogi i widok zgarbionych lamp, jak gdyby cierpiących w milczeniu.

– Znam kogoś, kto może nam pomóc – powiedziała.

Żwir na poboczu chrząścił pod ich stopami. Teraz cieszyła się, że słycać rzekotki. Przynajmniej stanowiły jakieś towarzystwo.

– Pomóc nam? – 72 odchylił głowę i spojrzął na niebo oraz rozciągnięte nad nimi gwiazdy. Trudno było stwierdzić, czy się bał, ale Lira w to wątpiła. Nie wyglądało na to, by bał się czegokolwiek. Nawet śmierci. Może po prostu miał czas, by się do tego przyzwyczaić.

Ona sama od dawna wiedziała, że repliki są słabsze od prawdziwych ludzi, bardziej chorowite i mniejsze. Ale gdzieś głęboko w środku wierzyła, że w Haven była bezpieczna.

– Chcę się dowiedzieć więcej – wyjaśniła. – Chcę się dowiedzieć, dlaczego nam to zrobili. Dlaczego chcieli, żebyśmy chorowali. Chcę się dowiedzieć, czy jest na to jakiś lek.

Zatrzymał się i spojrzął na nią.

– Nie ma na to leku – powiedział.

– Przynajmniej takiego, o którym byśmy wiedzieli – rzekła. – Ale sam powiedziałeś, że nie wiesz, co dokładnie robili w Haven. Mogli pracować nad lekiem. Mogli jakiś stworzyć.

– Po co mieliby to robić? – zapytał z kpiącą miną.

W tej chwili nienawidziła go. Nigdy nie spotkała nikogo, kto budziłby w niej tyle różnych emocji, kto sprawiłby, że w ogóle czuła, tak prawdziwie.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie wiem, po co robili cokolwiek.

Spojrzął na nią, przygryzając wnętrze policzka. Stwierdziła, że może wcale nie jest taki brzydki. Można w nim było dostrzec pewną dziwną i szorstką urodę, tak jak u kolczastych roślin, które wyrastały między ścieżkami spacerowymi w Haven z pióropuszem ciemnozielonych liści. Podśluchała, jak Gemma mówiła o nim przez telefon w samochodzie. Może nie wiedziała, że Lira słyszy. „Jest z nami dziewczyna i chłopak. Dziewczyna chyba jest chora. A chłopak jest... – i tu zniżyła głos do szeptu – niezłym ciachem. Zobaczysz, przepiękny”. Lira nigdy przedtem nie myślała o twarzach w kategoriach piękna, chociaż podobała jej się symetryczna twarz Jake’a i gdy sięgała pamięcią wstecz, uznała, że pani

O'Donnell też była piękna. A w każdym razie taka była w jej wspomnieniach.

Zastanawiała się, czy ona sama jest brzydka.

W oddali pojawiły się dwa światła. Podniosła rękę do oczu, oślepiona blaskiem i przerażona, lecz uświadomiła sobie, że to tylko nadjeżdżający samochód. Gdy jednak zaczął zwalniać, znów zaczęła się bać. Instynktownie ona i 72 chwycili się za ręce. Jego dłoń była duża, sucha i o wiele przyjemniejsza w dotyku niż dłonie lekarzy, które w jednorazowych rękawiczkach sprawiały wrażenie jednocześnie oślizgłych i zimnych, jakby martwych.

– Wszystko w porządku, małolaty? – Mężczyzna w samochodzie musiał się przechylić nad siedzeniem, by porozmawiać z nimi przez otwarte okno.

72 kiwnął głową, ku zadowoleniu Liry, która sama nie była w stanie się odezwać.

– Dziwne miejsce na spacer – rzekł tamten. – Uważajcie na siebie, dobra? Tą drogą samochody jeżdżą grubo ponad stowę.

Gdy zaczął podnosić szybę, Lira odetchnęła z ulgą, ale jednocześnie ogarnęło ją zdziwienie. Jeśli mężczyzna rozpoznał, że są replikami, nie pokazał tego po sobie. Może różnica wcale nie była taka oczywista, jak jej się wydawało.

– Przepraszam – wyrzuciła z siebie, na co szyba zatrzymała się, a potem znów zaczęła się opuszczać. – Przepraszam – powtórzyła, robiąc krok w stronę samochodu i nie zwracając uwagi na 72, który wysyczał coś, pewnie ostrzeżenie. – Czy słyszał pan o Palm Grove?

– Palm Grove na Florydzie? – Mężczyzna miał grube, mięsiste palce, w których trzymał zapalonego papierosa. – Chyba nie zamierzacie dojść tam na piechotę, co? – spytał na wpół ze śmiechem, jak gdyby opowiedział dowcip. Ale gdy się nie uśmiechnęła, spojrział na nią krzywo poprzez dym unoszący się z papierosa. – Dwunastka jedzie prosto na wybrzeże, do Palm Grove, w kierunku Tallahassee. Jeśli idziecie w tamtą stronę, na pewno znajdziecie przystanek autobusowy. Ale to kawał drogi. Z dziesięć kilometrów jak nic.

Lira kiwnęła głową, choć przecież nie wiedziała, czym jest dwunastka i ile to dziesięć kilometrów.

– Tyle że nie złapiecie tak późno autobusu – dodał mężczyzna. – Mam nadzieję, że macie się gdzie przespać. – Wciąż się w nią wpatrywał, potem jego wzrok pobiegł nad jej ramieniem w stronę 72, a później z powrotem do niej. Jego twarz się zmieniła. – Na pewno wszystko w porządku? Nie wyglądacie za dobrze.

Lira szybko się cofnęła.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Ani jemu.

Wpatrywał się w nich jeszcze przez chwilę.

– Tak jak mówiłem, uważajcie na kierowców na tym odcinku. Będą w połowie drogi do Miami, zanim się zorientują, że was rąbnęli.

I odjechał. Tylne światła jego samochodu przez chwilę wyglądały jak żarzące się koniuszki dwóch papierosów, aż wreszcie zniknęły.

– Nie powinnaś z nimi rozmawiać – odezwał się 72. – Nie powinnaś rozmawiać z żadnym z nich.

– Sam zaczął. A poza tym czy stało się coś złego?

72 tylko pokręcił głową, wciąż wpatrzony w stronę, w którą odjechał samochód, jak gdyby spodziewał się, że znowu się pojawi.

– Co takiego jest w Palm Grove?

– Ktoś, kto może nam pomóc – rzekła wymijająco Lira.

– Kto? – 72 w całości spowijał cień, tylko jego plecy oświetlała latarnia uliczna.

Wiedziała, że może się nie zgodzić, by z nią jechać, ale nawet wtedy ona i tak odnajdzie drogę do Palm Grove. Nic nie byli sobie winni. To przypadek ich połączył i to przez przypadek wciąż byli razem. Mimo wszystko myśl o tym, że miałyby zostać zupełnie sama, przerażała ją. W Haven nigdy nie była sama.

Zawsze byli w pobliżu przynajmniej jacyś strażnicy.

Ale nie umiała kłamać. Nikogo nie znała, nie miała nikogo w tym zewnętrznym świecie, i on dobrze o tym wiedział.

– Była kiedyś pielęgniarką w Haven – powiedziała.

– Nie – rzucił krótko i ruszył przed siebie, kopiąc żwir.

– Zaczekaj. – Chwyliła go za ramię poprzecinane białymi bliznami.

Odwrócił się, a ona doznała czegoś niespodziewanego: jej ciało zrobiło coś, powiedziało jej coś, czego nie rozumiała.

– Nie – powtórzył.

Puściła jego rękę. Nie wiedziała, czego od niego chciała, ale czegoś na pewno i przez to czuła się zagubiona, zmęczona i nieszczęśliwa.

– Ona nie jest taka jak pozostali – rzekła.

Doktor O'Donnell powiedziała: „Jesteś dobrym człowiekiem”, mimo że siostra Em szlochała tak bardzo, że aż nos miała cały zasmarkany. „Chcesz wszystko naprawić. Wiem o tym”. Czyli musiała to być prawda.

– Niby skąd to wiesz? – zapytał 72. Zrobił krok w jej stronę i Lira o mało się nie potknęła, próbując się od niego odsunąć.

Nie chciała stać blisko niego, nie po tym, co się stało. Nawet w odległości kilkunastu centymetrów od niego czuła przebiegający przez ciało dreszcz – ciepły, żywy i szepczący. Nie cierpiała tego.

– Po prostu wiem – odparła. – Opuściła Haven. Chciała nam pomóc.

W myślach dodała: „Ponieważ doktor O'Donnell w nią wierzyła, a ona zawsze miała rację”. Niczego nie żałowała tak jak tego, że nie wie, gdzie mieszka pani doktor, i jeszcze raz wyobraziła sobie, jak ręka kobiety muska czubek jej głowy. Matka. Pomyślała, że jej dom musi być cały biały i bardzo czysty, tak jak Haven. Może wcale nie znajduje się nad oceanem, tylko gdzieś wśród pól, a wiatr przynosi przez otwarte okna zapach kwiatów.

Minął ich następny samochód, przy wtórze głośnej, dudniącej muzyki. A potem następny. Tym razem szyba zjechała i jakiś chłopak wystawił głowę, krzycząc coś niezrozumiałego. Wyrzucona przez niego pusta puszka przeleciała tuż obok głowy Liry.

Przez długi czas 72 tylko się w nią wpatrywał. Znow zaczęła się zastanawiać, czy jest brzydka, czy właśnie to sobie uświadomił, tak jak ona rozumiała, że jest piękny. Dla repliki nigdy nie miało to znaczenia i teraz też nie powinno mieć, ale dla Liry jednak miało. Zastanawiała się, czy właśnie w ten sposób ludzki świat w nią wsiąkał, czy stałaby się bardziej ludzka, gdyby pogodziła się z tym, że jest brzydka.

Nie chciała, żeby 72 uważał ją za brzydka.

Wreszcie odezwał się:

– Powinniśmy zejść z drogi i znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się przespać. – Miała wrażenie, że prawie się uśmiechnął. – Nie możemy spać tutaj. Słyszałaś go. Aż do rana nie będzie żadnych autobusów.

Gdy weszli w pole, musieli brodzić między pogniecionymi papierowymi kubkami, petami i plastikowymi reklamówkami. Wkrótce dotarli do skupiska oświetlonych budynków. Na jednym z nich widniał neonowy napis „Alkohole”. Ich położenie z dala od domów i zimne światło przypomniały Lirze boleśnie o Haven nocną porą, kiedy wstawiała zaspana, by skorzystać z ubikacji, i spoglądała przez okno na wieże strażnicze i reflektory, które wyostrzały krajobraz.

Na jednym z pochyłych szpiczastych dachów widniał krzyż, więc pomyślała, że musi to być kościół, chociaż poza tym nie różnił się od sąsiednich domów: był szary i pokryty gontem, oddzielony wąskim, popękany chodnikiem od stacji benzynowej i knajpy, zamkniętych na noc. Lira zauważyła napis na desce: „Byłem tu”. Wcale się nie zdziwiła. W tak dużym świecie pewnie łatwo się zgubić, więc trzeba sobie pisać przypomnienia.

Za kościołem znajdowało się porośnięte chwastami pole, a za nim następna droga, bardziej ruchliwa. Reflektory aut płynęły po ciemnej nitce szosy jak krew wzdłuż igły. Z tej odległości warkot samochodów przypominał szum oceanu. Ku zadowoleniu Liry rozłożyli koc blisko drogi i świateł. Przestrzeń pomiędzy obiema szosami, ta nicość i bezmiar, przerażały ją.

Koc był mały, więc kiedy położyli się jedno obok drugiego na plecach, nie mogli się nie dotykać. Lira nie wiedziała, jak zaśnie. Jej ciało znowu się odzywało, kazało jej się poruszyć, uciekać, dotknąć go. Ale tylko mocniej otuliła się ramionami i wpatrywała się w niebo, dopóki gwiazdy nie nabrały ostrości. Starła się odnaleźć Kasjopeję. Kiedy była mała, lubiła udawać, że gwiazdy to tak naprawdę światła, do których są przyczepione odległe wyspy, tak jakby wcale nie miała przed oczami nieba, ale ciemne morze. Teraz już знаła prawdę, lecz wciąż uważała widok gwiazd za kojący, zwłaszcza ich jednakowość. Jakby niebo było pełne płonących replik.

– Znasz więcej takich bajek?

Lira się wzdrygnęła. Myślała, że 72 już śpi. Miał zamknięte oczy i przesłaniał twarz ręką, która tłumiała jego głos.

– To znaczy?

Zdjął rękę z twarzy, ale nie otworzył oczu, więc mogła swobodnie na niego patrzeć. Jego twarz w ciemności znów wyglądała na obnażoną, jak gdyby w ciągu dnia nosił maskę, która opadała dopiero wtedy, gdy zamykał oczy. Przyglądała się kształtowi jego ust i nosa, ułożeniu kości policzkowych, i naszła ją ochota, by ich dotknąć i badać je palcami.

– Umiesz czytać. Opowiedziałś bajkę na mokradłach. O tej dziewczynce, Matyldzie. Pewnie znasz ich więcej.

Lira pomyślała o *Małym Księciu* i jego miękkiej okładce z ilustracją po obu stronach, rozmazanych kartkach i zapachu, utraconych na zawsze. Mocno ścisnęła swoje żebra, trochę pragnąc, by pękły.

– Tylko jedną ciekawą – odparła.

– Opowiedz ją.

– Co? – spytała zaskoczona.

Tym razem otworzył oczy i odwrócił twarz w jej stronę.

– Opowiedz ją – powtórzył. Po czym dodał: – Proszę. – Miał bardzo długie rzęsy. Jego usta wyglądały jak soczyste owoce, w które można się wgrzyźć.

Teraz nie miała wątpliwości, że się uśmiechnął. Jego zęby błysnęły bielą w ciemności.

Odwróciła wzrok. Gwiazdy nad jej głową poruszyły się nieznacznie.

– O, tam – powiedziała, wskazując ręką. – Widzisz tamtą gwiazdę?

– Którą?

– Tamtą. Tę małą, mrugającą. Tuż obok tej, która wygląda, jakby była niebieska.

Nie miało znaczenia, czy patrzył na tę samą gwiazdę co ona. Ale po chwili odpowiedział:

– Tak, widzę.

– To planeta B-612 – rzekła. – Właściwie to asteroida. I właśnie stamtąd pochodzi Mały Książę. – Zamknęła oczy i w myślach usłyszała głos doktor O'Donnell, poczuła cytrynowy balsam, zobaczyła palec wędrujący po stronie i wskazujący różne słowa. – To mała planeta, ale należy do niego. Są na niej trzy wulkany, dwa czynne i jeden wygasły. Są tam też baobaby, które próbują porosnąć wszystko. I jest róża. Mały Książę kocha różę. – Ta część książki była dla niej najbardziej niejasna, ale powiedziała to, ponieważ miała pewność, że to istotne.

– Kim jest Mały Książę? – zapytał 72.

– Mały Książę ma złote włosy, szalik i kocha zachody słońca – odparła Lira, recytując z pamięci.

– Co to znaczy „kochać”?

Lira się poruszyła.

– To znaczy... – Nie wiedziała. – To chyba znaczy, że ktoś lub coś jest dla ciebie ważne.

72 nic nie odpowiedział. Chciała kontynuować, ale poczuła niemiłe ciśnienie w piersi, jak gdyby ktoś wpuszczał jej endoskop do płuc.

– Co trzeba zrobić, żeby ktoś cię pokochał? – zapytał po chwili. Jego głos był cichy i senny.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Lira. Odetchnęła z ulgą, gdy zasnął albo przynajmniej udawał, że śpi. Po tym wszystkim nie miała już ochoty opowiadać bajki.

12

O poranku obudził ich czyjś krzyk. Najpierw Lira pomyślała, że ktoś ich zauważył, ale zobaczyła tylko mężczyznę w grubych rękawiczkach, który przerzucał śmieci z kontenera do ogromnej ciężarówki. Przez chwilę jak zahipnotyzowana obserwowała śmieci miażdżone przez maszynę przypominającą ogromne metalowe zęby. Wokół roznosił się mdlący zapach. Mimo to poczuła, że jest głodna.

Wtedy przypomniała sobie o pieniądzach, które ukradli z portfela Gemmy.

72 też się obudził. Mężczyzna w rękawiczkach spoglądał na nich, jak zwijali koc i wpychali go do plecaka, ale nic nie powiedział. Do Liry zaczynało docierać, że ludzie poza Haven raczej się nimi nie interesują. Może ich świat był po prostu za duży. Nie mogli zwracać uwagi na wszystko.

Jej towarzysz również był głodny, więc weszli do knajpy przy stacji benzynowej, gdzie oboje umyli twarze i ręce, najpierw ona, potem on. Lira nawet zmoczyła głowę i wyszorowała zęby. Nad umywalką znajdowały się stos małych papierowych kubeczków i jasnoniebieski płyn do ust w dozowniku. Gdy wróciła do stołu, 72 majstrował przy ukradzionym telefonie Jake'a.

– Cały czas dzwoni – powiedział.

I rzeczywiście, telefon w jego rękach świecił się i wygrywał irytującą melodyjkę.

– Daj, ja spróbuję. – Widziała wcześniej telefony komórkowe, ale tylko raz trzymała taki w rękach, kiedy siostra Em, wiele lat temu, pokazywała jej zdjęcia swojego psa. Pomeraniana. „Biały i puchaty, ale poza tym podobny do szczura”, pomyślała wtedy Lira, choć nie powiedziała tego na głos. Może ten pies ciągle

żył. Nie miała pojęcia, jak długo żyją psy, czy dłużej niż repliki.

Udało jej się uciszyć telefon i zwróciła go 72, który włożył go do kieszeni. Zastanawiała się, czemu ciągle nosi go pod ręką, skoro nie miał do kogo dzwonić. Może z tego samego powodu, dla którego uciekł: żeby zobaczyć, jak to jest. Choć przez chwilę.

W menu było tyle słów, że od samego patrzenia rozbolała ją głowa. Był cały dział pod tytułem „Jajka”. Na ile sposobów można je przygotować? W Haven zawsze przyrządzano je w postaci jajecznicy, chrupiącej i brązowej na spodzie.

– Co za marnotrawstwo – skomentował 72, jak gdyby był zły z powodu menu. – Całe to jedzenie. – Ale zdaniem Liry wkurzał się, bo nie umiał czytać. Na szczęście nie wspominał już o bajce, którą zaczęła mu opowiadać wczorajszej nocy, o Małym Księżciu.

Jego pytanie wciąż nie dawało jej spokoju, tak samo jak uczucie, które później ją ogarnęło, dziwnej pustki, jak gdyby już była martwa.

Podeszła do nich kobieta i zapytała, co chcą zamówić. Po raz pierwszy pytano Lirę o coś takiego. Nagle zatęskniła za stołówką w Haven, za jedzeniem, które leżało podświetlone na pomarańczowo pod lampami grzewczymi i które na talerz nakładała im kobieta w siatce na włosach, z wiecznie skwaszoną miną. 72 zamówił kawę i jajecznicę, więc ona poprosiła o to samo. Jajka były przypalone od spodu i smakowały tak jak w Haven, dzięki czemu poczuła się lepiej.

Zapłacili dwoma banknotami od Gemmy i dostali z powrotem mnóstwo monet. Młodszym replikom na pewno spodobałaby się zabawa nimi: mogłyby je podrzucać, toczyć po podłodze albo patrzeć, kto więcej razy z rzędu wyrzuci awers. Zaczęła się zastanawiać, gdzie znajdują się teraz inne repliki, i wyobraziła je sobie w nowym Haven, tym razem może położonym w górach, wśród orzeźwiającego zapachu sosen. Zaraz jednak przypomniała sobie, czym byli. Nosicielami.

Skazanymi na przedwczesną śmierć.

Gdy spytała kelnerkę o Palm Grove, kobieta skierowała ich w górę drogi na przystanek autobusowy.

– Na pewno go zauważycie – powiedziała. – Wsiądziecie w dwunastkę jadącą w stronę Tallahassee. Gdy zobaczycie park wodny, to będzie Palm Grove. Jedźcie do parku wodnego?

Lira pokręciła głową. Kobieta zrobiła balona z gumy.

– Szkoda. Mają tam zjeżdżalnię wysoką na trzy piętra. Zwą ją Kobrą. Pewnie dzisiaj będzie się tam działo. Skąd jesteście?

Lira znowu pokręciła głową i wyszli na upał.

Zanim doszli do przystanku, buty obtarły ją do żywego. Nie nawykła do ich noszenia, ale asfalt był zbyt gorący, by iść boso, pobocze zaś skrzyło od potłuczonego szkła. Kiedy czekali na autobus, 72 podniósł koszulkę, żeby otrzeć nią twarz. Odsłonił gładki brzuch, a na nim długie pasmo potu znikające pod paskiem spodni. Nie wzbudziło to w niej obrzydzenia.

Kiedy nadjechał autobus 12, 72 był wyraźnie dumny, że wreszcie jest w stanie coś przeczytać – prawie wykrzyczał jego numer. Ale gdy weszli do środka, dowiedzieli się, że muszą mieć bilet. Zatem wysiedli i wrócili do poczekalni, gdzie mężczyzna w kasie ofuknął ich, że wstrzymują kolejkę i że dają mu złe banknoty, przez co Lirze ze zdenerwowania monety rozsypały się po podłodze. Była zbyt speszona, by je pozbierać – wszyscy gapili się na nią, jak gdyby wiedzieli – więc gdy tylko dostali bilety, wybiegli na zewnątrz, nie zważając na krzyki. Ale autobus już odjechał i musieli zaczekać na następny. Na szczęście przyjechał niemal pusty, więc mogli zająć miejsca z tyłu, z dala od innych pasażerów.

Autobusem jechało się lepiej niż samochodem. Nie było jej aż tak niedobrze, ale świat za oknem i teraz wydawał się przemieszczać z oszalamiającą prędkością.

Widziała jeszcze więcej niezwykłych widoków: autostrady wznoszące się ponad kolejnymi miastami, a potem opadające i łączące się z innymi autostradami, pasma nieurodzajnej ziemi spalonej słońcem na brąz, budynek za budynkiem jak niekończący się rząd zębów. Po godzinie zauważyła ogromną plastikową pionową spiralę, węzowatą, jaskrawoniebieską, oraz ogromny billboard wbity w ziemię z napisami „Bluefin” i „Park Wodny”, a między nimi kilka innych słów, których nie zdążyła odczytać.

Minęli parking mieniący się od samochodów i ludzi, prawdziwych ludzi: dzieci brązowych od słońca, porozbieranych i niosących kolorowe ręczniki, mężczyzn i kobiet prowadzących ich do wejścia. Zobaczyła matkę przykucającą przed dziewczynką i dotykającą chusteczką jej twarzy, która była czerwona od płaczu – ale autobus poruszał się zbyt szybko i wkrótce rząd drzew zasłonił jej widok.

Kierowca oznajmił, że dojechali do Palm Grove, i autobus zatrzymał się przed zniszczonym motelem o nazwie Starlite. Wcześniej Lira wyobrażała sobie to miasto jako rząd domów w pastelowych odcieniach, takich jak w okolicy, którą opuścili w środku nocy. Ale Palm Grove było dużo większe: szerokie drogi z dwoma pasami ruchu, restauracje i stacje benzynowe, sklepy odzieżowe i spożywcze. Na każdym rogu krzychały do nich ogłoszenia: „Mleko, tylko 3,99”, „*Faceci i laleczki*, sala koncertowa Alberta Irvinga, sobota”, „Darmowy parking do godziny, poniedziałek–sobota”. Nawet nie widziała żadnych domów, a na ulicach doliczyła się kilkunastu ludzi, wchodzących do sklepów i wychodzących z nich albo rozmawiających przez telefon. Przez ten upał miała wrażenie, że znajduje się w środku czyjś ciało, pod czyjąś skórą, błoniastą i śliską. Ilu ludzi mogło mieszkać w jednym mieście?

– I co teraz? – zapytał 72. Przez cały ranek był w złym nastroju, od kiedy zapytała go, skąd się wzięły blizny na jego przedramionach, tak niepodobne do blizn jej albo innych replik, tych po punkcji czy pobieraniu tkanek, co, jak już

teraz wiedziała, miało na celu sprawdzenie, jak bardzo rozprzestrzeniły się priony, jak szybko się powielają i kiedy repliki umrą.

Ale on powiedział tylko „wypadek” i prawie nie odzywał się do niej w autobusie. Siedział ze spuszczoną głową, założonymi rękami i zamkniętymi oczami. Lira doliczyła się czternastu blizn, czterech na prawej ręce i dziesięciu na lewej. Zauważyła mały pieprzyk na jego uchu i przebiegł ją dziwny dreszcz, bo siedziała tak blisko niego po tylu latach niewidywania w ogóle męskich replik.

– Nie bój się – powiedziała, tak jak zawsze mówiły pielęgniarki. „Ciii. Nie bój się. Poczujesz tylko lekkie szczypanie. No już, po co te krzyki? Nie bój się, zaraz będzie po wszystkim”.

Lira zdobyła się na odwagę i zagadnęła pierwszą napotkaną osobę, która wydawała się mniej więcej w jej wieku. Dziewczyna siedziała na krawężniku przed sklepem o nazwie Digs i stukwała w telefon. Kiedy podniosła wzrok, Lira zobaczyła, że jest umalowana, co ją trochę zaskoczyło – wydawało jej się, że makijaż jest zarezerwowany dla dorosłych kobiet, takich jak pielęgniarki.

– Cześć – powiedziała. – Szukamy Emily Huang.

– Emily Huang. – Dziewczyna zmierzyła ją wzrokiem, a potem popatrzyła na 72. Wyprostowała się i rzuciła mu takie spojrzenie, jakie miały aktorki w oglądanej przez pielęgniarki telewizji albo modelki w czasopismach, które siostry czasami gdzieś zostawiały.

Lirze się to nie spodobało i dotarło do niej, jak bardzo różni się wyglądem od tej dziewczyny, która była okrągła i śliczna, miała gładką skórę, piękne ciało i długie, opadające miękko włosy. Lira, w szarych ubraniach, z wystającymi kośćmi i blizną nad brwią, znów pomyślała o słowie „brzydka”.

– Emily Huang – powtórzyła dziewczyna. – Chodzi może do Wallace?

– Nie... nie sadzę. – Nagle Lira zaczęła żałować, że się zatrzymali.

– Niestety, przykro mi. – I rzeczywiście wyglądała, jakby było jej przykro, ale nie odrywała wzroku od 72. – Nie znam jej. – A potem odwróciła się i rzuciła

Lirze uśmiech, który nie należał do przyjaznych, raczej jakby właśnie zjadła coś, czego nie powinna. – Fajna fryzura tak w ogóle. Jak po chemioterapii.

Ruszyli dalej. Lira wciąż czuła na sobie wzrok dziewczyny i zastanawiała się, czy 72 też go czuje. Powiedział jedynie „za dużo tu ludzi”, a ona skinęła głową, ponieważ miała ściśnięte gardło i nie była w stanie wydobyć słowa. Brzydka. To oznaczało, że tamta dziewczyna była ładna. Nie czuła się dobrze pośród tych wszystkich ludzi – miała wrażenie, że jest mała i jeszcze mniej ważna niż pośród tysięcy replik hodowanych jak zwierzęta w barakach.

Następna osoba, którą zagadnęła, była stara i brzydka: workowata skóra zwisała jej pod podbródkiem, a zmarszczki na jej twarzy sprawiały, że wyglądała, jakby się roztopiała. Ale i ona nie wiedziała, kim jest Emily Huang, pokręciła tylko głową i poszła dalej. Potem zatrzymali mężczyznę oraz chłopca około dwunastu lat, który jechał na desce z kółkami – jak potem sobie przypomniała, nazywanej deskorolką. Nikt nie znał Emily Huang, a Lirze nie spodobało się spojrzenie, jakie rzucił im mężczyzna.

Było jej gorąco, chciało jej się pić i traciła nadzieję. Miasto rozrastało się na jej oczach. Gdy tylko dochodzili do rogu jakiejś ulicy, wyłaniała się z niej następna, na której było jeszcze więcej budynków i ludzi.

– Nigdy jej nie znajdziemy – stwierdził 72. Nie podobało jej się, że wydawał się z tego powodu zadowolony, jak gdyby dowiódł swojej racji. – Możemy tak łązić bez końca.

– Zaczekaj chwilę. Stój.

Przed oczami zatańczyły jej kolorowe plamki. Podkoszulek kleił jej się do pleców. Zrobiła krok i poczuła, że krawężnik biegnie jej na spotkanie. Przytrzymała się znaku drogowego – „Strefa wyładunku, nie zastawiać” – żeby się nie przewrócić.

– Hej. – Głos 72 się zmienił. Musnął ręką jej łokieć. – Źle się czujesz?

– Gorąco mi – wydusiła z siebie.

– Chodźmy stąd – powiedział. – Potrzebujesz wody. I cienia.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się park, który przypominał Lirze dziedziniec w Haven, ponieważ w jego centralnej części również stał pomnik. Ten tutaj przedstawiał kobietę z rękami złożonymi jak do modlitwy i pochyloną głową. W parku było dużo drzew, a przy ocienionych alejkach stały ławki. 72 cały czas ją podtrzymywał, chociaż twierdziła, że nie jest to konieczne.

Rzeczywiście poczuła się lepiej, gdy tylko napiła się wody z poidelka i usiadła na ławce w cieniu. Spomiędzy gałęzi drzew dochodził świergot ptaków. Było tu pięknie, tak spokojnie. Na końcu parku stał ogromny budynek z czerwonej cegły, którego fasada była do połowy pokryta lśniąca ścianą pnącego się bluszczu. Lira ujrzała krzyż nad szklanymi drzwiami, a obok litery: „Liceum Wallace”. Serce jej podskoczyło. Wallace. Tamta dziewczyna na ulicy wspomniała tę nazwę.

– Jaki masz teraz plan? – 72 był wobec niej bardzo uprzejmy, przez co Lira czuła się jeszcze gorzej. Na pewno uznał, że im się nie udało. I wiedział, jak bardzo jest chora.

Nie odpowiedziała mu, tylko się podniosła. Zobaczyła, że ktoś przechodzi za szklanymi drzwiami, i ruszyła w tamtą stronę, jak gdyby przyciągała ją jakaś niewidzialna siła.

– Lira! – krzyknął za nią, jednak się nie zatrzymała.

Wkrótce ją dogonił, ale ona już stała przed budynkiem, z którego wyłoniła się kobieta ze stosem teczek.

– Czy mogę wam jakoś pomóc? – zapytała i Lira zdała sobie sprawę, że bezceremonialnie gapi się na kobietę.

– Szukamy Emily Huang – odparła szybko, póki jeszcze miała w sobie odwagę. Pamiętając, co powiedziała tamta dziewczyna, dodała: – Myślimy... że może chodzić do Wallace. – Nie wiedziała, co to znaczy. Wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że jej rozmówczyni to wie.

Kobieta założyła okulary, do tej pory wiszące na łańcuszku. Zwisająca na szyi skóra i oczy, którymi śmiesznie mrugała, upodabniały ją do żółwia.

– Emily Huang – powtórzyła, kręcąc głową. – Nie, nie. Nigdy się tu nie uczyła.

Lirze stanęło serce. Kolejne „nie”. Kolejna ślepa uliczka. A wtedy kobieta dodała:

– Ale przychodziła zawsze na dni kariery, by opowiadać młodzieży o swojej pracy. Później wygadywano o niej straszne rzeczy. To była dobra dziewczyna. Bardzo ją lubiłam.

– Więc zna ją pani? – Nagła radość przyprawiła Lirę o zawrót głowy. Siostra Em. Ona im pomoże. Ona ich ochroni. – Wie pani, gdzie możemy ją znaleźć?

Kobieta spojrzała na nią dziwnie.

– Znałam ją – powiedziała powoli. – Mieszkała tam, przy Willis Street, zaraz za szkołą. Na pewno znajdziecie to miejsce. Uroczy żółty domek i te wszystkie kwiaty... Chociaż kobieta, która teraz tam mieszka, nie dba o niego.

I tak oto całe jej szczęście się ulotniło. Wyparowało.

– Wyjechała? – zapytała Lira. – Wie pani dokąd?

Kobieta pokręciła głową i wtedy Lira zrozumiała, co oznacza ten wyraz twarzy: litość.

– Nigdzie nie wyjechała, kochanie. Jak to mawiają niektórzy, została na zawsze. Powiesiła się w salonie jakieś trzy–cztery lata temu. Emily Huang nie żyje.

Lira sama nie wiedziała, z jakiego powodu chciała zobaczyć miejsce, gdzie mieszkała Emily Huang. Gdy pytała o drogę na Willis Street, 72 się nie sprzeciwiała. I dobrze – nie wiedziałyby, jak mu to wyjaśnić.

Za szkołą znaleźli ciche uliczki odchodzące promieniście od centrum miasta i wreszcie domy, ale nie ukryte za wysokimi płotami, tylko stojące beztrosko na

trawnikach, takie, w których oknach stały doniczki z kwiatami, a na gankach były porzrzucone kolorowe zabawki. Było tu tak pięknie, że nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego Emily Huang miałaby poczuć się na tyle nieszczęśliwa, by się zabić, tak jak zrobiła to biedna Pepper. I znowu Lirze stanęła przed oczami scena, kiedy to siostra Em szlochała, a doktor O'Donnell trzymała ją za ramiona. „Znam cię – mówiła. – Jesteś dobrym człowiekiem. Tylko znalazłaś się w sytuacji, która cię przerosła”. Więc może była nieszczęśliwa już wcześniej.

Dom siostry Em był kiedyś, jak powiedziała im starsza kobieta, jasnożółty i rzucał się w oczy. Teraz miał wyblakły kolor musztardy. Rabatki kwiatowe wyglądały smutno i żałośnie, a na trawniku przed domem leżały porzucone cztery rowery i tyle zabawek, że wyglądały, jak gdyby wypełzały z ziemi. Z domu dobiegała głośna muzyka.

Lira zamknęła oczy i ułożyła po kolei wszystkie swoje wspomnienia o siostrze Em: Jak kapała ją i kilkanaście innych replik, kiedy jeszcze były zbyt małe, by same to robić – zanurzała je w wodzie i wyciągała potem jak śliskie, wierzgające szczeniaki na zimne kafelki podłogi. Jak stała z doktorem Sapersteinem na dziedzińcu i rozmawiała z nim cichym głosem, a kiedy odwróciła się i złowiła spojrzenie Liry, lekarz odpowiedział: „To nic. One i tak nie rozumieją”. I tamten raz w schowku na środki czystości z doktor O'Donnell.

– Przykro mi – powiedział 72 i Lira otworzyła oczy. Może już nie był na nią zły. Jego oczy nabrały łagodności.

Nigdy wcześniej nikt nie mówił jej niczego takiego.

– Z jakiego powodu?

– Wiem, że liczyłeś na jej pomoc.

– Teraz nie mamy nikogo. – Zakryła oczy ręką. Nie chciała, żeby 72 widział, jak bardzo jej smutno. – Nie mamy też dokąd pójść.

72 po chwili wahania dotknął wierzchu jej dłoni.

– Masz mnie – powiedział bardzo cicho.

Spojrzała na niego zaskoczona. W miejscu, gdzie położył rękę, przez jej skórę przebiegło mrowienie.

– Naprawdę? – Poczowała gorąco w głowie i w klatce piersiowej, ale było to miłe uczucie, jak gdyby stanęła na słońcu po długim pobycie w klimatyzowanym pomieszczeniu.

Kiwnął głową.

– Masz mnie – powtórzył. – A ja mam ciebie.

Wyglądał, jakby chciał powiedzieć więcej, ale właśnie wtedy na posesji sąsiadującej z domem Emily Huang zaklekotały drzwi od garażu i stanęła w nich otyła kobieta w dresach. Wytoczyła się z koszem na śmieci i wbiła w nich spojrzenie. Lira odsunęła się od 72. Czuła się tak, jak gdyby zostali przyłapani na gorącym uczynku, mimo że przecież nic nie robili. Czekwała, aż kobieta wróci do środka, ale ona stała z jedną ręką na koszu, sapiąc i nie odrywając od nich wzroku.

– Chcecie czegoś?! – krzyknęła, gdy tylko złapała oddech. Odlepiała podkoszulek od ciała. Między jej piersiami ciemniała wielka plama potu.

– Nie – odparł szybko 72.

Ale kobieta wciąż się w nich wpatrywała, więc Lira dodała:

– Chcieliśmy znaleźć Emily Huang. Była naszą... przyjaciółką. – Rozkoszowała się brzmieniem tego słowa i miała ochotę je powtórzyć, ale ugryzła się w język.

Twarz kobiety zmieniała się, stężała jak maska.

– Znaliście Emily?

Lira w całym swoim życiu nie musiała tyle kłamać. Zastanawiała się, czy zdolność do kłamstwa też jest ludzką cechą. Próbowwała coś wymyślić, ale w głowie miała zupełną pustkę. Jak brzmiało to słowo?

– Rodzice – powiedziała wreszcie. Ta myśl przyszła do niej jak błysk. – Była przyjaciółką moich... naszych rodziców.

Nawet 72 spojrział na nią z zaskoczeniem. Policzki jej płonęły. To kłamstwo było inne, cięższe. Słowo „rodzice” pozostawiło w jej gardle wrażenie śliskości, jak gdyby wypełzło z brzucha. Była pewna, że kobieta pozna, że to nieprawda. Ale ona wykonała tylko jakiś dziwnie nerwowy, trzepoczący gest. Dopiero gdy 72 się ruszył, Lira zrozumiała, że kobieta przyzywa ich do siebie.

– Do środka. – Miała śmieszny, kaczy chód. Ciągłe się odwracała, by sprawdzić, czy za nią idą. – Chodźcie. No chodźcie.

Lira miała za mało doświadczenia, by zastanawiać się, czy wchodzenie za nieznaną do jej domu jest bezpieczne. Wkrótce stali w chłodzie garażu, a drzwi zatrząskiwały się za nimi ze zgrzytem, jak zamykająca się przesłona odcinająca wszelkie światło. W środku unosił się lekki zapach nawozu i chemikaliów.

– Wybaczcie, że tak was poganiam – powiedziała kobieta, zmierzając w stronę drzwi, które musiały prowadzić do domu. – Nigdy nie wiadomo, kto tu węszy. Wszyscy wściubiają nos w nie swoje sprawy. Właśnie na tym polegał problem Em, jeśli chcecie znać moje zdanie. Ufała niewłaściwym ludziom. – Otworzyła drzwi. – A tak w ogóle: mam na imię Sheri. Sheri Hayes. Chodźcie, pogadamy. Dam wam lemoniady i coś na ząb.

Chociaż nie spoglądali na siebie, Lira wiedziała, co myśli 72: ci ludzie nie byli tacy jak tamci w Haven. Byli mili. Pomocni. I nie orientowali się, kim oni naprawdę są. Lira domyślała się, że gdyby wiedzieli, nie byłiby tak życzliwi. Wyobraziła sobie wnętrze swojego ciała gnijące od choroby i zastanawiała się, czy wkrótce będzie to widać na zewnątrz, na jej twarzy.

– No chodźcie. Nie stójcie jak kołki. Pot się ze mnie leje.

Weszli za Sheri do środka. Lirę przestraszył widok kota wyciągniętego tuż przed nią w korytarzu i odskoczyła.

– Ojej, chyba nie masz alergii? Mam trzy koty. Tabby, Tammy i Tommy są rodzeństwem. Każdy z nich to mały terrorysta. Ale nie bójcie się, nie ugryzą was.

Lira ujrzała kolejne dwa koty usadowione na kanapie w zaciemnionym

salonie, ich oczy świeciły na żółto. Jej serce wciąż mocno waliło. Nie była przyzwyczajona do zwierząt wałęsających się na wolności. W Haven trzymano je w klatkach. Ucieszyła się, że przeszli do kuchni.

Sheri posadziła ich przy drewnianym stole i przyniosła dwie lemoniady w wysokich szklankach wypełnionych po brzegi kostkami lodu. To było przepyszne. Wyjęła też cały talerz ciastek.

– Więc skąd jesteście? – zapytała, a Lira zamarła zaskoczona.

72 przesunął kciukiem po sęku w stole. Ale Sheri nie zwróciła na to uwagi.

– Rozumiem – rzuciła. – Niech zgadnę. Emily pomogła umieścić was u rodziców, prawda? Przeszliście przez Fundację Dom?

Lira nie miała pojęcia, o czym Sheri mówi, więc siedziała cicho, a kobieta najwyraźniej wzięła to za potwierdzenie.

– No jasne, że tak. Podobni do siebie to wy raczej nie jesteście. – Westchnęła. – Biedna Emily. Zatem dobrze ją znaliście?

– Tylko trochę – odparła Lira ostrożnie. Wiedziała, że siostra Em nigdy nie uderzyła żadnej repliki ani nie wyzywała ich od demonów. Wiedziała, że doktor O'Donnell uważała Emily za dobrą osobę, która chciała wszystko naprawić. Wiedziała też, że była młodsza niż większość pielęgniarek, ponieważ usłyszała również inne słowa pani doktor: „Jesteś młoda. Nie wiedziałas, co robisz. Nikt cię nie będzie winił”.

– Była dobrą dziewczyną. Wszystko, co zrobiła dla innych... Miałam ochotę pozabijać tych, którzy wypisywali o niej bzdury w gazetach po jej śmierci. To był dla mnie szok, wiecie, prawdziwy szok. Umawialiśmy się w tamten weekend na grilla. Zadzwoiła do mnie tego dnia, kiedy to się stało, z pytaniem, czy wolę sałatkę makaronową czy ziemniaczaną. – Pokręciła głową. – Niby jak człowiek, który ma zamiar się powiesić, może się martwić o sałatkę?

Lira wiedziała, że kobieta nie oczekuje od niej odpowiedzi. Sheri kontynuowała:

– To takie smutne. Emily była jeszcze młoda. Trzydzieści cztery lata, może trzydzieści pięć. Przypuszczam, że chodziło o jakiegoś faceta. Może o więcej niż jednego. Pewnie wysyłała jakieś sygnały. Wiecie, po tym, jak znaleziono ciało, trochę poszperałam w internecie. Znalazłam informacje o sygnałach ostrzegawczych. Oczywiście wcześniej nie patrzyłam na to w ten sposób. Ale rozdała trochę swoich rzeczy na tydzień przed śmiercią, a to właśnie jedna z takich oznak. Rozdawanie cennych przedmiotów. Wtedy myślałam, że po prostu jest miła.

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że chodziło o jakiegoś faceta? – zapytał 72.

Lirę to zaskoczyło, jak zwykle, kiedy się odzywał. Rzadko to robił, o ile nie byli sami. W jakiś sposób czuła się dzięki temu wyjątkowa. Jej szklanka była już pusta, ale wciąż zimna, więc przyłożyła ją sobie do karku.

– A czy nie zawsze chodzi o faceta? – Sheri uniosła brwi. – Poza tym trudno było nie zauważyć mężczyzn, którzy do niej przychodzili. Oczywiście nie cały czas, zdarzyło się tak może raz czy dwa, na ile mogę stwierdzić. Jacyś ważniacy w garniturach. Jakby z finansów albo coś takiego. Nie zrobili na mnie dobrego wrażenia.

Lira pomyślała o mężczyznach, którzy czasem przyjeżdżali do Haven na inspekcję, i ciarki przeszły jej po plecach. Ważniacy. Tak nazywały ich pielęgniarzy. Sheri pokręciła głową.

– Ale zawsze powtarzam, że o gustach się nie dyskutuje.

Lirze nagle przyszło do głowy pewne pytanie.

– Powiedziała pani, że rozdawała swoje rzeczy – rzekła, nagle oszołomiona myślą, co może się za tym kryć. – Pani też coś dała, prawda? – Może, pomyślała, siostra Em zostawiła Sheri coś ważnego, może coś związanego z Haven i pracą, którą tam wykonywała. Z prionami.

Z lekiem na ich chorobę.

Sheri oparła się na blacie i podniosła.

– Nie wiedziałam, co z nimi zrobić. Ale też nie mam serca ich wyrzucić. Choć pozwoliła mi na to. Powiedziała, że jeśli chcę, mogę rozmontować to cholerstwo i wyrzucić, a ramki sprzedać. Ale oczywiście tego nie zrobiłam.

Poszła do innego pokoju. 72 rzucił Lirze pytające spojrzenie, a ona wzruszyła ramionami. Nie wiedziała już, czego szukała, czego się spodziewała. Wiedziała tylko, że w tym zewnętrznym, prawdziwym świecie nie było odpowiedzi – nic, tylko nieskończoność, rzeczy, których nigdy przedtem nie widziała na żywo, doświadczenia, których nie rozumiała, i nieznajomi, którzy nie mieli pojęcia, czym ona jest, i którzy nienawidziliby jej, gdyby znali prawdę. Że nie była niczym innym, tylko chorobą. Żyła jako nic, żeby później umrzeć jako nic.

W Haven nigdy niczego nie pragnęła, nigdy w jakiś istotny sposób. Bywała głodna, zmęczona, znudzona i chora. Chciała więcej jedzenia, zimnej wody, więcej snu, żeby przestało ją boleć, żeby móc wyjść na zewnątrz. Ale nigdy nie czuła potrzeby, która by ją poruszyła. Nigdy nie miała celu, który wydawał się nie końcem, lecz początkiem. Nigdy nie dążyła do niczego. Teraz to się zmieniło. Chciała zrozumieć.

I ten jeden fakt czynił ją bardziej ludzką, bardziej wartościową, niż była kiedykolwiek.

Zdziwiło ją, gdy 72 wziął ją za rękę. Spojrzała na niego i poczuła, że z jej ciałem znowu dzieje się coś niezwykłego, jak gdyby rozpuszczała się w powietrzu. Odsunęła się, gdy Sheri wróciła do pokoju z trzema oprawionymi obrazkami. Cisnęła je na stół.

– Widzicie, że to raczej nie mój gust – powiedziała.

Były to ilustracje. Lira domyślała się, że pochodzą z podręcznika anatomii. Widziała wiele podobnych rysunków w książkach medycznych w Haven.

– Lubię swoje kociaki, lubię powiesić sobie na ścianie jakiś ładny widoczek. Ale grafiki to nie moja bajka.

Lira uznała, że te rysunki są piękne – urzekły ją w nich surowa fizjonomia

mięśni, precyzja kości i nawet wyblakłe litery, zbyt małe, by je odczytać, opisujące różne cechy fizyczne. Ale i tak była strasznie rozczarowana. Nie były to żadna sekretna wiadomość ani cudowny lek.

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon. Sheri znowu się podniosła.

– Nigdy nie dadzą człowiekowi spokoju, co nie? – Westchnęła. – Wrócę za chwilkę.

Gdy tylko wyszła, następny kot, tym razem szary, wskoczył na stół i Lira odruchowo chwyciła jedną z oprawionych ilustracji, by jej nie zdeptał.

– Po co trzymać w domu koty? – zapytał szeptem 72.

Nie umiała odpowiedzieć, sama się nad tym zastanawiała. Nagle poczuła wybrzuszenie z tyłu obrazka i odwróciła ramkę, pełna nadziei.

Oślonka była przypięta klamrami do drewnianej ramy. Po dwóch stronach prostokątnej ilustracji klamry były na miejscu. Ale dwóch brakowało, zamiast nich widać było w regularnych odstępach grudki kleju, który gdzieniegdzie wyciekł i zasechł na drewnie. Lira, tak jak inne repliki, zbyt często szukała w Haven kryjówek dla swoich małych skarbów, by nie podejrzewać, że obrazek, który siostra Em dała Sheri, mógł skrywać coś innego.

Siostra Em powiedziała sąsiadce, że może rozmontować to cholerstwo. Co, jeśli sugerowała, że właśnie to powinna zrobić?

Telefon przestał dzwonić, za to usłyszeli przytłumiony głos Sheri. Pewnie zamknęła drzwi. Szybko, póki jeszcze miała odwagę, Lira podważyła róg osłonki i oderwała ją.

– Co ty wyprawiasz? – 72 chwycił ją za nadgarstek, jak gdyby chciał ją powstrzymać.

– Siostra Em oddała te obrazki przed śmiercią – wyszeptowała. – Może coś w nich ukryła. – Obawiając się jednocześnie, że coś znajdzie i że niczego nie znajdzie, włożyła rękę pod rysunek. Jej palce od razu natrafiły na kilka śliskich i błyszczących kartek. Zdjęcia.

Rozłożyła je na stole. Były trzy, na każdym znajdowała się siostra Em z wysokim, ciemnowłosym, brodatym mężczyzną, który miał skwaszoną minę. Na pierwszym z nich siostra siedziała mu na kolanach, a on odwracał twarz od aparatu. Na drugim całowała go w policzek, on zaś podnosił rękę, jak gdyby chciał zasłonić się przed obiektywem. Ale na ostatnim było go widać wyraźnie. Stali przed pasmem autostrady, a w oddali majaczył łańcuch błękitnych wzgórz. Siostra trzymała słomkowy kapelusz i wyglądała na szczęśliwą. Lirze zrobiło się niedobrze, sama nie wiedziała czemu.

– Doktor Saperstein. – To 72 nazwał go pierwszy.

Mogła tylko przytaknąć. Zdjęcia bez wątpienia przedstawiały doktora Sapersteina, o którym Lira zawsze myślała podobnie, jak ludzie myśleli o swoim Bogu: jak o kimś niedostępnym i wszechmocnym, kto ustalał porządek całego świata.

Przez chwilę nie było słycać gadania Sheri, ale potem z drugiego pokoju doszedł ich wybuch śmiechu, więc Lira wiedziała, że wciąż mają trochę czasu.

– Szybko – powiedziała. – Pomóż mi z pozostałymi ramkami.

Odwróciła drugi obrazek. Tak jak w przypadku pierwszego tył był oderwany od ramy i przyklejony ponownie. Ale tym razem zrobiono to starannie, więc trudniej było oderwać spód. 72 nachylił się z nożem w dłoni i przeciął obrazek, ledwie mijając jej palce.

– Tak będzie szybciej – oznajmił i zabrał się do rozcinania trzeciego.

Pod drugą ramką znaleźli złożoną kartkę papieru, która na pierwszy rzut oka wyglądała na listę nazwisk, i dokument napisany na komputerze, tyle że Lira nie miała teraz czasu na czytanie. Nie miała też czasu na sprawdzenie trzeciego obrazka. W tej chwili usłyszała otwierające się drzwi i głos Sheri, nagle głośniejszy.

– Zadzwoń do ciebie jutro – mówiła. – To trochę niemiłe z mojej strony...

Wystarczyłoby, żeby rzuciła okiem na ramki, by zorientować się, co zrobili

i że coś zostało z nich usunięte. Lira i 72 w milczeniu wstali od stołu i ruszyli najciszej, jak umieli, w stronę kuchennych drzwi, które wychodziły na mały taras. Sheri wciąż starała się zakończyć rozmowę. Lira obserwowała ją przez szparę w drzwiach i zamarła z ręką na klamce.

– Mam gości – wyjaśniała Sheri. – Ale przysięgam, że słuchałam...

A potem kobieta, która chodziła w kółko, znowu zniknęła Lirze z pola widzenia, nawet nie podnosząc wzroku.

Lira otworzyła drzwi z moskitierą, krzywiąc się, gdy skrzypnęły w zawiasach. 72 dał nura na kamienny taras. Jeden z kotów wciąż się na nią gapił nieruchomym spojrzeniem i przez chwilę myślała przerażona, że otworzy pyszczek i zacznie zawodzić na alarm.

Ale nie wydał żadnego dźwięku i Lira wyślizgnęła się za 72, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Lira bała się, że Sheri wybiegnie za nimi, i dopiero kilka przecznic dalej uznała, że są bezpieczni. Doszli do innego parku, w którego środkowej części znajdowały się kilka brudnych piaskownic i zardzewiała huśtawka. Ale najważniejsze, że rosły tam drzewa dające cień i że byli sami.

Jeszcze raz dokładnie obejrzała zdjęcia. Oczywiście widziała romanse w telewizji i słyszała personel rozmawiający o chłopakach i dziewczynach, o żonach i mężach. Wiedziała o tym. Ale wiedzieć, co robią ludzie, i oglądać ich związki na ekranie to coś innego, niż trzymać w ręku dowód. Doktor Saperstein zaskoczył ją nie tyle jako człowiek, ile raczej jako jakieś bezcielesne kamienne bóstwo, które ożyło. Nigdy nie widziała, żeby się uśmiechał. Owszem, na tych zdjęciach również się nie uśmiechał, ale miał na sobie podkoszulek, szorty w paski i bejsbolówkę, jakby był zwykłym człowiekiem. To czyniło go jeszcze bardziej przerażającym, a nie mniej. Pomyślała o węzach z wyspy i zrzucanej przez nie skórze: długiej, złotej, łamliwej, podobnej do łupiny.

Siostrę Em aż trudno było poznać. Wyglądała na taką szczęśliwą. Lira znowu pomyślała o ostatnim razie, kiedy ją widziała, gdy wypłakiwała się na ramieniu doktor O'Donnell. I zabiła się, choć inaczej niż Pepper – używając sznurka zamiast noża.

Co się wydarzyło?

Sheri wspomniała o mężczyznach w garniturach, którzy odwiedzili siostrę Em przed jej śmiercią. Czy doktor Saperstein był jednym z nich? Zanim Lira zobaczyła te zdjęcia, nigdy nie widziała go w niczym innym niż fartuch lekarski.

Rozłożyła list. 72 nachylił się nad nią. Pachniał słodko, jak gdyby jego pot

miął zapach mydła.

– Co tu jest napisane? – zapytał niecierpliwie, a ona poczuła nagłą, niedorzeczną potrzebę, żeby go chwycić za rękę i schować się w przestrzeń pod jego ramieniem, tak jak siostra Em i doktor Saperstein robili na zdjęciu.

Zamiast tego przeczytała trzydzieści cztery nazwiska – z których żadnego nie знаła, nie był to nikt, kogo kojarzyłyby z Haven – zapisane w kolejności alfabetycznej. Donald Bartlett. Caroline Ciao. Brandy-Nicole Harliss. Przy tym nazwisku zatrzymała się na chwilę. Brzmiało jakoś znajomo, choć nie miała pojęcia czemu. Odczytanie go wywołało w niej bardzo dziwne uczucie – podobnego doświadczała, gdy lekarze stukali ją w kolano, by zbadać odruchy, a ona patrzyła, jak jej ciało podskakuje. Jakby coś się w niej poruszyło.

Drugiej kartki z początku nie potrafiła odczytać. To była nie lista, ale zapisana strona, która zaczynała się w środku zdania. Gdy Lira zaczęła czytać, miała wrażenie, że siostra Em mówi do niej, do niewidzialnej osoby po drugiej stronie.

... jajka na moim samochodzie – tak się to zaczynało. Lira przeczytała to zdanie kilka razy, starając się zrozumieć jego sens, zanim uznała, że musiała istnieć pierwsza strona, która zaginęła. Zaczęła więc czytać dalej, powoli i na głos – zarówno dlatego, że łatwiej jej było literować słowa, jak i dlatego, że 72 się niecierpliwił.

Mark mówi, żebym się aż tak nie przejmowała. Wiem, że to czubki – Lira zająknęła się lekko na tym słowie, ponieważ nigdy wcześniej go nie słyszała – *ale nie są tak dalecy od prawdy. Kiedyś, gdy czekałam na prom, zaczęła mnie jakaś kobieta. „Hoduj tam zombie, prawda?”*, zapytała. *Zwyczajna kobieta, jakie codziennie spotyka się na ulicy.*

Poczułam dreszcze, Ellen. Poczułam się przez chwilę tak, jak gdyby znała i powiedziała prawdę. W końcu czy to rzeczywiście tak bardzo się z prawdą mija?

Mówię ci, nigdy nie sądziłam, że zatęsknię za Filadelfią. Nie tęsknię za

zimą, to na pewno. Ale tęsknię za tobą, Elbow i za tym, jak proste wydawało się wtedy życie. Tęsknię nawet za tym koszmarnym mieszkaniem, które znalazłyśmy przez uczelnię. Pamiętasz? I za tym twoim głupim byłem, który rzucał w okno puszkami. Jak mu było na imię? Ben? Czasem tęsknię nawet za naszymi pracami semestralnymi (!!!). Przynajmniej czułam wtedy, że jesteście na właściwej drodze.

Wiem, co byś teraz powiedziała. Dokładnie to samo powtarza mi Mark. I wierzę w naukę, naprawdę. Jeśli rodzic traci dziecko... by je odzyskać... Kto by tego nie chciał? Kto by nie spróbował? Gdy myślę o ludziach takich jak Geoffrey Ives... Miał wszystkie pieniądze świata i dziecko, którego nie był w stanie uratować. Jedyne, czego pragnął, to cofnąć to, co się stało.

Ale czy to właściwe? Mark twierdzi, że tak. Ale ja nie jestem pewna. Nie umiem się określić. Doktor Haven nie chce, żeby Narodowy Instytut Zdrowia patrzył nam na ręce, więc trzyma się z daleka od klinik, nawet jeśli mają tkanki płodowe, które mogłyby nam odstąpić jedynie za koszty transportu. Ale środki już topnieją. Nie sądzę, żebyśmy mieli szansę przetrwać, o ile nie dostaniemy wsparcia od rządu, ale jeśli stary dobry George W. nie pozwoli na dofinansowanie badań...

No i pozostaje kwestia doktora Havena. Od kiedy wstąpił do AA, zmienił się. Mark boi się, że zlikwiduje nasz program badawczy, że zamknie cały instytut. Już nie można być go pewnym, a jeśli pieniądze sponsorów się skończą, będziemy musieli pójść w zupełnie nowym kierunku. Mark uważa, że istnieją inne sposoby: badania wojskowe, leki...

Pismo się urwało. Lira odwróciła kartkę, ale druga strona była pusta. Albo ktoś przeszkodził siostrze Em, albo reszta tego, co napisała, zaginęła. Lira stwierdziła, że skoro zwracała się do jakiejś Ellen, musiała adresować tę wiadomość do konkretnej osoby. Ale nigdy jej nie przekazała. Poczula jednak, że jest na tyle ważna, by ją ukryć – dobrze ukryć – i dostarczyć komuś przed swoją śmiercią.

Czy miała nadzieję, że Sheri ją znajdzie?

Co miała dostrzec jej sąsiadka?

To była zagadka. To były dane. To był k o d, jak DNA.

Wszystkie kody można odszyfrować, jeśli tylko zna się klucz.

Przez długą chwilę stali w milczeniu w cieniu konstrukcji z drewna, liny i plastiku, której przeznaczenia nie znała. Wszędzie kody i niewiadome. To był problem ze światem zewnętrznym, z ludzkim światem. Wszystko tworzyło układankę, język, który słabo znała.

– Co to znaczy? – zapytał wreszcie 72, a Lira zdała sobie sprawę, że to też jej pytanie, o wszystko: o to, co robią w tym parku, o niego, jego nastroje, o to, czemu czasem pociera kark, jak gdyby coś na nim usiadło, o ich ucieczkę i o to, że mimo wszystko umierali, chociaż ona nie czuła, żeby umierała. Nie chciała umierać.

Co to znaczy?

Nigdy nie zadawała tego pytania.

Zmusiła się, by przeczytać list raz jeszcze, wysilając wzrok, jak gdyby mogła wycisnąć z tych liter więcej znaczenia. Wiedziała, że w Haven robiono repliki z ludzkiej tkanki, i wiedziała oczywiście, że musi ona pochodzić od ludzi. Wiedziała, że istniały szpitale i kliniki, które robiły z Haven interesy, chociaż nie miała pojęcia, skąd to wie. Było to po prostu oczywistym elementem jej świata, tak jak łóżka, Kocioł i „brak rozwoju”.

I wiedziała, co to zombie. Pielęgniarki rozmawiały o filmach o zombie i o tym, jakie są przerażające. Lira wyjaśniła 72, czym były, ale on także o nich słyszał. Ludzki świat – a przynajmniej jego część – przeniknął do Haven.

– Przeczytaj to na głos jeszcze raz – poprosił, więc przeczytała, cały czas czując słońce na karku i obecność 72, jego zapach, oraz mając w głowie pytanie „Co to znaczy?”.

Wszystko to migotało w jej umyśle, wyraźne, a jednocześnie niematerialne, niczym płomień.

Powoli powtórzyła zdania, które według niej były najważniejsze.

... trzyma się z daleka od klinik, nawet jeśli mają tkanki płodowe, które

mogłyby nam odstąpić jedynie za koszty transportu...

Gdy myślę o ludziach takich jak Geoffrey Ives... Miał wszystkie pieniądze świata i dziecko, którego nie był w stanie uratować...

I wreszcie zrozumiała.

– Zmarłe dzieci – powiedziała. Zombie. Czy to tak bardzo mija się z prawdą? – Robili repliki z martwych dzieci. – Czy właśnie tak powstała? Z tkanki jakiegoś dziecka, które ktoś kochał, utracił i opłakiwał? To nie powinno robić różnicy, a jednak jakoś robiło. Chodziło nawet nie o to, że te dzieci zmarły, ale o to, że komuś na nich zależało.

Jednak proces tworzenia ich sobowtórów – uwikłanie w to nauki – uczynił Lirę i pozostałe repliki czymś innym. Przypomniała sobie, jak czasami głosy protestujących niesły się z wiatrem przez kilometry najeżonych mokradeł. „Potwory”, krzyczeli.

I po raz pierwszy czuła nie wstyd, ale gniew. Nie prosiła się o to, by ją zrobiono. Sprowadzono ją na ten świat jako potwora, a potem znienawidzono za to, choć nie była to jej wina i nie było w tym żadnego sensu.

Żadnego.

– To nielogiczne – powiedział 72. – W takim razie dlaczego nas zabijali?

– Coś się zmieniło – odparła. Ledwie pamiętała doktora Havena. Mogła go widzieć raz albo dwa. Znała jego twarz, ale w końcu oglądała jego podobizny przez całe życie: spoglądał na nich z oprawionego portretu w stołówce, kojarzyła też jego czarno-białe zdjęcie, na którym mrużył oczy w słońcu, stojąc przed skrzydłem G.

Znowu zapadło milczenie. Czy Lira była pierwotnie przeznaczona dla ludzkich rodziców, którzy stracili dziecko? Jeśli tak, to dlaczego po nią nie przyszli? A może przyszli, ale widok substytutu ich przeraził?

Może nie byli w stanie na nią patrzeć – na marną podróbkę córki, którą kochali i opłakiwali.

– Ona wspomina o lekach – powiedział cicho 72. – Może miałaś rację. Może wiedziała coś, co mogłoby nam pomóc.

– Tyle że ona nie żyje – odparła Lira przytłumionym głosem.

– Lira. – 72 dotknął jej łokcia, a ona odsunęła się od niego. Jego dotyk palił, palił fizycznie, choć wiedziała, że to niemożliwe. Jego skóra nie miała wyższej temperatury niż skóra innych.

Odwróciła się od niego, mocno mrugając oczami, i przez chwilę spoglądała na przeciwną stronę parku i na domy w oddali – na tych wszystkich rodziców, na rodziny, matki i ojców – i wyobrażała sobie, jak popołudniowe słońce świecące w szyby staje się białym płomieniem, a pożar ogarnia cały świat, tak jak ogarnął Haven.

– W autobusie zapytałaś mnie, skąd mam te blizny – odezwał się.

Zaskoczona, momentalnie zapomniała o swojej złości i spojrzała na niego. Jego skóra w słońcu wyglądała jak coś smakowitego, jak kawa z mlekiem.

– Kiedy byłem młodszy, próbowałem zrozumieć, czym jestem. Czy w ogóle jestem.

Lira nie musiała nic mówić, by pokazać, że rozumie. Ona również się nad tym zastanawiała. Myliła osoby pierwszą i trzecią, pstrykała palcami w numer 24 przy łóżku, by sprawdzić, czy sama to poczuje, ponieważ nie rozumiała, gdzie kończyła się ona, a gdzie zaczynała reszta świata.

– Zacząłem myśleć, że może nie jestem prawdziwy. I wystraszyłem się, że mnie nie ma, że znikam. Wtedy... – Przełknął ślinę i potarł czoło, a Lira uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że wie, co on teraz czuje: boi się.

Wreszcie odczytała jego emocje.

– Mów dalej – zachęciła go.

– Dorwałem się kiedyś do skalpela pewnego lekarza – rzekł z nagłym pośpiechem. – Żeby nikt go nie znalazł, trzymałem go w materacu, z którego wcześniej wyjąłem trochę wypełnienia.

Lira pomyślała o dziurze w materacu Wielkiej Niedźwiedzicy i o wszystkich rzeczach, jakie u niej znaleziono. Przypomniała sobie, jak Niedźwiedzica krzyczała, kiedy wyciągano stamtąd jej skarby, ten wysoki, przenikliwy pisk, który przypominał alarm.

– I sprawdzałem. Na widok krwi robiło mi się lepiej. Miałem wtedy pewność, że ciągle żyję. – Podniósł na nią wzrok, a ona poczuła w piersi lekkość, jak gdyby z jej serca spadł ogromny ciężar. – Pytałaś. Więc ci mówię.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Odparła więc tylko:

– Dziękuję. – Wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po jego przedramieniu, od łokcia do nadgarstka, po bliznach, by mu pokazać, że jest okej, że rozumie. Czowała na sobie jego spojrzenie. Czowała jego obecność, gdziekolwiek był, jak gdyby odkształcał rzeczywistość, nadawał jej ciężar.

Nigdy tyle nie czowała w całym swoim życiu.

– Wracamy. – Powiedział to tak cicho, że ledwie go usłyszała.

– Wracamy? – powtórzyła.

Stał tak blisko, że nagle zaczęła się tego bać, więc odsunęła się od niego.

– Do tej dziewczyny, Gemmy. I Jake’a. – Zawahał się. – Miałas rację. Mogą nam pomóc. Wiedzą już o Haven. Może dowiedzą się też czegoś na temat leku.

– Ale... – Pokręciła głową. – Mówiłeś, że im nie ufasz.

– Bo nie ufam – przyznał. – Ale ja nie ufam nikomu.

– Nawet mnie?

Coś w jego spojrzeniu się zmieniło.

– Z tobą jest inaczej – powiedział delikatniejszym tonem.

– Dlaczego? – Czowała teraz wyraźnie jego bliskość, czowała bezruch popołudnia i obecność tych wszystkich drzew, poważnych i milczących.

Niemal się uśmiechnął. Wyciągnął rękę i przyłożył kciuk do jej dolnej wargi. Jego skóra miała posmak soli.

– Ponieważ jesteśmy tacy sami.

Lira wiedziała, że nie uda im się wrócić tą samą trasą. Opuścili Gemmę i Jake'a w środku nocy i skupieni jedynie na ucieczce nie przyglądali się okolicy, a ona nie pamiętała żadnej szczególnej cechy domu, do którego ich zabrano, niczego, co wyróżniałoby go z otoczenia.

Na szczęście 72 przypomniał sobie, że chłopak zapisał mu swój adres i numer telefonu. Nie mogli do niego zadzwonić – 72 ukradł telefon Jake'a, poza tym Lira nigdy wcześniej do nikogo nie dzwoniła i chociaż wiele razy widziała pielęgniarki rozmawiające przez telefon, sama nie wiedziała, jak to zrobić – więc zaczęli od nowa całą zabawę z wypytywaniem nieznajomych, jak dotrzeć pod adres 1211 Route 12 w Little Waller na Florydzie.

Kobieta z włosami rozjaśnionymi na rudawy kolor skierowała ich do wypożyczalni samochodów, ale gdy tylko tam weszli, mężczyzna za ladą zaczął ich wypytywać o prawo jazdy, karty kredytowe i inne rzeczy, których nie mieli. Lirę znów ogarnęło zniechęcenie i potraçała łokciem małą wystawkę z map, które rozsypały się po ladzie. 72 zdenerwował się i oskarżył mężczyznę o to, że na nich krzyczy.

– Ledwie podniosłem głos – rzekł tamten. – Co z was za świry?

Nagle 72 włożył rękę do kieszeni i Lira przestraszyła się, że sięga po nóż. Mężczyzna musiał pomyśleć to samo, ponieważ cofnął się tak, że przewrócił krzesło. Ale 72 wyłożył tylko kartkę z adresem Jake'a na ladę.

– Ma pan mapę – powiedział niskim i chrapliwym głosem. – Niech nam pan pokaże, jak tam dojechać. Proszę.

Mężczyzna powoli sięgnął po mapę, nie odrywając wzroku od 72. Z telewizora w kącie co jakiś czas dobiegał śmiech publiczności, ale poza tym było tak cicho, że Lira słyszała ciężki oddech mężczyzny, który brzmiał tak, jak gdyby coś mokrego utkwilo w jego piersi. Wziął czerwony długopis i wskazał

różne trasy autobusowe, którymi mogli się dostać do Little Waller, oddalonego o niecałą godzinę drogi. Lira zauważyła, że jego ręka drży, i po raz pierwszy myśl o byciu „świrem” czy „potworem” wywołała u niej nie wstyd, ale poczucie mocy.

W autobusie było poza nimi tylko dwoje pasażerów, w tym mężczyzna, który miał na sobie kilka warstw ubrań, a do tego śmierdział potem i moczem. Lira i 72 zajęli miejsce na samym końcu. Siedli tak blisko siebie, że stykali się udami i kolanami. Ciepło wpadające przez okno wydało się Lirze niczym delikatny nacisk dłoni. Gdy autobus minął park wodny, przycisnęła nos do szyby, by znowu zobaczyć te wszystkie ludzkie rodziny. Ale słońce świeciło jej w oczy i widziała jedynie rozmazane, niewyraźne postacie.

A potem znowu wjechali na autostradę i mijali długie fragmenty zielonych terenów, nie było tam żadnych miast ani domów, jedynie drzewa rosnące wzdłuż drogi, zarośla i ciemne przestrzenie.

72 przez długi czas milczał oparty o siedzenie, z zamkniętymi oczami, więc myślała, że śpi. Ale nagle odwrócił się do niej. Jego skóra pod wpływem wpadającego przez szyby słońca zdawała się błyszczeć. Kiedy się odezwał, poczuła jego oddech na uchu i włosach.

– Czy mogę cię zapytać o tamtą bajkę? O Małym Księciu i róży?

– Jasne. – Lira wzięła oddech. Znowu miała wrażenie, że jego ciało wypełnia całą przestrzeń, i dotarło do niej, jakim cudem jest to, że te wszystkie cząsteczki scalają się w jego organizm.

W jego ciemnych oczach widziała swoje odbicie.

– Powiedziałaś, że Mały Książę mieszkał na planecie B-612. Wskazałaś mi ją. – Przygryzł wargę, a ją ogarnęło przedziwne pragnienie, by także ją ugryźć, by poczuć jego usta. – Ale wszystkie gwiazdy wyglądają tak samo. Więc skąd to wiesz?

– Nie wyglądają tak samo, gdy się im dobrze przyjrzyysz – odparła. Jej ciało

było rozgrzane do czerwoności. Sprawiał to jego oddech na jej ramieniu, jego bliskość i żar popołudniowego słońca. – Tego także Mały Książę dowiedział się dzięki swoim podróżom. Na początku myślał, że jego róża jest jedyną różą we wszechświecie. Ale wtedy przybył na Ziemię i zobaczył cały ogród pełen róż.

72 poruszył się i ich kolana znowu się zetknęły. Jego oczy zaślniły w słońcu i reszta świata zniknęła.

– I co się wtedy stało?

Starła się przypomnieć sobie resztę opowieści. Ciężko było jej się skoncentrować, kiedy 72 siedział tuż obok. Ciągłe wyobrażała sobie jego skórę pod ubraniem, a pod nią jego organy, żebra i krew tętniącą w żyłach, ciągle myślała, jaki to cud, że on żyje, że oboje żyją, że nie są po prostu pustą przestrzenią. Ale wróciły wspomnienia głosu doktor O'Donnell i tego, jak się nachylała, by przeczytać ten fragment książki, a jej ciemnoblonde włosy założone za uszy ciągle się stamtąd wymykały.

– Było mu bardzo smutno – powiedziała powoli Lira. – Pomyślał, że róża go oszukała. Nie była wyjątkowa. Była taka sama jak tysiące innych róż. Była identyczna – dodała.

– Tak jak repliki – upewnił się 72.

– Właśnie – przytaknęła Lira, choć dopiero teraz odkryła to podobieństwo. Zrozumiała, naprawdę zrozumiała, dlaczego pani doktor dała jej akurat tę książkę. – Tak jak repliki. Tylko że...

– Tylko że co?

– Tylko że do Małego Księcia dotarło, że róża jednak była wyjątkowa. Była tą jedyną we wszechświecie. Ponieważ się o nią troszczył, rozmawiał z nią i chronił przed gąsienicami. Była jego różą. A to czyniło ją bardziej wyjątkową niż wszystkie róże wszechświata razem wzięte. – Lira poczuła, że słońce sprawia jej ból, i mrugnęła. Płakała. Odwróciła się i szybko podniosła dłoń do twarzy, mając nadzieję, że 72 tego nie zauważył.

Ale on złapał jej rękę. I zanim zdążyła zapytać, co robi, zanim zdążyła się przestraszyć, jej ciało odpowiedziało. Wiedziało, co robić. Wyczuło pytanie i odpowiedziało za nią: mimowolnie odwróciła się w jego stronę i położyła mu dłoń na twarzy, tak że jego ciepło rozeszło się po jej palcach. Siedzieli tak i spoglądali na siebie, w autobusie zawieszonym w przestrzeni. Wiedziała, że to niemożliwe, ale miała wrażenie, że jej serce przestało bić.

– Lira? – wyszeptał.

– Tak? – odparła również szeptem.

Słońce malowało na jego twarzy szachownicę światła i cienia, która w jej oczach jawiła się jak piękna układanka, tajemnicza i zmienna.

Nie odpowiedział. Podniósł rękę i dotknął palcami jej kości policzkowych, czoła i nosa.

– Lira – powtórzył. – Podoba mi się twoje imię. – I dodał: – Też chciałbym mieć imię.

Zamknęła oczy. Nie przestawał jej dotykać. Przejechał palcami po jej głowie, następnie wzdłuż ucha, a potem powędrował palcem po jej szyi, naciskając lekko, jak gdyby chciał poczuć puls pod swoją ręką. Wyobrażała sobie, że wszędzie, gdzie jej dotyka, jest uzdrowiona. Wyobrażała sobie, że choroba po prostu znika, wyparowuje jak woda na słońcu.

– Możemy nadać ci imię – odparła, nie otwierając oczu. – Możesz je wziąć od nazwy gwiazdy tak jak ja.

Przez chwilę milczał. Jego ręka przesunęła się na jej ramię. Wędrował palcami wzdłuż jej obojczyka, aż w końcu jego kciuk spoczął we wgłębieniu jej szyi.

– Ty wybierz – poprosił i przez krótką chwilę dotykał również jej ust. A potem położył rękę na jej piersi, tuż nad sercem.

W ciemności pod powiekami zobaczyła eksplodujący wszechświat, który budził się do istnienia i stawał jasnością. Wyobraziła sobie nazwy i gwiazdy, jasnoniebieskie lub fioletowe albo rozżarzone do białości.

– Caelum – rzekła. Była to nazwa gwiazdozbioru Rylca w starożytnym języku, łacinie. Gdy tylko powiedziała ją na głos, wiedziała, że jest właściwa. – Będziesz miał na imię Caelum.

– Caelum – powtórzył.

Nie musiała otwierać oczu, by wiedzieć, że się uśmiechnął.

Coś się zmieniło. Lira nie potrafiła powiedzieć, co dokładnie, tyle tylko, że coś w Caelumie zmięкло – a może w niej, albo w nich obojgu. Byli ze sobą związani. Wybrali siebie, żeby być odpowiedzialni za siebie nawzajem i troszczyć się jedno o drugie.

O czwartej po południu wreszcie dotarli do Little Waller – Lira po drodze pytała jeszcze kilku innych osób, czy dobrze jadą. Jakiś policjant zauważył ich stojących na rogu ulicy przy drogowskazie i podszedł do nich wolnym krokiem. Lirę ścisnęło w piersi – miał na sobie mundur przypominający jej strażników w Haven – i stanęła jej przed oczami noc na mokradłach, żołnierze bojący się dotknąć Kasjopei, jakby mogła zarażać. „Wiesz, ile kosztuje ich produkcja?” Ale policjant tylko zapytał, czy potrzebują pomocy, a potem wskazał, którądy mają iść.

– Idźcie tą drogą przez jakiś czas – powiedział. – Biegnie prosto na mokradła. Piękny dzień na taki spacer.

Lira zastanawiała się, czy policjant mówi poważnie. Teraz było tak gorąco, że chodnik zdawał się drżeć.

W drodze przez miasto minęli masywny betonowy budynek o nazwie Dom Spokojnej Starości Woodcrest. Za wysokim żywopłotem kilka zraszaczy obracało się, rozsiewając wodę, która tworzyła migotliwe tęcze. Oboje przykucnęli, żeby się napić, i Lira poczuła się trochę jak pies, ale w pozytywnym znaczeniu. Ona i Caelum byli jak zespół, jak dwuosobowa drużyna. Dzięki temu może uda im się przetrwać. Na pewno im się uda. Znajdą na to sposób.

Razem.

Caelum trzymał straż, kiedy Lira zdejmowała brudny podkoszulek i dżinsy, po czym przykucnięta zbliżyła się do zraszacza, by się umyć. Nie mieli ręczników, więc musiała włożyć ubranie na mokre ciało, ale nie miało to znaczenia: woda była rozkoszna i zimna, a ona nigdy w życiu nie czuła się tak szczęśliwa. Potem sama przejęła wartość, chociaż obejrzała się za siebie, gdy Caelum zdjął podkoszulek – to było silniejsze od niej. Widziała wcześniej rysunki anatomiczne mięśni łączących łopatki i biegnących wzdłuż kręgosłupa, ale nigdy nie wyobrażała sobie, że mogą tworzyć coś tak harmonijnego i pełnego wdzięku. Coś tak pięknego.

Ruszyli w drogę w mokrych podkoszulkach i chlupoczących butach. Nie przejmowali się tym. Szli w milczeniu, ale wcale nie było ono krępujące. Lira i Caelum, dwie repliki z imionami zabranymi gwiazdom.

Do domu Jake'a prowadziła przez las polna droga wysadzana świerkami. Drzewa porastał mech, a pomiędzy gałęzi dochodził świergot ptaków. Nagle Lira poczuła, jak jej radość rozprasza się pod wpływem niepokoju, wrażenia, że ktoś obserwuje ich z ukrycia. Droga była jednak pusta, nie licząc rozjechanego przez samochód żółwia i pożywiającego się nim ptaka, który odleciał, gdy tylko się zbliżyli.

Co przypominało jej to uczucie? Jakby stała nago przed zespołem lekarzy i pielęgniarek. Jakby czuła na sobie światła w sali operacyjnej i widziała cień ludzi poruszających się za szybą.

Dom Jake'a, numer 1211, wyglądał, jak gdyby po prostu zrzucono go tutaj, w sam środek rozbuchanej roślinności. Dwie okiennice były połamane, a stojące w nich doniczki puste. Ale niewielki trawnik przed gankiem był wysprzątnany i ktoś pomalował ściany na żółto, by ukryć grzyb wychodzący z listew przypodłogowych. Pod gankiem przemknął kot i Lirze przebiegła przez głowę paranoidalna myśl, że Sheri Hayes śledziła ich przez cały ten czas, by ich zbesztać

za zniszczenie obrazków. Ale to nie miało sensu. Na świecie było pewnie mnóstwo kotów. W tym świecie było mnóstwo wszystkiego.

Caelum podszedł do frontowych drzwi, Lira za nim. Słońce grzało ją w kark i przytłaczało. Zapukali i zadzwonili. Nikt im nie otworzył. Ale Lira rozpoznała samochód Jake'a stojący na podjeździe. Znowu zadzwonili. Caelum nachylił się do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Było jednak oczywiste, że w środku nie ma nikogo. Nie dochodziło stamtąd najlżejsze skrzypnięcie.

– Pewnie gdzieś wyszedł – stwierdziła wreszcie Lira z ciężkim sercem. Rozczarowanie dotknęło ją niemal fizycznie. Nagle znowu poczuła się potwornie zmęczona.

– No to poczekamy na niego – odparł Caelum. Kiedy Lira rzuciła mu pytające spojrzenie, wzruszył ramionami. – W końcu musi kiedyś wrócić, prawda?

– Mówił, że dzisiaj przyjeżdża jego ciotka – przypomniała. Nie była pewna, kim jest ciotka, ale wiedziała, że to ktoś z rodziny, tak jak mama albo babcia. – Co, jeśli nas tu zastanie?

Caelum sprawdził drzwi, ale były zamknięte.

– Chodź – powiedział. – Musi być jakieś inne wejście.

Przeszli na tyły domu. Tu też nie było żadnych śladów życia, nie było również trawy, jedynie betonowy taras i donice, z których sterczały brązowe, uschłe resztki roślin, a do tego stara sofa z kałużami po deszczu, pokryta pleśnią. Dom z tarasem łączyły rozsuwane drzwi i one na szczęście nie były zamknięte. Przynajmniej mogli poczekać w środku, gdzie Lira nie czuła się tak bardzo odsłonięta.

W kuchni panował potworny bałagan. Na stole leżały porozrzucane dokumenty. Szuflady były pootwierane, a odsunięta od ściany lodówka odsłaniała plastikowe płytki z trutką na owady. Nawet mikrofalówka była otwarta. Na podłodze leżały listy, na których Lira zobaczyła odciski butów.

– Coś tu nie gra – powiedziała.

– To znaczy?

– To wszystko. – Pomyślała o tym, jak Jake układał serwetkę na ławie, zanim położył na niej puszkę, jak poprawiał komputer, tak by leżał równolegle do krawędzi stołu. – Ktoś był tu przed nami.

Caelum spojrzał na nią.

– Albo po prostu Jake nie lubi po sobie sprzątać.

– Nie. – Lira pokręciła głową. Bała się. – Ktoś tu był.

Przeszli z kuchni do małego salonu. Tutaj też panował bałagan. Wyglądało to tak, jakby eksplodowała biblioteka. Wszędzie walały się dokumenty, teczki, książki. Zawartość przewróconego kubka wylała się na dywan. Komputer Jake'a leżał na sofie, a na ekranie poruszał się obrazek – kolorowe zdjęcie kosmosu. Kiedy Lira go dotknęła, obraz zniknął, a w jego miejscu pojawił się mały biały prostokąt i prośba o hasło. Natchniona pewną myślą pochyliła się i znalazła na klawiaturze litery. H-A-V-E-N. Ale hasło zostało odrzucone. Zrobiło jej się przykro. Tyle że pomocy, której potrzebowali, i tak nie znalazłaby w komputerze.

Caelum wyszedł z salonu. Lira już miała za nim ruszyć, kiedy zobaczyła kilka zdjęć na półce. Jedno z nich, portret Jake'a, gdy był jeszcze dzieckiem, stało w ramce. Pozostałe dwa leżały luzem, oznaczone odciskami palców.

Na pierwszym z nich Jake stał obok mężczyzny, którego najpierw wzięła za jego dużo starszą replikę – mieli te same ciemne oczy i włosy, te same mocno zarysowane podbródki i kości policzkowe – ale szybko dotarło do niej, że musi być ojcem Jake'a. Na drugim kobieta o jasnobłond włosach, z grymasem na twarzy i biustem wylewającym się z koszulki na ramiączkach, trzymała Jake'a mocno za ramię, jak gdyby się bała, że jej ucieknie. Czy to była jego ciotka? Na pewno ktoś z rodziny. Ona również miała taki sam kwadratowy podbródek jak Jake.

Z jakiegoś powodu zrobiło jej się smutno. Repliki były pojedynczymi zdarzeniami. Pojawiały się na świecie i umierały, nikogo nie zostawiając. Natomiast ludzie byli ogniwami w łańcuchu łączącym ich z innymi ludźmi.

Podjęła nagłą decyzję – poprosi Caeluma, by stał się jej rodziną. W ten sposób, jeśli umrze, zostanie w czyjejs pamięci.

Caelum zawołał ją z drugiego pokoju. Odwróciła się i zobaczyła, że z powrotem stoi w korytarzu. W przyćmionym świetle wyglądał strasznie blado.

– Co jest? – spytała. – Co się stało? – Ale już wiedziała.

Unikał jej spojrzenia.

– Nie żyje – powiedział i lekko skinął głową. Lira odłożyła zdjęcia odbitkami do dołu, jak gdyby tamci mogli to usłyszeć. – Jake nie żyje.

Wisiał na drzwiach szafy niczym stary garnitur. Napisał na ścianie czarnym markerem: „Czuję się taki samotny. Dłużej już tego nie zniosę”. W sypialni panował taki sam bałagan jak w pozostałej części domu. Na łóżku leżał drugi otwarty laptop.

Lira widziała mnóstwo zwłok, ale po raz pierwszy musiała odwrócić wzrok na widok trupa. Na Jake’a Witza nie patrzyło się już miło. Jego twarz była fioletowa od krwi. Język, sztywny i ciemny, był wywalony na wierzch jak obcy przedmiot wetknięty do ust. Paznokcie miał połamane, jakby próbował rozluźnić pasek wciśnięty między ramę drzwi i przybity z drugiej strony. Z jego ust zwisała gęsta strużka krwi i śliny.

– O czym myślisz? – spytał Caelum.

– Siostra Emily też się powiesiła – odparła, wychodząc na korytarz. Zakreśliło jej się w głowie, więc przytrzymała się ściany.

Caelum wyszedł za nią i wsparł ją, kładąc jej rękę na plecach. Chciała z powrotem znaleźć się wśród pól, tak jak ostatniej nocy, kiedy w ciemności ich ciała stanowiły zaledwie kontury.

– Tak powiedziała Sheri – dodała.

Caelum wpatrywał się w nią uważnie.

– Nie wierzysz w to?

Lira sama nie wiedziała, w co wierzy.

– Ktoś tu był – powtórzyła. Gdy zrobiła krok w stronę kuchni i zatoczyła się, Caelum podtrzymał ją za łokieć. – Nic mi nie jest. – Westchnęła. – Muszę usiąść.

Ale od siedzenia w kuchni Jake'a i picia wody ze szklanki, która miała posmak detergentu ze zmywarki, wcale nie zrobiło jej się lepiej. Ktoś tu był. Ktoś z Haven? Powinni opuścić to miejsce. A jeśli ten, kto zabił Jake'a, wróci, żeby zrobić porządek? Wiedziała, że muszą się dostać do Gemmy, ale nie miała pojęcia jak. Nie była w stanie zebrać myśli. Pojawiały się i znikwały w jej umyśle jak plamki światła przed oczami. Nagle rozległ się dziwny dźwięk. Brzęczenie. Podniosła się. Przypomniała sobie Jake'a grzebiącego w plecaku i wszystko stało się jasne: telefon. To telefon dzwonił.

Telefon.

– Myślałem, że go wyłączyłaś – powiedział Caelum.

– Musiał się znowu włączyć. Daj mi go.

Numer na ekranie był oznaczony jako „ciocia Kit”. Lira czekała, wstrzymując oddech, z bólem w piersi, aż telefon przestanie dzwonić. Ludzie dzwoniли z telefonów, telefony dzwoniły do nich. Czy Gemma jest gdzieś zapisana w komórce Jake'a? Może. Lira nie wiedziała jednak, jak znaleźć jej numer, jak się do niej dodzwonić.

– Lira. – Ręka Caeluma odnalazła jej nadgarstek. Miał zimne palce.

Ale w tej samej chwili do niej również to dotarło: kroki na zewnątrz, przytłumione głosy. Ledwie udało im się wślizgnąć do salonu, kiedy usłyszeli, jak drzwi na taras otwierają się, a potem zamykają. Przez chwilę Lira miała nadzieję, że może przyjechała po nich Gemma, i już chciała zerknąć do kuchni, ale wtedy odezwała się jakaś kobieta, a jej głos nie brzmiał znajomo.

- Przez całą tę robotę czuję się jak sprzątaczką. Co właściwie mamy robić?
- Właśnie widzisz. Pierwsza ekipa zostawiła bałagan. Livingston trzęsie portkami, że ktoś mógłby nabrać podejrzeń, że to nie samobójstwo. Trzeba zostawić za sobą porządek, a nie pobojuwisko jak po przejściu tornada.
- Znaleźli coś?
- Nie mam pojęcia. Ale chłopak musiał za dużo wiedzieć, inaczej nie dyndałby teraz na sznurku.

Lira poczuła, jak pot spływa jej między piersiami. Słusznie się obawiała, że zabójcy Jake'a mogą wrócić. Czy jej i Caelumowi uda się niepostrzeżenie wydostać przez frontowe drzwi? Muszą minąć wejście do kuchni. Jeśli intruzi będą zajęci albo odwrócenii plecami, albo znajdą się za lodówką, nie będą widzieć korytarza i wtedy może im się udać.

Szelest papieru. Szuranie odsuwanej krzesła. Jak długo zajmie im porządkowanie kuchni? Pewnie niezbyt długo. Któreś z nich gwizdało. Lirę zaskoczyło, że ludzie mogą podchodzić równie beztrąsko do zabijania innych ludzi, jak do zabijania replik. Czuła w gardle twardą i gorącą kulę, miała wrażenie, że ta kula zaraz eksploduje. Już bywała zagniewana, tak samo jak bywała samotna i przerażona. Ale nigdy nie czuła nienawiści, nie w ten sposób.

Nienawidziła osób w pomieszczeniu obok. Nienawidziła doktora Sapersteina. Nienawidziła ludzi, którzy zabili Jake'a Witzę, i ludzi, którzy zainfekowali jej krew chorobą. Chciałaby widzieć, jak umierają.

Caelum oderwał się od ściany i wskazał głową w stronę drzwi frontowych. Lira potaknęła na znak, że rozumie, chociaż nie wiedziała, jak miałyby się ruszyć. Strach i gniew ją paraliżowały. Chciała krzyczeć, nogi miała jak z waty.

Chłopak ruszył. Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, kiedy mijał wejście do kuchni, był na widoku. Lira miała wrażenie, że zastygł nieruchomo w tamtym miejscu jak Jake Witz wiszący na drzwiach. Ale chwilę później był już w przedsionku, a hałasy z kuchni zagłuszyły dźwięk jego kroków. Odwrócił się

i zachęcił ją gestem, żeby się ruszyła.

Oderwała się od ściany. Wyobrażała sobie, że zostało na niej odbicie jej sylwetki ciemne od potu. Ujrzała znowu komputer Jake'a z migającymi widokami plaży i z powodów, których sama nie rozumiała, zamiast do drzwi skierowała się w przeciwną stronę. Wzięła komputer, który okazał się zaskakująco lekki, i przycisnęła go do piersi. Czowała, jak gdyby jej ciało podejmowało decyzje i przekazywało je mózgowi, a nie na odwrót.

Caelum wpatrywał się w nią blady jak ściana. Wiedziała, że chciał ją pospieszyć. Wiedziała, że chciał krzyknąć: „Co ty wyprawiasz?”. Czowała ciężar jego strachu w tej nieznośnej ciszy.

Zrobiła krok w stronę drzwi.

I wtedy telefon w jej kieszeni, komórka Jake'a, zaczął dzwonić.

Cały świat znieruchomiał. Poczowała zalew paniki. To już koniec. Hałas w kuchni ustał.

A potem:

- Co to było, do cholery?
- Telefon.
- Ja pierniczę. Skąd dobiega dźwięk?

Nie miała czasu na myślenie. Zobaczyła kątem oka, że Caelum wycofuje się do przedsionka. Wyjęła telefon z kieszeni, rzuciła go na dywan, a potem wcisnęła się za sofę z komputerem Jake'a w tym samym momencie, gdy do pokoju ciężkim krokiem wszedł mężczyzna. Przyłgnęła brzuchem do podłogi, wdychając zapach starej tapicerki i kurzu. Przy wydechu kurz unosił się lekko. Starła się więc nie oddychać.

Zobaczyła, jak mężczyzna dotyka butem telefonu.

- Ojoj, popatrz, kto dzwoni. Ciocia Kit.

Głos kobiety dochodził teraz z oddali. Musiała przejść do sypialni albo do

łazienki na końcu korytarza.

– Co oni sobie myśleli? Że chłopak ukrywał tajemnice państwowe w swojej kolekcji pornoli? Niezłą zrobili demolkę, nie?

– Myślisz, że powinienem wziąć telefon? – Mężczyzna się pochylił.

Lira zobaczyła jego palce, długie i grubawe. Miała ochotę się rozplakać. Sama nie wiedziała dlaczego. Ona i Caelum ukradli Jake’owi ten telefon, ale teraz wydawał jej się prezentem, czymś, co należy do nich. Nie mogła patrzeć, jak mężczyzna go zabiera.

– Na litość boską, nie. To pierwsza rzecz, której będzie szukać policja. Jeśli zniknie, będą wiedzieli, że ktoś tu był. Ta dzisiejsza młodzież...

Mężczyzna wyprostował się, zostawiając w spokoju komórkę, która znów umilkła. Lira poczekała, aż kroki oddalą się do korytarza, i dopiero wtedy wyslizgnęła się zza sofy. Czuła mdłości ze strachu i dlatego, że zdawała sobie sprawę, jak blisko była wpadki. Ręce jej się trzęsły, gdy sięgała po telefon Jake’a, a gdy znowu się podniosła, zamroczyło ją na chwilę i o mało się nie przewróciła. Nie, choroba nie mogła jej teraz zwalić z nóg. Była już tak blisko wyjścia. Już prawie była bezpieczna.

Zrobiła krok w stronę drzwi, a potem kolejny. Kręciło jej się w głowie. Przytrzymała się ręką ściany. Komputer wydawał się cięższy niż chwilę temu. W głowie słyszała dziwne brzęczenie, jak gdyby opanował ją rój pszczół.

– Cholera! Teraz ja zostawiłem swój telefon...

Ledwie dotarło do niej, że słyszy jego głos, kiedy wyszedł na korytarz i ją zauważył. Krzyknął – i ten moment zaskoczenia, całkowitego szoku, ocalił jej życie. Oderwała rękę od ściany i rzuciła się na przelaj przez salon do przedsiionka, tracąc mężczyznę z pola widzenia.

Mężczyzna wrzeszczał. Kobieta również. I chociaż Lira słyszała za sobą dudnienie kroków, nie odwróciła się, nie zatrzymała. Caelum stał przy drzwiach wejściowych. Majstrował przy zamku. Mówił coś, ale go nie rozumiała. Drzwi

się otworzyły. Mocno uderzyła o nie łokciem. Miała przed sobą błękitne niebo, ziemię, trawę i przestrzeń, słyszała głosy wyjące jak alarm w jej głowie. Wreszcie byli na zewnątrz, wreszcie poza domem.

Czasu starczyło im tylko na to, by dać nura za samochód na podwórku sąsiada. Zaraz potem granatowe auto wytoczyło się z podjazdu Jake'a i powoli wyjechało na drogę. Poczekali, aż ryk silnika ucichnie, po czym wyszli z kryjówki, ruszyli biegiem po leśnym dukcie i skręcili w najbliższą drogę zarośniętą krzakami, wzdłuż której stały stare, rozpadające się domy. Musieli się jakoś dostać z powrotem do miasta. Ale Lira miała zamęt w głowie. Którędy tu przybyli?

Gdy obejrzeni się za siebie, zamarli. Kilkadziesiąt metrów dalej w ich stronę powoli sunęło auto. Na nowo rzucili się do ucieczki. Lira nie wiedziała, czy ich zauważono, ale bała się znowu obejrzeć. W uszach jej huczało. Czy to samochód był tak blisko?

– Do miasta – wyrzuciła z siebie, dysząc ciężko, jakby w jej piersi uwięzione było coś żywego. – Musimy wrócić do miasta.

Nie wiedziała, czy Caelum ją słyszał. Nagle skręcił w prawo i przebiegł przez zarośnięte chwastami podwórze. Jakiś pies zaczął szczekać, ale nikt nie wyszedł z domu. Wcisnęli się w wąską, ciemną przestrzeń między garażem a domem w momencie, gdy samochód wyjechał zza rogu. Lira obejrzała się i w otwartym oknie zobaczyła bladą i skoncentrowaną twarz kobiety, która przeszukiwała wzrokiem drogę. Lirze nogi trzęsły się tak bardzo, że Caelum musiał otoczyć ją ramieniem, by się nie przewróciła. Jego pierś dotknęła jej pleców, na włosach i na karku czuła jego oddech. Marzyła, żeby świat się skończył, by i ona mogła skończyć się z nim, żeby nie musiała dłużej uciekać i żeby Caelum został z nią w tej ciemnej, wąskiej przestrzeni, gdzie czuła się jak w grobie.

Ale świat rzecz jasna się nie skończył. Kiedy samochód znowu zniknął im z pola widzenia, Caelum ją puścił.

– Teraz – powiedział, ale ona nie była w stanie się ruszyć.

Czuła się taka zmęczona.

– Zaczekaj. Chyba nie dam rady.

– Okej. – W półmroku, mając nad głową jedynie wąskie pasmo nieba, Caelum wyglądał niemal jak dziecko. – Poczekamy tu jeszcze chwilę.

– Nie. Chyba w ogóle nie dam rady. Idź. – Wciąż oddychała z trudem. Miała wrażenie, że jej płuca są owinięte gazą. Oparła się o chłodną ścianę garażu i zamknęła oczy.

Było tam mnóstwo pajęczyn i mokrych liści. W powietrzu unosił się zapach rozkładu. Jaki to w ogóle miało sens? Ile czasu jej zostało?

Część niej chciała po prostu wyjść na drogę i dać się złapać. Dokąd by ją zabrali? Pewnie do innych replik. A może by ją zabili i pozbyli się ciała. Może postanowili zakończyć eksperyment i powoli zacierali wszystkie ślady istnienia Haven. Tak byłoby prościej. Znacznie prościej.

– Nie możesz się teraz poddać. Lira, posłuchaj mnie. – Położył rękę na jej policzku, a ona otworzyła oczy. Przesunął kciukiem po jej kości policzkowej tak jak ostatniej nocy. Jego usta były tak blisko. Patrzyła na jego ciemne oczy i długie rzęsy. Był taki piękny. – Nadałaś mi imię. To oznacza, że jestem twój, prawda? Jestem twój, a ty jesteś moja.

– Boję się – wyznała. I rzeczywiście: bała się ucieczki, bała się, co się z nimi stanie, ale bała się też ich bliskości i tego, co działo się z jej ciałem, gdy ją dotykał. Tego uczucia, jakby coś twardego w jej środku miękło. Wiedziała o istnieniu w ciele impulsów elektrycznych i to dawało właśnie takie wrażenie, jakby między nimi przepływał prąd, tysiące światła.

– Ja też się boję – powiedział. Nachylił się i dotknął czołem jej czoła.

Jej ciało ciągle czegoś się domagało, czegoś większego, głębszego

i bliższego, ale nie wiedziała czego. Marzyła, by oboje wyszli poza ciała, które ich dzieliły. Pomyślała o słowie „kochać” i zastanawiała się, czy to uczucie – ten niedosyt bliskości – to właśnie miłość. Nigdy nikt jej tego nie nauczył. Ale tak właśnie myślała.

– Kocham cię – rzekła nagle. Słowa te wydały jej się dziwne, obce jak nowe jedzenie. Ale nie nieprzyjemne.

– Kocham cię – odpowiedział jej Caelum i się uśmiechnął.

Wiedziała, że dla niego te słowa były tak samo zaskakujące. Powtórzył je:

– Kocham cię.

W jej piersi otworzyły się jakieś drzwi i poczuła, że wreszcie oddycha swobodnie i że odzyskała siłę, by iść dalej.

Wrócili do miasta. Na szczęście po drodze nie natknęli się na tamten samochód. Stali na pierwszym napotkanym przystanku autobusowym i zastanawiali się, co robić dalej, kiedy Lira zobaczyła mężczyznę, który wyszedł z domu przy parkingu po drugiej stronie drogi i mijał znajdujące się tam sklepy i punkty usługowe, ułożone w rzędzie jak koraliki w naszyjniku. Chwyciła Caeluma za rękę i ruszyli w tamtym kierunku, po czym weszli do najbardziej zatłoczonego miejsca ze wszystkich: zaciemnionej restauracji Blue Gator, oddzielonej od drogi zagajnikiem smutnych małych drzew. Przy barze tłoczyło się mnóstwo mężczyzn, którzy pili i oglądali jakiś mecz. Co chwila jednocześnie wydawali z siebie okrzyk radości albo jęk zawodu. Lira i Caelum pospieszyli na tyły restauracji, mijając po drodze drewniane stoły, przy których dzieci kłóciły się nad talerzami frytek, a pary gapiły tępo w telewizor z jakimiś drinkami w rękach. Korytarz prowadził do kuchni. Dziewczyna, która miała włosy ścięte na krótko tak jak Lira, stała pod drzwiami ze znakiem toalety i przesuwiała palcami po ekranie telefonu, który od dołu podświetlał jej twarz na niebiesko.

Ujrzawszy ją, Lira wpadła na pomysł. Wyjęła z kieszeni telefon Jake’a.

– Przepraszam. – Wyciągnęła rękę z telefonem.

Dziewczyna podniosła wzrok.

– Czy możesz nam pomóc?

– Pomóc w czym? – spytała. Jej ton nie był gniewny, ale też nie był zbyt przyjazny.

Caelum ciągle spoglądał na drzwi, by się upewnić, że nikt ich nie śledzi, a dziewczyna patrzyła tylko na niego, jakby Liry w ogóle tam nie było.

– Musimy znaleźć Gemmę – wyjaśniła Lira. – W tym telefonie – dodała niecierpliwie i wreszcie krótkowłosa dziewczyna oderwała oczy od Caeluma i spojrzała na nią. – Musimy znaleźć Gemmę w tym telefonie – powtórzyła. – Nie wiemy jak.

Dziewczyna parsknęła. Miała w nosie metalowe kółko.

– Wy tak na poważnie? – Gdy Lira nie odpowiedziała, przewróciła oczami i wzięła od niej telefon. Wykonała kilka szybkich ruchów palcami i oddała go Lirze. – A tak w ogóle: powinniście go blokować. Czy dostanę teraz jakąś nagrodę?

Lirze serce skoczyło z radości. Przycisnęła telefon do ucha, ale słyszała tylko ciszę. Pokręciła głową.

– Nie działa.

– Jezu. Z choinki się urwaliście? Czy z dziewiętnastego wieku? – Dziewczyna wzięła telefon z powrotem, wykonała kolejne szybkie ruchy i wcisnęła go Lirze pod ucho. – Zadowolona?

Tym razem Lira usłyszała dźwięk. Wstrzymała oddech. Liczyła sygnały: jeden, drugi, trzeci. „Jak długo będzie dzwonił?”, zastanawiała się. Ale wtedy nastąpiło ledwie słyszalne kliknięcie.

– Jake? – Głos Gemmy brzmiał tak blisko, że zaskoczona Lira o mało nie wyrzuciła telefonu. – Czy to ty?

Odwróciła się, żeby krótkowłosa dziewczyna, wciąż spoglądająca na nią podejrzliwie, nie mogła dosłyszeć.

– To nie Jake – powiedziała. – Jake nie żyje. A my potrzebujemy twojej pomocy.

Gemma i jasnowłosy chłopak o imieniu Pete przyjechali akurat w momencie, gdy mężczyzna w fartuchu męczył ich, żeby albo coś zamówili, albo opuścili lokal. Lira bała się wyjść na zewnątrz. Bała się, że ludzie z domu Jake'a wciąż mogą się na nich czaić. Gdy więc zobaczyła w tłumie Gemmę – jej duże, zmartwione oczy i tę ładną okragłą twarz, która do niedawna była twarzą Kasjopei – poczuła taką ulgę, że prawie się rozplakała. Byli bezpieczni.

– Oni są z nami, już wychodzimy – rzekła Gemma do mężczyzny w fartuchu, który zostawił ich w spokoju. – Wszystko w porządku? – zapytała Lire, a ta skinęła głową.

Miała wrażenie, jakby wyciągnęły się do niej jakieś ręce i ją podniosły. I znowu nawiedziło ją wspomnienie ciepła i bliskości, wyobrażenie surogatki, która kołysała ją i śpiewała jej do ucha. Ale wiedziała, że musiała to sobie wymyślić. Surogatki nie trzymały ludzkich modeli, które wydały na świat. Przyjeżdżały nie wiadomo skąd, mieszkały w ciemnych barakach, po czym odjeżdżały, również po ciemku, po otrzymaniu zapłaty.

Poza tym surogatki nie były mężczyznami. A w jej wspomnieniu, w jej wyobraźni albo fantazji, czuła łaskotanie brody na czole, widziała jasnoszare oczy i męskie dłonie, z bliznami na knykciach, które dotykały jej twarzy.

Caelum nie odstępował jej ani na krok. Nawet w samochodzie siedział tuż obok, z dłonią przyciśniętą do jej dłoni. Zrozumiała, że są ze sobą związani, i pomyślała o życiu ich obojga, o ich losach splecionych ze sobą niczym dwie nici podwójnej helisy spowitej znaczeniem. I czuła, że przy nim mogłaby stawić

czoła wszystkiemu, nawet powolnej śmierci, nawet światu, który ciągle się rozszerzał, ukazując im nowe autostrady, coraz więcej ludzi i coraz dalszy horyzont.

W samochodzie Lira opowiedziała Gemmie, jak szukali Emily Huang i odkryli, że pielęgniarzka nie żyje.

– Mogłam wam sama to powiedzieć – skwitowała Gemma i Lira usłyszała w jej głosie wyrzut: „gdybyście nie uciekli”.

Coraz lepiej szło jej wyczuwanie tonów i nastrojów.

Opowiedziała, jak przypomnieli sobie o kartce z adresem Jake’a, jak postanowili go odnaleźć, o otwartych tylnych drzwiach i jak znaleźli go w sypialni z zaschniętą strużką krwi spływającą z ust.

– Musieli po niego przyjść zaraz po tym, jak odjechaliśmy – wyszeptała Gemma do Pete’a. – Boże. Chyba zaraz zwymiotuję.

– To nie twoja wina – pocieszył ją i położył rękę na jej udzie.

Lira zaczęła się zastanawiać, czy Gemma i Pete byli ze sobą tak samo związani jak ona z Caelumem.

– Oboje powieszni, żeby wyglądało to na samobójstwo – stwierdziła Gemma i odkaszlnęła. Wyjaśniła im, że mieli mały pożar, ale Lira i tak się tego domyśliła, bo cały samochód śmierdzał dymem. – To pewnie taka mała specjalność wojska.

– Pewnie mniej podejrzane niż broń – dodał Pete.

Lira opowiedziała im o mężczyźnie i kobiecie, którzy zjawili się chwilę później, by dokończyć pozorowanie samobójstwa, jak niemal została zauważona i musiała się schować za kanapą.

– Jasna cholera – zaklął Pete i tym razem to Gemma ścisnęła jego nogę.

– Zabrałam jego komputer – dodała Lira.

Gemma odwróciła się do niej.

– Że co?

– Nie wiem czemu. – Wciąż było jej wstyd, że ukradli telefon Jake’a i uciekli w środku nocy. Nie chciała, żeby Gemma jej nienawidziła. – Pomyślałam, że może się przydać, więc go wzięłam.

Gemma zamruwała oczami. Jeśli Lira spoglądała na nią przez zmrużone powieki, mogła udawać, że patrzy na Kasjopeję – na zdrową Kasjopeję z miękkimi brązowymi włosami i przelotnym uśmiechem. Mogła być numerem 11.

– To genialne – stwierdziła Gemma z podziwem. – Jesteś niesamowita.

Potem Caelum wyjaśnił, dlaczego uciekli. Gemma wydawała się to rozumieć. Lirze kamień spadł z serca: zastanawiała się, czy w pewien niezwykły sposób, za sprawą jakiejś tajemnicy biologii, ona i Gemma lubiły się z tego samego powodu, dla którego Lira zawsze lubiła Kasjopeję.

– Prawie bym zapomniała. – Podniosła plecak leżący pod nogami Caeluma i wyjęła z niego dokumenty i zdjęcia, które znalazła u Sheri ukryte za rysunkami. – Przed śmiercią siostra Em dała swojej sąsiadce trzy grafiki. Znalazłam to ukryte pod ramkami.

Gemma wzięła je do ręki ostrożnie, jak gdyby były to skrzydła owada. Przez dłuższy czas wpatrywała się w listę obcych dla Liry nazwisk.

– Czy mogę to zatrzymać? – zapytała.

– Okej. – Lira nie mogła się doczekać, aż odbuduje swoją kolekcję materiałów do czytania, i te strony miały się stać zaczątkiem jej nowej biblioteki. Ale wiedziała, że mogą być ważne. Musiały być, skoro siostra Em je ukryła.

– Oddam je, obiecuję – dodała Gemma, jakby czytała jej w myślach. Zdawała się mieć tę zadziwiającą umiejętność.

Lira zastanawiała się, czy Gemma jest wyjątkowa, czy po prostu to pierwsza osoba, która dba o jej myśli i uczucia. Gemma starannie złożyła dokumenty i schowała je do kieszeni. Gdy Lira straciła je z oczu, zrobiło jej się przykro.

– Posłuchaj – odezwała się znowu dziewczyna. – Jest coś, co muszę ci powiedzieć. Coś o twojej przeszłości.

Samochodem szarpnęło. Pete gwałtownie skręcił, pewnie by ominąć coś leżącego na drodze, może jakieś zwierzę, chociaż jechali zbyt szybko, by Lira miała szansę się temu przyjrzeć.

– Co? – zapytała. – Co takiego? – Nagle zaczęła się bać, choć sama nie wiedziała czemu. Wydawało jej się, że czuje przez dłoń puls Caeluma. I że zaczyna on przyspieszać.

Gemma mrużyła powieki, jakby ostre światło świeciło jej w oczy.

– Tak naprawdę nie zostałam zrobiona w Haven.

Lira poczuła błysk tuż za oczami – pewny znak, że nadchodzi ostry ból głowy. Skutki uboczne. Objawy. Znowu zobaczyła tamte dłonie, bliznę na knykciach, poczuła łaskotanie brody na czole. Wyobrażenie. Fantazja.

– To znaczy? – Caelum odezwał się pierwszy. – Gdzie ją zrobiono?

– Nigdzie – odparła Gemma, a Lira usłyszała to słowo z oddali, jak gdyby znajdowała się pod wodą. Jak gdyby tonęła. Nigdzie. Straszliwe, samotne słowo. – To lista dzieci, które zostały odebrane swoim rodzinom i osadzone w Haven w czasie, kiedy instytut nie mógł sobie pozwolić na dalsze produkowanie ludzkich modeli. Trzecie nazwisko, Brandy-Nicole Harliss, to twoje nazwisko, które nosiłaś po urodzeniu. Twoje prawdziwe nazwisko. To imię nadali ci rodzice.

Lira poczuła, jak Caelum drgnął nerwowo. Miała wrażenie, że jej płuca przestały pracować. Ledwie mogła oddychać.

– Moi... – Nie była w stanie wypowiedzieć słowa „rodzice”. To nie miało sensu. Pomyślała o surogatkach w barakach i nowych replikach śpiących w małych, ślicznych inkubatorach na oddziale postnatalnym. To był jej świat. To stamtąd pochodziła.

– Masz rodziców – powiedziała delikatnie Gemma, jakby przekazywała jej

złą wiadomość.

I to była zła wiadomość. To było straszne, nie do wyobrażenia. Owszem, Lira rozmyślała czasem, jak by to było, gdyby doktor O'Donnell była jej matką, jak by to było mieć rodziców, ale fantazjowała o tym ogólnie, nigdy tak naprawdę nie zastanawiała się nad sobą jako normalną osobą, naturalnie urodzoną, powołaną do życia przez przypadek. Jedną z nich.

– To znaczy masz ojca. Szukał cię przez cały ten czas. Kochał cię przez cały czas.

To słowo: „kochać”. To był szok. Uderzyło ją ono jak ostrze w pierś i krzyknęła z bólu, zupełnie niespodziewanego, jak gdyby otworzono jej starą ranę. Chociaż gdy była mała, marzyła, by pojechać do domu z jedną z pielęgniarek – chociaż nawet potajemnie wyobrażała sobie, że doktor O'Donnell wraca po nią pewnego dnia i bierze w pachnące cytryną objęcia – były to tylko fantazje, a nawet w nich dom wyglądał jak Haven, miał białe ściany, wysoki sufit z jasnymi światłami i rozbrzmiewał w nim kojący dźwięk gumowych podeszew skrzypiących po linoleum.

Nie chciała miłości, nie od obcego, nie od ojca. Była repliką.

Caelum cofnął dłoń. Odwrócił się do okna.

„Nie – chciała powiedzieć. Poczula się w jakiś sposób brudna. – To nie jest prawda. Nie może być”. Była sparaliżowana, dusiła się pod ciężarem tego, co powiedziała jej Gemma. Nie mogła się ruszyć, by dotknąć ramienia Caeluma, by mu powiedzieć, że nic się nie zmieniło. Nie potrafiła poprosić go o wybaczenie.

Odtąd nie spojrzał na nią ani razu.

Nie chciała ojca.

Nie miała nawet pojęcia, co robią ojcowie, nie rozumiała, dlaczego są potrzebni. Gdy próbowała go sobie teraz wyobrazić, przyszedł jej na myśl Bóg, jego ciemna broda i wąskie oczy, jego spojrzenie zawsze pełne pogardy, nawet kiedy się uśmiechał. Przyszedł jej na myśl Werner i jego pożółkłe palce śmierdzące papierosami. I pielęgniarz Założymy Się, który szczypał jej skórę, zanim wbił igłę, bawił się zestawem do kroplówki albo dźgał ją palcem w brzuch, szukając objawów rozstrzeni.

Ale obok tych myśli była w jej głowie wizja – wspomnienie? – tamtego plastikowego kubka, rąk kołyszących ją do snu i łaskotania brody.

Caelum milczał aż do momentu, kiedy zatrzymali się na noc – niedaleko miejsca o nazwie Savannah. Lira jednocześnie z ulgą i rozczarowaniem przyjęła wiadomość, że nie jadą dalej. Przerazała ją perspektywa spotkania z ojcem, kimkolwiek był, ale też marzyła, żeby wreszcie mieć to z głowy, i zakładała, że Gemma chce ją zabrać prosto do niego. Teraz zaś będzie musiała żyć z fantazją o nim, o jego twarzy, która przybierała kształt twarzy różnych lekarzy i pielęgniarzy z Haven albo żołnierzy z mokradeł, w hełmach i z karabinami, czy też surowo wyglądających mężczyzn przypływających na barkach, by załadować ciała martwych replik – to byli jedyni mężczyźni, jakich kiedykolwiek znała.

Zatrzymali się na ogromnym parkingu pełnym samochodów, oddzielonym od autostrady gęstym pasmem platanów, a z pozostałych stron otoczonym lasem. Gemma powiedziała jej, że takie miejsca istnieją w całym kraju i są przeznaczone dla ludzi podróżujących kamperami albo z przyczepami kempingowymi – dwa

pojęcia, których Lira nie znała, ale zakładała, że chodzi o rodzaj stojących tu samochodów, które wyglądały jak normalne auta nadmuchane do czterokrotnych rozmiarów – i znowu dotarło do niej, jak wielu ludzi musi być na świecie, że jest ich na tyle dużo, że nawet podróżujący między miastami mają miejsce, gdzie mogą zatrzymać się na noc. Zrobiło jej się smutno. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek poczuje, że i ona ma swoje miejsce na świecie.

Wiedziała jedynie, że jeśli jest takie miejsce, to musi być w nim Caelum.

– Wróć za jakiś czas – powiedział, gdy wysiedli z samochodu. To były jego pierwsze słowa od wielu godzin.

– Idę z tobą – rzuciła natychmiast. Ale idąc obok niego, zorientowała się, że nie potrafi znaleźć słów, by wyrazić to, co chce powiedzieć. Jakby między nimi wyrósł jakiś mur. Czowała, jak gdyby znowu stał się dla niej obcy, jak gdyby był tamtym chłopakiem, którego spotkała niedaleko mokradeł. Nawet jego twarz wyglądała inaczej – była surowsza, a rysy ostrzejsze.

Na jednym końcu kempingu stał pobielony budynek z oddzielnymi łazienkami dla mężczyzn i kobiet, z kabinami prysznicowymi, z których można było skorzystać po włożeniu monety do otworu obok zamka. Lira uznała, że potrzebuje się odświeżyć. Marzyła o tym, by zmyć z siebie ostatnie kilka godzin, szokującą świadomość, że gdzieś tam byli ludzie, którzy powołali ją do życia, wspomnienie twarzy Jake'a Witza, wzdętej i strasznej, zapach krwi i wymiocin wciąż trzymający się jej ubrań. Skąd niby mogła mieć pewność, że Gemma mówiła prawdę? Jednak instynktownie wierzyła jej mimo pierwotnych obaw Caeluma. Gdy Gemma dała jej pieniądze na prysznic, przyjęła je.

Wnętrze kabiny było śliskie od osadu z mydła. Lirze przypomniały się jasne kafelki w Haven i repliki myjące się zbiorowo, zaganiane pod prysznic i wyganiane po trzech minutach. Brakowało jej tego. Brakowało jej porządku, rutyny, pielęgniarek mówiących, dokąd iść i kiedy. Ale jednocześnie tamta Lira, której wystarczyło płynąć przez dni, która leżała na przykrytych papierem

łózkach medycznych, żeby Ściskacz i Termomierz mogły zrobić swoje, która myślała o nich jak o swoich przyjaciółach, zdawała się jej niemożliwie obca. Nie pamiętała już, jak to jest być tamtą dziewczyną.

Nie miała ręcznika, więc gdy się ubrała, wszystko było wilgotne. Ale czuła się lepiej, czystiej. Ojciec. Próbowwała trzymać się tej myśli przez dwie–trzy sekundy, już bez poczucia wstydu. Zbliżyła się do niej, obwąchała ją jak zwierzę eksplorujące coś nowego. Jak by to było mieć ojca? Co tak naprawdę robili ojcowie? Nie miała pojęcia.

Wyszła na zewnątrz. Noc rozbrzmiewała odległym śmiechem i terkotaniem rzekotek. Nie widziała Caeluma. Znalazła go na tyłach budynku, jak rzucał kamieniami w zarośla w miejscu, gdzie kończyła się polana, a zaczynał las.

– Caelum?

Nie odwrócił się, więc pomyślała, że nie dosłyszał, i zrobiła kolejny krok w jego stronę.

– Caelum?

– Nie nazywaj mnie tak. – Odwrócił się do niej, na jego twarz padało światło reflektora, i Lira poczuła w żołądku ziejącą pustkę. Wyglądał, jakby jej nienawidził. – To nie jest moje imię. – Tym razem posłał serię kamieni w ubikację. Uderzyły z brzękiem o ściany i znak wskazujący drogę do pryszniców. – Jestem 72. Jestem repliką. Ludzkim modelem. Tylko ludzie mają imiona.

Teraz już wiedziała, że to, czego się obawiała, nadeszło. Caelum nienawidził jej za to, kim była, albo za to, kim nie była.

– To wcale nie tak. – Czuła, jakby zgniatały ją dwa gigantyczne talerze, jakby cały świat zwięził się do tej chwili. – To przecież nic nie zmienia.

– Och, naprawdę? No tak, ty w końcu wiesz takie rzeczy. – Odwrócił wzrok. – Myślałem, że jesteśmy tacy sami, ale nie jesteśmy. Jesteśmy inni. Ty jesteś inna.

– No i co z tego? – Lira podeszła jeszcze bliżej.

Dzielił ich jeden mały krok, ale równie dobrze Caelum mógłby się znajdować na drugim krańcu świata. Czuła, że działa bez zastanowienia, w panice, tak samo jak wtedy, gdy uciekała po eksplozji z Haven. Znowu na nią spojrzął, marszcząc brwi.

– A więc jesteśmy różni. I kogo to obchodzi? Postanowiliśmy razem uciec. Postanowiliśmy zostać razem. Wybraliśmy się, prawda? – O mało nie powiedziała: „Nadałam ci imię!”, ale na wspomnienie tamtej nocy, kiedy przy nim leżała, podczas gdy ciemność wirowała wokół niego, ścisnęło ją w gardle. – To właśnie wszystko zmienia. Możliwość wyboru i nasze decyzje. – Wzięła głębszy oddech. – Ja wybrałam ciebie.

– Jak możesz? – rzekł chrapliwym głosem. – Wiesz, czym jestem. Nie należę do nikogo ani do niczego.

– Należysz do mnie. – Kiedy powiedziała to na głos, poczuła, że to prawda. – Błagam cię. – Nigdy nie musiała o nic prosić, bo nigdy nie miała ku temu powodu. Ale poczuła rodzącą się w środku potrzebę i prośbę. Poczuła, że jeśli on nie powie „tak”, nie będzie mogła pójść dalej. – Błagam – powtórzyła, ponieważ nie była w stanie powiedzieć nic innego. Jednocześnie zrobiła krok w jego stronę i położyła rękę na jego piersi, nad sercem, bo ono było ostateczną instancją, bo zawsze można się było odwołać do jego rytmu i do faktu, że każdy, nieważne, jak i gdzie powołany do życia, miał serce, które działało w ten sam sposób.

Stali blisko siebie. Od jego skóry biło gorąco. I chociaż Lira mogła go poczuć, dotknąć, doświadczyć jego odrębności, w tej chwili dowiedziała się także czegoś zupełnie nowego – że dzięki dotknięciu kogoś można rozpuścić dzielącą dwie osoby przestrzeń.

– Jestem nikiem – powiedział. W jego oczach widziała swoje podwójne odbicie. – Zostałem zrobiony, by być nikiem.

– Dla mnie jesteś kimś. Jesteś wszystkim.

Na te słowa ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją. Nigdy żadne z nich nie uczyło się całowania. Ale on to umiał. I ona też. To było silniejsze niż instynkt. To była radość.

Mimo to byli w tym nieporadni. Potknęli się i Lira oparła plecy o ścianę. Podciągnęła się, objęła go i ze zdumieniem stwierdziła, że jej ciało umiało coś więcej, niż tylko boleć, drżeć albo odczuwać zmęczenie. Umiało śpiewać.

Ledwie się dotykali, nie licząc ust, eksplorowali swoje zęby, języki, wargi, drżeli od radości odkrywania. Zrodzili się na nowo w swoich ciałach. Zrodzili się razem. Przyszli razem na ten świat, tak jak każdy powinien: w przerażeniu, niepewności, zdumieniu i z wdzięcznością.

I dla nich również narodził się świat, w całej swej złożoności i dziwnej chwale. Mieli w nim nareszcie swoje miejsce i nareszcie należał on do nich. Cokolwiek by się stało, jakiegokolwiek problemy by ich spotkały, Lira wiedziała, że stawia im czoła razem, tak jak teraz. Stali się ludźmi poprzez radość, poprzez przynależność do drugiego, która miała smak wolności.

GEMMA

1

Ucieczka – właśnie o tym marzyła Gemma, szczególnie w noce takie jak ta, kiedy duży i jasny księżyc przypominał filmową dekorację zawieszoną za jej oknem na zasłonie czarnego nieba.

W filmach nastolatki zawsze wymykały się z domu. Czekały, aż rodzice położą się spać, a wtedy wysuwały się spod kołdry, już w ubraniu – w mini i obcisłych topach – zjeżdżały w dół po poręczy, otwierały drzwi i pyk! Już ich nie było, tak jak balonów, które zbyt mocno ściskane wyslizgują się z rąk.

Tyle że inne nastolatki, jak domyślała się Gemma, nie miały Rufusa, prawie stukilowego retrievera, który był szczekającą górą futra.

– Ciii – syknęła, gdy powitał ją na dole schodów.

Podskakiwał i biegał w kółko jak szalony – cud, że się nie przewrócił.

– Wszystko w porządku?

Była na nogach zaledwie od minuty, a jej mama już stała na górze i spoglądała na nią zmrużonymi oczami pozbawionymi soczewek kontaktowych, ubrana w stary podkoszulek z Harvardu i spodnie od dresu.

– Nic mi nie jest, mammo. – Gemma wyjęła szklankę z szafki. Nigdy nie udałooby jej się wymknąć z domu. Zresztą nie miała dokąd się wymykać i z kim, bo April, jej najlepszą przyjaciółkę, trzymano na tak samo krótkiej smyczy.

Mimo to przez chwilę wyobrażała sobie, że jest w połowie drogi do drzwi, ubrana w ciasne dzinsy i koszulkę podkreślającą biust – jedyną część ciała, którą u siebie lubiła – po to, by po opuszczeniu domu wskoczyć do samochodu swojego chłopaka, zamiast stać w piżamie w ciemnej kuchni o dwudziestej trzeciej w środowy wieczór, będąc lizaną przez Rufusa.

– Chciałam się tylko napić wody.
– Odwodniłaś się? – Ton mamy sugerował śmiertelne zagrożenie.
– Nic mi nie jest. – Gemma wracała po schodach na górę, grzechocząc kostkami lodu w szklance, i celowo unikała wzroku matki. – Wracaj do łóżka, okej?

Jej mama, Kristina, się zawahała.

– Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować, dobrze?

– Mhm. – Gemma zatrzasnęła drzwi sypialni przed nosem Rufusa, nie przejmując się tym, że w tej samej chwili zaczął skomleć. Postawiła szklanke na stoliku nocnym i rzuciła się z powrotem na łóżko. Blask księżyca tworzył na jej gołych nogach mozaikę ze światła i cienia. Przez chwilę próbowała sobie wyobrazić, co w tej chwili robią Chloe DeWitt i Aubrey Connelly. Zawsze mówiono jej, że ma bujną wyobraźnię, ale to akurat ją przerastało. Jak to jest być całkowicie i bezlitośnie normalną, tak do szpiku kości? O czym one myślały? Jakie miały problemy? Czy w ogóle miały jakieś problemy?

Rufus ciągle skomlał. Gemma wpuściła go do pokoju i westchnęła, gdy wskoczył na łóżko i usadowił się dokładnie na środku jej poduszki. I tak nie chciało jej się spać. Siadła przed toaletką należącą do jej matki – bogato zdobionym wiktoriańskim antykiem – którą uwielbiała, gdy była mała. Nie miała odwagi powiedzieć Kristinie, że toaletka już jej się nie podoba. W ogóle nie potrafiła powiedzieć rodzicom wielu rzeczy.

Spojrzała w lustro. W świetle księżyca jej oczy wyglądały jak dwie ciemne jamy, a skóra robiła wrażenie niemal przezroczystej. Gemma zastanawiała się, czy właśnie tak zawsze postrzegali ją rodzice: jako istotę po części nie z tego świata, zawieszoną gdzieś między tym życiem a następnym.

Ale już nie chorowała. I to od lat, od kiedy przestała być dzieckiem. Mimo to wciąż traktowali ją tak, jakby nagle coś miało ją zdmuchnąć – niczym domek z kart, który mógł się zawalić od najbliższego powiewu wiatru.

Sama ledwie pamiętała lata choroby: szpital, operacje, kuracje. Okres wracania do zdrowia, jak mówił jej lekarz. „Nabywania odporności”.

Miała za to w pamięci ogród. I pomnik. Przedstawiał klęczącego boga – przynajmniej tak jej się wydawało, choć nie miała pewności – z jedną ręką podniesioną ku niebu, a drugą sięgającą w dół, jak gdyby miał wyciągnąć z ziemi coś zaczarowanego.

2

Gemma była chyba jedyną szesnastolatką z nadwagą w całej historii Stanów Zjednoczonych, która żałowała, że nie może ćwiczyć na wuefie. Co innego, gdyby mogła sobie w tym czasie pójść do czytelnicy albo mieć okienko. Ale z powodu „ograniczeń rozkładu zajęć” (oficjalny powód) lub, jak podejrzewała Gemma, w wyniku wrodzonego sadyzmu pani Vicke, wicedyrektorki, zmuszono ją do chodzenia na lekcje wuefu, siedzenia na trybunach i udawania, że coś robi, podczas gdy reszta koleżanek biegła po skrzypiącym linoleum sali gimnastycznej albo po mokrym boisku do piłki nożnej.

Na trybunach nie było gdzie się ukryć. Czuła się, jakby była błyszczącą tablicą z napisem „Ja tu nie pasuję”. Do tego pani Coralee, nauczycielka wuefu (również sadystka – szkoła była ich pełna), kazała Gemmie przebierać się w marszczone nylonowe szorty i koszulkę na szelkach, które cała klasa musiała nosić, a które jeszcze bardziej podkreślały, jak Gemma tu nie pasowała – równie dobrze mogłaby nosić strój narciarski na plaży.

– Szczęściara z ciebie – odezwała się w drodze do szatni April Ruiz, najlepsza przyjaciółka Gemmy, odgarniając z oczu czarny lok. – Jestem prawie pewna, że gra w dwa ognie została wymyślona przez tych samych ludzi, którzy wynaleźli termometry doodbytnicze albo wehniałe rajstopy.

– Ruchy, kluchy, Frankenstein. – Chloe DeWitt dźgnęła Gemmę mocno łokciem w miejsce, gdzie powinna mieć talię, ale był tam tylko wałek tłuszczu. Gemma pewnie miała dwadzieścia kilo przewagi nad Chloe, ale tamta była koścista i umiała zrobić z tego użytek. – Nie wszystkie mamy możliwość wcinania słodyczy przez całą lekcję.

Gemma się zaczerwieniła. Nigdy, przenigdy nie jadła na lekcji. Rzadko nawet jadła na stołówce, żeby Chloe i dziewczyny jej pokroju nie miały okazji się z niej nabijać. Ale to nie było ważne. Już w dzieciństwie Chloe wyznaczyła sobie misję, by ciągle przypominać Gemmie, że jest dziwadłem. W trzeciej klasie wymyśliła przezwisko „Frankenstein” – po tym, jak Gemma przeszła drugą operację serca, po której została jej gruba blizna od piersi do pępka. Od tamtej pory Gemma przebierała się tylko w kabinach w łazience, ale i tak już nikt poza April i nauczycielami nie nazywał jej inaczej.

Nie mogła tylko zrozumieć jednego: dlaczego – skoro była taka delikatna, jak powtarzali jej rodzice („Jesteś taka delikatna, Gemmo, dlatego musisz na siebie uważać”, „Nie ma mowy o rollercoasterze, Gemmo, twoje serce jest takie delikatne”) – nie mogła wyglądać delikatnie, jak te filigranowe kryształowe zwierzątka z nogami chudymi jak patyczki, które kolekcjonowała jej mama i trzymała w przeszklonej witrynie. Jak Chloe, której skóra błyszczała opalenizną niczym polakierowana, która wydawała się misternie wyrzeźbiona i przypominała dobrze nastrojony instrument. Jak gdyby wyszła spod ręki boga, który miał oko do detali, podczas gdy Gemma została niedbale uklepana przez jakiegoś pijaka.

– Tak – wymruczała, gdy Chloe i dziewczyny z jej bandy zebrały się roześmiane przy umywalkach. – Szczęściara.

– Nie pozwól, żeby Cruella zepsuła ci nastrój – powiedziała cicho przyjaciółka. – April zawsze stawiała po jej stronie. Wiele lat temu stwierdziły, że albo są dwiema kosmitkami w szkole pełnej ludzi, albo dwiema przedstawicielkami rodzaju ludzkiego w szkole pełnej kosmitów. – Ktoś zapomniał dać jej poranny zastrzyk ze środkiem uspokajającym.

April i Gemma poczekały, aż Chloe i jej zgraja wilczyc – ksywka będąca czymś więcej niż metaforą, ponieważ Gemma była prawie pewna, że Aubrey Connelly ma siekacze spiłowane na ostro, i wcale nie zaskoczyłoby jej, gdyby się

okazało, że lubi smak ludzkiego mięsa – przebiorą się, zanim same to zrobiły. Obie spóźnią się na godzinę samodzielnej nauki i będą musiały wysłuchać kolejnego kazania pana Rotema. Ale wszystko było lepsze niż przebieranie się ze zgrają wilczyc.

– Mam dobre wieści – oznajmiła April, kiedy szatnia wreszcie opustoszała. – Moja mama w końcu poddała się w sprawie Zielonej Landary. Powiedziałam jej, że to szalenie niebezpieczne przejechać tą bestią sto kilometrów, a co dopiero tysiąc. Niezła strategia, co? Użyłam jej własnej argumentacji przeciwko niej.

– I tak zwierzyna łowna stała się myśliwym – rzekła Gemma głosem ze zwiastunów filmowych.

Czasami miała wrażenie, że jej ulubioną częścią tygodnia było siedzenie na drewnianej ławce za kabinami prysznicowymi, nieużywanych od dwudziestu lat, i rozmawianie z April, kiedy ta myła twarz i żmudnie poprawiała makijaż, choć w rezultacie wyglądała tak, jakby była nieumalowana. Jak gdyby znajdowały się wtedy w swoim własnym bezpiecznym świecie. Nie tym, który stworzyli dla niej rodzice. W świecie, który sama wybrała.

– Coś w tym stylu. W każdym razie pojedziemy na Florydę naszym własnym lexusem. Dasz wiarę? Mój brat jest strasznie wkurzony.

Nie licząc jej własnych, rodzice April byli najbardziej nadopiekuńczymi ludźmi, jakich Gemma знаła. Żadna z nich nie mogła się umawiać na randki – nie żeby to miało znaczenie, skoro nikt nie chciał się z nimi umawiać. Lista rzeczy, których nie mogły robić, zawierała wśród wielu pozycji: 1) chodzenie spać po dziesiątej wieczór, 2) udział w jakichkolwiek imprezach szkolnych czy dyskotekach, chyba że odbywały się w dużej grupie samych dziewczyn, co wykluczało je na wstępie, bo – nie licząc siebie –nie miały przyjaciółek, 3) jeżdżenie do Raleigh, stolicy stanu, o ile starszy brat April nie robił za przyzwoitkę, 4) korzystanie z Instagramu.

Gemma była pewna, że nawet gdyby miała metr osiemdziesiąt i wyglądała jak supermodelka, absurdalne poglądy jej rodziców na media społecznościowe („To niszczy mózg! Fatalnie wpływa na samoocenę!”) i tak zapewniłyby jej miejsce na samym dole hierarchii dziobania. Była też pewna, że gdy matki jej i April spotkały się po raz pierwszy, urządziły sobie burzę mózgów, żeby znaleźć jeszcze bardziej niedorzeczne sposoby na to, by zapewnić obu dziewczynom bezpieczeństwo, brak innych przyjaciół i wyjątkowo żałosne życie.

Połowa uczennic przedostatniej klasy postanowiła spędzić wiosenną przerwę w Miami, ale Gemma darowała sobie błaganie rodziców, by pozwolili jej tam jechać. Wiedziała, że ma na to takie same szanse jak na zostanie pierwszą kobietą prezydentem Stanów Zjednoczonych... w wieku lat szesnastu. Poza tym wcale nie chciała spędzać wolnego czasu, wpadając na tych samych prześladowców, których starała się unikać w szkole.

Ale April – która była nie tylko ładniejsza, mądrzejsza i miała dużo bardziej optymistyczne podejście do życia niż Gemma, do tego stopnia, że gdyby nie były absolutnie najlepszymi przyjaciółkami do grobowej deski, współkosmitkami i wyrzutkami społeczeństwa, Gemma by nią gardziła – tak łatwo się nie poddała. Błagała swoich rodziców. Płakała. Stroiła fochy – co było dosyć ryzykowne, bo jej mama, Angela Ruiz, słynna prokurator stanowa, była znana z tego, że wzbudzała w dorosłych mężczyznach taki lęk, że przyznawali się do winy na pierwszych przesłuchaniach. (A jej druga matka, Diana, była programistką komputerową, która jako dwudziestolatka wygrała kilka turniejów kick-boxingu).

I wtedy zdarzył się cud. April wypowiedziała magiczne słowo: „seksizm”.

To jest czysty seksizm – twierdziła – że jej starszemu bratu Ryanowi pozwolono pojechać na przerwę wiosenną ze znajomymi. To jest seksizm, że może jechać lexusem, podczas gdy jej przypadła Zielona Landara, stare jasnozielone kombi. I mimo że Ryan był dwa lata starszy, a lexus był prezentem

za to, że dostał się na Harvard z wcześniejszego naboru, niespodziewanie jej matki wyszły z kontrpropozycją: April i Gemma mogą wziąć nowy samochód i pojechać na tydzień do Bowling Springs na Florydzie, gdzie mieszkali dziadkowie April.

Co więcej, przekonały rodziców Gemmy, że to dobry pomysł.

I owszem, może pobyt w miejscu znanym z randek dla seniorów i cotygodniowych wyczynowych turniejów badmintona nie był dokładnie takim sposobem spędzenia przerwy wiosennej, o jakim marzy każda nastolatka, ale było to lepsze niż nic. Mogły tam zostać przez całe dziewięć dni, pluskać się w basenie, chodzić na tenisa albo jeździć na plażę. Mogły pić bezalkoholowe piña colady i próbować smażonego aligatora w lokalnych knajpkach. A do tego będą miały dom dla siebie przez całe trzy dni, kiedy to dziadkowie April mieli wyjechać na jakieś dziwne odosobnienie pod hasłem pozytywnej wizualizacji połączone z ćwiczeniami jogi i nauką głębokiego oddychania – drobny szczegół, który udało się Gemmie zataić w rozmowach z rodzicami.

Omawianie z najlepszą przyjaciółką planów wyjazdowych sprawiło, że Gemma wreszcie poczuła się jak normalna amerykańska nastolatka, jak z czasopism, jak z piosenek country. Do tego stopnia, że nie była pewna, czy rzeczywiście chce tam jechać, bo mogłyby o tym rozmawiać bez końca.

April podskoczyła i z pomocą różnych ewolucji wbiła się w dżinsy. Często powtarzała, że chciałaby być chuda jak rurka z kremem. Gdyby wybrać określenie z tej samej kategorii dla Gemmy, byłaby pączkiem.

– Wpadnę po ciebie w sobotę o ósmej rano, okej?

– Okej – odparła Gemma.

Umówiły się na sobotę 19 marca o ósmej rano już parę tygodni temu, ale potwierdzały to codziennie. Czemu by nie? Była to pierwsza namiastka przygody w życiu każdej z nich, nie licząc wkładania na Wielkanoc pianek cukrowych do mikrofalówki i obserwowania, jak wybuchają.

Gemma tak bardzo chciała się czuć podekscytowana. Gorąco pragnęła, by ostrzeżenia rodziców sączone przez lata nie przedarły się jak wirus do jej komórek, żeby się tam rozmnożyć. Marzyła o tym, by choć trochę nie być przerażoną. Powtarzała sobie, że nic się nie stanie. W końcu nic nigdy się nie działo.

3

Oto lista wszystkich problemów zdrowotnych, które miała Gemma od urodzenia:

1. Dwie złamane kości piszczelowe.
2. Jedno zapadnięte płuco.
3. Wrodzona wada serca.
4. Zapalenie płuc.
5. Poparzenie sumakiem jadowitym (na pośladkach, jakżeby inaczej).
6. Następne zapalenie płuc.
7. Złamanie nadgarstka.
8. Niedoczynność tarczycy.
9. Zapalenie płuc po raz trzeci.

A oto lista schorzeń, które ją ominęły:

1. Dżuma.
2. Choroba, która sprawia, że człowiek zawsze jest chudy – nieważne, ile je.

Raz na jakiś czas, gdy Gemma zbliżała się do ogromnej żelaznej bramy otaczającej ich posesję, miała przebłysk pewnej wizji – nie wspomnienie jako takie, ale raczej wrażenie podobne do tego, gdy człowiekowi przyjdzie na myśl piosenka, którą słyszał tylko raz. Widziała w niej wysokie ogrodzenie, zagubione gdzieś w dzikiej płataninie gorączkowych snów, które tak często nawiedzały ją w dzieciństwie – wysokie ogrodzenie oraz ogromny posąg mężczyzny klęczącego na ziemi i sięgającego po coś, jakby jednocześnie do nieba i do piekła.

Podjazd miał dokładnie czterysta metrów długości. Gemma wiedziała to, ponieważ kiedyś poprosiła mamę, by to zmierzyła w samochodzie. Dzielił on na pół ogromny trawnik ozdobiony starymi świerkami i kwitnącymi dereniami. W dni, kiedy April zostawała na ćwiczenia chóru, przejażdżka autobusem i wędrówka czterysta metrów wzdłuż podjazdu były dużo lepszym wyjściem niż czekanie, aż przyjedzie po nią szofer taty, co wiązało się z wystawianiem w punkcie postojowym dla uczniów, na który był pełny widok z boiska dla najstarszych roczników, a to z kolei stanowiłoby milczące przyznanie, że ma tylko jedną koleżankę mogącą ją podwieźć.

Poza tym właściwie była to jedyna aktywność fizyczna, której się oddawała. W pogodne dni specjalnie szła wolno, żeby przedłużyć tę chwilę i rozkoszować się zapachem frezji i wiciokrzewu oraz słuchać cichego brzęczenia komarów zbitych w chmurę w cieniu.

Dzisiaj jednak szła szybko, zbyt zajęta myśleniem o sobocie (to już pojutrze!) – o czekającej je dziesięciogodzinnej podróży, o prawdziwej przygodzie ze swoją najlepszą przyjaciółką – by docenić uroki pięknego dnia. Za sprawą tych wszystkich drzew i krzewów oraz kąta nachylenia podjazdu dopiero gdy znalazła się niemal tuż przed tarasem wejściowym, zauważyła stojące przed domem dwa wozy policyjne, z których jeden miał otwarte drzwi, jakby policjanci nie zamknęli ich z powodu zbyt szybkiego pośpiechu. Jej mama rozmawiała z jednym z nich, trzymając się za szyję.

„Tata”, pomyślała Gemma i momentalnie rzuciła się biegiem, choć plecak obijał jej się o plecy.

– Gemma! – Kristina odwróciła się, gdy córka stanęła przy niej zdyszana, z potem zebrany pod pasem dżinsów i ciekącym wzdłuż kręgosłupa. Wyciągnęła ręce i chwyciła Gemmę za ramiona. – Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Gemma wpatrywała się w nią ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli, pytając, czy wszystko w porządku? – Wskazała na radiwozy i policjanta, który stał nieco z boku z rękami na biodrach i w okularach przeciwsłonecznych i wpatrywał się w niebo, jak gdyby zastanawiał się, czy stojąc w ten sposób, uda mu się opalić. – O co chodzi?

– Och – westchnęła głośno Kristina i puściła Gemmę. – To? Nic takiego. Bzdura. Jakiś głupi dowcip.

Gemma zdążyła już zauważyć, że jedna z ogromnych szyb w przeszklonych drzwiach jest rozbita, jak gdyby ktoś cisnął w nią czymś ciężkim. Spostrzegła w salonie drugiego funkcjonariusza, który stapał delikatnie po chrzęszczącym szkłe. Za chwilę wyłoniła się jeszcze jedna policjantka, w rękawiczkach, trzymając w dłoniach coś, co wyglądało jak grudkowaty kamień w dziwnym zielonym odcieniu. Ale gdy to obróciła, by pokazać koledze, Gemmę dosłownie zmroziło. To był nie kamień, ale halloweenowa maska Frankensteina zszyta przy szyi. Musiała być ciężka, sądząc po sposobie, w jaki kobieta ją trzymała. Na pewno wypełniono ją czymś, co nadawało jej kształt.

– O mój Boże. – Gemma czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach.

Chloe. Ta chora jędza. Skupiła się na logicznym myśleniu, żeby się nie rozpłakać. Jak to się stało? Jakim cudem Chloe przyjechała tu szybciej niż autobus? Czy mogła przebiec na przelaj ostatni przystanek? Nie. Gemma widziała ją, jak wsiadała do samochodu Aubrey. I w jaki sposób przedostały się przez bramę? Cała posesja była ogrodzona. Mimo to wiedziała, że Chloe i Aubrey są za to odpowiedzialne, dałaby sobie głowę uciąć.

Frankenstein. Zniekształcony potwór.

– Wszystko dobrze, Gem. Wszystko jest dobrze – powiedziała Kristina piskliwym głosem, jak gdyby sama w to nie wierzyła. – Nikomu nic się nie stało.

Po tych słowach Gemma poczuła się jeszcze gorzej. „Nikommu nic się nie stało”, a więc komuś mogło coś się stać. A jeśli mama byłaby wtedy w salonie? Oczywiście było to mało prawdopodobne. Nawet jeśli dom – Château

Ives, jak nazywała go April, co było tylko po części żartem – mógłby pomieścić armię w czasie wojny, jej mama nigdy nie bywała nigdzie poza swoją sypialnią, kuchnią, studium jogi na dole i łazienką, jak gdyby kontrolowana przez siłę odśrodkową, która kazała jej krążyć między tymi czterema miejscami. Ale co, gdyby ich koty Ender i Bean leżały pod sofą? Co, gdyby Rufus wygrzewał się na dywanie?

– Jeśli chce pani, żebyśmy wszczęli śledztwo, musi pani pojechać z nami na komisariat – powiedział policjant w okularach przeciwsłonecznych, ten, który wyglądał na znudzonego. Choć ze wszystkich sił starał się być miły. Z rodziną Ivesów, jak z pewnością mu powiedziano, należało się liczyć.

Kristina pokręciła głową.

– Sama nie wiem. Gdyby tylko Geoff... – urwała. – Mój mąż ma teraz spotkanie – wyjaśniła.

Ojciec Gemmy zawsze był na jakimś spotkaniu, w samochodzie albo samolocie.

– Jak dostali się do środka? – spytała Gemma.

Brama wejściowa otwierała się na kod. Wszyscy goście musieli dzwonić. Château Ives przypominał pod tym względem Fort Knox.

Kristina oblała się rumieńcem. Nawet z czerwoną twarzą wyglądała ładnie. Gemma przez lata próbowała odnaleźć w sobie śliczną twarz modelki swojej mamy, jej wysokie kości policzkowe i szczupłe nadgarstki. Ale jedyne podobieństwo odnalazła w sposobie marszczenia brwi.

– Cały dzień przychodzili dostawcy w związku z niedzielną wystawą koni – powiedziała, częściowo do Gemmy, częściowo do policjanta. – Kwiaciarze, planista... Zostawiłam bramę otwartą, żeby ciągle nie dzwonili.

Czytaj: „Łyknęłam klonopin, popiłam kieliszkiem wina i ucięłam sobie drzemkę”. Jej rodzice rzadko mówili dokładnie to, co mieli na myśli, dlatego Gemma stała się biegłą w tłumaczeniu tego, co mówią.

– Finke, rzuć na to okiem. – Kolejny policjant wbiegł truchtem przez frontowe drzwi. On także miał założone nylonowe rękawiczki, a między palcem wskazującym i środkowym trzymał liścik zapisany na kawałku papieru. – To było załączone do przesyłki specjalnej.

Znudzony policjant przesunął okulary na czubek głowy i przeczytał, nawet nie sięgając po wiadomość. Była krótka, ale Gemma poczuła, jak w jej sercu narasta gniew, zagłuszając inne uczucia.

jesteś horym potworem zasługujesz na śmierć

Kristina jęknęła, jak gdyby dosłownie dostała w twarz. Gdy Finke kiwnął głową, drugi mężczyzna cofnął się i ostrożnie włożył notatkę do foliowej torebki. Gemmie stanęła przed oczami wizja, jak aresztują Chloe, wyobraziła sobie jej ręce wykręcone z tyłu i przyciśniętą do dachu radiowozu twarz. Wyobraziła sobie, jak pakują ją na resztę życia do jednej celi z wyrośniętą morderczynią o ksywie Księżniczka.

Wyobraziła sobie, jak zaciska dłonie na szyi Chloe i patrzy, jak jej głowa opada.

– Chyba... chyba lepiej, żebym poszła z wami – powiedziała Kristina. Rumieniec zniknął. Była blada i zakłopotana. – Kto mógłby zrobić coś takiego? Kto mógłby być tak okropny?

– Czy pani albo pani mąż mieli ostatnio jakieś problemy? – zapytał Finke. – Jakies kłótnie? Kłopoty prawne?

Kristina pokręciła głową.

– Żadnych innych wiadomości ani telefonów z pogrózkami?

Znowu pokręciła głową.

– Po prostu nie mogę sobie wyobrazić...

– Mamo, zaczekaj. – Gemmę mdliło od wypowiedzianych w myślach słów. „To moja wina. To przez to, że wszyscy uważają mnie za dziwoląga”.

Mama wiedziała, że w szkole nie jest jej łatwo, ale jej współczucie sprawiało,

że Gemma czuła się tylko gorzej. Jedyną rzeczą bardziej bolesną od bycia szkolnym popychadłem okazało się bycie szkolnym popychadłem, a zarazem córką niegdysiejszej szkolnej gwiazdy. Wzięła głęboki oddech.

– Ja wiem.

– Co?

– Wiem, kto to zrobił. – Teraz wszyscy policjanci patrzyli na nią, wydawało jej się, że z litością. Poczwała, jak policzki jej płoną, i była absolutnie pewna, że nie wygląda tak ładnie jak mama. Kiedy Gemma się rumieniła, wyglądała, jak gdyby dwa barwniki starały się udusić nawzajem pod jej skórą. – Taka jedna głupia dziewczyna ze szkoły. Pewnie myślała, że to będzie zabawne.

Czy to jej wyobraźnia, czy na ułamek sekundy na twarzy mamy pojawił się wyraz ulgi?

– Och, kochanie – powiedziała i chciała objąć Gemmę, ale ta się odsunęła.

– W porządku. Nic mi nie jest.

– Czy wciąż chce pani złożyć skargę? – zapytał Finke, ale Gemma domyśliła się, że już nie uważa tego za dobry pomysł.

Cała atmosfera się zmieniła. Nikt na nią nie patrzył. Policjanci pakowali się nerwowo, chcieli wrócić do ważniejszych spraw niż upokorzenie towarzyskie jakiejś nastolatki. Może byli źli z tego powodu, że ich tutaj ściągnięto.

– To zależy od ciebie, groszku. – Kristina przejechała ręką po włosach Gemmy. – Co o tym sądzisz?

Gemma pokręciła głową. Choć wizja Chloe w pomarańczowym więziennym kombinezonie była kusząca – z pewnością nawet ona nie wyglądałaby dobrze w więziennym oranżu – wiedziała, że jeśli rozdmucha tę sprawę, będzie jeszcze gorzej. Byłaby Frankensteinem-Beksą. Kosmitką-Kapusiem.

Nagle zachciało jej się wyć. Chloe wraz ze swoją zgrają wilczyc robiła wszystko, by uprzykrzyć jej życie przez ostatnie lata. Ale żeby zrobić coś tak podłego? Weszły do jej domu. Poświęciły czas, by wypchać halloweenową

maskę kamieniami, gruzem albo może metalowymi odłamkami ze swoich mechanicznych serc. Napisały, że zasługuje na śmierć. Dlaczego? Co takiego im zrobiła?

Była kosmitką wyrzuconą na nieprzyjazną planetę. Zagubioną bez nadziei.

– Jesteś pewna? – spytała Kristina, gładząc kciukiem twarz córki.

Gemma skrzywiła się i cofnęła o krok.

– Tak, jestem pewna – potwierdziła.

– Okej. – Kristina odetchnęła głęboko i posłała Finkemu słaby uśmiech. – Przepraszam za kłopoty. Wiecie, jakie są nastolatki.

– Mhm – mruknął Finke, co nie pozostawiało wątpliwości, że tego nie wie ani nie ma ochoty się dowiadywać.

Gemma chciała od razu uciec do swojego pokoju, najlepiej na zawsze, ale Kristina otoczyła ją ramieniem. Jak na taką szczupłą kobietę była zaskakująco silna i przez chwilę trzymała Gemmę w śmiertelnym uścisku.

– Tak mi przykro, kochanie. Dlaczego nie powiedziałaś, że masz problemy w szkole?

Gemma wzruszyła ramionami.

– To nic takiego.

Kristina pachniała, jak zawsze, wodą różaną i bardzo drogimi perfumami. Tak drogimi, że właściwie roztaczały woń świeżo wydrukowanych banknotów.

– Wolałabym nie martwić taty, a ty? – Uśmiechnęła się, ale Gemma zobaczyła w jej spojrzeniu niepokój, odczytała słowa, których mama nigdy by nie powiedziała: „Nie chcę, żeby uważał cię za jeszcze większe rozczarowanie niż teraz”. – Powiemy mu, że to był wypadek. Jakiś dzieciak grał w bejsbol. Coś w tym stylu.

Żeby dorzucić piłką bejsbolową z ulicy do okna w salonie, jakiś dzieciak musiałby być najlepszym graczem z pierwszoligowej drużyny. Zazwyczaj

skłonność rodziców do kłamstw w sprawach małych i dużych niepokoiła Gemmę. Jeśli byli tak świetni w wymyślaniu różnych historii, czy mogła kiedykolwiek mieć pewność, że mówią prawdę?

Ale dzisiaj bardzo jej to odpowiadało.

– Bejsbol – powiedziała. – Jasne.

Gemma obudziła się w środku nocy z koszmaru, który na szczęście wyleciał jej z głowy, gdy tylko otworzyła oczy. Zostawił w pamięci zaledwie lekkie wrażenie twardych rąk i posmak metalu. W korytarzu skomlał Rufus.

– O co chodzi? – spytała, gramoląc się z łóżka.

Kiedy otworzyła mu drzwi, dobiegły ją podniesione głosy nachodzące na siebie, a po nich gniewna interpunkcja ciszy. Jej rodzice się kłócili.

– Już dobrze – wyszeptała do Rufusa, przesuając ręką po jego futrzanym karku.

Na kłótnie reagował jak dziecko. Od razu przemknął obok niej, wskoczył na pościel i schował głowę w stos poduszek, jak gdyby chciał wytłumić odgłosy z dołu.

Wróciłaby do łóżka, ale dokładnie w tej samej chwili głos jej ojca podniósł się na tyle, że wyraźnie usłyszała słowa:

– Frankenstein. Na litość boską. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wyszła na korytarz, wdzięczna za pluszowy dywan, który tłumił odgłos jej kroków. Szybko minęła obite boazerią ściany, na których światło księżyca układało się w szachownicę, pokoje gościnne, w których nigdy nie mieszkali żadni goście, i marmurowe łazienki, z których nikt nie korzystał, aż dotarła do schodów. Hol na dole przecinał prostokąt światła. Drzwi gabinetu ojca były otwarte. Na widok sceny w środku Gemma osłupiała. Jej matka siedziała na krawędzi skórzanego fotela, z bladą, umęczoną twarzą i rękami skrzyżowanymi w pasie, by nie rozsunał jej się szlafrok. Gemma nigdy, przenigdy nie widziała

w gabinecie ojca nikogo poza nim samym. Zakładała, że nikt inny nie ma do niego wstępu.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić... – Głos mamy był słaby i niewyraźny, jakby bełkotała.

Pewnie było po północy. Musiał ją wyrwać ze snu, ale najwyraźniej środki nasenne wciąż działały.

– By wcisnąć mi jakąś głupią historyjkę. Musiałem się dowiedzieć o wszystkim od Franka. Dzięki Bogu, że chociaż w policji ktoś mnie szanuje.

Gemie stanęło serce. To było naiwne wierzyć, że uda im się ukryć prawdę przed ojcem. Miał znajomości wszędzie – w policji, a nawet w rządzie, chociaż jego najważniejsze kontakty były tajne. Był współzałożycielem szóstej największej firmy farmaceutycznej w kraju, Fine & Ives, która produkowała wszystko, od szamponów przez środki na serce po leki dla żołnierzy cierpiących na zespół stresu pourazowego. Chociaż został usunięty z rady własnej firmy po brutalnej trzyletniej batalii sądowej, kiedy Gemma była mała – nigdy nie poznała szczegółów, ale wiedziała, że tata nie pochwalał tego, gdzie jego firma lokowała pieniądze – wciąż podróżował z osobistym ochroniarzem i co kwartał jeździł do Waszyngtonu, by spotykać się tam z politykami, lobbystami i ludźmi z najwyższych szczebli władzy.

Gemmem często nachodził strach, że nigdy, przenigdy nie wyrwie się spod kontroli rodziców – nawet gdy pojedzie na studia, nawet jeśli wyprowadzi się jak najdalej od Chapel Hill i założy własną rodzinę. Zawsze ją znajdą. Zawsze będą w stanie ją dojrzeć, gdziekolwiek się schowa.

– Ależ ja cię szanuję – zaprotestowała Kristina i Gemma poczuła nagle, jakby się dusiła, jakby ktoś zaciskał rękę na jej szyi.

Jej ojciec był dwanaście lat starszy od matki. On i jego brat bliźniak Ted studiowali w West Point, akademii wojskowej, tak jak przedtem ich ojciec. Geoffrey miał zostać strategiem wojskowym i nigdy nie pozwolił nikomu – a już

na pewno nie Gemmie ani jej mamie – o tym zapomnieć. Szacunek. To był refren, który stale przewijał się w ich życiu. Szacunek. Mogłaby chyba napisać całą książkę o szacunku, dyscyplinie, porządku i pracy. Może nawet całą serię książek.

Swoją drogą to, co sam wiedział o akceptacji i tolerancji oraz o własnej córce, zmieściłoby się w krótkim esemesie.

Czasami Gemma zastanawiała się, jak to możliwe, że mieli te same geny. Jej ojciec był kościsty i zimny wszędzie tam, gdzie ona była ciepła, miękka i delikatna. Ale dowody okazały się nie do podważenia. Wolałaby sto razy bardziej wyglądać jak mama. Zamiast tego miała piwne oczy ojca, jego kwadratowy podbródek oraz ten sam uśmiech, przy którym kąciki ust wędrowały w dół, jakby żadne z nich nie nauczyło się poprawnie uśmiechać.

– Nie chciałam cię martwić – ciągnęła mama. – Gemma powiedziała, że to był tylko głupi żart. Jakies dziewczyny w szkole uwzięły się na nią i...

– Głupi żart, Kristino? Czy ty jesteś ślepa? To nie był żart. To była wiadomość. Wiesz, kim był Frankenstein?

– Jasne, że wiem...

– Frankenstein był naukowcem. W oryginalnej opowieści, w jej prawdziwej wersji, to on stworzył potwora. – Nastąpiła długa chwila ciszy. Gemma czuła, jak jej serce bije boleśnie, spuchnięte i posiniaczone. – To była wiadomość dla mnie.

„To on stworzył potwora”.

„To była wiadomość dla mnie”.

Starła się kochać ojca. Starła się wierzyć, że i on ją kocha, bo tak twierdziła jej matka. Usprawiedliwiała go tymi samymi słowami, którymi Kristina usprawiedliwiała go wobec niej. Że nie potrafi wyrażać uczuć. Że ma w pracy dużo stresów. Że nie dostał zbyt wiele miłości od własnego ojca.

Ale gdzieś głęboko w środku Gemma zawsze podejrzewała, że powód, dla

którego ojciec jej unikał, powód, dla którego ledwie był w stanie na nią patrzeć, powód, dla którego trzymał jej wszystkie zdjęcia z niemowlęctwa w szufladach, zamiast z dumą wystawiać je w ramach, powód, dla którego trudno mu było rozmawiać z nią bez utraty panowania nad sobą, jak gdyby zawsze płaciła za jakąś popełnioną przez siebie zbrodnię, choć nie była jej świadoma – był dużo prostszy.

Nie mógł jej znieść.

Była dla niego rozczarowaniem. Wadliwym modelem, ale niestety takim, którego nie da się wymienić ani zwrócić.

Matka powiedziała coś jeszcze, coś, czego Gemma nie dosłyszała. W jej uszach rozległo się brzęczenie, jak gdyby szalał w niej rój pszczół. Miała ochotę odwrócić się i rzucić do ucieczki, znaleźć z powrotem w swojej sypialni, obudzić się i uświadomić sobie, że to był tylko sen. Ale nie mogła się ruszyć.

– W Haven doszło do naruszenia bezpieczeństwa – powiedział ojciec.

– To znaczy?

– Najwyraźniej któreś z nich uciekło – wyjaśnił.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Przecież i tak nie przeżyje. Nie ma na to szans. Prądy przy wyspie...

– A jeśli tak? Jezu, Kristino. Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie, jaką burzę rozpęta ta historia, gdy ujrzy światło dzienne? Nie dadzą nam spokoju. Zniszczą nas.

– Nikt się nie dowie, co zrobiliśmy – odparła matka piskliwym głosem. – Bo niby jak?

Ojciec roześmiał się gorzko i szyderczo.

– Są na to sposoby, uwierz mi. Wystarczy podążać za pieniędzmi.

– Ale zostawiłeś Fine & Ives właśnie z tego powodu. Odmówiłeś wzięcia udziału...

– To był spóźniony krok. I niewystarczający. Wiedziałem, co planował Saperstein. Wiedziałem, na co pójdą dalsze środki.

Gemma nie była w stanie już dłużej podążać za wątkiem rozmowy. Stała bez ruchu, trzymając się kurczowo poręczy, jakby chciała w nią wcisnąć narastający w środku krzyk. Widziała, jak matka miętosi rąbek szlafroka, a ojciec przechadza się po pokoju, choć co chwila zniknął jej z pola widzenia. Pod tym kątem nie mogła dojrzeć jego twarzy – co było w tej sytuacji drobnym błogosławieństwem.

Po chwili odezwał się znowu:

– Bowling Springs znajduje się jedynie osiemdziesiąt kilometrów od Haven.

Matka Gemmy podniosła wzrok. Była bardzo blada, a jej oczy wyglądały jak dwie jamy.

– Nie – powiedziała. Gemma nie wierzyła własnym uszom. Nigdy nie słyszała, żeby mama sprzeciwiła się tacie w czymkolwiek. – Nie możesz tego zrobić. Gemma od dawna żyje tą wycieczką. April tak samo. I co ja powiem jej rodzicom?

– Nie obchodzi mnie, co im powiesz. To nie jest bezpieczne. Nie po tym, co się dzisiaj wydarzyło. Osiemdziesiąt kilometrów, Kristino.

Gemma miała wrażenie, że ktoś wypełnił jej pierś mokrym cementem. Nie mogła oddychać.

– Ależ Geoff. Osiemdziesiąt kilometrów to całkiem sporo. Chyba nie wierzysz...

– Ja nie wierzę, Kristino. Ja wiem. – Przyskoczył do niej, a ona cofnęła się przed nim. Gemma poczuła, jak zalewa ją nagła fala nienawiści do ojca, silniejsza niż cokolwiek, czego doświadczyła w życiu. Przez jedną straszną chwilę życzyła mu, żeby umarł powalony jakąś niewidzialną siłą. Ale to było zbyt okrutne. Zamiast tego życzyła mu więc, żeby po prostu zniknął. Pyk. Jak gdyby nigdy nie istniał. – Ci wariaci okupują plażę od miesięcy. W zeszłym tygodniu zaatakowali jedną z sanitariuszek idącą na prom.

– Ale sam mówisz, że to wariaci. Nikt im nie wierzy. Poza tym co oni wiedzą? Połowa z nich uważa, że Haven zamieszkują wampiry, na litość boską. Wkrótce się znudzą i znajdą sobie jakiś nowy temat. I co to ma wspólnego z Gemmą? Przecież nikt nie wie...

– Ktoś na pewno wie – przerwał jej. – Właśnie w tym rzecz. Nie wyślę jej w sam środek takiej zawieruchy. Może wyjechać na przerwę wiosenną w przyszłym roku.

Gemma otworzyła usta i wydała z siebie przeciągły, niemy krzyk. Wyobraziła sobie, jak ten dźwięk roztrzaskuje żyrandol, wysadza szyby, rozbija w drobny mak bezcenną kolekcję zabytkowej porcelany należącą do jej ojca.

– W porządku. – Kristina wstała, chwiejąc się na nogach.

Gemma nie potrafiła stwierdzić, czy był to wciąż rezultat działania tabletek nasennych czy też skutek fizycznego wysiłku przeciwstawienia się wielkiemu Geoffreyowi Ivesowi.

– Ale to ty jej to powiesz. To jej złamie serce, a ja tego nie zrobię.

– W porządku – odparł ojciec, a wtedy, ku przerażeniu Gemmy, otworzył szeroko drzwi i wszedł do holu.

Odwróciła się szybko i cofnęła do korytarza, a serce biło jej w rytmie słów „To nie fair, to nie fair”. Gdy już znalazła się w swoim pokoju, odsunęła Rufusa na bok, weszła pod kołdrę i zakryła głowę poduszką, jak gdyby chciała się odgrodzić od tego, czego przed chwilą była świadkiem. Czekwała w napięciu, czy usłyszy pod drzwiami kroki ojca. Jak teraz na niego spojrzeć? Jak kiedykolwiek będzie w stanie na niego spojrzeć?

Ale minuty mijały, a on nie nadchodził i napięcie w jej ciele powoli zostało zastąpione przez ciężkie wrażenie, że leży na samym dnie jakiejś jamy. Wypełniało ją dręczące poczucie niesprawiedliwości, gniewu i buzującego smutku. To nie fair. Nie rozumiała połowy z tego, o czym rozmawiali rodzice. Czy to Haven, czyli przystań, o którym mówili, oznaczało nazwę własną czy po

prostu jakiś mały port? Wiedziała tylko tyle, że znowu znalazła się w pułapce. To nie fair. Była jak owad w ręce swojego ojca. Może sprawiało mu przyjemność ściskanie jej i patrzenie, jak się szamoce.

Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek zaśnie. Ale w końcu usnęła, parę godzin później, gdy światło w jej pokoju przybrało kolor ciemnej kredy. A gdy się obudziła, okazało się, że ojca wezwano w interesach do Szanghaju, więc to jednak matka musiała przekazać jej smutną wiadomość.

4

W piątek nie poszła do szkoły. Oznajmiła, że jest chora, a mama nawet nie zapytała, co jej dolega – znak, że wiedziała, iż Gemma udaje.

Cieszyła się, że ojciec znowu wyjechał. Cieszyła się, że dzieli ich kilka stref czasowych i ogromny ocean. Nie byłaby w stanie stanąć z nim oko w oko. Jeśliby do tego doszło, pewnie naplułaby mu w twarz albo kopnęła go w goleń, albo wreszcie powiedziała coś, co leżało jej na sercu przez szesnaście lat.

Wspaniały Geoffrey Ives, współzałożyciel Fine & Ives Pharmaceuticals, Pan Wszechświata, totalny dupek.

April zadzwoniła do niej w czasie przerwy wychowawczej, bezużytecznego kwadransa między drugą a trzecią lekcją, kiedy uczniów przedostatnich klas łączono w jedną grupę i zmuszano do słuchania ogłoszeń o meczach koszykówki, studniówce i Tygodniu Tolerancji.

Gdy po trzecim razie Gemma nie odebrała, April przerzuciła się na esemesy. Wysłała też na telefon przyjaciółki selfie z groźną miną. *Co się dzieje, do cholery? Wszystko w porządku?*

Gemma poczuła, jak budzi się w niej złośliwe pragnienie, by zadać ból, ponieważ i jej go zadano. Może właśnie tak czuły się Chloe i wilczyce – może kiedyś w ich życiu ktoś je zranił, chciał je skrzywdzić. *Nie*, odpisała. A potem: *Nie jadę jutro.*

Pomiędzy wiadomościami nastąpiła pięciominutowa cisza. Gemma nie miała pewności, czy April była w takim szoku, czy akurat udawała, że słucha wychowawcy.

Jej następna wiadomość brzmiała: *Żartujesz, prawda?*

Mogła jej wszystko wyjaśnić w esemesie. A jeszcze lepiej: mogła zadzwonić. Widziała nawet oczyma wyobraźni, jak April wsuwa telefon do kieszeni, a potem biegnie do najbliższej kabiny w toalecie, jak przysiadła z kolanami przy piersi na klapie od ubikacji i przyciska komórkę do ucha, podczas gdy Gemma szłocha do słuchawki. Mogła opowiedzieć o wybitej szybie, o okropnych słowach ojca: „To była wiadomość dla mnie”. Ziściło się najgorsze: jej paniczne lęki, dziwny strach, który zawsze ją zżerał. Ojciec jej nienawidził. Gemma może kiedyś wyjedzie, ale nigdy nie ucieknie – nie od niego, nie od tej prawdy, nigdy nie do końca.

Tyle że ona już się wypłakała – obudziła się nawet z pieczeniem w gardle i smakiem soli na ustach i zdała sobie sprawę, że płakała przez sen – i dzisiaj nie czuła już nic oprócz dziwnego falującego uczucia pustki, jak gdyby była odciętym od sznurka balonem powoli odpływającym w nicość. Zastanawiała się, czy tak czuła się jej mama, gdy brała swoje leki.

Więc tylko odpisała: *Nie, nie żartowałam.*

A po chwili dodała: *Przykro mi.*

Po tym jej telefon zamilkł.

Przez pierwsze dwa dni przerwy wiosennej Gemma nic nie robiła. Oglądała telewizję na komputerze, jak leci, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co ogląda. Wlokła się na dół, by podgrzać w mikrofali dania, których spożywania nie pochwalał jej tata, takie jak paszteciki z pudełka, mrożony makaron z serem, do którego zakupu przekonała Bernice, ich gospodynię, czy chińskie jedzenie na wynos, tajemniczo zmaterializowane w lodówce. Raz zabrała Rufusa do ogrodu i stała w piżamie, mrużąc oczy w słońcu, podczas gdy on biegał wokół Danny’ego, jednego z ogrodników (przynajmniej wydawało jej się, że tak miał na imię, ale przecież było ich tyłu...), który sunął powoli na ogromnej kosiarce do trawy jak kapitan statku po morzu zieleni.

Mama normalnie zasypywałaby Gemmę pytaniami, proponowałaby lunch

w klubie albo wspólny wypad na manicure i pedicure – wszystkie aktywności, których Gemma nienawidziła – ale tym razem zostawiła ją w spokoju. Były jak dwa płatki śniegu dryfujące przez ogromny biały dom, zamknięte we własnych bańkach bólu i nieszczęścia.

Wszystko to, pomyślała, było winą ojca, a dokładnie jego zasad. Jego domu. Jego ścian, białych i ogromnych, ozdobionych błyszczącymi ramami i żyrandolami, tak pięknymi, że ktoś w środku mógłby się nie zorientować, że jest w pułapce. A nawet, jak zdała sobie sprawę, była to też wina pigułek jej ojca. Nigdy wcześniej nie myślała o tym, że pewnie to jego dawna firma produkowała leki, które masowo łykała jej mama, żeby zasnąć, żeby nic jej się nie śniło i żeby kolejnego dnia się dobudzić.

W chwili szczerości wobec samej siebie uświadomiła sobie, że niewielka część niej – no dobrze, może całkiem spora część – miała nadzieję, że jeśli ona nie jedzie na Florydę, to April też nie pojedzie. I wiedziała, że jeśli by wyznała przyjaciółce prawdę, ta by została – nie miałyby nic przeciwko temu, żeby spędzić przerwę wiosenną na oglądaniu kiepskich programów w telewizji albo nauce choreografii z głupawych teledysków na YouTube. To była jej wina, co sprawiało, że czuła się podła, głupia i mała. Ale to, że April jednak pojechała, sprawiało, że czuła się podła, głupia i mała – a do tego opuszczona.

Nurzała się we własnym nieszczęściu i siedziała w nim aż po same uszy.

Trzeciego dnia przerwy wiosennej Gemma obudziła się i poczuła rozpaczliwe, nagłe pragnienie, by się ruszyć, by coś zrobić. April była w domu dziadków od całych trzydziestu sześciu godzin. Wiedziała to, ponieważ gdy jej żalność osiągnęła apogeum, zalogowała się na konto April na iTunes i użyła opcji „Znajdź mój telefon”, by śledzić jej postępy w drodze na wybrzeże – wymieniły się hasłami dawno temu, tak by mogły się odnaleźć, jeśli by rozdzieliła je apokalipsa urządzona przez zombie, oczywiście o ile wi-fi ciągle by działało. Bez wątplenia April pracowała już nad opalenizną i skanowała wzrokiem

przystojniaków – żyjących w nieświadomości, że jest kosmitką – z którymi pewnie flirtowała.

Wiedziała, że April musiała się już dowiedzieć o masce Frankensteina – a przynajmniej poznała wersję tej historii przefiltrowaną przez rodziców – i żałowała, że nie mogą o tym porozmawiać. Dlaczego ta maska tak bardzo przeraziła ojca? Żałowała też, że nie przysłuchiwała się dokładnie tamtej nocnej rozmowie. Teraz wydawała się ona jak sen. Nie pamiętała szczegółów, tylko wzmiankę o miejscu zwanym Haven – nazwę, którą mgliście kojarzyła z dzieciństwa. Może był to jakiś szpital. Może jedna z firm, w której zarządzie zasiadał jej ojciec. Doradzał wielu korporacjom, a wszystkie miały nowocześnie brzmiące nazwy typu NeoTech, Amalgam czy Complete Solutions.

Tęsknota za April wydawała się jak dziura w brzuchu. Jak bóle menstruacyjne, jak gdyby była spuchnięta i posiniaczona, tyle że od środka. Gemma nie sądziła, by była lesbijką (choć trudno cokolwiek stwierdzić na sto procent, skoro całowała się jedynie z poduszką w celach ćwiczebnych, a w momentach całkowitej, delirycznej głupoty zrobiła próbną laskę ogórkowi), ale to nie powstrzymywało jej od tego, by być szaleńczo zakochaną w swojej najlepszej przyjaciółce.

Wysłała jej zdjęcie jednego ze swoich najstarszych pluszaków: ośmiornicy, której brakowało dwóch ramion z powodu wściekłego apetytu Rufusa na wszystko, co wypchane. Była ulubienicą April. *Tęsknię za Tobą! Mam nadzieję, że dobrze się bawisz!*, napisała, a potem zostawiła telefon na łóżku, zakopany pod poduszką, na wypadek gdyby April ciągle była wściekła i nie odpisała. Poza tym nie chciała, by mama dzwoniła do niej co pięć sekund.

Wyjście z domu nie stanowiło problemu. Pora wciąż była wczesna, a jej mama była pewnie na spinningu. Opuszczenie terenu posiadłości okazywało się już nieco większym problemem, ponieważ: a) nie miała samochodu i b) nie miała prawa jazdy. Założyła smycz Rufusowi. Zaliczyli krótki spacer po podjeździe,

minęli Danny'ego, który dzisiaj przycinał żywopłot, wyszli za bramę i wsiedli do autobusu przejeżdżającego obok uniwersytetu i Franklin Street, przy której znajdowały się bary i kafejki oraz uczelniana księgarnia. Rufus, przeszczęśliwy, cały czas siedział na siedzeniu obok Gemmy, jak człowiek, z nosem przyciśniętym do szyby.

Dzień był cudowny. Szła Franklin Street, oglądała sklepowe wystawy i zastanawiała się, czy czegoś nie kupić. Miasto wydawało się nieco opustoszałe: studenci także mieli wolne aż do poniedziałku. Ciągłe wyobrażała sobie widma swoich kolegów z klasy, jak przemykają obok niej po pustych ulicach, podczas gdy tak naprawdę byli ponad sześćset kilometrów stąd, gdzie smarowali się kremem przeciwsłonecznym albo popijali tequilę na śniadanie.

Właśnie skręciła w Rosemary Street i zastanawiała się, czy nie wstąpić do Mama Dip's po kukurydziane ciasteczka, chociaż wcale nie była głodna, kiedy nagle poczuła dziwny niepokój w żołądku, jak gdyby nieoczekiwanie znalazła się na krawędzi klifu.

Ktoś ją obserwował.

Gdyby było ciemno, a ona byłaby tu sama, pewnie przerażenie nie pozwoliłoby jej się odwrócić. Ale stała między gabinetem ortodonta, w którym zakładano jej aparat na zęby i który potem odwiedzała przez trzy lata, a małą stacją benzynową, gdzie sprzedawano pocztówki reklamujące rozliczne uroki Karoliny Północnej. Odwróciła się więc, chociaż strach zżerał ją od środka.

Kamień spadł jej z serca. Nikogo podejrzanego. Jakiś facet utyskujący na mandat za parkowanie zatknięty za wycieraczkę samochodu i grupa kobiet, z których dwie rozpoznała jako koleżanki mamy z zajęć jogi, stojących przed Mama Dip's. Patti Winters, matka okropnej dziewczyny z klasy, której nieskończone próby zdobycia popularności oznaczały, że traktowała Gemmę jak słabe ogniwo do pożarcia dla dobra całego plemienia, podniosła wzrok i złowiła spojrzenie Gemmy, po czym pomachała do niej i ruszyła w jej stronę przez ulicę.

Dziewczyna odwróciła się na pięcie, udając, że jej nie zauważyła, i szybkim krokiem przecięła parking stacji benzynowej. Przywiązała Rufusa do znaku wskazującego miejsce parkingowe dla inwalidów i weszła do Quick-Martu, gdzie schowała się za stojakiem z tanimi plastikowymi okularami przeciwsłonecznymi. Pete Rogers, znany także jako Zbok Rogers (dorobił się tej ksywki w trzeciej klasie, kiedy na wycieczce szkolnej ukradł majtki z torby podróźnej Chloe), obserwował ją zza lady.

Po piętnastu sekundach Gemma poczuła się jak idiotka i znowu ogarnęła ją potworna tęsknota za April. Ciągle była w trybie szkolnym, w trybie ofiary. Jak uciekający królik. Ale przecież koleżanki mamy nie będą jej tropić ani nie przyprą do muru pytaniami, dlaczego podczas przerwy wiosennej siedzi w domu i gdzie są jej wszyscy przyjaciele. Kupiła czerwone okulary przeciwsłoneczne z oprawkami w kształcie serduszek, ponieważ nie chciała, by ktoś pomyślał, że się tu ukrywa – choć oczywiście się ukrywała.

– Fajna stylówka – skomentował Zbok zboczonym tonem.

Gemma spojrzała na niego krzywo.

Na parkingu nikt na nią nie czekał. Patti Winters poszła sobie już dawno temu. Rufus leżał na chodniku z językiem wywalonym od upału.

Mimo to, gdy ruszyli w stronę ulicy, znowu ogarnęło ją to niepokojące wrażenie, jak gdyby ktoś szeptał za jej plecami coś paskudnego, nieco za cicho, by to usłyszała. Facet, który dostał wcześniej mandat za parkowanie, teraz tankował – jego stary paskudny chevrolet stał krzywo przy dystrybutorze. Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę i mężczyzna otworzył usta, jak gdyby chciał jej coś powiedzieć.

Była już blisko niego, kiedy nagle jej mózg zaskoczył, wszystkie trybiki weszły na miejsce i uświadomiła sobie, że facet wcale nie tankuje – samochód nie był nawet podłączony do dystrybutora – i że wcale nie spojrzał na nią przypadkiem. On ją obserwował.

On ją śledził.

To wszystko dotarło do niej w momencie, gdy go mijiała. Złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie ruchem nieznacznym, ale zdecydowanym, wskutek czego wypuściła smycz Rufusa. Pies stał przy niej cierpliwie i machał ogonem. Gemmę dosłownie замуrowało i nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, mężczyzna zaś przyciągnął ją do siebie i przez chwilę miała jego twarz tak blisko swojej, że widziała każdy z czarnych porów rozsianych na nosie i pot perlący się nad górną wargą.

– Gem – odezwał się. Jego oddech śmierdział kawą i starą, zatechłą szafą. Włosy miał długie i tłustawe. – Posłuchaj mnie. Nie chcę żadnych problemów.

Jej umysł pracował zrywami, wytwarzając oderwane od siebie obrazy i myśli. Musi go skądś znać. Bo niby skąd on znałby jej imię? Spojrzała na jego twarz, chudą i zapadniętą, poznaczoną starymi bliznami po trądziku i pokrytą kilkudniowym zarostem, i poczuła w gardle pieczenie, kiedy jej mózg wreszcie doszedł do ostatecznych wniosków.

Porwanie. Właśnie próbowano ją porwać.

Kolejne myśli i obrazy: żądanie okupu, zimna, wilgotna piwnica wyposażona w łańcuchy i dawne narzędzia tortur.

Jedną ręką otworzył drzwi samochodu, drugą zaś wciąż zaciskał na jej nadgarstku.

– Nie zrobię ci krzywdy, jasne? – Dyszał ciężko. – Musisz mi zaufać. Nic nam nie będzie. – Jak gdyby byli po tej samej stronie.

Rzuciła okiem na tylne siedzenie, gdzie poniewierały się puste puszki i pogniecione paragony, czapka bejsbolowa, reklamówki ze sklepu Party City oraz coś z ciemną szczecina, co wyglądało jak wielki włośchaty pająk – wtedy wreszcie odzyskała głos i krzyknęła. A przynajmniej się starała. To, co wydobyło się z jej gardła, było raczej zachrypniętym jękiem. Nawet jej struny głosowe zastygły z przerażenia. Na szczęście Rufus wreszcie zaczął szczekać.

Napastnik natychmiast ją wypuścił, odskoczył i przyłgnął do samochodu, jak gdyby właśnie wyjęła broń.

– Jezu! – Teraz on też krzyczał rozzłoszczony. – Jezu! Dlaczego to zrobiłaś, co?!

Odwróciła się, porwała smycz i rzuciła się do ucieczki. Nie biegała od tak dawna – od tak dawna nie pozwalano jej na to – że bała się, iż nogi odmówią jej posłuszeństwa. Ale nie odmówiły. Ruszyła z powrotem w stronę Quick-Martu, z sercem mocno walącym w piersi, i o mało nie przewróciła staruszki, która akurat wychodziła ze sklepu z garścią kuponów loteryjnych. Nie traciła czasu na wiązanie Rufusa. Zresztą i tak chciała go mieć przy sobie, nawet jeśli najwyraźniej był najgorszym psem stróżującym na świecie.

– Co wiesz o przystani?! – krzyknął za nią mężczyzna, a przynajmniej tak jej się wydawało.

Gdy wreszcie była w środku i starając się złapać oddech, stanęła za szybą wyklejoną ofertami promocyjnymi na mleko, piwo i papierosy, tamten zdążył już zniknąć.

– Nie wolno tutaj wchodzić z psami – powiedział Zbok. – Przykro mi. Prawo stanowe.

Gemma go zignorowała.

– Czy możesz pożyczyć mi swój telefon? – Nie było mowy, by wracała do domu autobusem. Cały czas czuła to świerzbące wrażenie bycia pod obserwacją, mimo że znajdowała się w ciepłym i znajomym Quick-Marcie. Miała ochotę pójść do łazienki i wyszorować nadgarstek, za który złapał ją mężczyzna.

– Wszystko w porządku? – zapytał Zbok. – Wyglądasz naprawdę...

Spiorunowała go wzrokiem. Na szczęście się zamknął. Wystukała numer matki. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że za pierwszym razem się pomyliła.

– Gemma? Gemmo, o co chodzi? – rzuciła mama do telefonu, gdy tylko Gemma wydusiła z siebie „cześć”. – Gdzie jesteś? Czyj to numer?

O mało nie puściły jej nerwy i nie wybuchnęła płaczem. Ale Zbok wciąż na nią patrzył – właściwie wcale nie był taki brzydki: miał gładką cerę, równe zęby i blond włosy, zmierzwione tak, jak gdyby wystawił głowę z jadącego samochodu – więc wzięła się w garść.

– Wszystko w porządku. Tylko... Tylko uciekł mi autobus. I nie czuję się dobrze.

„Nie czuję się dobrze” – to były magiczne słowa. Ton głosu mamy od razu się zmienił. Przerzuciła się na energiczny tryb działania, jak zawsze, kiedy w grę wchodziło zdrowie córki.

– Już jadę – powiedziała. – Tylko dokąd?

Gemma wyjaśniła jej, gdzie jest, i rozłączyła się, po czym oddała telefon Zbokowi i gniewnym spojrzeniem powstrzymała go od zadawania pytań. Gdy tylko mama przyjedzie, opowie jej wszystko. Żałowała, że lepiej nie przyjrzała się samochodowi – kojarzyła jedynie, że był to biały chevrolet, do tego stary, ale nie zapamiętała ani jednej cyfry z tablicy rejestracyjnej. Jezu. Zawsze jej się wydawało, że świetnie odnalazłaby się w sytuacjach kryzysowych: spokojna, ironiczna, z dystansem. Ale kolana jej się trzęsły. Nie zapamiętała ani jednego znaczącego szczegółu, który mógłby pomóc policji, oprócz tego, że facet lubił McDonalda. To zawężyło krąg podejrzanych do jakiegoś gazyliona ludzi.

Mama przyjechała po kwadransie – cały ten czas Gemma spędziła na ignorowaniu zatroskanych spojrzeń Zboka, odciąganiu Rufusa od półki z suszoną wołowiną i staraniach, by przypomnieć sobie każdy szczegół spotkania z tamtym mężczyzną. I do czasu, kiedy jej mama dotarła na miejsce – wybiegła z bmw, nawet nie zamykając drzwi, wciąż w spodniach od jogi, po czym omiotła wzrokiem parking w poszukiwaniu Gemmy, jak gdyby spodziewała się, że zostanie ją zwiniętą na ziemi w pozycji embrionalnej – i chwyciła córkę za ramiona, dopytując, co się stało, dziewczyna tylko uśmiechnęła się lekko.

– Zmęczyłam się – powiedziała. Wiedziała, że pewnie wygląda koszmarnie

i nie musi tego udawać. – Chyba zrobiłam sobie za długi spacer.

I tyle. Ponieważ do tego momentu jej umysł, obracając powoli szpulę pamięci, zatrzymał się na kilku drobiazgach, które z perspektywy czasu wydały się całkiem znaczące: reklamówki z Party City, gdzie sprzedawano halloweenowe maski – na przykład Frankensteina – przez cały rok. To, że nazwał ją Gem.

A co najważniejsze, ostatnia rzecz, którą do niej powiedział i która w jej pamięci zdążyła się oczyścić, wydestylować, wzmocnić. Nie: „Co wiesz o przystani?”.

Ale: „Co wiesz o Haven?”.

5

Gemma nie spodziewała się znaleźć zbyt wiele po wpisaniu w Google słowa „Haven”. Wydawało jej się, że nieraz słyszała je z ust rodziców, ale nie licząc ich kłótni z zeszłego tygodnia, nie potrafiła sobie przypomnieć, w jakich to było okolicznościach.

Gdy po raz pierwszy wpisała je do wyszukiwarki, wyniki nie ułożyły się w nic sensownego: zespół muzyczny Haven wydawał swój czwarty album studyjny, jakaś Debbie Haven została niedawno skazana za uwiedzenie jednego ze swoich nastoletnich uczniów, bioetyk Richard Haven, założyciel znanego instytutu badawczego, miał wypadek samochodowy na Florydzie w roku, w którym Gemma przyszła na świat. Ten sam Richard Haven zapisał w testamencie dużą sumę pieniędzy Uniwersytetowi Pensylwanii, gdzie przez lata pełnił funkcję profesora emeritusa. Nic, co byłoby związane z nią, nic, co miałyby sens. Prawie poczuła ulgę.

Ale wtedy wpadła na pomysł, by wpisać do wyszukiwarki „Haven” i swoje nazwisko, „Ives”.

Natychmiast wyskoczyło jej ponad milion wyników, wszystkie związane z Haven Institute – Gemma szybko zorientowała się, że to owa placówka badawcza, którą założył Richard Haven – znajdującym się na Spruce Island, gdzieś na wybrzeżu Florydy. Znalazła plik PDF opublikowany przez byłą firmę jej ojca, Fine & Ives Pharmaceuticals. Był to list do udziałowców, w którym zarząd informował o podpisaniu umowy z Haven Institute na przeprowadzenie badań rozwojowych. Ale data wskazywała, że powstał on kilka lat po tym, jak jej ojciec pokłócił się ze współzałożycielem i został usunięty z zarządu.

Klikała dalej, aż wreszcie pojawiło się zdjęcie jej ojca z jakiejś oficjalnej uroczystości, stojącego obok mężczyzny, który wyglądał jak żywcem wyjęty z reklamy sprzętu do surfingu i który był, według podpisu, tym słynnym Richardem Havenem. Przy nim stał drugi mężczyzna, z ciemną kędzierzawą brodą i kanciastym czołem nadającym mu wygląd rekina: doktor Mark Saperstein. Nazwisko, które też pamiętała jak przez mgłę z dzieciństwa. Przypomniała sobie, że tamtej nocy jej ojciec o nim wspomniał. „Wiedziałem, co planował Saperstein”. Szybko sprawdziła w internecie – po śmierci Richarda Havena Saperstein zastąpił go na stanowisku dyrektora w instytucie jego imienia.

Sprawdzała kolejne artykuły, coraz bardziej zdezorientowana. Jeśli Fine & Ives zleciła Haven przeprowadzenie badań dopiero parę lat po odejściu jej ojca, to skąd wzięło się w internecie tyle wspólnych zdjęć wskazujących na ich zażyłość? Znalazła wywiad z samym Havenem dla magazynu medycznego, w którym wyrażał on uznanie dla jej ojca za „nieustające wsparcie dla badań medycznych i rozwoju technologii komórek macierzystych”.

Wznowiła poszukiwania, tym razem wpisując „Haven Institute”. Oficjalna strona miała ten sam nijaki układ co chyba wszystkie placówki badawcze i była pełna przeraźliwie nudnych terminów, takich jak „podejście neurobiologiczne” czy „nowatorskie usługi biotechnologiczne”. Nie znalazła niczego, co by wskazywało, jakiego typu badania tam przeprowadzano – w każdym razie nic, co mogłaby zrozumieć. Jak zauważyła, instytut otwarto rok przed jej urodzeniem. Cokolwiek jej ojciec sądził teraz o Haven, nie mogło być to powodem, dla którego opuścił Fine & Ives. Chronologia się nie zgadzała.

Bardziej interesujące okazały się inne publikacje: miliony wyników, z których połowę stanowiły blogi, strony z teoriami spiskowymi i artykuły kipiące od spekulacji na temat tego, co naprawdę działo się w instytucie, jakie badania tam przeprowadzano i czy w ogóle były one legalne. Część artykułów okazała się czystym science fiction – twierdzono w nich na przykład, że na

wyspie krzyżuje się różne gatunki zwierząt dla celów wojskowych, że bada się tam kosmitów, a nawet że się ich szkoli. Niektórzy blogerzy spekulowali, że naukowcy w Haven dokonują nielegalnych badań na komórkach macierzystych.

Jedną z najczęściej cytowanych stron była zarchiwumhaven.com. Kiedy Gemma w nią kliknęła, wyskoczyło pomarańczowe ostrzeżenie, okraszone wielkimi literami i wykrzyknikami:

Nie daj się ogłupić fałszywym stronom internetowym i raportom!!!
Zarchiwumhaven.com to źródło NUMER JEDEN PRAWDZIWYCH
I SPRAWDZONYCH informacji na temat Haven Institute!!!

Na wpół rozbawiona, na wpół zaciekawiona, zaczęła czytać. Strona była prowadzona przez faceta z Florydy, Jacoba Witza, który z jakiegoś powodu postanowił poświęcić życie na zbieranie różnych teorii, plotek i ciekawostek związanych z Haven. Jego biogram ilustrowało zdjęcie mężczyzny w średnim wieku z przerwą między zębami, ze zmrużonymi na słońcu oczami i w czapce wędkarskiej obwieszanej różnymi przynętami. Wyglądał jak uosobienie kogoś, kto wstawiony zaczyna nawijać o tym, jak to został porwany przez kosmitów. W swoim biogramie, na wpół rozprawie naukowej, na wpół manifeście, wyjawiał, że jest absolwentem dziennikarstwa na Uniwersytecie Miami i że poświęcił się „prawości”, „ujawnianiu faktów związanych z jedną z największych TAJEMNIC WOJSKA” i „przekazywaniu WIEDZY AMERYKAŃSKIEMU SPOŁECZEŃSTWU zgodnie z ideałami WOLNOŚCI SŁOWA”. To ostatnie zdanie było podkreślone jakimiś czterdziestoma wykrzyknikami.

– No dobra, świrze – powiedziała na głos Gemma. – Zobaczmy, co masz tu ciekawego.

Jego witryna przypominała bufet typu „zjedz, ile możesz”, gdzie jedzenie zdaje się nigdy nie kończyć, nieważne, ile człowiek sobie nałoży: każda strona prowadziła do następnych stron, każdy link do następnych linków. Gemmie towarzyszyło wrażenie, jakby spadała w głąb studni. Znalazła tam szczegółowe mapy Haven wyobrażonego z lotu ptaka, niewyraźne zdjęcia budynków

zrobione z oddali, zapewne z jakiejś łodzi. (Czytając między wierszami, domyśliła się, że Witz nigdy nie postawił stopy na wyspie, która była strzeżona przez wojsko i otoczona więziennym ogrodzeniem. Je też sfotografował – posępną metalową siatkę zwieńczoną drutem kolczastym, która, jak stwierdziła Gemma, mogła mieć jakieś pięć metrów wysokości). Dziesiątki podstron poświęcono różnym teoriom na temat eksperymentów przeprowadzanych w Haven. Witz wytaczał ostrożne argumenty przeciwko hipotezom, że w Haven tworzono potwory albo wykonywano badania na kosmitach – choć śmiało określał się jako „ekspert” w dziedzinie wojskowych prób ukrycia miejsc lądowań UFO i nawet napisał na ten temat książkę, którą sam wydał (*Tajemniczy inni. Co rząd USA próbuje przed nami ukryć!*).

Kilka podstron poświęcono, jak sam to nazywał, „kontrowersjom związanym z siostrą M”: siostra M – której imienia nie podano – pracowała kiedyś w Haven i miała popełnić samobójstwo dzień przed tym, jak Witz – który ją namierzył, ale przynajmniej na stronie nie chciał podać jej prawdziwego nazwiska – miał przeprowadzić z nią wywiad. Gemma znalazła też link do historii sprzed trzech lat, w której wspomniano Haven, prawdopodobnie dlatego, że niektóre szpitale państwowe nielegalnie sprzedawały placówkom badawczym komórki zarodkowe i płodowe. Zamieszczony tam filmik pokazywał, jak jednego z dyrektorów po opuszczeniu sali sądowej dopadają dziennikarze i protestujący spod znaku *pro-life* wymachujący odręcznie wykonanymi transparentami.

Gemma poczuła, że bolą ją plecy i oczy od gapienia się w ekran. Ze zdziwieniem zorientowała się, że siedzi przed komputerem już trzy godziny. Mimo to miała teraz więcej pytań niż odpowiedzi. Firma jej taty podpisała umowę z Haven na przeprowadzenie badań. I co z tego? Fine & Ives było jednym z największych koncernów farmaceutycznych w kraju. Zlecali badania wielu placówkom – a poza tym jej ojciec do tego czasu opuścił już firmę, po długiej batalii sądowej ze swoim byłym partnerem.

Dlaczego mężczyzna z parkingu zakładał, że ona może coś wiedzieć o Haven? I dlaczego w ogóle było to dla niego takie ważne? Co takiego się tam działo? Po co ta cała otoczka tajemnicy, po co strażnicy i ogrodzenie?

Czegoś brakowało w tej układance, czegoś oczywistego, a jednocześnie zakrytego, tak jak na obrazkach przedstawiających złudzenia optyczne, na których ten sam rysunek może być widziany na dwa różne sposoby. Żałowała, że nie da rady się dostać do gabinetu ojca – oczywiście drzwi do niego zawsze były zamknięte. Poza tym nawet nie wiedziała, czego miałyby tam szukać.

Wstała od komputera, zrobiła ruch niezdamie zbliżony do jogicznego przeciągnięcia i mało się nie przewróciła. Rufus podniósł głowę i zamrugał oczami.

– To by było tyle, jeśli chodzi o próbę odzyskania spokoju wewnętrznego – mruknęła.

Rufus, na którym najwyraźniej nie zrobiło to żadnego wrażenia, opadł z powrotem na poduszkę.

Niemal w tej samej chwili na dole zabrzączał dzwonek. Ktoś był pod bramą. Rufus zerwał się i zeskoczył z łóżka, ujadając wściekle, po czym rzucił się ku schodom. Przez chwilę Gemma bała się, że może to Chloe, która wróciła na drugą rundę zniszczeń.

Ale to było niedorzeczne. Chloe nie zawracałaby sobie głowy dzwonieniem. Poza tym pewnie wyjechała na przerwę wiosenną i właśnie zalewała się taną tequilą wraz z resztą swoich wilczyc. I chociaż parę dni temu Gemma nie miała wątpliwości, że to ona wrzuciła im do domu maskę Frankensteina, teraz już nie była tego taka pewna. Może, o ile pogłoski o Haven i tamtejszych potworach były prawdą, wiadomość rzeczywiście zaadresowano do jej taty, nawet jeśli ona, Gemma, nie potrafiła zrozumieć powiązania.

Sprawdziła kamerę bezpieczeństwa i z zaskoczeniem stwierdziła, że to Zbok Rogers wychyla się z samochodu – mimo niskiej rozdzielczości ekranu

rozpoznała jego jasną czuprynę. Wpuściła go na teren posesji, nie pytając, czego chce. Zbok był nieszkodliwy. No, może poza tym, że był zboczeńcem i pewnie trzymał w piwnicy rozwieszoną bieliznę, którą wykradał dziewczynom, by zaciągać się jej zapachem. A może nawet trzymał tam dziewczyny.

Dwie minuty później Rufus wciąż szczekał, kiedy samochód Zboka – fioletowawy minivan, który wyglądał jak olbrzymi bakłażan na kółkach, zapewne pożyczony od któregoś z rodziców – wtoczył się na podjazd. Musiała przytrzymać Rufusa za obrozę, żeby nie wybiegł na zewnątrz.

– Przepraszam – powiedziała, przekrzykując ujadanie, które nie ustało, nawet gdy Zbok wyszedł z samochodu i ostrożnie skierował się w stronę drzwi. – On nie gryzie, masz na to moje słowo. Po prostu lubi hałasować. Rufus, siad!

Wreszcie Rufus przysiadł, a nawet polizał rękę Zboka, kiedy ten pochylił się i podał mu ją do obwąchania.

– Ile ma lat? – spytał Zbok.

– To chodząca skamielina – odparła Gemma. – Trzynaście. Ale zdrowie ciągle mu dopisuje – dodała szybko, ponieważ bała się zapeszyć przypominaniem wieku Rufusa.

Pojawił się u nich jako szczeniak, gdy miała trzy lata. Był obecny w każdym jej wspomnieniu.

– Pewnie pachnę hot dogami z Quick-Martu – powiedział Zbok. Musiał się przebrać po pracy, bo zamiast tamtej fatalnej koszulki z kołnierzykiem miał na sobie naprawdę fajne ciuchy: białą zapinaną koszulę, która podkreślała jego cerę, trochę opaloną, a trochę po prostu piegowatą, do tego wyblakłe szorty z mocnej bawełny i stare trampki.

Dotarło do niej, że sama ma na sobie starą koszulkę z Hannah Montana – którą nosiła dla beki, rzecz jasna, ale on nie mógł tego wiedzieć – więc skrzyżowała ręce na piersi.

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Zapomniałaś reszty – wyjaśnił, grzebiąc w kieszeni, po czym wyjął z niej kilka pogniecionych banknotów i trochę drobnych. – Proszę bardzo. Trzy dolary i dwadzieścia siedem centów.

Spojrzała na niego jak na wariata.

– Przyjechałeś do mojego domu, żeby oddać mi trzy dolary?

– I dwadzieścia siedem centów – powtórzył, uśmiechając się szeroko. – Poza tym chciałem zobaczyć, jak mieszkasz. Słyszałem, że masz niezły dom. – Wyciągnął szyję, zaglądając do środka ponad jej ramieniem. – O matko! Czy to żyrandol? Myślałem, że żyrandole wiszą tylko w dużych hotelach i kasynach w Las Vegas. I może w willach meksykańskich bossów narkotykowych.

– Mówisz poważnie? – Gemma wypowiedziała do Zboka łącznie może trzy słowa, zanim doszło do wymiany zdań w Quick-Marcie: ostatnio „nie”, kiedy odwrócił się na biologii i zapytał, czy wiedziała, że wśród koników morskich tylko samce opiekują się jajeczkami.

– Przepraszam. – Zbok przesunął ręką po włosach, które zaczęły sterczeć jak naelektryzowane. – Czasami moje usta mówią rzeczy, których nie konsultują wcześniej z mózgiem.

– Jasne, spoko. Ale... meksykańscy bossowie narkotykowi?

Zbok wzruszył ramionami. Wydawało się, że na coś czeka, a ona nie miała pojęcia na co. Był pierwszym chłopakiem, który przyszedł ją odwiedzić – nie żeby tak naprawdę przyszedł w odwiedziny – i nagle poczuła zażenowanie. Chciała, żeby sobie poszedł, ale nie wiedziała, jak mu to powiedzieć, by nie wyjść na zołzę. W końcu tylko wyświadczył jej przysługę. I był miły, choć rzeczywiście kiedyś ukradł damską bieliznę. I pewnie, no wiecie, miał w piwnicy jakieś pomieszczenie w stylu sado-maso, jak kiedyś teoretyzowała April, kiedy przyłapała go na gapieniu się na Gemmę w szkolnej stołówce.

– No więc mogę? – zapytał Zbok po chwili cierpliwego wpatrywania się w nią.

– Czy możesz co?

Zamrugął.

– Wejść i zobaczyć, jak mieszkasz.

Nie chciała się zgodzić, ale nie wiedziała, w jaki sposób odmówić. Cofnęła się więc, łapiąc Rufusa za obrozę.

– Okej – powiedziała. – To znaczy... jeśli bardzo ci zależy.

Zbok zrobił krok do przodu i się zawahał.

– Jesteś pewna, że to stworzenie nie gustuje w ludzkim mięsie? – Wskazał na Rufusa.

Przewróciła oczami.

– Błagam cię. To tylko zrzędlawy staruszek. Lubi sobie poszczekać, zwłaszcza przy ludziach, których nie... – nagle urwała. Właśnie przypomniała sobie, że Rufus, który ujadł, jak gdyby świat się kończył, za każdym razem, kiedy ktoś obcy zbliżał się do drzwi, nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, gdy podszedł do nich tamten mężczyzna na parkingu, a przynajmniej dopóki Gemma nie krzyknęła. Nawet zamachał ogonem. Tak jakby...

Tak jakby go rozpoznał, jakby skądś go kojarzył.

Nagle ogarnęło ją paskudne przeczucie – że nadchodzi coś strasznego. Coś, czego nie rozumiała. Ten mężczyzna, Haven, jej ojciec – wszystko było ze sobą powiązane, a ona znalazła się w samym środku całego tego zamieszania, w centrum koszmarnej zawieruchy.

Burzy z gradem i piorunami.

Zbok, nieświadomy, co działo się w jej głowie, dalej nawijał.

– Cholera. Na tym obrazie to twoja mama?

– Na akwareli – poprawiła go Gemma automatycznie.

– Wow. Nieźle. Twoja mama to niezła laska. Nie powinienem chyba tak mówić, co?

– Mhm. – Rozboliła ją głowa. – Posłuchaj, naprawdę mi przykro, ale jakoś nie czuję się zbyt dobrze. To nie jest najlepszy moment...

Ale on wydawał się nie słyszeć. Właśnie zauważył łazienkę w holu.

– Jasna cholera. Czy to telewizor? Obok toalety? – Zniknął jej z oczu, chociaż dalej słyszała jego terkotanie, metaliczne i zniekształcone przez kafelki. Wyłonił się ze środka chwilę później, w połowie zdania. – ... nurkować w wannie. Mogliby tu kręcić reklamy armatury łazienkowej.

Gemma wzięła głęboki oddech.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że dużo mówisz?

– Cały czas to słyszę – odparł Zbok, uśmiechając się szeroko. – To właściwie mój znak firmowy. No to co tu jeszcze masz? Tor do gry w kręgle? Kryty basen?

– Nie mamy żadnego toru do gry w kręgle. – Miała ochotę dodać: „a basen jest na zewnątrz”. Ale to by go tylko rozochociło. – Posłuchaj, poważnie, możemy przełożyć zwiedzanie na kiedy indziej? – Powiedziała to ze świadomością, że do powtórki raczej nie dojdzie.

W końcu ona i Zbok się nie przyjaźnili. Owszem, zawsze był dla niej miły – nigdy się nie śmiał, kiedy ktoś szeptał o jej bliznach albo nazywał ją Frankensteinem – ale on był miły właściwie dla wszystkich. Pewnie był jednym z tych ludzi, którzy za wszelką cenę próbują uszczęśliwić innych i ratują ginące gatunki. Może myślał, że bycie miłym dla Gemmy przysporzy mu punktów do poprawy karmy w tym życiu i następnym.

– Jasne – powiedział. Nawet starał się ukryć rozczarowanie. – Właściwie powinienem wracać do domu. Jutro wyjeżdżam na Florydę, a moja mama zachowuje się tak, jak gdybym wyruszał na wojnę. Nie zdziwię się, jeśli urządzi mi pożegnanie w asyście gwardii honorowej.

Floryda. Na dźwięk tego słowa w umyśle Gemmy zaczęło coś świtać.

– Gdzie dokładnie na Florydę? – zapytała niby od niechcienia.

Chłopak, który zmierzał już w stronę drzwi, odwrócił się i wzruszył

ramionami.

– Do Tallent Hill – odparł. – Nikt nigdy o nim nie słyszał. To godzinę drogi od Tampy.

– Ja słyszałam – powiedziała szybko Gemma.

I to była prawda: Tallent Hill znajdowało się niedaleko rezerwatu przyrody Chassahowitzka, nieco ponad godzinę drogi na południe od Barrel Key, skąd wypływały łodzie z personelem i dostawami dla Haven. Pamiętała, że widziała Tallent Hill na jednej z map na stronie „Z archiwum Haven”.

Teraz dotarło do niej z całą jasnością, jak gdyby doznała objawienia: musi pojechać na Florydę. Musi pojechać tam, do Haven, by zobaczyć instytut na własne oczy.

– Moja ciocia ma tam dom, to znaczy jest jego współwłaścicielką – mówił. – I robi obłędne margarity. Bezalkoholowe, ale i tak pyszne. Co to za przerwa wiosenna bez krewnych i drinków, co nie? – Włożył ręce do kieszeni. – A ty jak? Masz jakieś plany?

– Tak właściwie... – Gemma oblizała usta, które nagle strasznie wyschły. – Miałam jechać na Florydę. Do Barrel Key.

Zbok uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Gemma brnęła w swoje kłamstwo, czując, jak bardzo się przy tym rumieni, i miała tylko nadzieję, że chłopak tego nie widzi.

– Ale pojawił się problem z moim samochodem... – Żałosna ściema. Na samym podjeździe stały trzy auta, ale nieważne, pewnie trudno było stwierdzić, czy są na chodzie. – ... I teraz jestem trochę uziemiona. Myślałam, żeby wziąć autobus... – zawiesiła głos z nadzieją.

– Nie – rzucił natychmiast. – Nie ma mowy. Raz utknąłem w autobusie na dziewięć godzin, nie mając nic do jedzenia oprócz tic taców. A toaleta była zapchana. Przyjaciele nie pozwalają przyjaciołom jeździć w takie trasy autobusami.

Gemma uniosła brwi.

– To teraz jesteśmy przyjaciółmi?

– No jasne – odparł i poklepał ją delikatnie po ramieniu. Kiedy podszedł bliżej, poczuła jego zapach. Pachniał wcale nie hot dogami, ale czymś czystym i lekko korzennym. – Staliśmy się przyjaciółmi, kiedy postanowiliśmy wyruszyć razem w drogę. Wpadnę po ciebie jutro o dziewiątej rano.

April aż krzyknęła z radości, kiedy dowiedziała się, że przyjaciółka jednak przyjeżdża na Florydę – Gemma musiała odsunąć telefon od ucha, żeby nie pękły jej bębienki. April była tak podekscytowana, że nawet nie zapytała jej, jak tam dojedzie – i całe szczęście, bo Gemma bała się, że padłaby trupem, gdyby musiała przyznać, że to Zbok Rogers ją podwozi.

– Nie wierzę – mówiła April. Ich kłótnia poszła w całkowite zapomnienie. – Gemmo Ives, nie wiedziałam, że masz to w sobie. I twoi rodzice po prostu się poddali?

– Pewnie znudziła im się zabawa w złego gliniarza – powiedziała Gemma. Od kłamania poczuła w piersi dziwną lepkość, jak gdyby przez przypadek wciągnęła do płuc gumę.

Na szczęście podróż służbowa jej ojca zatrzyma go w Szanghaju przynajmniej na kolejny tydzień, więc będzie musiała oszukać tylko Kristinę. Mimo to nie wiedziała, jak sobie poradzi z okłamanie mamy – nie tylko okłamanie, ale i wymknięciem się do innego stanu.

Nie miała natury buntownika. Tylko raz ona i April – w drugiej klasie liceum – zdecydowały się spróbować elektronicznego papierosa. Następnego dnia Gemma była tak przerażona, że umiera na raka, iż wyznała wszystko mamie tylko po to, by ta ją pocieszyła.

Ale jutro o ósmej rano Kristina będzie na długim spotkaniu zarządu jednej z instytucji charytatywnych, w których się udzielała, co dawało Gemmie

przynajmniej cztery godziny na to, żeby opuścić stan, zanim matka w ogóle zorientuje się, że jej nie ma.

Tego wieczora siedziały razem na kanapie przed telewizorem i jadły, tak jak często robiły, gdy ojciec podróżował. Ich główną rozrywką było wtedy oglądanie jakichś kiepskich reality show i nabijanie się z uczestników. Ale dzisiaj Gemma była zbyt podenerwowana, by się skupić.

– Widzisz jej usta? – odezwała się Kristina, wskazując widelcem na telewizor. – Wygląda, jakby wessał je odkurzacz.

Gemma roześmiała się, ale o sekundę za późno. Matka odwróciła się do niej.

– Wszystko w porządku? Jesteś jakaś taka spokojna. – A potem dodała spanikowanym tonem: – Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – odparła Gemma.

Odłożyła talerz – jedzenie z Whole Foods, bo jej mama mianem gotowania określała wybieranie spośród różnych gotowych opcji – na ławę i odsunęła go stopą od nosa Rufusa. To uczucie lepkości w piersi wciąż jej towarzyszyło. Nagle wyrwało jej się:

– Dlaczego tata opuścił Fine & Ives?

Kristina odwróciła się do niej, najwyraźniej zaskoczona. Przez chwilę wyglądała nawet na przerażoną. A potem włączyła się u niej podejrzliwość.

– Dlaczego o to pytasz?

Gemma wzruszyła ramionami.

– Tak tylko, z ciekawości. W końcu to była jego firma, nie? Do tego jego nazwisko nadal jest w nazwie i w ogóle. Byłam wtedy taka mała... – Gemma miała dwa lata, kiedy jej ojciec postanowił opuścić Fine & Ives, ale proces sądowy, który potem nastąpił, ciągnął się jeszcze przez ponad trzy lata. Nic nie pamiętała z tego okresu. Na jej wspomnienia z dzieciństwa składały się głównie wizyty w szpitalu, u lekarzy i ciągle sprawdzanie stanu zdrowia, choroby, ich nawroty, zastrzyki oraz gorzkie lekarstwa podawane na łyżeczce przez mamę. Ale

pamiętała też, jak rodzice świętowali zakończenie procesu w jej pokoju w szpitalu przy Duke University i jak zalało ją wtedy szczęście wraz z poczuciem, że to nie będzie trwało długo. Takie chwile nigdy nie trwały długo.

Kristina odwróciła się z powrotem do telewizora. Ale już nie oglądała. To było oczywiste. Po chwili wzięła do ręki pilota i wyciszyła dźwięk.

– Twój ojciec i Matthew Fine mieli... różne zdania co do tego, w jakim kierunku powinna iść firma.

– Czego dokładnie dotyczyły te różnice? – Gemma nie dawała za wygraną.

Kristina westchnęła.

– Jeśli mam być szczerą, Gem, szczegóły nie były jasne nawet dla mnie. – Powiedziała te słowa lekko i Gemma wiedziała, że wcześniej musiała je ćwiczyć. – Matthew Fine chciał dokonać pewnych inwestycji, a twój tata się na to nie zgodził. To wszystko było bardzo nudne i bardzo, bardzo skomplikowane. – Powieki jej drgnęły, oczywisty znak, że kłamała.

Gemma myślała, że na tym się skończy, ale wtedy matka odwróciła się do niej.

– Wiem, że twój tata potrafi być trudny – stwierdziła, robiąc dziwną minę, jak gdyby te słowa miały kwaśny smak. – Popelnia błędy jak każdy. Ale jest dobrym człowiekiem. W głębi serca jest naprawdę dobry.

Gemma o mało nie powiedziała: „Skoro tak twierdzisz...”. Ale przełknęła to zdanie. Nie było sensu kłócić się z mamą – nie teraz, kiedy – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – czekało je tyle kłótni.

6

Gemma była przekonana, że coś pójdzie nie tak. Kristina domyśli się czegoś i odwoła spotkanie z zarządem. Zbok zjawi się przed czasem, cała prawda wyjdzie na jaw i rodzice zamkną ją w pokoju aż do menopauzy.

Była kłębkim nerwów. Nie umiała sobie wyobrazić, jak złodziejom i mordercom udaje się zachować zimną krew. Ona nie potrafiła nawet wymknąć się z domu bez rozstroju żołądka.

Ale mama tylko pocałowała ją w policzek tak jak zawsze i obiecała, że wróci do domu na kolejny maraton z Whole Foods i reality show. Jedna rzecz była dobra w prawie całkowitym braku przyjaciół i byciu wzorem wszelkich cnót – nikt nie spodziewał się po człowieku niczego złego. Gemma była istotą absolutnie wolną od podejrzeń.

Spakowała swoją torbę, rozpakowała ją, stwierdziła, że zabrała niewłaściwe rzeczy i w przesadnej ilości, po czym się przepakowała. Była zbyt zdenerwowana, by zasiąść przed laptopem, ale raz jeszcze przejrzała „Z archiwum Haven” na telefonie i przeszła przez sekcję z mapami, częściowo po to, by się upewnić, że to miejsce naprawdę istnieje.

Zbok zjawił się punktualnie w tym samym oberżynowym minivanie. Tym razem Rufus dowlókl się do drzwi, ale wydał z siebie tylko trzy łagodne szczeknięcia na powitanie.

– Pa, pa, Rufusku. – Gemma przyklękała, by uściskać psa i ukoić zmysły jego znajomym zapachem.

Wiedziała, że zachowuje się absurdalnie – opuszczała dom tylko na kilka dni, a może nawet na krócej, jeśli jej mama naprawdę się wkurzy i poleci po nią na

Florydę – ale miała wrażenie, że wyjeżdża na zawsze. I w pewnym sensie tak było. Zostawiała za sobą swoje dawne ja. Nie będzie już Gemmą, która wszystko robiła jak wypada, która zawsze słuchała rodziców, Kruchą Gemmą w Chorowitym Ciele. Teraz była Gemmą, która potrafiła wsiąść do samochodu obcego chłopaka, Gemmą, która badała tajemnicze sprawy, Gemmą, która przeciwstawiała się rodzicom i okłamywała najlepszą przyjaciółkę.

Gemmą ninja.

– Gotowa na szaleństwo? – zapytał Zbok, kiedy wyszła z plecakiem przewieszonym przez ramię. Dzisiaj miał na sobie zielony podkoszulek, który sprawiał, że jego włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze, i pasiaste bermudy.

– Jasne – odparła i pozwoliła, by wziął od niej plecak, chociaż wcale nie był ciężki, i wrzucił go do bagażnika. – Jak długo potrwa podróż?

– Normalnie? Dziewięć godzin. Ze mną za kółkiem? – Otworzył dla niej drzwi, zanim zdążyła sama to zrobić. On nie tylko mówił szybko. On wszystko robił szybko. Jeśli byłby postacią z komiksu, ciągnęłyby się za nim furkoczące linie. – Rekord: osiem godzin i czterdzieści pięć minut. I to ze standardowymi trzema przerwami na sikanie. No dobra, czterema – poprawił się, gdy Gemma rzuciła mu zdziwione spojrzenie. – Ale nie wiń mnie, jeśli nie dojedziemy tak szybko, jak oczekiwałaś.

Cały ranek Gemma czekała, aż Zbokowi wreszcie wyczerpią się tematy. Ale wkrótce dotarło do niej, że jest na przegranej pozycji, tak samo jak z próbami ignorowania go – były niczym stanie pośrodku autostrady i udawanie, że nie widzi się osiemnastokołowej ciężarówce, która zaraz rozgniecie cię na miazgę.

Typowa rozmowa ze Zbokiem przebiegała następująco:

– Hej, popatrz tam. Food truck z cukierni. Wyobrażasz sobie napad z bronią w rękę na samochód z ciastkami? To byłaby najśłodsza zbrodnia na świecie. Zostałabyś bohaterką na skalę krajową. Kiedyś, kiedy byłem mały, próbowałem

zrobić babeczki, wlewając masę naleśnikową do filiżanek, a dokładnie do porcelany mojej mamy. Okazało się, co ciekawe, że porcelana kiepsko znosi wysokie temperatury. Wiesz, co jeszcze kiepsko je znosi? Telefony komórkowe. Przypomnij mi, żebym ci później opowiedział, jak raz przez przypadek włożyłem komórkę do mikrofalii...

I tak dalej, i tak dalej. Raz na jakiś czas przerywał i czekał, aż Gemma mruknie „mhm” albo „no co ty?”, albo wypuszczał w jej stronę serię szybkich pytań, by zachęcić ją do rozmowy. Najczęściej odpowiadała półsłówkami. Była zbyt zdenerwowana, by prowadzić normalną konwersację, zwłaszcza ze Zbokiem. Nigdy nie umiała rozmawiać z nieznajomymi i miała zerowe doświadczenie w kontaktach z chłopakami, więc takie połączenie – chłopak, do tego prawie nieznajomy – oznaczało, że jej język dokonywał nadludzkich wysiłków za każdym razem, gdy próbowała się odezwać. Miała nadzieję, że Zbok się zorientuje i zaproponuje włączenie muzyki albo przynajmniej zostawi ją w spokoju.

Zapomnij.

– A więc twój tata jest jakąś grubą rybą w przemyśle farmaceutycznym, tak?

– Kiedyś był.

– Uwielbiam wymawiać słowo „farmaceutyk”. Farmaceutyk. Brzmi jak jakaś roślina. Powiedz to.

– Muszę?

– Tak. Ja prowadzę, a ty powinnaś mnie zabawiać. No, zabaw mnie.

– Farmaceutyk.

– Słyszysz to? Naprawdę jak jakaś roślina.

Gdy minęło południe, zatrzymali się w miejscu obsługi podróżnych gdzieś w Karolinie Południowej, gdzie znajdowały się cukiernia i McDonald. Kiedy wysiadali z samochodu, Gemma z roztargnienia nazwała Zboka Zbokiem – na głos.

– Poważnie? – Skrzywił się.

– Przepraszam. – Od razu poczuła się winna.

Zbok był miły i w głębi duszy pochlebilo jej, kiedy April przyłapała go na gapieniu się na nią w stołówce, choć pewnie gapił się tylko dlatego, że wpadł mu do oka jakiś paproch. Nikt się na nią nie gapił, chyba że w przerażeniu, jak gdyby jej twarz była znakiem graficznym wypadku samochodowego. Do tego Pete był ciachem, w taki trochę chłopięcy sposób, ale niezaprzeczalnie ciachem. I właśnie ją podwoził.

Zbok – to znaczy Pete – pokręcił głową. Nie wyglądał na rozżłoszczonego. Raczej na zaskoczonego i lekko rozczarowanego.

– Naprawdę myślisz, że mogłem ukraść bieliznę Chloe?

Gemma próbowała obrócić to w żart.

– Chcesz powiedzieć, że komuś innemu mógłbyś ją ukraść?

Poczuła ulgę, gdy Pete – postanowiła od tej pory zawsze nazywać go Pete, nawet w myślach – się uśmiechnął.

– Może. W pewnych okolicznościach. Na przykład gdyby mogło się to przysłużyć sprawiedliwości społecznej.

– W jaki sposób kradzież bielizny mogłaby się przysłużyć sprawiedliwości społecznej?

– Przekonania polityczne to złożona sprawa, Gemmo – odpowiedział poważnym tonem, na co ona wybuchnęła szczerym śmiechem.

Ustalili, że spotkają się w samochodzie – a raczej Pete zarządził wyścig, kto najszybciej wróci do auta, twierdząc, że raz zamówił jedzenie w McDonalddie, skorzystał z toalety i kupił kilka plastikowych figurek w jednej z maszyn na ćwierćdolarówki, których zawsze było pełno w miejscach obsługi podróźnych, i to wszystko w rekordowym czasie czterech minut.

Nie lubiła jeść przy obcych, od kiedy w siódmej klasie Chloe zaczęła chrumkać, gdy Gemma niosła swoją tackę z lunchem, i połowa klasy się do niej

przyłączyła. Weszła więc za Pete'em do środka i schrupała batonik musli w toalecie, w kabinie, podczas sikania. Wiedziała, że zachowuje się głupio i żałośnie, ale za bardzo wstydziła się kupić to, na co miała ochotę, czyli Happy Meal. Nie czuła się już Gemmą ninja, kiedy tak siedziała z opuszczonymi spodniami i okruszkami batona na gołych udach.

Wróciła do samochodu pierwsza, a Pete wyłonił się ze środka jakieś trzydzieści sekund później, sprintem, trzymając w rękach ogromną torbę z McDonalda. Zatrzymał się, kiedy ją zobaczył, i w dramatycznym geście wyrzucił ręce do góry, o mało nie upuszczając przy tym puszki z napojem.

– Nie do wiary – jęknął. – Pokonałaś mnie. – A potem, gdy otworzył samochód i zobaczył, że ma puste ręce, spytał: – Nie jesteś głodna?

– Niespecjalnie – odparła, choć kiszki grały jej marsza. Odwróciła się, żeby nie zobaczyć, jak płoną jej policzki.

Kiedy wsiedli do samochodu, rzucił torbę z jedzeniem na jej kolana. Poczują frytki. Pachniały tłuszczem, solą i rajem.

– Poczęstuj się – powiedział. – Nie chcę, żebyś umarła z głodu. Głupio bym się czuł, gdybym musiał się z tego tłumaczyć przed twoimi rodzicami.

– Wątpię, by w najbliższej przyszłości groziła mi śmierć głodowa – odparła.

Nie była pewna, czy nie stroi sobie z niej żartów – w porównaniu z innymi dziewczynami ze szkoły była wielka jak balon unoszący się nad tłumem podczas świątecznych parad – ale nic na to nie wskazywało. Wzmianka o rodzicach sprawiła, że w jej żołądku lekko zaświdrowało. Sprawdziła godzinę na telefonie. Była pierwsza. Jej mama wróci do domu lada moment, odkryje, że córka zniknęła, i pewnie postawi na nogi całą policję w okolicy.

– Może i nie. Ale groziłaby ci zamiana w chodzącą wykałaczkę, taką jak Chloe. Gdy tylko ją widzę, mam wrażenie, że coś utknęło mi między zębami.

Za te słowa polubiła go sto razy bardziej, nawet jeśli tak nie myślał. Nic nie mogła na to poradzić. Chloe wyglądała tak, jak powinny wyglądać ładne

dziewczyny, w każdym razie według każdego bloga czy magazynu mody. A Gemma wyglądała, jakby pożarła modelkę.

Zanurzyła rękę w torbie i włożyła frytki do buzi. Były przepyszne. Nie przejmowała się tym, że kiedy się nachyliła, jej brzuch przelewał się nad paskiem. Pete nawet na nią nie patrzył. Był zajęty wcinaniem własnego burgera. Gemma stwierdziła, że podoba jej się sposób, w jaki je – z absolutnym skupieniem, jak gdyby jedzenie było złożonym problemem matematycznym do rozwiązania.

– Więc naprawdę nie ukradłeś bielizny Chloe? – spytała po chwili.

– Jasne, że nie – odparł, ale miał pełną buzię i zabrzmiało to jak „sneszene”. Przełknął teatralnie głośno. – Chcesz wiedzieć, jaką mam teorię? Moja teoria – kontynuował, nie czekając na odpowiedź – brzmi: Chloe DeWitt jest we mnie zakochana po uszy i kiedy nie ukradłem jej bielizny, wpadła w szal. Dlatego puściła plotkę, że ją ukradłem.

Gemma spojrzała na niego. W kąciку ust zostało mu trochę sosu i nagle zapragnęła go zetrzeć.

– Jesteś szalony. Wiesz o tym? Nie zdziwię się, jeśli powiesz, że masz żółte papiery.

Pokręcił głową. Jego twarz nagle spoważniała.

– Te dziewczyny to klony, Gemma. Nie mają mózgu.

Odwróciła twarz do okna, żeby przestać zwracać uwagę na różne cechy jego wyglądu. Na to, jakie ma ładne, długie dłonie, obsypane piegami na knykciach. Na zabawne jabłko Adama, które podskakiwało, gdy mówił. Owszem, był dla niej miły, ale wciąż był niezłym ciachem, a niezłe ciacha nie interesowały się takimi dziewczynami jak ona. Obejrzała wystarczająco dużo komedii romantycznych, by wiedzieć takie rzeczy.

– Klony mają mózgi – poprawiła go. – Pewnie myślisz o zombie.

– Zatem klony zombie – powiedział i włączył silnik.

Zbliżali się do Jacksonville, kiedy usłyszeli o eksplozji niedaleko Barrel Key i o pożarze na Spruce Island. Gemma zmieniała stacje radiowe w poszukiwaniu czegoś, co nie zachęcałoby Pete'a do śpiewania. Okazało się, że kiedy nie gadał, śpiewał, zwykle fałszując, jakąś przypadkową zbitkę słów, które miały niewiele wspólnego z prawdziwym tekstem. Próbowwała gospel, country, hardcore rapu, wszystkiego. Pierwsza godzina improwizowanego karaoke była całkiem w porządku – nawet podobało jej się jego wykonanie *Man in the Mirror* i o mało nie posikała się w majtki, kiedy okazało się, że zna każdziuteńkie słowo ... *Baby One More Time* Britney Spears – ale po drugiej godzinie zaczęła tęsknić za ciszą, tym bardziej że Pete wiercił jej dziurę w brzuchu, żeby śpiewała razem z nim.

Kiedy natrafiła na stację z wiadomościami, o mało jej nie przeskoczyła.

Miejscowe władze potwierdziły doniesienia o pożarze w Haven Institute...

– No dalej, didżejko, może by tak puścić jakąś piosenkę? – Pete zmienił stację w tym samym momencie, w którym Gemma osłupiała.

Rozległa się piosenka Jimmy'ego Buffetta.

– Nie. Poczekaj. Wróć, proszę. – Gemma cofnęła stację, mijając po drodze trzaski i syki oznaczające brak sygnału, dopóki znowu nie usłyszała głosu spikera.

... niepotwierdzone pogłoski o celowym ataku...

Pete udawał, że się dąsa.

– Jimmy Buffett, Gemmo. To prawie jak hymn Florydy. Wysłuchanie choć

raz dziennie *Margaritaville* jest obowiązkowe. W przeciwnym razie wydalą nas ze stanu.

– Proszę cię. Błagam. To naprawdę ważne, okej? – Podkreśliła dźwięk, ale jego jakość była koszmarna. Nie miała pojęcia, skąd nadawało to radio, ale pewnie z okolic Barrel Key, więc głosy nakładały się na siebie, przeplatane urywkami muzyki z innej stacji.

Tom, czy to prawda, że na Facebooku... przyznała się do zamachu...? Niestety wszyscy nabrali wody w usta...

Policja radzi trzymać się z daleka, dopóki sytuacja nie znajdzie się pod kontrolą...

Obecność wojska...

Pogłoski o protestach w Barrel Key...

W tym momencie zakłócenia stały się zbyt mocne i z głośnika popłynęła stara piosenka, w której ktoś kwilił o złamanym sercu. Gemma wyłączyła radio. Potrzebowała pomyśleć w ciszy. Na Spruce Island był pożar – możliwe, że doszło tam do ataku. Ale z czyjej strony? I co to oznaczało? Dlaczego ktoś miałby atakować ośrodek badawczy? Pomyślała o mężczyźnie, który złapał ją na parking, jego oddechu śmierdzącym kawą i szaleństwem w oczach.

– Barrel Key – powtórzył Pete powoli. Po raz pierwszy się nie uśmiechał, nie robił min ani nie próbował jej rozśmieszyć. Tylko marszczył brwi, ściskając mocno kierownicę obiema rękami. – To tam, gdzie się wybierasz, prawda?

– To tam, gdzie mnie zabierasz – rzekła. I może sprawił to sposób, w jaki powiedziała te słowa, albo wyraz jej twarzy, ale Pete wreszcie się uciszył.

Zajechali do Barrel Key tuż po szóstej. Gemma wyłączyła telefon kilka godzin wcześniej, po wysłaniu mamie esemesa: *Pojechałam spotkać się z April na Florydzie* – tylko po to, by Kristiny nie kusilo dzwonić na policję albo do Gwardii Narodowej. Ale i tak wiedziała, że mama dostanie białej gorączki. Pewnie zadzwoniła już do taty i to sprawiło Gemmie jedyną satysfakcję: był

tysiące kilometrów stąd i nie mógł jej ukarać.

Na Barrel Key składał się ciąg magazynów i sklepów żeglarskich, składnic artykułów metalowych i chylących się ku ziemi szop ze sprzętem wędkarskim. Niebo miało zielonkawy odcień i dopiero gdy Gemma opuściła szybę, poczuła drażniący swąd spalenizny i uświadomiła sobie, że wiatr zawiewał popiół ze Spruce Island.

– Wow – mruknął Pete, gdy mijali jedyny motel w okolicy, w którego szyldzie neonowe „M” nie świeciło, a napis „Wolne pokoje” brzęczał niczym ostrzeżenie. – Fantastyczne miejsce na wakacje. Takie, hm, mało turystyczne.

– To w sumie wakacje połączone z pracą – odrzekła, bo wiedziała, że inaczej dalej drażyłby temat.

– Jaki to rodzaj pracy? Jesteś światowej klasy mistrzem w wędkarstwie muchowym? Albo próbujesz się zaciągnąć do armii, by mieć dostęp do amunicji? – To akurat powiedział, kiedy mijali przybudówkę, na której obok siebie wisiały reklamy „świeżych wiejskich jaj” i producenta broni palnej. – Powiesz mi, co naprawdę będziesz tu robić?

Gemma się zawahała.

– Nie mogę – odparła. I nie kłamała. Nie miała pojęcia, co może tu znaleźć, wiedziała tylko, że wszechświat zdawał się wskazywać na to miejsce, na Haven.

Podniszczony drogowskaz informował, jak dojechać do przystani.

– Skręć tutaj.

Jechała z opuszczoną szybą i wysilała wzrok, by dojrzeć choć fragment Spruce Island, ale budynki ciągle zasłaniały jej widok i ocean z rzadka migotał przed oczami. Tutaj miasto wyglądało już nieco sympatyczniej: następny motel, w którego szyldzie świeciły się wszystkie litery, knajpki, bary, wystawy z kolorowymi przynętami, sklep z podkoszulkami i restauracja ze stolikami na zewnątrz. W oddali usłyszała dźwięk, który na początku wzięła za huk fal, ale w miarę zbliżania rozpoznała w nim ludzkie głosy. Nad ich głowami przeleciał

helikopter, za nim następny.

Droga zakręcała, ale dalej już nie mogli jechać z powodu blokujących ją drewnianych barykad i policjantów, którzy z ponurą miną ruchem ręki nakazywali im zawrócić. Za blokadą znajdowała się przystań, gdzie zgromadziły się setki ludzi, którzy skandowali jakieś hasła i wymachiwali odręcznie wykonanymi transparentami. Za nimi widać było ostre maszty małych żaglówek podskakujących na wodzie oraz sięgającą nieba kolumnę dymu, który wydobywał się z jakiegoś miejsca za wybrzeżem i nadawał słońcu dziwny pomarańczowawy kolor.

Policjant zastukał w okno od strony kierowcy i Pete opuścił szybę.

– Będzie pan musiał zawrócić – oznajmił gliniarz. Był w pełnym rynsztunku bojowym i miał ze sobą przynajmniej trzy karabiny.

– Ale my jedziemy właśnie tam – powiedziała Gemma, wskazując na rozgorączkowaną grupę ludzi na przystani, a Pete rzucił jej pytające spojrzenie z gatunku „Naprawdę!?”.

– Zawróćcie – powtórzył policjant. – Nie ma tam nic do oglądania.

– Poza ogromną kulą ognia i rozhisteryzowanym tłumem – mruknął Pete.

Gemma szturchnęła go łokciem, a policjant nachylił się, by się im przyjrzeć.

– Ale poza tym ma pan absolutną rację: nie ma tam nic do oglądania. Nic a nic.

Drugi gliniarz już zmierzał w ich stronę, więc Pete szybko ruszył do tyłu.

– Życzę panom miłego dnia! – wykrzyknął, wycofując się na oślep.

Dwaj policjanci odprowadzali ich wzrokiem, dopóki van nie zawrócił na parking sklepu z narzędziami i nie ruszył z powrotem tam, skąd przyjechał.

– Przyznaję, to była cudowna wycieczka – odezwał się Pete, kiedy zostawili przystań za sobą. – To gdzie teraz? Masz ochotę zobaczyć jakąś katastrofę naturalną? Obóz jeniecki? A może zamieszki na tle politycznym?

Gemma zauważyła pusty parking za długim rzędem niskich magazynów.

– Zatrzymaj się tutaj – powiedziała.

Pete spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Jesteś pewna?

– Proszę. Po prostu się zatrzymaj.

Dobrze jej to robiło: wydawanie rozkazów, posiadanie planu, liczenie głównie na siebie i robienie tego, na co miała ochotę, bez błagania kogokolwiek o pozwolenie. Coś w jej piersi obudziło się do życia, jakaś siła poza poczuciem winy i strachem. Czuła się tak, jakby dotychczas żyła w komiksie, w dwóch wymiarach, a teraz udało jej się uciec do pełnowymiarowego świata.

Pete delikatnie skrzywił i się zatrzymał.

– Większość osób, mówiąc o przerwie wiosennej, ma na myśli bikini, bezalkoholowe piña colady, opaleniznę w sprayu...

– Nie ja – powiedziała Gemma, starając się obrócić to w żart. – Jestem uczulona na kokosy. I nawet nie mam bikini.

– Dlaczego? – Spojrział na nią. Jego oczy wydawały się jeszcze jaśniejsze. – Wyglądałabyś super w bikini.

I znowu nie była pewna, czy się z niej nie nabija. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, podczas której Gemma była nieznośnie świadoma, że wyobraża sobie Pete'a wyobrażającego sobie ją w bikini, z wałeczkami tłuszczu i ocierającymi się o siebie udami, i w ogóle. Myślała, że umrze ze wstydu. Policzki jej płonęły, jak gdyby ktoś przyłożył do nich pochodnię. Wiele ją kosztowało, by na niego spojrzeć, ale musiała sprawdzić, czy aby nie uśmiecha się złośliwie.

Ale nie. Majstrował nerwowo przy radiu, mimo że zgasił silnik. Gemma pomyślała wtedy, że jest zdenerwowany – i to na poważnie. Z jej powodu.

Z powodu Egzemmy Ives. Potwora Frankensteina.

– Nic mi nie będzie – powiedziała i otworzyła drzwi. Nie wiedziała, skąd

wzięło się całe to napięcie, ale straszliwie pragnęła od niego uciec. Całe jej ciało było teraz rozpalone do białości. W tej samej chwili dotarł do niej słaby swąd spalenizny, a wraz z nim woń mokradeł: wysuszonego na słońcu błota, zdechłych ryb i żyłtek poruszających się pod ziemią. – Dzięki za podwózkę. Naprawdę ogromne dzięki.

– Mówisz poważnie – stwierdził z niedowierzaniem. Podniósł ręce do góry w geście poddania. – Ale skoro to cię podnieca...

– Skoro to mnie podnieca? – Pokręciła głową, zdumiona.

– No wiesz. Skoro cię to jara, wyrzuca na orbitę, wiedzie do krainy szczęśliwości...

– Pete – przerwała mu. Ale uśmiechnęła się, nie mogła inaczej. – Musisz wiedzieć, kiedy przestać. Poważnie.

Wysiadła z samochodu, licząc w duchu, że za nią zawoła. Ale on tylko otworzył bagażnik, kiedy w niego stuknęła. Zarzuciła plecak na ramię, wciąż z tym samym poczuciem winy i strachem pomieszanymi z ekscytacją, które walczyły w jej żołądku o pierwszeństwo. Pete opuścił szybę i zawołał ją, zanim ruszyła przed siebie.

– Zadzwoń do mnie, okej? Jeśli będziesz czegoś potrzebować.

– Czy to twój wymyślny sposób poproszenia o mój numer? – zapytała. Powinna była ugryźć się w język. Bredziła jak potłuczona. I nienawidziła się za to, że tak się przejmuje. Podwiózł ją i tyle. Przecież nie byli na randce.

– Technicznie – odparł – to mój wymyślny sposób sprawienia, żebyś ty poprosiła o mój numer. – Uśmiechnął się do niej zawiadacko, a jego włosy sterczały radośnie, jakby i one były szczęśliwe.

Zapisała jego numer, a on jej.

– Obiecuj, że zadzwonisz, okej? Żebym wiedział, że nie skończyłaś, no wiesz, w paszczy krokodyla albo coś w tym stylu.

Obiecała mu, chociaż wiedziała, że tego nie zrobi – poza tym była pewna, że

Pete mówi to tylko z grzeczności. Stała tak przez chwilę i machała mu na pożegnanie, na moment zdjeta żalem, gdy wyjeżdżał na drogę tym swoim kuriozalnym vanem. Musiała przyznać przed samą sobą, że jego towarzystwo wcale nie było takie straszne. Rzecz jasna, był nieznośny. Nie podobało jej się, jak czasem na nią patrzył, jakby jego oczy były laserami, które przewiercały się do jej mózgu. Ale był zabawny, był fajnym kompanem w podróży i – no dobra – chyba był naprawdę całkiem przystojny. A do tego do dzisiaj nigdy nie była sama w towarzystwie chłopaka.

Teraz zaś była definitywnie sama.

Skierowała się z powrotem w stronę przystani. Od razu zaczęła żałować, że kazała Pete'owi wyrzucić się tak daleko. Nie mogła pójść prosto na przystań. Nie miała ochoty na małe *tête-à-tête* z robocopem i jego kumplem. Ale jeśliby znalazła inną drogę na plażę, mogłaby przejść brzegiem do miejsca, gdzie gromadził się tłum. A wtedy, miała nadzieję, dowie się, co wydarzyło się w Haven – a może nawet czym w ogóle ono było.

Gdy usłyszała krzyki protestujących, skręciła w lewo między dwoma sklepami żeglarskimi i ruszyła na skróty wyżłobioną koleinami, przeżartą przez sól dróżką, a potem skręciła w prawo w ulicę równoległą do tej, która prowadziła do przystani. Spomiędzy pękniętego asfaltu i cienkiej warstwy piasku pokrywającej chodniki wyrastała nadmorska trawa. Domy stały tu pomiędzy sklepami tytoniowymi i obskurnymi winiarniami – wszystkie pomalowane na jakiś pastelowy kolor, tyle że przyćmiony i zakurzony jak stare fotografie pozbawione blasku. Po chwili Gemma zostawiła budynki za plecami i między trawą w kolorze nitek karmelu zobaczyła błyszczącą wodę. Dojście na plażę zagradzała metalowa siatka, a za nią widać było stos zardzewiałych kajaków leżących na trawie oraz porozrzucane po piasku potłuczone butelki po piwie i pety. Obejrzała się za siebie: żadnego poruszenia w żadnym domu, w ogóle żadnego śladu życia, z wyjątkiem chudego kota, który właśnie wybiegł spod

starej toyoty corolli. Kolejne helikoptery przeleciały nad nią z hukiem.

Zdjęła plecak, przerzuciła go przez ogrodzenie i upewniwszy się raz jeszcze, że nikt jej nie obserwuje, wczepiła palce w siatkę i zaczęła się wspinać. Ogrodzenie zakołysało się niebezpiecznie, a Gemmie stanęła przed oczami wizja, jak przewraca się do tyłu, pociągając wszystko za sobą. Udało jej się niezdarnie przejść nad zwieńczeniem siatki i zeskoczyła na piasek, dysząc ciężko, cała spocona pod tym dziwnym, zamglonym słońcem. Gdy podnosiła plecak, uświadomiła sobie, że wreszcie widzi w oddali Spruce Island – a przynajmniej wydawało jej się, że to ta wyspa. Jakies półtora kilometra za wybrzeżem majaczył nad horyzontem rząd ciężkich, ciemnych zarośli. Resztę wyspy, i czymkolwiek Haven jest albo było, przysłaniała zasłona dymu i żaru.

Ruszyła niestrzeżonym odcinkiem plaży w stronę przystani, patrząc pod nogi, żeby się nie potknąć o wystające z piasku śmieci. Kolejne druciane ogrodzenie, które napotkała, prowadziło aż do wody, ale na szczęście była w nim furтка, otwarta, więc tym razem nie musiała się wspinać. Znalazła się przed zniszczonym szarym magazynem. Widziała go już pod innym kątem z samochodu Pete'a, dlatego wiedziała, że otacza część przystani niczym długie ramię.

Wreszcie z wiatrem dobiegły ją narastające głosy. Droga wokół starego magazynu wiodła przez błoto, więc z każdym krokiem wokół jej butów pojawiała się mała kałuża brudnej wody. Po drugiej stronie budynku znajdował się parking zablokowany przez policję i właśnie tam zebrał się tłum – część osób trzymała w rękach tablice i skandowała unisono, a część rozłożyła się na asfalcie z kocami i lornetkami, jak gdyby była na pikniku. Parę nastolatków w wieku Gemmy albo nieco starszych urządziło sobie punkt obserwacyjny na dachu sąsiedniego budynku – siedzieli na jego skraju, a nogi zwisały im z okapu jak sople. Gemma doliczyła się przynajmniej pięćdziesięciu osób i kilkunastu gliniarzy. Co takiego działo się w Haven, że trzeba to było aż tak chronić? Albo

zniszczyć?

Wślizgnęła się ukradkiem w tłum.

Minęła mężczyznę, który miał na głowie plastikowy hełm z rogami, wyposażony w różne antenki i metalowe zwoje. Chodził w kółko, gestykulował przed niewidzialną publiką i mruzczał coś pod nosem, a gdy zauważył spojrzenie Gemmy, odwrócił się w jej stronę i kontynuował swój monolog jeszcze głośniej.

– ... bo niby dlaczego nie mogliśmy pić wody, gdy stacjonowaliśmy w An-Nasirii...? Ze strachu przed trucizną. Ale część musiała się przedostać do jedzenia, dlatego, jak mówią lekarze, mam dziury w mózgu...

Odwróciła się szybko. Kilka osób miało na twarzach maski przeciwigazowe, które upodabniały ich do psychopatów z horrorów albo ogromnych insektów, co dawało wyjątkowo dziwny efekt w połączeniu z dżinsami i zdezelowanymi mokasynami. Wpatrywali się w horyzont nad oceanem. Demonstranci wzywali do zamknięcia Haven. „Nasza ziemia, nasze zdrowie, nasze prawa”, głosiła jakaś tablica, a inna: „Nie chcemy chemii na naszej ziemi”. Ale między nimi były dużo dziwniejsze hasła, nawiązujące do Roswell, Big Brothera czy zombie, i kilka plakatów ostrzegających przed wiecznym potępieniem. Dziewczynka, która nie mogła mieć więcej niż dwanaście lat, trzymała kolorową, ręcznie wykonaną tablicę zapisaną okrągłymi literami: „A służę nieużytecznego wyrzucie na zewnątrz, w ciemności”.

Gemma wybrała z tłumu opaloną parę w średnim wieku wyglądającą w miarę normalnie i zaczęła się przepychać w jej stronę. Mężczyzna miał skórzane sandały i bejsbolówkę z rysunkiem domku myśliwskiego, a kobieta przypiętą do pasa saszetkę. Oboje wpatrywali się w kłęby dymu w oddali – wyglądało to tak, jakby na środku oceanu wybuchnął wulkan.

– Co tu się dzieje? – zapytała ich. Zabawne, jak katastrofy zmniejszały dystans między ludźmi. – Czy wiadomo, jaka była przyczyna pożaru?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nic oficjalnie. Ktoś mówił, że doszło do wybuchu gazu. Wyspa jest naszpikowana chemikaliami, więc wszystko szybko zajęło się ogniem...

Jego żona parsknęła.

– Jaki tam wybuch gazu? Rozmawialiśmy z paroma miejscowymi, którzy twierdzili, że słyszeli przynajmniej dwa wybuchy, jeden po drugim.

– Wybuchy – powtórzyła Gemma, poprawiając pasek plecaka na ramieniu. Czowała pot zgromadzony pod kołnierzykiem koszulki. – Takie jak od bomby, tak?

Kobieta spojrzała na Gemmę z politowaniem.

– Nie jesteś stąd, prawda? Ludzie od lat domagali się zamknięcia instytutu czy cokolwiek to jest. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że ktoś postanowił sam to załatwić. Oczywiście plotki... – Rozłożyła ręce.

– Jakie plotki? – drażyła Gemma, chociaż pamiętała ze strony „Z archiwum Haven” długą listę rzeczy, które podobno wytwarzano w instytucie: od niezwykle zakaźnych chorób po ludzkie organy.

– Niektórzy twierdzą, że na wyspie trzymają kosmitów – odpowiedział jej mąż.

To wyjaśniało porównania do Roswell, gdzie rzekomo rozbił się statek kosmiczny, który został ukryty przez wojsko.

– No więc powiem tyle, że przyjeżdżamy tu co roku z Orlando, by popływać sobie łódką i poobserwować ptaki w rezerwacie. Można tu spotkać cudowne okazy: ibisy białe, biegusy i szlamce żerujące na ławicach ostryg. Interesujesz się omitologią?

Gemma spróbowała przybrać uprzejmą minę i przytaknęła. Mężczyzna odchrząknął, jak gdyby nie uwierzył, i kontynuował:

– Mam lornetkę, dzięki której można dostrzec łuskowca z odległości siedmiuset metrów. Trochę obserwowałem wyspę, ale nigdy nie widziałem tam żadnych błyszczących zielonych ludzików. – Nie odrywał wzroku od pożaru

w oddali. – Za to mogę powiedzieć tyle, że mają strażników na wieżach i ogrodzenie z drutem kolczastym, wysokie na pięć metrów. Jeśli się tam zbliżysz, zastrzelą cię bez mrugnięcia okiem. Powiadają, że przeprowadza się tam badania medyczne dla naszych chłopców na misjach, ale jak dla mnie to śmierdzi. Coś ukrywają, to pewne.

Nad ich głowami przeleciał kolejny helikopter, od którego Gemma poczuła wibrowanie w piersi. Najwyraźniej nikt nie wiedział, co się wydarzyło w Haven, więc postanowiła poszukać w tłumie jakiegoś przedstawiciela władzy. Wreszcie zauważyła policjanta wyklócającego się z ciemnowłosym chłopakiem o symetrycznej, przystojnej twarzy, która nasuwała Gemmie skojarzenia z filmami o superbohaterach. Gliniarz trzymał profesjonalny aparat fotograficzny i najwyraźniej kasował zdjęcia.

– ... żadnego prawa, by je konfiskować. – Usłyszała słowa chłopaka, kiedy się do nich zbliżyła. – To własność prywatna.

– Co mówiłem o robieniu zdjęć? – Policjant obrócił się, by powstrzymać tamtego ramieniem, gdy próbował sięgnąć po swój aparat. – To nie jest żaden Wielki Kanion, do cholery. Mamy tu sytuację kryzysową. Okaż trochę szacunku.

Gemie zrobiło się żal chłopaka. Najwyraźniej był wściekły. Nie mógł być dużo starszy od niej, a aparat wyglądał na drogi.

– Nie jestem turystą – warknął. – I mogę robić zdjęcia, jeśli tylko mam na to ochotę. Jesteśmy w Ameryce.

– Jesteśmy na miejscu zbrodni, przynajmniej dopóki nie powiemy, że jest inaczej – odparował gliniarz.

Chłopak zacisnął pięści. Gemma przez chwilę patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Jego oczy pobiegły w jej stronę, ale równie szybko zawróciły. Nie czuła się obrażona. Była przyzwyczajona do tego, że inni jej nie dostrzegają, i nawet jej to odpowiadało.

– W porządku. – Policjant skończył kasować zdjęcia, otworzył klapę z tyłu,

wyjął baterię i zwrócił bezużyteczny aparat właścicielowi. – A teraz poproszę o telefon.

– Pan chyba żartuje. – Chłopak zbladł jak płótno.

Gemma także poczuła wściekłość. Dlaczego niby nie miał prawa robić zdjęć, gdzie chciał?

Gliniarz najwyraźniej tracił cierpliwość. Podniósł palec i wycelował go prosto w twarz chłopaka.

– A teraz posłuchaj, synu...

– Mam na imię Jake – przerwał mu tamten. – Jake Witz.

– W porządku, panie Witz. Jeśli chcesz kłopotów, pyskuj dalej, proszę bardzo. Ale gdy pojedziemy na komisariat...

– Za co? Za posiadanie iPhone'a?

– Tą niewyparzoną gębą napytasz sobie biedy...

Gemmę zamurowało. Jake Witz – tak nazywał się facet, który prowadził stronę „Z archiwum Haven”. To musiał być zbieg okoliczności, nie było żadnego podobieństwa między tym chłopakiem a mężczyzną ze zdjęcia na stronie. Ten mógłby uchodzić za sobowtóra Clarka Kenta, tyle że bez okularów.

Chociaż... jeśliby przyjrzeć się bliżej, można było znaleźć pewne podobieństwo. Podobny zarys podbródka, który u tamtego mężczyzny z wiekiem stracił wyrazistość. Ten sam nieco za duży nos, który chłopakowi nadawał zdecydowany wygląd, facetowi ze zdjęcia zaś po prostu komiczny. A zatem jacyś krewni? Nie miała pewności.

Wreszcie chłopak skapitulował i oddał telefon. Policjant kazał mu odblokować ekran i przejrzał zdjęcia, kasując wszystkie, które uznał za nieodpowiednie. Jake stał z zimną i zagniewaną twarzą, co w jakiś sposób jeszcze dodawało mu urody.

Wreszcie gliniarz oddał mu telefon i walnął Jake'a w plecy, jak gdyby byli najlepszymi kumplami, którzy spotkali się na meczu bejsbola.

– Dobry z ciebie chłopak – powiedział. – I żebym już więcej nie musiał powtarzać, jasne? Zmykaj mi stąd. Nie ma tu nic do oglądania.

Po tych słowach odszedł, krocząc dumnie jak paw, tym razem w stronę dwóch nastolatek, które nagrywały film telefonami. Przepchnął się przy tym koło Gemmy, nawet nie zaszczycając jej spojrzeniem. Jake kopnął zgniecioną puszkę po coca-coli, która potoczyła się po piasku i żwirze, po czym wylądowała na skraju trawnika. Albo nie zauważył Gemmy, albo udawał, że jej nie zauważa.

Odchrząknęła.

– Jake? Jake Witz?

Wreszcie podniósł wzrok i serce jej się ścisnęło. Oczy miał ciemne, ogromne i pełne smutku – tak samo spoglądał Rufus, kiedy nikt nie poświęcał mu uwagi.

– Tak? – odezwał się. W jego głosie słyhać było zmęczenie. Zresztą wyglądał na zmęczonego, pewnie już od dłuższego czasu był na miejscu i obserwował sytuację.

– Nazywam się Gemma Ives – przedstawiła się. Uświadomiła sobie, że nie przemyślała, co ma powiedzieć. Wciąż nie wiedziała, co łączy Jake’a Witz z facetem, który prowadził tamtą stronę, i czy w ogóle łączy ich cokolwiek.

Jeśli chłopak rozpoznał jej nazwisko, nie dał tego po sobie poznać.

– Znam cię. To znaczy słyszałam o tobie. To ty prowadzisz „Z archiwum Haven”, prawda?

Chłopak zmarszczył brwi.

– To strona mojego taty. Nie mam z tym nic wspólnego – odparł i już chciał odejść, kiedy Gemma rzuciła:

– Coś musisz mieć wspólnego.

Chłopak odwrócił się do niej powoli.

– Co to ma znaczyć?

Gemma oblizwała usta.

– W końcu tu jesteś, prawda? – powiedziała. – Znajdujemy się tak blisko Haven, że bliżej się już nie da. Robisz zdjęcia. Musi cię to obchodzić, przynajmniej trochę.

Nie potwierdził. Ale też nie zaprzeczył. Po prostu stał i patrzył na nią. Gemma nie potrafiła stwierdzić, czy go rozbawiła, czy zezłościła. Jego twarz była zbyt doskonała. Nie do odczytania. W jego obecności czuła się nieswojo, jak gdyby weszła w dresach do eleganckiej restauracji. Stwierdziła, że jeśli nie patrzy mu prosto w oczy i skupia uwagę na jego nosie, brwiach lub kościach policzkowych, przynajmniej jest w stanie myśleć.

– Posłuchaj – zaczęła. – Przyjechałam tu z Karoliny Północnej. Mój tata miał jakiś związek z Haven, a przynajmniej tak myślą niektórzy. On nie boi się niczego, ale tego – owszem. Chcę się dowiedzieć dlaczego. Muszę się dowiedzieć, co takiego robią w Haven. Muszę się dowiedzieć, dlaczego to dla niego takie ważne.

„I dla mnie”, dodała w duchu.

Przez długi czas Jake milczał. A potem przez jego twarz przemknął uśmiech.

– Akurat – mruknął tak cicho, że Gemma nie wiedziała, czy było to przeznaczone dla jej uszu. Już miał się znowu odwrócić i jej serce ścisnął żal.

– Co powiedziałaś? – Była teraz pewna, że to los zaprowadził ją tutaj, do Jake’a Witza. Uznała, że niezależnie od tego, co mówił, znał prawdę o Haven.

– Stwierdziłaś, że jesteśmy tak blisko Haven, że już bliżej się nie da. Ale to nieprawda. W ogóle nie jesteśmy blisko. – Przekrzywił głowę, a ona odczytała ten gest jako zaproszenie. Chciał, żeby poszła za nim. Tym razem jego uśmiech był prawdziwy, szeroki, niemal ją oślepił. – Chodź, Gemmo Ives. Stałem na słońcu cały dzień. Przegryzłbym coś.

Jake wyjaśnił jej, że do Haven można się dostać na dwa sposoby. Pierwszy to motorówka z Barrel Key, która opływa odległy kraniec wyspy, ten wychodzący

na otwarty ocean – w ten sposób unika się mokradeł. To tamteży łodzie pasażerskie przewoziły pracowników i tak też transportowano zaopatrzenie. Żadna łódź, jakichkolwiek rozmiarów by była, nie przepawiłaby się przez moczary.

Ale był też inny sposób: Wahlee River – rzeka przepływająca przez małą wioskę rybacką o tej samej nazwie i wpadająca szeroką deltą do mokradeł, które tworzyły kilometry krętych, wąskich kanałów oraz zatopionych do połowy wysp i które rozciągały się niemal do północnego wybrzeża Haven.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała.

Siedzieli w ulokowanej z dala od głównej ulicy knajpce, pustej, nie licząc matki z dzieckiem i dwóch starszych mężczyzn w kamizelkach myśliwskich, pochylonych nad kawą, z twarzami tak zniszczonymi od wiatru i deszczu, że wyglądało to, jakby ich skóra się rozpuszczała. Chociaż stąd ocean był niewidoczny, w powietrzu wciąż unosił się swąd palonej gumy, a w górze rozlegał się warkot helikopterów.

Jake wziął cztery opakowania śmietanki i wlał je jedno po drugim do kawy.

– Mieszkam w Little Waller całe życie – powiedział. – To sześćdziesiąt kilometrów stąd. Mój tata świetnie znał się na wędkarstwie, survivalu i takich sprawach. Nieraz biwakowaliśmy nad Wahlee. Spruce Island była kiedyś własnością tartaku, ale Haven ją wykupiło, by wybudować instytut. Pamiętam z dzieciństwa, jak wykańczali kilka budynków. – Wzruszył ramionami. – Może właśnie wtedy zaczęła się obsesja taty. Nigdy nie miałem okazji go o to zapytać.

– Czy on...? – Gemma przełknęła ślinę.

– Nie żyje – odparł rzeczowym tonem, nie patrząc na nią. Pomieszał kawę łyżeczką, ale nie wypił. – Zmarł cztery lata temu, miałem wtedy czternaście lat. Utonął na mokradłach. W każdym razie tak mi powiedziano.

Gemie nagle zrobiło się zimno.

– Co masz na myśli?

Jake tylko pokręcił głową. Oparł się na łokciach, wyjrzał przez okno i przez chwilę nic nie mówił. W małym telewizorze zawieszonym nad ekspresem do kawy leciały wiadomości i pokazywano w nich przystań, którą przed chwilą opuścili. Kelnerka, kobieta z przylizanymi włosami związanymi w kucyk, siedziała z założonymi rękami i wpatrywała się w ekran.

– Nigdy tak naprawdę nie rozumiałem taty – zaczął Jake. Jego głos brzmiał chropowato, jak gdyby coś przesuwano się po żwirze. – Nie był taki jak inni ojcowie. Pracował w przetwórni przy patroszeniu ryb, ale wszędzie nosił ze sobą wizytówkę, jak gdyby był prezydentem kraju czy kimś takim, nigdy też nie wyszedł z domu bez marynarki, nieważne, co innego miał na sobie, szorty czy kąpielówki. Zawsze gadał o tych swoich teoriach. Gadał tak cholernie dużo... Żartował, że to dlatego mama odeszła, że nie mogła znieść tej jego gadaniny. Ale sam nie wiem. Może i miał rację. Gdy byłem mały, chciałem, żeby się czasami zamknął, wiesz? – Oparł się i gdy znowu popatrzył na Gemmę, zaskoczył ją mrok spojrzenia, jego intensywność.

Mimowolnie pomyślała, że Jake i Pete to zupełne przeciwieństwa. Pete chodził niemalże w podskokach, Jake zaś tak, jak gdyby grawitacja działała na niego dwa razy silniej niż na innych. Pete miał w sobie lekkość, a Jake ciężar.

– Wstydzilem się go, wiesz? Nawet jako dziecko, wstydzilem się. Czy to znaczy, że jestem złym człowiekiem?

– Nie – wyszeptała.

Uśmiechnął się, jak gdyby jej nie uwierzył. Poprawiał swój pusty talerz, wyrównywał sztucce do krawędzi stołu, a kubek i spodek do talerza. Był najbardziej pedantyczną osobą, jaką Gemma poznała. Zrobiło jej się wstyd, gdy zobaczyła plamę ketchupu i kilka okruszków na swoim łokciu, więc szybko je starła, kiedy nie patrzył.

– Tata lubił powtarzać, że minął się z powołaniem. Powinien być dziennikarzem. Wszędzie widział spiski, próby zatuszowania faktów i tym

podobne sprawy. Kennedy został zabity, ponieważ chciał podać do publicznej wiadomości, że na innych planetach istnieją inteligentne formy życia. Wirus ospy wietrznej tak naprawdę wypuszczono z rządowego laboratorium. Ale Haven... Haven było jego obsesją. – Jake przycisnął ręce do stołu, mocno, jak gdyby chciał nimi zdusić wspomnienia o ojcu. Nawet jego palce były doskonałe. – Czasami zabierał mnie ze sobą na wyprawy wędkarskie na mokradła. A przynajmniej na początku wydawało mi się, że to wyprawy wędkarskie.

– Zabierał cię na zwiady – dopowiedziała Gemma.

Jake skinął głową.

– Na mokradłach człowiek czuje się jak w labiryncie. Klony czerwone, szuwały, paprocie i palmy wysokie na kilka metrów zasłaniają horyzont. Tata miał znajomych, którzy zgubili się tam na całe godziny, a nawet dni, pływali w kółko, zlizując wodę z liści i jedząc larwy, a potem okazywało się, że byli niecały kilometr od obozowiska. Raz podpłynęliśmy naprawdę blisko, może jakieś pięćdziesiąt metrów od wyspy. I nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiło się ośmiu–dziesięciu strażników z karabinami, którzy zaczęli na nas krzyczeć, byśmy zawrócili. Tata był wściekły. Ja byłem jeszcze dzieckiem, czujesz? Zachowywali się tak, jak gdyby chcieli strzelić nam w łeb. Pewnie by tak zrobili. Już przedtem strzelali do cywilów. Znam rybaka, który mówił, że o mało nie odstrzelili mu ręki. Jego zdaniem to musiał być snajper, który namierzył go z daleka. Oczywiście oni wszyscy są z wojska. – Pokręcił głową i uśmiechnął się lekko. – Mieszkam tu tyle lat, a znam tylko jedną osobę, która dostała się na wyspę: młody chłopak przekradł się na teren instytutu pod uszkodzonym kawałkiem ogrodzenia, w środku nocy. Wyrzucili go stamtąd niemal od razu.

Gemma z trudem nadążała za tym, co mówił Jake, ale zrozumiała główne informacje: ochrona posunięta aż do granic absurdu, wszystko objęte znową milczenia.

– A co z ludźmi, którzy tam pracują? – zapytała. – Strażnikami i personelem?

Ktoś przecież musi jeździć na wyspę i z niej wracać.

Jake skinął głową.

– Jasne, barki towarowe kursują tam i z powrotem, a śmieci są wywożone w niedziele. Jednak nikt nie jeździ tam oficjalnie. Personel dopływa motorówkami z miasta. Niektórzy z nich mieszkają na miejscu i wracają na stały ląd tylko na urlopy. Inni dojeżdżają codziennie. Ale wszyscy milczą. Nie powiedzą ani słowa o tym, co się tam dzieje. Jakby się bali. – Wziął głębszy oddech. – Z wyjątkiem siostry M.

– Siostry M? – powtórzyła Gemma. – Kim jest siostra M?

– Sam chciałbym wiedzieć. – Jake uśmiechnął się krzywo, jak gdyby nie miał siły na pełen uśmiech. – Przed śmiercią tata powiedział, że pracuje nad czymś poważnym. Mówił, że ukreśli łeb całej operacji. Właśnie w taki sposób się wyrażał, czujesz? Jakbyśmy wszyscy należeli do obsady jakiegoś hollywoodzkiego filmu szpiegowskiego. – Przez jego twarz przebiegł grymas bólu. – Wyznał mi, że odnalazł kobietę, siostrę M, która zgodziła się z nim porozmawiać. Chciała, żeby prawda ujrzała światło dzienne. Ale dzień przed tym, jak mieli się spotkać, zmarła. Podobno się zabiła. – Jeszcze raz poprawił widelec i nóż, unikając spojrzenia Gemmy.

Chociaż było tu ciepło, Gemma poczuła, jak gdyby jakiś zimny język polizał ją po karku.

– Ale ty w to nie wierzysz – powiedziała powoli, nie spuszczać z niego wzroku. Wzruszył ramionami. – Uważasz, że została... zamordowana? Żeby nie sypnęła?

Jake przejechał po powierzchni stołu paznokciem kciuka.

– Nie wiem. Ale wygląda to podejrzanie, prawda? – Pokręcił głową. – Tata zostawił notatki. Całe tony notatek o Haven, niektóre absurdalne, niektóre po prostu nieistotne. I nigdzie nie znalazłem jej prawdziwego nazwiska. Myślę, że próbował ją chronić, ale mu się nie udało.

Gemie nagle zrobiło się niedobrze. Jej ojciec był w to zamieszany. Cała jej rodzina była w to zamieszana.

– Wspomniałeś, że powiedziano ci, że twój tata utonął. Nie wierzysz w to. – Bała się zapytać. Ale musiała wiedzieć.

Jake spuścił wzrok.

– Po tym, jak o mało nas nie zastrzelili, tata przestał zabierać mnie ze sobą na mokradła. Był przerażony. Ale był też coraz bliżej prawdy. Teraz już to wiem. Zmarł zaledwie dwa miesiące po tym, jak znaleziono powieszoną siostrę M. Nie ma mowy o przypadku. – Szczeka mu drgnęła. – Wciąż pamiętam zapach tamtego ranka, zapach płynu po goleniu, którego używał jeden z policjantów. Czy to nie głupie? Nie pamiętam jego twarzy, ale pamiętam ten cholerny płyn po goleniu. – Zaśmiał się cicho. Nagle Gemma zapragnęła wziąć go za rękę, ale oczywiście tego nie zrobiła. – Miałem wtedy czternaście lat. Oznajmili mi, że łowił ryby, kiedy rozpętała się burza. Powiedzieli, że jego kajak się wywrócił.

– A ty co o tym sądzisz?

Spojrzał na nią. Jego oczy były jak dwie jamy. Na ich dnie dostrzegła tyle cierpienia, że chciała odwrócić wzrok, ale nie potrafiła tego zrobić.

– O moim tacie można powiedzieć mnóstwo rzeczy, ale nie to, że był idiotą. Mógłby przepłynąć te mokradła z zamkniętymi oczami. Nigdzie nie czuł się tak dobrze jak na wodzie. Mówił, że to jego świat, rozumiesz? – Znowu odwrócił wzrok.

Gemma zaczęła się zastanawiać, jak to jest stracić rodzica w tak młodym wieku, ale nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Czy byłaby nieszczęśliwa, gdyby zmarł jej tata? Zawsze marzyła, by móc go tak po prostu wymazać ze swojego życia, nacisnąć „backspace” i patrzeć, jak znika. Ale rzeczywistość była oczywiście dużo bardziej skomplikowana.

– Jak myślisz, co się naprawdę stało? – zapytała.

Jake westchnął.

– Myśle, że mu się udało. Myśle, że przedostał się na wyspę. Ale go złapali. I zrobili tak, żeby wyglądało to na wypadek.

Gemma miała wrażenie, że do jej gardła wpełzł pajak i teraz próbuje się wydostać z jej tchawicy. Nie chciała uwierzyć w ani jedno słowo z tego, co przed chwilą usłyszała.

Ale wierzyła we wszystko.

– Czy wiesz, co takiego robią w Haven? – spytała wreszcie. Przyjechała na Florydę po to, by znaleźć odpowiedź właśnie na to pytanie, jedyne naprawdę ważne.

– Nie – odparł Jake, a Gemmie stanęło serce. – Ale mam pewne pomysły.

Czekała, niemal bojąc się oddychać. Jake rozejrzał się po knajpie, jak gdyby chciał ocenić, czy są bezpieczni. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Mimo to krzyknął do kelnerki:

– Przepraszam, czy może pani podkreślić dźwięk?!

Rzuciła mu znudzone spojrzenie, zanim spełniła jego prośbę.

Prowadząca wiadomości kobieta z wyłupiastymi oczami wpatrywała się intensywnie w kamerę. Gemma na chwilę skupiła się na jej głosie.

... doktor Mark Saperstein, dyrektor Haven Institute, jest obecnie nieosiągalny. Nie wiadomo, czy i on był na wyspie w chwili eksplozji...

Jake nachylił się do niej i odchrząknął.

– Eksperymenty na ludziach.

– Co? – Gemma odwróciła twarz od telewizora, gdzie znowu pokazywano wybrzeże i słońce zachodzące za zasłoną dymu.

Chłopak przejechał ręką po włosach.

– Eksperymenty na ludziach. Wiem, że to brzmi niedorzecznie – dodał, uprzedzając Gemmę. – I nie mówię o zwykłym testowaniu leków. Mówię o nielegalnych badaniach. Pracach nad nową bronią. Testach chemicznych. Stąd

te wszystkie straże, dlatego też instytut zbudowano tak bardzo na uboczu. Z dala od wścibskich spojrzeń.

Gemma zmarszczyła brwi. Każde lekarstwo czy preparat, które wchodziły na rynek, musiały przejść badania kliniczne z udziałem ludzi. Ojciec Gemmy zawsze uskarżał się na krótkowzroczność rady etyki medycznej i na to, jak trudno pozyskać ochotników do testowania pewnych specyfików. Był przekonany, że każdego roku umierają tysiące osób tylko dlatego, że leki, które mogłyby ich uratować, były wciąż badane pod względem bezpieczeństwa przez Agencję Żywności i Leków albo nie zostały jeszcze zatwierdzone do testów na ludziach. Czy w Haven badacze omijali normalne procedury i wykonywali swoją pracę bez nadzoru? Jeśli tak, to było dla niej zrozumiałe, dlaczego jej ojciec odmówił inwestowania w Haven i opuścił Fine & Ives, zanim jego nazwisko mogło zostać powiązane z tą umową. Nie było większego entuzjasty przestrzegania zasad niż Geoffrey Ives.

Mimo to cała ta sprawa wydawała jej się naciągana. I nie wyjaśniałoby to, dlaczego ojciec Gemmy tak bardzo się bał. Jeśli naprawdę odmówił wzięcia w tym udziału i opuścił własną firmę, by nie kojarzono go z Haven, byłby traktowany jak bohater.

– Skąd biorą ochotników? – zapytała. Jej kawa zdążyła już wystygnać, ale samo trzymanie kubka w rękach działało na nią uspokajająco.

Jake przygryzł wargę i popatrzył na nią ponuro.

– Właśnie w tym rzecz. Nie sądzę, żeby byli ochotnikami.

Gemma rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Co masz na myśli?

– Nie werbują ochotników, nie do tych eksperymentów. Zmuszają ludzi, by brali w nich udział.

– Ale... jak? – Tost francuski, który jadła, stanął jej w gardle. – Nie mogą tak po prostu... sama nie wiem... porywać ludzi.

– A czemu by nie? – Jake nachylił się ku niej. – Posłuchaj, Gemmo. To było dzieło mojego taty. To było jego życie. Jakkolwiek paranoicznie to brzmi, myślę, że wpadł na właściwy trop. Fine & Ives mają wojskowy kontrakt, pieniądze płyną z samej góry. Z takich kontraktów pochodzi połowa budżetu firmy. W to wszystko zamieszany jest rząd.

Gemma pomyślała o swoim tacie oraz jego byłej firmie i poczuła, jak skręca jej się żołądek. Pamiętała z dzieciństwa przyjęcia bożonarodzeniowe w Carolina Inn, sufit ozdobiony świecidełkami i płatkami śniegu i jak wszyscy bili brawo jej ojcu, gdy wchodził do środka, trzymając ją za rękę. Pamiętała wizytę w Białym Domu, gdy była z tatą na wycieczce w Waszyngtonie, jego uścisk ręki z prezydentem i jak razem z mamą musiały ich zostawić i zejść na dół, by pograć w kręgle. Oraz mężczyzn ubranych w szeleszczące mundury z mnóstwem przypiętych medali, którzy ciągle przewijali się przez biuro jej taty i uśmiechali się do niej, podnosili ją, podrzucali i łapali w swoje muskularne ramiona.

Jake nachylił się jeszcze bardziej i ściszył głos.

– Słyszałaś o doktorze Sapersteinie?

Gemma skinęła głową. Czytała, że został dyrektorem instytutu po tym, jak Richard Haven zginął w wypadku samochodowym w tym samym roku, kiedy ona przyszła na świat. Zbieg okoliczności wydał jej się teraz złowieszczy.

– Jakieś piętnaście lat temu Saperstein wkroczył się do zarządu organizacji non profit zwanej Fundacją Dom w Filadelfii. Istnieje ona do dziś – dodał, gdy Gemma pokręciła głową na znak, że nigdy o niej nie słyszała. – Poświęcił kilka lat, by rozwinąć jej działalność, zwiększał liczbę wolontariuszy i trąbił o niej w mediach. Mój tata dokopał się do wszystkich szczegółów. Fundacja umieszcza dzieci w rodzinach zastępczych. Chodzi tu o najtrudniejsze przypadki, dzieci, które porzucano pod szpitalami, a potem poniewierały się od domu do domu. To był plan idealny. Dzieciaki, które stale zmieniały miejsce zamieszkania, które uciekały, znikaly. Nikt nie będzie ich zbyt intensywnie szukał, prawda?

Gemma miała wrażenie, że jej myśli stały się lepkie i kleiste, jak gdyby jej mózg zamienił się w syrop klonowy.

– Co ty mówisz? Chyba nie masz na myśli...? – Wzięła głęboki oddech. – Chyba nie przeprowadzają eksperymentów na dzieciach?

– Przeprowadzają eksperymenty tylko na dzieciach – powiedział delikatnie Jake, niemal przeproszającym tonem. – Sądzę, że Saperstein je uprowadził. Uprowadził i ściągnął do Haven. Stąd cała ta ochrona. To nie tylko po to, żeby nikt się nie dostał do środka, rozumiesz? Wcale nie. To po to, żeby nikt się stamtąd nie wydostał.

Gemma poczuła zawroty głowy. To było zbyt straszne. Nie chciała w to uwierzyć.

– Nie ma na to dowodów – rzekła. Jej głos brzmiał metalicznie i odlegle, jak gdyby odbijał się echem w blaszanej rurze.

Jake odwrócił się i spojrzał w okno, za którym dym wciąż rozmazywał horyzont, a zachodzące słońce wyglądało jak rozżarzony węgielek, i powiedział coś tak cicho, że Gemma ledwie dosłyszała.

Ale dosłyszała.

Nagle jej serce zaczęło bić tak mocno, że bała się, iż rozsadzi jej pierś.

– Co? Co powiedziałaś?

Westchnął. Tym razem gdy na nią spojrzał, przestraszyła się.

– Widziałem je – powtórzył.

– Jakim cudem? – Gemma miała wrażenie, że się dławi.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci o chłopaku, który znalazł dziurę w ogrodzeniu i przedostał się na teren Haven? – Na jego twarzy pojawił się półuśmiech. – To byłem ja.

8

Motel Pod Pstrągami znajdował się zaraz za miastem – był to długi, niski, kryty gontem budynek, z zaledwie jednym samochodem na parkingu. Kiedy Gemma poprosiła o pokój, wiekowa właścicielka z zaskoczenia potrąciła filiżankę z herbatą, jak gdyby po raz pierwszy słyszała takie słowa. Jednak pokój był czysty, choć nieco pachniał stęchlizną, a w jego wystroju – jak można się było spodziewać – dominował motyw ryb: na szorstkiej kapie widniały skaczące łososie, nad telewizorem wisiał obrazek przedstawiający wędkarza stojącego w rzece, a na ścianie w łazience plastikowy pstrąg. Gemma miała nadzieję, że nie śpiewał.

Umówili się z Jakiem, że wróci po nią o dwudziestej trzeciej. Nie wiedziała, co najbardziej ją stresowało – myśl o próbie przedostania się do Haven, jak kiedyś zrobił to Jake, czy o przebywaniu z nim sam na sam w ciemności.

Sam na sam z tymi idealnymi dłońmi, oczami, rzęsami i płytkami paznokci. Nigdy przedtem nie zwracała uwagi na płytki paznokci. A u niego – owszem.

Włączyła komórkę. Telefon brzęczał jak oszalały, gdy zaczęły do niej przychodzić dziesiątki esemesów i wiadomości głosowych, głównie od mamy, ale z zaskoczeniem zauważyła, że i Pete zdążył już do niej napisać: *Mam nadzieję, że nie pożarł Cię żaden aligator.*

Na krótką chwilę dopadły ją wyrzuty sumienia, jak gdyby zdradzała Jake'a. A potem poczuła się jak idiotka. Jak naiwna idiotka.

Odpisała: *Niechby tylko jakiś spróbował.*

Później wybrała numer April.

Przyjaciółka odebrała po pierwszym sygnale i od razu wylała z siebie potok

słów, nie pozwalając Gemmie powiedzieć nawet „cześć”.

– Dzięki Bogu, nareszcie, próbuję się do ciebie dodzwonić chyba od pięciu godzin. Myślałam, że mówiłaś, że twoi rodzice zmiękli, a tu twoja mama dostaje szału, powiedziała, że tak właściwie to uciekłaś, powaga, to chyba najwyższy poziom szału, zaraz zmobilizuje Gwardię Narodową i ogłosi Armagedon, jeśli krzyczenie byłoby supermocą, mogłaby dołączyć do Ligi Sprawiedliwych...

– Powiedziałaś jej, że jestem z tobą? – przerwała jej Gemma.

Myśl o krzyczącej mamie, czy nawet lekko podnoszącej głos, była zarazem trudna do wyobrażenia i przerażająca. To tata zawsze krzyczał. Mama zaś przeproszała, mediowała, uładzała. Jak osoba, dla której kieliszek wina i klonopin są lekiem na całe zło.

– Masz mnie za bezmózgą amebę? – prychnęła April. – Jasne, że tak. Tyle że kończą mi się pomysły, dlaczego niby nie możesz podejść do telefonu. Najpierw powiedziałam, że ucięłaś sobie drzemkę, potem, że poszłaś popływać, potem, że wybrałaś się do miasta na kawę, a potem to już przestałam odbierać telefon. To podpada pod prawdziwe nękanie, ona dzwoniła do mnie chyba ze dwadzieścia razy...

– Sama do niej zadzwonię, okej? I to od razu – odparła, a April głośno odetchnęła.

– Tak, zrób to, proszę. Zanim zadzwoni po oddział antyterrorystyczny. Dziadek mnie zabije, jeśli zdepczą mu pelargonie. – A potem innym głosem spytała: – Gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Jak w ogóle się tu dostałaś?

– Jestem w Barrel Key, niedaleko ciebie – wyjaśniła Gemma, unikając odpowiedzi na ostatnie pytanie, jednocześnie obrysowując palcem jedną z ryb na kapie. Wszystkie były identyczne i wszystkie miały ten sam błąd anatomiczny: dodatkową płetwę na grzbiecie, co nadawało im nieco prehistoryczny wygląd.

– Ale co tam robisz? Myślałam, że przyjechałaś do mnie.

– Bo tak jest. Dojadę do ciebie jutro. I wtedy wszystko ci opowiem. Obiecuję – oświadczyła Gemma, zanim April zdążyła zaprotestować. Już tyle się nakłamała w ciągu ostatniej doby. I źle się czuła, oszukując przyjaciółkę. Ale jak mogła jej to wyjaśnić? „Oj tam, nic się nie stało, tylko ktoś wrzucił nam przez okno maskę Frankensteina, a potem jakiś świr próbował mnie uprowadzić na stacji benzynowej i coś mi się wydaje, że ma to związek z tym, że dawna firma mojego taty porywa dzieci i testuje na nich farmaceutyki, o czym on pewnie przez cały czas wiedział”. – Po prostu mi zaufaj, dobrze?

April westchnęła.

– Przysięgnij mi tylko, że nie zaszyłaś się w jakimś obskurnym motelu z nieznanym o ksywie Psychol66, który twierdzi, że jest Francuzem na wymianie studenckiej i szuka kogoś, kto pomoże mu podszkolić angielski.

Gemma rozejrzała się po pokoju i stwierdziła, że definitywnie podpada on pod określenie „obskurny”.

– Daję słowo, że nie spotykam się z nieznanym o ksywie Psychol66. Daję słowo, że nie spotykam się z żadnym nieznanym. – Przyszedł jej na myśl Jake Witz. Ale on się nie liczył. To ona go odszukała, nie na odwrót. Poza tym nie wierzyła, by ktoś o wyglądzie Jake’a mógł być niebezpieczny. Przez całe dzieciństwo karmiono ją papką Disneya. Żli zawsze byli brzydki. Kierując się tą samą logiką, wiedziała, że jej przeznaczeniem jest być przez całe życie uroczą kluchowatą postacią z drugiego planu: tylko chude dziewczyny odgrywały główne role.

Następna rozmowa telefoniczna poszła dużo gorzej. April miała rację. Kristina była w trybie absolutnej paniki. Gemma nigdy nie słyszała jej tak zdenerwowanej poza jednym incydentem, kiedy była mała i postanowiła rozwalić ulubiony naszyjnik mamy młotkiem, żeby sprawdzić, czy diamenty rzeczywiście są najtwardszą substancją na ziemi.

– Nie wierzę. Naprawdę w to nie wierzę. Nigdy bym się tego po tobie nie

spodziewała, nawet za milion lat... Po tym, jak ci wyraźnie powiedzieliśmy...

– Mamo, uspokój się. – Gemma bardziej zezłościła się nie na niesprawiedliwość zasad rodziców, ale na to, że mama założyła, że córka zawsze będzie ich słuchać. Tak jak była posłuszna jako dziecko, kiedy leżała roztrzęsiona na kolejnych szpitalnych łózkach, kiedy kazano jej połykać niezliczone lekarstwa i kiedy budziła się z nowymi bliznami, nowym dowodem poczynionych zniszczeń. – Nic się nie stało, jasne?

– Nic się nie stało? Nic się nie stało? – Brzmiało to tak, jakby Kristina krztusiła się tymi słowami. – Jak w ogóle śmiesz mówić coś takiego? Wiesz, jak się martwiłam? Wiesz, jak martwił się twój tata?

– Tia. Jestem pewna, że wypłakiwał się swojej prezentacji w PowerPoincie. – Słowa te wyrwały jej się z ust, gdy tylko pojawiły się w jej głowie.

Kristina głośno wciągnęła powietrze do płuc. A potem oznajmiła spokojnym tonem:

– Wiedz, że twój ojciec właśnie wraca z Szanghaju. Gdy tylko wyląduje, wsiadamy w samolot i lecimy prosto po ciebie...

– Mamo, nie. – Ku własnemu zaskoczeniu poczuła, że cały jej gniew się ulotnił i jest teraz bliska łez. Wzięła głęboki oddech. – Błagam cię – rzekła, ponieważ wiedziała, że kłótnią czy krzykami nic nie wskóra. – Nie wpadłam w kłopoty. Jestem bezpieczna. Jestem z April. – Nie czuła się już winna, że kłamie. Jeśli Jake miał rację odnośnie do tego, co się dzieje w Haven, ojciec musiał o tym wiedzieć i kłamał przez całe swoje życie, matka też. Już wyobrażała sobie, jak się tłumaczy, że przecież nic złego nie zrobił. – Proszę, pozwól mi na to, chociaż raz. Pozwól mi być normalną.

Kristina westchnęła i Gemma wiedziała, że to były właściwe słowa. Wyobraziła sobie mamę z telefonem wetkniętym między ramię a ucho, jak odkręca wieczko buteleczki z tabletkami i wysypuje jedną na rękę, by powoli się uspokoić.

– Porozmawiam z tatą. Ale znasz go. Jest wściekły. Okłamałaś nas, Gemmo.

„A wy ile razy mnie okłamaliście?”, o mało nie odparowała. Jednak przełknęła te słowa i powiedziała tylko:

– Nie daliście mi wyboru.

Ku jej zaskoczeniu mama się roześmiała. Ale był to bardzo smutny śmiech, jak gdyby tak naprawdę chciała się rozpłakać.

– Staraliśmy się tylko zapewnić ci bezpieczeństwo, Gem. Tylko na tym nam zależy.

– Jestem bezpieczna – odpowiedziała Gemma. – Nic złego mi się nie dzieje.

Gdy Kristina znowu się odezwała, jej głos był miękniejszy. Może sama myśli o substancji, która zaczynała krążyć w jej krwiobiegu, działała na nią uspokajająco.

– Oczekuję, że zadzwonisz do mnie jutro z samego rana.

– Tak zrobię – potwierdziła Gemma. – Powiedz tylko tacie, żeby się nie martwił.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparła matka po chwili wahania.

Gemma się rozłączyła. Była w euforii, oszołomiona, ale to uczucie nie trwało długo. Zapewniła sobie spokój od mamy tylko na jakiś czas. Jeśli tata będzie się upierał, by pojechać prosto do dziadków April... Jeśli odkryje, że jej tam nie ma...

Ale jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, sama dotrze do April jutro rano, podczas gdy jej tata wciąż będzie dziesięć tysięcy metrów nad Atlantykiem. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, może znajdzie odpowiedzi na dręczące ją pytania już tej nocy.

A wtedy co? Jakie tak naprawdę miało to znaczenie?

Nie była pewna. Ale wyczuwała – nie, wiedziała – że to w Haven znajdowała się przyczyna ciągłego gniewu jej ojca, tego, że dzień po dniu jej

mama pakowała w siebie leki, rozległej ciszy wypełniającej ich dom i dziwnego spojrzenia, które czasami rzucali jej rodzice, jak gdyby była kimś obcym.

Musiała się dowiedzieć dlaczego.

Jej telefon zabrzączał. Myślała, że to znowu mama, ale zobaczyła, że to nowa wiadomość od Pete'a: gif z kowbojem z kreskówki, który mocował się z aligatorem.

Próbowała oglądać telewizję, ale żadna stacja nie odbierała. Stresowała się tym, co zamierzali zrobić z Jakiem – było to dużo bardziej niebezpieczne niż wszystko, co kiedykolwiek w życiu planowała. Raz o mało nie posikała się, kiedy opuściła lekcję wuefu, żeby posiedzieć z April za kortem tenisowym jak prawdziwa twardzielka. Żałowała, że nie należy do tych osób, które w chwilach stresu tracą apetyt. Ona zrobiła sobie cztery wycieczki do automatu, w którym było tylko kilka ciepłych puszek z napojami, parę kit katów, chipsy smakujące jak karton i torebka starych słodko-kwaśnych żelków, pomarszczonych i suchych jak łuski zrzucane przez liniejące cykady.

Poszukała w komórce nowych wiadomości na temat wydarzeń w Haven, odświeżając parę miejscowych stron informacyjnych, które o nich pisały, i klikając w adresy paru blogów i witryn z teoriami spiskowymi. Eksplozja wznowiła zainteresowanie instytutem. Gemma znalazła kilka stron, które wspominały o kontrowersyjnej historii sprzed paru lat, kiedy Haven było jedną z placówek badawczych oskarżonych o nielegalne odkupywanie tkanek ludzkich do badań, w tym komórek embrionalnych i macierzystych. Wiedziała, że komórki te wykorzystywano do eksperymentów medycznych. To pasowało do teorii Jake'a. Fine & Ives opublikowało nawet oświadczenie, nijaki dokument o pożarze, który wybuchnął w jednej z placówek badawczych firmy. Pod każdym artykułem zamieszczono dziesiątki komentarzy, wiele było bezsensownych albo pełnych wulgaryzmów i histerycznych uwag o domniemanym zagrożeniu biologicznym.

Około dziewiątej na kilku stronach pojawiły się informacje o zamachu terrorystycznym przeprowadzonym przez osobę, która ponoć wierzyła, że działa z rozkazu Boga, i której udało się nielegalnie dostać na wyspę. Ale o samym ataku było irytująco mało informacji i po zaledwie dwudziestu minutach wiele stron z relacjami świadków zostało zablokowanych lub zamkniętych. Była w połowie artykułu, który sugerował, że osoba odpowiedzialna za zamach przyплыła na wyspę promem wywożącym z Haven śmieci dwa razy w tygodniu, kiedy strona zamigotała i ekran zrobił się czarny, jak gdyby ktoś zaciągnął na nim zasłonę. Odświeżała stronę kilka razy, ale ciągle wyskakiwał błąd 404.

– Co jest, do cholery? – Dźgnęła ekran palcem, nie rozumiejąc, jak strona internetowa mogła zniknąć w momencie, kiedy ją czytała.

Rozległo się pukanie do drzwi. Gemma podskoczyła. Zupełnie straciła rachubę czasu – była już dwudziesta trzecia.

Jake przebrał się w czarny podkoszulek, ciemne dżinsy i czarne tenisówki. Gdy otworzyła drzwi, pomyślała, że chłopak wygląda jak wokalista jakiejś grupy indierockowej, na którego punkcie April mogłaby mieć świra. Przez chwilę żałowała, że nie zrobiła czegoś z włosami – kolejny raz się łudziła. Jak gdyby wspaniała fryzura mogła odciągnąć uwagę od jej ciała i dodatkowych kilkunastu kilogramów.

Wszedł do pokoju, nawet nie mówiąc „cześć”, i usiadł na łóżku.

– Słyszałaś? – Kiedy przejechał ręką po włosach, od razu z powrotem się ułożyły. Zatem miękkie. No jasne. – Policja zna już przyczyny eksplozji.

Gemma zamknęła drzwi i oparła się o nie. Dotarło do niej, że robi dokładnie to, czego obiecała April nie robić – spotyka się z nieznajomym w obskurnym motelu. Co, jeśli gdy siądzie obok niego, on dotknie jej uda i wsadzi język do jej gardła? Tyle że nie miałyby nic przeciwko temu. Jeśli komuś groziło tu molestowanie seksualne, to raczej jemu.

Jake wyjął laptopa z plecaka.

– To przyszło do mnie godzinę temu. – Odwrócił do niej ekran. – Kiedy mój tata zmarł, jakoś nie potrafiłem zamknąć „Z archiwum Haven”, więc wiadomości są przekierowywane na moją skrzynkę pocztową.

Usiadła koło niego na łóżku, cała zeszywniała. Miała nadzieję, że tego nie zauważył. Czowała zapach jego mydła, a kiedy przesunął laptopa na jej kolana, musnął palcami jej udo.

To był pierwszy raz, kiedy jakiś facet jej dotknął. I mimo że stało się to przypadkiem, przeszedł ją lekki dreszcz.

Wiadomość najwyraźniej została przysłana przez formularz kontaktowy na stronie – była zaadresowana nie do Jake’a, ale do administratora. Cały tekst napisano wielkimi literami.

A oto zasłona przybytku rozdarła się na dwoje z góry na dół. Groby się otworzyły i wiele ciał Świętych, którzy umarli, powstało (Mt 27,51–52). Bóg odwraca oblicze Swe od niegodziwości i strąca potwory do piekieł, a ci, którzy nie słuchają jego słowa, poznają po kres czasów, co to jego gniew. W Haven umarli powstają z grobów i Bóg domaga się kary za zbrodnie dla tych, którzy nie są mu posłuszni. Sprowadzę ogień piekielny na Haven, tak jak Bóg zrobił to z grzesznikami w Babilonie, by oczyścić z nich ziemię, a w niebie przywitają mnie wszyscy anieli i śpiewać będą o mojej chwale.

Wiadomość była podpisana „Anielski Ogień” i zawierała link do Tumblr, www.gniewboga.tumblr.com, ale kiedy Gemma w niego kliknęła, okazało się, że nie działa.

Jake zabrał laptopa z powrotem.

– Strona była zarejestrowana na Estelle Williams z Sarasoty. Zdążyli ją już wyczyścić, ale udało mi się zrobić parę zrzutów ekranu. Zaraz ci pokażę.

Gemma pomyślała o wszystkich tych stronach, które nagle zniknęły.

– Kim są „oni”?

Poruszył się niespokojnie i dotarło do niej, że jest zdenerwowany.

– Pewnie któryś z departamentów federalnych – odparł i spojrzał na nią z ukosa, jakby spodziewał się, że mu nie uwierzy. – Nie zdziwiłbym się, gdyby od jutra zaczęto nam wmawiać, że Haven nigdy nie istniało. Że był to tylko holograficzny eksperyment, o którym wszyscy powinniśmy zapomnieć. Spójrz tutaj. – Znowu odwrócił ekran w jej stronę. – Oto kilka wpisów Anielskiego Ognia.

Gemma przejrzała parę stron, z których większość była ozdobiona trupimi czaszkami albo językami ognia i naszpikowana cytatami z Biblii oraz mnóstwem wykrzykników.

– Ona uważa, że w Haven wskrzeszają zmarłych?

– Tak uważała – powiedział cicho. – Jeśli to rzeczywiście ona jest odpowiedzialna za to, co się stało, jeśli rzeczywiście zrobiła z siebie chodzącą bombę, tak jak mówią, to jej szczątki leżą teraz porzucane po mokradłach. – Pokręcił głową, a Gemma pomyślała: „Kolejna ofiara. Kolejna osoba straciła życie z powodu Haven. Siostra M, ojciec Jake’a, a teraz ta kobieta, Anielski Ogień”. – Musiała wcześniej tak ustawić wysłanie wiadomości, żeby doszła do kilku osób jednocześnie. Nawet kanały informacyjne już o tym słyszały, a one zwykle dowiadują się o wszystkim na końcu. – Wyłączył laptopa, włożył go do plecaka, który był, rzecz jasna, czarny, i podniósł się. – A więc...? Jesteś gotowa?

– Chyba tak. – Wiedziała, że to głupie przestraszyć się teorii jakiejś wariatki, ale wyobraźnia zaczęła podsylać jej obrazy ludzi idących chwiejnym krokiem przez ciemne mokradła i wyciągających po nią swe oślizgłe ręce.

– Musisz być absolutnie pewna. Mogą nas aresztować.

Nagle Gemma poczuła się tak, jakby wszystkie te żelki, które zjadła, miały pazury i starały się wydostać na zewnątrz przez jej gardło. Instynkt podpowiadał jej, że aresztowanie to najprzyjemniejsza rzecz, jaka może ich tam spotkać.

Jake opowiedział jej wcześniej, jak kilka tygodni po śmierci ojca obudził się w środku nocy, przekonany, że ktoś nim potrząsnął. Ale był w pokoju sam.

Mimo to co kilka minut czuł niewidzialny nacisk na ramieniu, jak gdyby ktoś delikatnie go uderzał.

– Wiem, co sobie teraz myślisz – powiedział twardo. – Ale ja nie wierzę w takie rzeczy. Duchy, głosy zza grobu... Nie jestem taki jak mój tata.

Mimo to wrażenie czyjejs obecności ciągle mu towarzyszyło. Co kilka minut czuł stukanie w ramię. Wstał więc, zszedł po schodach i wyszedł z domu.

Jego mama właśnie wróciła z Las Vegas, gdzie mieszkała i robiła Bóg wie co. Zasadniczo nie uznawała istnienia swojego syna, nie licząc życzeń urodzinowych – zwykle w postaci maila wysyłanego parę dni po czasie. W ciągu miesiąca miała znowu zniknąć, a Jake miał się przeprowadzić do siostry ojca, wdowy, która sama nie posiadała dzieci i nigdy ich posiadać nie pragnęła.

Wiedziony pewnością, której nigdy potem nie potrafił zrozumieć, przeszedł osiem kilometrów do pola kempingowego w dorzeczu Wahlee, skąd często wyruszali razem z ojcem, i znalazł łódź wiosłową poznaczoną rdzą, pewnie zostawioną tu przez jakiegoś rybaka. Co jakiś czas czuł owo stukanie w ramię, jak alfabet Morse'a, które kazało mu iść dalej.

Nie miał kompasu. Nie miał wody. Nie miał jedzenia. A jednak tamtej nocy na mokradłach dokładnie wiedział, dokąd płynąć.

Zaczynało świtać, kiedy zobaczył brzeg porośnięty świerkami, i wiedział już, że dotarł do Spruce Island, Wyspy Świerków. Drzewa zasłaniały budynek instytutu. Uświadomił sobie, że musiał opłynąć zachodnią stronę wyspy, wciąż niezabudowaną. Ochrona też była na tym odcinku słabsza. Stały tam ogrodzenie i wieże strażnicze, ale o świcie wyglądały na opuszczone.

A palec wciąż stukał go w ramię.

Wyciągnął łódkę na brzeg, niecałe trzy metry od przewróconego drzewa, które zniszczyło metrowy odcinek ogrodzenia.

Przebywał na wyspie niecałe dziesięć minut, a już został złapany, powalony na ziemię przez strażników i siłą dowleczony na nabrzeże, gdzie czekała na niego

policja. Nie udało mu się podejść blisko głównych budynków i tylko przez krótką chwilę widział instytut o białych ścianach i ludzi w środku.

Ale to mu wystarczyło.

Gemma rozejrzała się po pokoju, ogarnięta jakimś irytująco melodramatycznym przecuciem, że widzi go po raz ostatni. Mimo że to był jej pomysł, by dziś w nocy spróbować się dostać do Haven – a może właśnie dlatego – czuła, że nie może się teraz wycofać.

– Jestem pewna – oznajmiła, sięgając po jedyną bluzę od dresu, jaką ze sobą zabrała, niestety jasnoróżową.

Jake najwyraźniej pomyślał to samo, bo zmarszczył brwi.

– Weź to. – Wyjął z plecaka czarną kurtkę. Noc była ciepła, ale jak powiedział, komary na bagnach straszliwie dawały się we znaki.

Auto Jake'a było tak stare, że zdawało się składać głównie z taśmy klejącej i sznurka.

– Musisz mi to wybaczyć – rzekł z przeproszającym uśmiechem, na którego widok serce Gemmy zmiękło. – Ale przynajmniej masz transport pod same drzwi.

Samochód potwornie grzechotał, gdy przyspieszał, i Gemma była pewna, że wypadnie ze swojego miejsca, że auto zakołysze się i podda, dysząc jak zmęczony pies, ale nie chciała się skarżyć, więc tylko trzymała się siedzenia tak mocno, że aż bolały ją palce.

– Jeszcze kilka kilometrów – oznajmił Jake.

Nadłożyli drogi, by zbliżyć się do Wahlee od północy, jedną z tras prowadzących do rezerwatu przyrody. Od podskakiwania świateł w ciemności Gemmę zaczęło mdlić.

Wreszcie dotarli na miejsce, jakimś cudem w jednym kawałku. Gemma mogłaby przysiąc, że kiedy Jake zgasił silnik, samochód wydał z siebie westchnienie ulgi. Gdy wyszła z auta, oszołomiło ją dochodzące ze wszystkich

stron terkotanie rzekotek drzewnych. Dźwięk ten był tak donośny i tak zlewał się w jedno, że otaczający świat wydawał się jednym organizmem, którego serce biło w miarowym rytmie. Odniosła wrażenie, że nawet tu czuje lekki swąd dymu.

Jake wyjął z plecaka latarkę i gestem nakazał Gemmie, by ruszyła za nim. Rezerwat przyrody Wahlee zamykano o zachodzie słońca, więc ich samochód był jedyny na parkingu. Gdy weszli na ścieżkę wiodącą przez gęstwinę sosen i drzew namorzynowych, Gemma od razu poczuła gąbczastość podłoża, przez co serce jej lekko zadrżało. Jake powiedział wcześniej, że za dwadzieścia lat wszystkie te okoliczne wyspy i mokradła znikną pod wodą. Wyobraziła sobie zatopione drzewa wyciągające upiorne kikuty gałęzi w stronę słonecznego światła przefiltrowanego przez warstwy mętnej wody. Zastanawiała się, co by pomyślała April, gdyby wiedziała, że jej przyjaciółka wchodzi właśnie z nieznanym chłopakiem do ciemnego rezerwatu przyrody, a w promieniu kilku kilometrów nie ma żywej duszy.

Nie wiedziała już, czy to dobrze czy źle, że nikomu nie wyjawiała, dokąd się wybiera.

Szli piętnaście minut, choć wydawało się, że dłużej. Gęste, wilgotne powietrze oblepiało jej płuca. W pewnym momencie miała wrażenie, że zeszli ze ścieżki, więc zastanawiała się, skąd Jake ma pewność, że idą w dobrym kierunku. Na mokradłach pływy zmieniały się nieznacznie i bezdźwięcznie: woda nie ostrzegała ich, że za sekundę zjawi się u ich stóp. Jake zatrzymał się i dotknął jej łokcia.

– Jesteśmy już blisko – powiedział. – Idź ostrożnie. Są tutaj baseny pływowe, wiesz, takie małe jeziora.

– Okej – odparła. Jej głos brzmiał jakoś obco w tej wilgotnej ciemności, jak gdyby miała usta zakryte poduszką. Zrobiło jej się przykro, kiedy Jake cofnął dłoń.

Po kilku kolejnych krokach chłopak się zatrzymał i skierował promień latarki

na fragment upiornie białych szuwarów rozciągających się aż do czarnej przestrzeni, którą rozpoznała jako zatoczkę. Pod dębem bagiennym spoczywał jasnoczerwony kajak, który Jake wcześniej tego wieczora wynajął w miejscowej wypożyczalni i ukrył w zaroślach. Był długi i wąski jak papryczka chili. Gemma poczuła ucisk w żołądku.

– Nie sądzę, żebyśmy się oboje zmieścili – jęknęła z przerażeniem, gdy Jake się nachylił, by wyciągnąć kajak z krzaków.

– Jasne, że się zmieścimy. Jest dwuosobowy. – Poświecił na niego latarką.

W środku rzeczywiście były dwa miejsca, jeśli można je w ogóle tak nazwać. Gemmie przypominały foteliki dla dzieci.

„Nie zmieszczę się”, chciała powiedzieć. Ale oczywiście nie mogła. Nie jemu. Faceci tacy jak Jake mieli dziewczyny rozmiaru zero, które pracowały jako miejscowe modelki i wiecznie skarżyły się, że nie mogą znaleźć wystarczająco małych ciuchów.

– Czy nie możemy popłynąć jakąś inną łodzią? – zapytała z rozpaczą w głosie. – Taką większą, prawdziwą?

Jake musiał to wziąć za żart, ponieważ tylko się roześmiał.

– Wszystko choć trochę większe utknie na mokradłach. Niektóre z kanałów są tak wąskie, że nawet kajak ledwie się mieści. – Schylił się i popchnął kajak na wodę, która przylgnęła do plastiku z mokrym płaskiem. Powstrzymał chybotanie stopą. – Poza tym jest wygodniejszy, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

Bez problemu wdrapał się do kajaka – albo pływającej papryczki – i jakoś tak ułożył swoje długie nogi, że wyglądało to, jak gdyby po prostu siedział na krześle. A potem ustawił kajak tak, by pomóc Gemmie wejść do środka.

– No chodź – powiedział. – Dasz radę.

Przygryzła wargę. Oczyma wyobraźni zobaczyła siebie zaklinowaną i wyciąganą potem dźwigiem. Albo jeszcze gorzej: jak w ogóle nie jest w stanie tam wejść. Ale ujęła jego dłoń. Gdy tylko położyła stopę na kajaku, zaczął

wierząc jak dziki koń i pewnie gdyby łódka nie była przyczepiona do błotnistego brzegu, wywróciłyby się.

– Dobrze, a teraz druga noga... No i proszę, spokojnie...

Jakimś cudem udało jej się wejść do środka, nie przewracając przy tym kajaka, i – co było jeszcze bardziej niezwykle – wcisnąć się w twarde plastikowe siedzenie, choć czuła się jak słoń w gorsecie.

– Widzisz? – Jake odepchnął się wiosłem od brzegu i skierował kajak we właściwą stronę. Znowu się do niej uśmiechał, błyskając białymi zębami w świetle księżyca. – Nie jest tak źle, prawda?

– Żeby nie było – wyrzuciła z siebie. – To jest dokładnie tak samo wygodne, na jakie wygląda.

– Oj tam, oj tam. Nie marudź jak dziecko – powiedział, ciągle się jednak uśmiechał.

Gdy tylko zaczęli płynąć przez mokradła, humor jej się poprawił. Jake wręczył jej wiosło, ale powiedział, że ma go nie używać, a ona z radością go posłuchała. Posuwali się naprzód miarowo i niemal w zupełnej ciszy, nie licząc plusku wody pod wiosłami. Wcześniej uzgodnili, że powinni rozmawiać jak najmniej, na wypadek gdyby na mokradła wysłano patrole.

Jak na razie ich założenie – że po dzisiejszych wydarzeniach ochrona skupi się na tym, by nikt nie wydostał się poza Haven, i nie będzie zwracała sobie głowy tymi, którzy będą chcieli dostać się do środka – okazało się słuszne. Raz na jakiś czas słyszeli przelatujące w oddali helikoptery. Gemma wiedziała, że wciąż wywożą ludzi z wyspy promem. W każdym razie było mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę ochronę, żeby jacyś uciekinierzy z Haven dostali się na mokradła, co by wyjaśniało, dlaczego ich nie przeszukiwano.

W ciągu godziny nie spotkali ani nie usłyszeli nikogo, chociaż od czasu do czasu wydawało się, że dochodzą ich krzyki z oddali, i Gemma wiedziała, że wciąż są dosyć daleko od Haven. Mokradła rzeczywiście przypominały labirynt

pełen wąskich kanałów, które zmuszały ich do cofania się w stronę lądu, zanim znaleźli następny szlak pozwalający płynąć we właściwym kierunku. Co kilka minut Jake zatrzymywał się, by spojrzeć na kompas w telefonie. Otoczeni szuwarami wysokości dorosłego człowieka i drzewami namorzynowymi, z których zwisał mech, bez kompasu nie wiedzieliby, gdzie jest stały ląd, a gdzie ocean.

Ale mokradła miały w sobie dziwny urok, ze swoją plątaniną dzikich wodorostów dryfujących tuż pod powierzchnią wody i zaplątujących się w wiosło jak długie, ciemne palce ciągnące je w tył i szuwarami białymi od ptasiego guana. Księżyc był okrągły i jasny mimo cienkiej zasłony dymu i wydawał się tak blisko, że Gemma była w stanie zobaczyć poszczególne kratery, rowy i cienie, które układały się w uśmiechniętą twarz. Jake pokazał jej kilka konstelacji i Gemma pomyślała, że wszystkie wyglądają tak, jakby do niej mrugały, dopuszczając ją do jakiejś tajemnicy. Jake najwyraźniej kochał mokradła mimo tego, co spotkało tu jego ojca, i opowiedział jej historie o ich wspólnych wyprawach połączonych z biwakowaniem, o polowaniach na żaby albo o tym, jak jego tata ponazywał na nowo gwiazdy, których nie znał, i twierdził, że Pas Oriona wziął swoją nazwę od pijanego boga, który lubił sikać do Wahlee. Jake pokręcił głową i się uśmiechnął.

– Przez tyle lat mu wierzyłem. Zawsze, gdy widzę Pas Oriona, myślę o nim.

Gemma uświadomiła sobie, że już drugi raz w ciągu ostatniej doby siedzi w dziwnym środku lokomocji z przystojnym chłopakiem. Może jutro spotka wysokiego, ciemnowłosego, atrakcyjnego nieznajomego, który będzie chciał ją zabrać na przejażdżkę motocyklem. Może skończy w Las Vegas, pracując dla mafii jako krupierka w kasynie.

W tym momencie wszystko wydawało się możliwe.

Zupełnie straciła rachubę czasu, ale wiedziała, że są coraz bliżej. Czasami wydawało jej się, że słyszy echo nachodzących na siebie głosów, a raz Jake

zamarł, wbił wiosło w błoto i podciągnął ich pod konary rozłożystego dębu bagiennego. Ale głosy zawsze cichły. Jeśli znajdowali się tu inni ludzie, mokradła były na tyle duże, żeby się na siebie nie natknęli.

W pewnym momencie Jake wyjął telefon, by sprawdzić godzinę, i Gemma zauważyła malujące się na jego twarzy wyczerpanie. Poczuli się strasznie – w ogóle nie pomagała, gdy tymczasem on wiosłował od ponad godziny.

– Jest pierwsza – powiedział lekko zdyszany. – Pewnie jesteśmy już blisko.

– Potrzebujesz przerwy – oznajmiła Gemma.

– Dam radę – odparł Jake, ale zupełnie nieprzekonującym tonem.

– Jesteś beznadziejnym kłamcą – rzekła twardo. – Potrzebujesz przerwy. – Ona też potrzebowała rozprostować kości. Już od dłuższego czasu nie czuła nóg.

Więcej się z nią nie sprzeczał. Skierował kajak na płyciznę i wyszedł z niego, tak zmęczony, że nawet nie zaklął, kiedy wpadł jedną nogą do błota aż po łydkę. Wyciągnął kajak na pewniejszy grunt, tak by i ona mogła wysiąść. W jej nogach nagle z powrotem zaczęła krążyć krew i o mało się nie przewróciła. Jake złapał ją i przez chwilę stali bardzo blisko siebie: czuła jego dłoń na swoim łokciu, widziała jego kształtne usta i szczękę porośniętą kilkudniowym zarostem, oczy zaś w ciemności były nieprzeniknione. Szybko się odsunęła.

Pomogła mu zaciągnąć kajak głębiej w trawę, żeby nie odpłynął. Szuwary sięgały im niemal do ramion i teraz Gemma cieszyła się, że ma na sobie kurtkę: trawa była ostra i zostawiała ślady na odsłoniętej skórze. Gdy zaczęli się przedzierać przez zarośla, wreszcie ujrzeli Spruce Island, tak blisko, że można było dostrzec poszczególne drzewa i szpiczaste wieże strażnicze, wyglądające na opuszczone. Musieli zatem opłynąć najbardziej wysunięty na zachód kraniec wyspy, który był gęsto zarośnięty. Gemma nie dostrzegła żadnego budynku, ale widoczny w oddali dym wskazywał, gdzie musiały stać.

Jeszcze przed chwilą była tak zmęczona, że zapomniała o zdenerwowaniu. Teraz jednak wróciło.

– I co dalej? – wyszeptała. – Myślisz, że możemy podejść jeszcze...? – urwała, zanim powiedziała „bliżej”.

Jake znieruchomiał.

Usłyszeli to oboje: stłumiony krzyk.

Jake chwycił ją za ramię i pociągnął w dół. Przyłożył jej palec do ust, ale nie było to potrzebne. Gemmę zdjęło takie przerażenie, że nie wydałaby z siebie żadnego dźwięku, nawet gdyby chciała. Cisza, która teraz nastąpiła, wcale nie działała uspokajająco. Usłyszeli głos, ludzki głos, kilka metrów od nich. Co oznaczało, że ktokolwiek krzyknął, teraz celowo był cicho. Może podkradał się do nich. Szykował się do ataku. Gemma oczyma wyobraźni już widziała siebie w kajdankach w jakiejś bazie wojskowej, z gołą żarówką wiszącą nad głową, i brzydkiego sierżanta z twarzą boksera pochylającego się, by napluć jej w twarz.

Przecież ona bała się Chloe DeWitt, czterdziestokilogramowej blond krewetkoidy. Nie da sobie rady w więzieniu.

A może po prostu jakiś snajper pošle jej kulkę w plecy z odległości stu metrów. Jeden ostatni oddech, a potem ciemność na wieki.

I wtedy to usłyszeli: delikatny szelest szuwarów, a po nim przenikliwą ciszę, jak gdyby ktoś zrobił krok i zmarł. Jake zamienił się w słup soli, tak że Gemma zastanawiała się nawet, czy oddycha. Kroki dochodziły zza ich pleców. Jake wskazał ręką w przeciwną stronę. „Idziemy”, powiedział bezgłośnie, i chociaż nogi Gemmy wydawały się sztywne i grubsze niż zwykle, ruszyła powoli przed siebie jak najciszej, niczym krab. Uda ją paliły i nieoczekiwanie do oczu nabiegły jej łzy. Żałosne. Stała tu, na mokradłach, w środku nocy, i płakała, ponieważ nikt nie wiedział, gdzie teraz jest, ponieważ nie powiedziała mamie, że ją kocha, ponieważ nie powiedziała tego samego April, ponieważ miała naprawdę grube uda i już nigdy nie założy kostiumu kąpielowego... Zabijają ją, najpierw zastrzelą, a potem upozorują wypadek...

– Kto tam?

Głos był ostry, męski i dochodził z jakichś trzech metrów za jej plecami.

Gemma zapomniała, że powinna się trzymać blisko ziemi, zapomniała, że powinna być cicho i się kryć. Coś wydobyło się z jej piersi i dobiegło do głowy, jakiś pierwotny głos krzyczący: „Idź!”, jakaś pradawna siła eksplodowała do jej mięśni i podniosła ją na nogi. Rzuciła się do ucieczki. Wpadła na oślep w szuwały i przeżarte solą krzaki, nie zważając na to, że tną jej skórę na łydkach i przedramionach. Teraz krzyki dochodziły zewsząd, albo tak jej się wydawało – nie zatrzymywała się, nie myślała i nie słyszała nic oprócz dudniącej w głowie paniki.

Zahaczyła o coś stopą i jej kostka się wykręciła. Potknęła się i przez chwilę, która zdawała się wiecznością, leciała do przodu, wciąż wyobrażając sobie, że zaraz złapią ją jakieś ręce. Wylądowała tak twardo, że straciła dech w piersi, i skuliła się w sobie, oszołomiona, rozpaczliwie próbując zaczerpnąć powietrza. Jake przypadł do niej i podciągnął ją, żeby mogła usiąść. Wreszcie udało jej się złapać oddech, westchnęła przeciągle i zaczęła kaszleć.

– Jezu – wyszeptał Jake. Był cały spocony. Wyglądał, jakby zaraz miał wymiotować. – Jezu Chryste.

– Ten głos – wreszcie wydusiła z siebie jakieś słowa. – Skąd dobiegał? Gdzie oni są?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Chryste, Gemma. Patrz...

Odwróciła głowę, by spojrzeć, o co się potknęła. Czas, który do tej pory poruszał się tak wolno, teraz zupełnie się zatrzymał. Przez długą chwilę nie była w stanie zrozumieć, co tak naprawdę widzi, a wtedy pomyślała – czy raczej miała nadzieję – że to jakieś zwierzę, jakieś dziwne, nakrapiane podwodne stworzenie. Jake cofnął się i zaczął kaszleć, na wpół się krztusząc, i upuścił latarkę. W jej świetle Gemma zobaczyła łokieć z dołeczkiem, podkurczone palce i zieloną medyczną opaskę wokół chudego nadgarstka.

Nie potrafiła powiedzieć, wtedy ani potem, co sprawiło, że rozchyliła trawę,

by lepiej się przyjrzeć twarzy dziewczyny. Może instynkt, a może szok.

Była chudsza od Gemmy, dużo chudsza. Miała ogoloną głowę, ale miejscami kępki brązowych włosów zaczynały odrastać. Jej zielone oczy były otwarte i wpatrzone w niebo, usta również otwarte, jak gdyby w niemym krzyku. Na grzbiecie nosa miała cztery piegi, dokładnie cztery, o czym Gemma doskonale wiedziała, ponieważ codziennie liczyła je w lustrze, ponieważ kiedyś podczas drzemki w przedszkolu Chloe DeWitt połączyła je długopisem. Miękkie, kształtne usta, które należały do jej babci. Prostokątną szczękę jej taty.

Za jej plecami Jake wciąż jęczał.

– Rany boskie, co to? Rany boskie, co to?

Dziewczyna – martwa dziewczyna – miała twarz Gemmy.

9

Gemma miewała koszmary, w których znajdowała się w tłumie w podziemnej sali. W tych snach zazwyczaj szukała kogoś, najczęściej rodziców, czasami April, a nawet Rufusa. Ale wszędzie, gdzie się odwróciła, widziała swoje odbicia – nie w lustrach, ale w wykrzywionych twarzach ludzi, którzy oglądali się za nią, i wszystkie te nie-Gemmy śmiały się tym głośniejszym, w im większą wpadała panikę. Zawsze po tych snach budziła się roztrzęsiona i czuła mdłości.

To było coś podobnego, tyle że gorsze. Miała wrażenie, że kołysze się nad głęboką przepaścią, że świat po prostu popycha ją w nicość, a ona tonie tuż obok tej dziewczyny, która mogła być jej siostrą bliźniaczką.

Nie zauważyła zbliżającej się nieznajomej, dopóki ta się nie odezwała.

– Kasjopeja? – Dziewczyna była koszmarnie chuda, nie tak jak Chloe DeWitt, której szczupłość brała się z odchudzających shake'ów, detoksu sokami i rowerków na siłowni, ale prawdziwie chuda z niedożywienia, a może z powodu raka. Kości policzkowe mocno jej wystawały, a knykcie wydawały się wielkie i męskie. Głowę miała ogoloną na łyso. Nad jej prawą brwią widniała długa biała szrama szerokości igły.

Nieznajoma zrobiła niepewny krok w jej stronę, o mało nie potknęła się o martwą dziewczynę leżącą w błocie, jęknęła i zastygła bez ruchu. Kiedy podniosła wzrok i spojrzała na Gemmę, jej mina się zmieniła. Gemma ujrzała wielkie oczy zatopione w wąskiej twarzy i malujące się w nich pytanie, na które nie znała odpowiedzi. Spojrzała na ubranie dziewczyny – biały podkoszulek umazany błotem, trawą i czymś, co wyglądało jak ptasie odchody, okropne bawełniane spodnie na gumce – a potem na jej piersi bez stanika, a właściwie

tylko ostre sutki odznaczające się pod materiałem, bose stopy, niepomalowane paznokcie. Bose stopy. Skąd się tu wzięła bez butów? Ale Gemma wiedziała, jeszcze zanim zobaczyła szpitalną bransoletkę, taką samą, jaką miała na ręce martwa dziewczyna.

– O mój Boże. – Miała wrażenie, jakby ktoś rozwalił jej serce młotkiem. Wyobraziła je sobie jako stary zegar, roztrzaskany i bezużyteczny. – To chyba... to chyba jedna z nich.

Dziewczyna z Haven nagle stała się opryskliwa.

– Kim jesteście? – spytała. – I skąd jesteście?

– A kim ty jesteś? – Twarz Jake'a była blada jak płótno, ale jego głos brzmiał pewnie.

Gemma miała ochotę chwycić go za rękę, lecz ciało jej nie słuchało. Właśnie wtedy zwróciła uwagę na cień za plecami dziewczyny i wysoka, ciemna sylwetka przybrała kształt chłopaka.

– Jestem Lira – odparła dziewczyna, a kiedy nic nie powiedzieli, uczyniła niecierpliwy gest ręką. – Jestem numerem 24.

– O mój Boże – powtórzyła Gemma. Jej głos stał się wysoki, piskliwy i obcy. Umysł starał się uciec od martwej dziewczyny leżącej może metr od niej, od piegów na jej twarzy, precyzyjnego kształtu ust, uciec od jej realności jak magnes odsuwający się od drugiego. – Tam jest jeszcze jeden.

Od razu wiedziała, że chłopak też musi być z Haven. Był bosy i bardzo chudy, chociaż nie tak strasznie jak dziewczyna. Każdy jego ruch uwypuklał mięśnie pod podkoszulkiem. Miał ciemną karnację i był przystojny, ale było w nim też coś zimnego. Przypominał figury woskowe z muzeum Madame Tussaud, które Gemma odwiedziła z mamą podczas wycieczki do Nowego Jorku wieki temu. Jak gdyby można było długo patrzeć w jego oczy i nic w nich nie dostrzec. Był niczym czarna dziura – całe światło wokół niego znikało.

Nie widziała noża w jego dłoni, dopóki nie podszedł bliżej i światło błysnęło

w jego ostrzu.

– Zaczekaj. – Jake podniósł obie ręce do góry, jakby mógł tym gestem zatrzymać go w miejscu. – Nie ruszaj się. Stój.

Chłopak zdawał się nie słyszeć.

– Kim jesteście? – zapytał, nie opuszczając noża.

W tej chwili Gemma uświadomiła sobie, jacy byli głupi, jacy nieprzygotowani. Bali się, że mogą zostać aresztowani za wkroczenie na teren wojskowy. Ani przez moment nie brali pod uwagę tego, że pacjenci Haven mogą być niebezpieczni. Szaleni. Że mogą być zwyrodniałymi mordercami. Bóg jeden wie, jaki rodzaj chorych eksperymentów na nich przeprowadzano.

– Nikim – powiedział Jake. Powoli wyciągnął rękę i pomógł Gemmie się podnieść.

Jej ciało wydawało się oziębiać i cięższe niż zwykle, jak gdyby należało do kogoś innego. Gdy już stanęła, lepiej widziała martwą dziewczynę, swojego sobowtóra, i to było straszne, gorsze niż najgorszy koszmar, jak patrzeć w otwarty grób, na którego dnie leży lustro. Bała się, że się przewróci. Bała się, że nogi jej nie utrzymają. Jake wciąż mówił, ale ledwie go rozumiała.

– Nie chcemy wam zrobić krzywdy, jasne? Nazywam się Jake Witz. A to jest Gemma. Zgubiliśmy się na mokradłach, i tyle.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i odwróciła się do Gemmy, której ulżyło, że ma wymówkę, by oderwać wzrok od ciała u swoich stóp.

– Ale kto cię zrobił?

– Co? – wyszeptwała Gemma. Była pewna, że się przesłyszała.

– Kto cię zrobił? – powtórzyła dziewczyna, tym razem wolniej, jak gdyby Gemma była małym dzieckiem albo osobą ograniczoną umysłowo.

Wiatr, który wypełniał mokradła ciąglym sykiem, ucichł. Gemma poczuła na sobie tysiące niewidzialnych oczu spoglądających z błota, ze swoich kryjówek.

– Nie... nie rozumiem.

– Jesteś repliką – powiedziała dziewczyna.

– Czym?

– Repliką – powtórzyła tamta niecierpliwie. – Organizmem powstałym w wyniku kopiowania informacji genetycznej od jednego dawcy.

Gemma zamknęła oczy, uderzona nagłym wspomnieniem: była z mamą na aukcji dzieł sztuki, śmiertelnie znudzona słuchała, jak prowadzący opowiadał coś o wazie, podobno „dokładnej replice” wazy z Wersalu, w której Ludwik XIV czasami trzymał swoją sztuczną szczękę. Jej mama pochyliła się wtedy do niej i wyszeptała: „Dlaczego ktoś miałby wydawać tyle forsy na fałszywkę?”.

– Klon – powiedziała Gemma. To słowo jakoś głupio załatywało science fiction. – Ona ma na myśli klona, Jake.

Jake się skrzywił.

– No tak. Już przedtem o tym pomyślałem – rzekł, nie odrywając wzroku od chłopaka z nożem.

Gemma poczuła wszechogarniającą panikę, jak gdyby tysiące małych pięści tłukło się w środku niej, by wydostać się na zewnątrz.

Klon. Replika. „Dlaczego ktoś miałby wydawać tyle forsy na fałszywkę?” Myśli Gemmy wirowały jak śnieg i znikwały, gdy tylko chciała je złapać.

– Ale... ale to niemożliwe. – Wiedziała, że zachowuje się zbyt głośno, histerycznie, lecz było to silniejsze od niej. – To niemożliwe, taka technologia nie istnieje, to nielegalne...

– To nie jest niemożliwe – przerwała jej tamta.

Nagle Gemma poczuła złośliwą chęć, by ją uderzyć, by te ogromne oczy wypadły jej z orbit, by przestała mówić, przestała się gapić, by w ogóle przestała.

– W Haven mieszkały tysiące replik.

– O Jezu – wyszeptał Jake. Na chwilę zamknął oczy. Wyglądał niemal

spokojnie. Jakby to wszystko niewiele go ruszyło. Jak gdyby nie potknęli się właśnie o dziewczynę z twarzą Gemmy, której pierś była czarna od krwi. Jak gdyby nie znaleźli dwojga zbiegów z Haven, przerażonych, a jednocześnie niebezpiecznych jak dzikie zwierzęta. – Klony. Teraz to wszystko ma sens...

– Czyś ty oszalał? Nic nie ma sensu. – Serce Gemmy drgało jak umierający owad. – Tu leży martwa dziewczyna z moją twarzą.

Jake odwrócił się do niej. Wyglądał na dotkniętego, jakby wymierzyła mu policzek. I chciała to zrobić. Chciała mu dać w twarz, potrząsnąć nim, potrząsnąć całym światem i siłą skierować go znowu na właściwe tory, tak jak jej tata uderzał pięścią w dekodek, kiedy nie działał jak trzeba. Myśl o tacie, o domu, nagle sprawiła, że poczuła się jak przestraszone dziecko. Żałowała, że nie posłuchała rodziców. Mieli rację. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Nie była na tyle silna.

– Stoimy na jakichś cholernych bagnach w środku nocy, a ci... ci ludzie mówią mi, że tam wszędzie biegają klony, tysiące klonów...

– Gemma, uspokój się, okej? – Jake położył rękę na jej ramieniu.

O mało nie krzyknęła. Ale bała się znowu otworzyć usta, bała się, że wpadnie w zupełną histerię.

Jej ojciec wiedział o Haven. Wiedział o tym przez cały czas.

– Uspokójmy się wszyscy – poprosił Jake. Chłopak z nożem znowu się naprężył. – Czy możesz to odłożyć? Nie zrobimy wam krzywdy.

Tamten wreszcie opuścił rękę, w której trzymał nóż. Jake załagodził sytuację, ale Gemmę niewiele to obchodziło. Chociaż stali na otwartej przestrzeni, miała wrażenie, że niebo w każdej chwili może się im zawalić na głowy i ich pogrzebać. Zaczęła uciskać ręką klatkę piersiową, by jej serce się uspokoiło. Dziewczyna, jak zauważyła, też źle się czuła. Dzięki temu Gemma bała się trochę mniej. Nie mogli być aż tak niebezpieczni, nawet jeśli mieli nóż i wyglądali jak zbiegli z psychiatryka wariaci rodem z horrorów. Kiedy dziewczyna nie była w stanie już dłużej ustać i przykucnęła z głową między kolanami, oddychając

powoli, najwyraźniej po to, by stłumić mdłości, Gemmie zrobiło się jej źal i poczuła złość na chłopaka z nożem. Właściwie nie zwracał na nią uwagi.

Wzięła głęboki oddech.

– Co jej jest?

Nikt nie odpowiedział.

Nie zastanawiając się długo, ruszyła w stronę dziewczyny. Kiedy tamta zadrżała, jej kręgosłup sterczący pod podkoszulkiem wyglądał niemal jak architektoniczny twór, i Gemma po raz pierwszy w życiu ucieszyła się, że nie jest chuda. Pochyliła się. Jej ręka zbliżająca się do ramienia dziewczyny wyglądała jak obcy obiekt, jak balon albo statek kosmiczny.

– Dobrze się czujesz?

Przez ułamek sekundy poczuła zaskoczenie z powodu jej ciepła, napięcia skóry i mięśni. Dziewczyna wyglądała tak niematerialnie, że Gemma niemal spodziewała się, że jej ręka przejdzie przez nią na wylot. A wtedy tamta odsunęła się gwałtownie i Gemma zrobiła szybki krok w tył, wstrzymując oddech. Dziewczyna spojrzała na nią z czymś bliskim nienawiści w oczach, znowu przypominała zwierzę – kilka lat temu jeden z pracowników znalazł na terenie posiadłości Ivesów wściekłego szopa, jej ojciec wziął strzelbę i go zastrzelił, a Gemma nigdy nie zapomniała jego oczu, dzikich i zrozpaczonych, zanim dosięgnęła go kula.

– Może jest głodna – powiedział Jake.

Dziewczyna nic nie odparła – objęła kolana rękami i znowu spuściła głowę, a jej kręgosłup unosił się i opadał z każdym oddechem – za to chłopak podszedł bliżej.

– Macie jedzenie? – Na jego twarzy malowała się taka nadzieja, że Gemmą znowu szarpnęła litość. Czy w Haven ich głodzono?

Jake przykucnął, by przeszukać swój plecak.

– Niestety – powiedział, wyjmując kilka batonów musli i dwie butelki

wody – nie mamy ze sobą zbyt wiele.

Chłopak jadł jak wiewiórka – trzymał baton obiema rękami i przeżuwał szybko, dopóki wszystko nie zniknęło. Wziął wodę i wypił połowę butelki, a potem podał ją dziewczynie, wciąż przykucniętej obok. Powiedział coś, zbyt cicho, by Gemma to usłyszała, a dziewczyna wzięła od niego butelkę, wypiała i od razu wyraźnie jej się polepszyło. Mogłaby być bardzo piękna, pomyślała Gemma, gdyby miała więcej ciała i gdyby to jej zagubione, mroczne spojrzenie dało się jakoś ocieplić.

Jake nie był w stanie oderwać oczu od tej dwójki, a ona ledwie mogła na niego patrzeć. Domyślała się, że dla niego było to długo oczekiwane wyjaśnienie tajemnicy, ostatni akt. Dla niej to był początek. Stary świat eksplodował, a ona urodziła się w nowym po raz drugi. Jedyne, o czym marzyła, to wrócić do tamtego, którego już nie było.

– Posłuchajcie – odezwał się do nich Jake. – Wiem, że musicie być zmęczeni, przeszliście przez... Nawet nie wiem, przez co przeszliście...

Gemma domyśliła się, do czego zmierza, ale miała nadzieję, że się myli.

– Jake, nie – jęknęła ostrzegawczo i zakryła ręką oczy, starając się stłumić tępe dudnienie migreny gdzieś za oczami.

– Oni mieszkali w Haven, Gemma – powiedział Jake, jak gdyby tego nie rozumiała. – Mój ojciec przez to zginął. Muszę się dowiedzieć.

– Jake, nie. – Migrena eksplodowała: Gemma czuła się tak, jakby jakiś psychol uderzał młotkiem w jej czaszkę. – Nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć. Ci biedni ludzie przeszli przez Bóg wie co, są głodni, zmarznięci, nie mają dokąd pójść, a ty chcesz ich przesłuchiwać...

– Nie chcę ich przesłuchiwać. Chcę zrozumieć.

– Nie ludzie – wtrąciła nagle nieznajoma dziewczyna.

Gemma odwróciła się do niej.

– Co? – spytała.

Dziewczyna mocno ścisnęła butelkę, aż wystawały jej knykcie. Ale wydawała się spokojna.

– Nie jesteśmy ludźmi – rzekła. Jej głos był cichy, melodyjny, ale dziwnie pozbawiony emocji, jak gdyby nie potrafiła odczuwać albo przynajmniej wyrażać uczuć. – Powiedziałaś: „Ci biedni ludzie przeszli przez Bóg wie co”. Jesteśmy replikami. To nie Bóg nas zrobił, tylko doktor Saperstein. To on jest naszym bogiem.

Cały gniew Gemmy wyparował w jednej chwili. Miała wrażenie, że znajduje się sama w ciemności z tą chudą, wątłą dziewczyną – z tym klonem – która wierzyła, że nie jest człowiekiem. Chciała ją przytulić. Pragnęła też zrozumieć, jak stała się kimś takim, jak powstała i dlaczego, kto jej powiedział, że Bóg jest dla niej niedostępny. I dotarło do niej, że w pewnym sensie Jake miał rację. Wszystkie odpowiedzi, których potrzebowała, wszystkie tajemnice z jej przeszłości były związane z tą dwójką. Wciąż się ich bała, choć w sposób, którego nie potrafiła zwerbalizować. Ale nie mogła ich zostawić. Musieli się trzymać razem.

– Powinniśmy rozłożyć się na noc tutaj. – Usłyszała własne słowa, zanim uświadomiła sobie, że chce to zaproponować. Jake spojrzał na nią, jakby postradała rozum. Może i tak było. – Wrócimy do Wahlee jutro rano.

Chłopak nie wydawał się przekonany.

– Nigdzie z wami nie idziemy.

– Oczywiście – powiedziała Gemma spokojnie. – Oczywiście, nie musicie z nami iść. O ile sami tego nie chcecie.

Jake znowu spojrzał na nią tak, jak gdyby z jej ust wydobyła się ręka i zaczęła machać.

– Dlaczego mielibyśmy chcieć? – zapytał chłopak.

Gemma zignorowała Jake'a i odpowiedziała nieznajomemu:

– Nie możecie zostać tu na zawsze. Nie macie pieniędzy. Nie macie

dokumentów. Nawet nie powinniście istnieć. I będą was szukać.

Domyśliłaby się tego, nawet gdyby wcześniej nie widziała krążących po niebie helikopterów ani uzbrojonych po zęby żołnierzy patrolujących wybrzeże. Jeśli dziewczyna mówiła prawdę – a Gemma miała na to dowód w postaci ciała, na które ledwie mogła patrzeć – i Haven rzeczywiście było pełne klonów, musiał istnieć powód trzymania wszystkiego w tajemnicy, całej tej ochrony, ścisłej poufności. To byłby cud dla nowoczesnej nauki. Ci, którzy udoskonalili proces klonowania, dostaliby Nobla. Wszyscy na świecie powinni o tym wiedzieć. A mimo to nie wiedział nikt.

Pytanie brzmiało: dlaczego?

Wiedziała, że ktokolwiek tam rządził, nie pozwoliłby, żeby ofiary jego eksperymentów wydostały się na wolność, nie skoro potrafiły mówić i samodzielnie myśleć. Założyła, że jedyną przyczyną, dla której tej dwójki, replik, jeszcze nie odnaleziono i nie zaaresztowano, był cały ten chaos. Pewnie wciąż liczą martwych i zaginionych. Pozostawanie zbyt długo na mokradłach wiązało się z ogromnym ryzykiem. Ale Gemma wyczuła, że klony nie są jeszcze gotowe, by się stąd ruszyć, a wiedziała, że musi się ich trzymać, że jeśli ma szansę na poznanie prawdy, to tylko dzięki nim. Potrzebowała czasu, by pomyśleć i coś zaplanować.

Spodziewała się większego oporu ze strony Jake'a, ale on tylko pokręcił głową i rzekł:

– Spróbujmy się przespać. Opuścimy mokradła, gdy tylko się da.

Klony nie sprzeciwiły się dłużej. Najwyraźniej nie chciały się oddalać od źródła wody pitnej i pożywienia.

Przenieśli się na drugą stronę zwartych, powykręcanych drzew namorzynowych, które odgrodziły ich od zwłok. Gemma wolała nie spać zbyt blisko martwej dziewczyny. Nie mogła znieść myśli o niej, o podobnej do swojej twarzy, ale wydrażonej przez głód, o włosach, które sama z takim trudem

prostowała, przy-
ciętych aż do gołej skóry. Nigdy nie była przesadna, ale wyglą-
dało to na zły omen, bała się, że los jej sobowtóra stanie się także jej udziałem.

Poza tym nie chciała za bardzo zanurzać się w ciemność, a dziewczyna i chłopak byli wykończeni. Repliki położyły się jedna przy drugiej, chociaż niewiele z sobą rozmawiały, właściwie w ogóle nie zwracały na siebie uwagi. Jak gdyby należały do oddzielnych rzeczywistości, które tylko na chwilę współistniały.

Jake zasnął od razu. Użył zwiniętego ręcznika jako poduszki i objął swój plecak, jakby był on pluszowym misiem. Ale Gemma nie spała jeszcze długo po tym, jak repliki usnęły. I to nie tylko dlatego, że było jej fizycznie niewygodnie – za gorąco, pot lał się z niej strumieniami, dawało jej się we znaki brzęczenie komarów, grunt był nieprzyjemnie gąbczasty, czuła, że jest brudna, i z pewnością musiała śmierdzieć – ale z powodu świerzbiącego, trudnego do nazwania uczucia, jak gdyby tysiące mrówek roilo się w środku niej: pod jej skórą, we krwi i w żyłach. Wyobrażała sobie dziewczynę po tamtej stronie drzew, tę drugą Gemmę, jak ożywa, jak czołga się przez błoto i sięga zakrwawionymi paznokciami do jej twarzy, do jej włosów, by zdobyć je dla siebie... Usiadła i stłumiła krzyk przerażenia.

Ktoś ją sklonował. To było jedyne wyjaśnienie, jakie miało sens, ale nie chciała go do siebie dopuścić. Czy jej ojciec o tym wiedział? Czy to dlatego opuścił Fine & Ives i zerwał ze swoim partnerem w interesach? Czy dlatego chciał, by zamknięto Haven? Ktoś pobrał próbkę jej DNA, gdy była mała, i użył do stworzenia drugiej Gemmy. Tyle że...

Martwa dziewczyna nie była po prostu drugą Gemmą. Miała jej DNA, jej twarz i piegi, ale nie były tym samym – teraz wnętrzości tamtej się rozkładały, a brzuch wydymały gazy. Miała inne imię, inne wspomnienia i upodobania, zupełnie inne życie. Dwie osoby zbudowane z tego samego materiału, ale

zupełnie oddzielone od siebie przez doświadczenia życiowe, a teraz przez śmierć.

Czy jej ojciec o tym wiedział? Czy tylko coś podejrzewał?

Może podczas jednego z jej licznych pobytów w szpitalu, gdy była mała, ktoś wykradł od niej fragment tkanki bez wiedzy jej rodziców. Tak, właśnie tak musiało być. Pewnie istniał czarny rynek, miejsca w internecie, gdzie można było kupić dziecięcą pornografię albo wątrobę, albo próbki medyczne.

Ale ten pomysł był absurdalny. Jakie istniało prawdopodobieństwo, że jej DNA wylądowało przez przypadek w tej samej placówce badawczej, którą pomogła założyć firma jej taty?

Nie było szans, żeby zasnęła. Niby jak, kiedy jej martwy sobowtór leżał tak blisko? W jej głowie kotłowało się tyle myśli, że czuła kompletny zamęt. Musiała poznać prawdę. Musiała zrozumieć to miejsce i jak powiązany był z nim jej tata. I jak powiązana była ona sama.

Wsiąść do kajaka bez pomocy Jake'a było dużo trudniej, znów ogarnął ją lęk, że się przewróci i utknie w nim jak banan w zbyt ciasnej skórce. Ale wreszcie się udało. Przez chwilę tylko młóciła wiosłem, by uwolnić się z plątaniny traw i szuwarów, aż wreszcie wypłynęła na ciemną tafle wody. Nie wiedziała nawet, jak odczytać kompas, choć pewnie miała taką aplikację w telefonie. Była jednak pewna, że znajduje się wystarczająco blisko wyspy, aby się nie zgubić, a nawet wpadła na pomysł, by zawiązać swoją bluzę od dresu na gałęzi drzewa, żeby potem odnaleźć drogę powrotną.

Po zaledwie kilku minutach pożałowała swojej decyzji. Wiosłowanie okazało się dużo trudniejsze, niż można było sądzić, obserwując Jake'a. Wkrótce jej serce zaczęło ciężko walić, a ramiona boleć. Ale musiała dalej manewrować w ciemności, trzymając się małych skrawków ziemi, by się nie zgubić. Z powodu gęstych namorzynów i szuwarów – wysokich, patykowatych i białych jak kość – nic nie widziała przed sobą. Po chwili na powierzchni wody pojawiły się brudna piana i warstwa śmieci z wyspy, nie tylko popiół, ale i rzeczy należące do ludzi:

stare guziki, zwęglone kawałki plastiku, a nawet skrawki papieru. Znalazła zaplątany w szuwarach zalaminowany identyfikator – wskazywał na brak dostępu do miejsc zastrzeżonych, a na zdjęciu widniała ponura twarz czarnoskórej kobiety. Gemma włożyła go do kieszeni. Teraz mocne bicie jej serca miało niewiele wspólnego z wiosłowaniem.

Wypłynęła za zakręt i wstrzymała oddech: za kolejnym obszarem błotnistej wody widniały ogrodzenie i puste wieże strażnicze, a za nimi drzewa poczerniałe od ognia. Musiała ciągle znajdować się po niezabudowanej stronie wyspy, ponieważ między drzewami widziała tylko jeden długi budynek, szopę albo magazyn, który wydawał się opuszczony. Wyciągnęła kajak na brzeg i ruszyła wąską plażą między szuwarami, przykucnięta, na wypadek gdyby teren wciąż patrolowali żołnierze. Przestraszone żaby wskakiwały z głośnym pluskiem do wody.

Na płyciźnie, w spienionej wodzie przy trawie, było jeszcze więcej śmieci. Gemma przyświecała sobie telefonem tuż przy ziemi. Znalazła mały prostokątny znak z rodzaju takich, jakie wiszą na ścianach wewnątrz budynków, wskazujący drogę do Magazynu C, czymkolwiek on był. Plastik był stopiony na brzegach i wyglądało to tak, jakby znak krwawił. Między kamieniami zobaczyła kawałki gipsu i białe odłamki, które – aż ją zemdlilo na tę myśl – wyglądały jak fragmenty kości. Gdzieś tam widziała też kleiste smugi ciemniejsze od tła, które pewnie były krwią. Wybuch musiał być potężny. A potem przyszedł wiatr, który zaniósł swąd spalenizny aż do Barrel Key i rozniósł ogień, zamieniając wyspę w pogorzelnisko.

Po paru minutach drzewa się przeredziły, a zapach stopionego plastiku, spalenizny oraz czegoś intensywniejszego, słodkawego i nieprzyjemnego uderzył ją mocniej w nozdrza. Wreszcie Gemma zobaczyła budynki, a przynajmniej jeden – ogromny, prostokątny i pokryty sadzą, z wybitymi oknami, które przypominały oczy spoglądające obojętnie ponad wodą. Zdumiało ją, że jeszcze

nie ugaszono pożaru, który błyskał ze środka budynku, oświetlając ściany dziwnym, półprzezroczystym, różowawym blaskiem. Przykucnęła, gdy dostrzegła jakieś poruszenie, schowała telefon do kieszeni. Usłyszała niewyraźne nawoływania i gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła ludzi w kombinezonach strażackich. Gdy przyjrzała się uważniej całej scenie, dotarło do niej, że tak naprawdę nie gaszą ognia, ale podtrzymują go, tyle że pod kontrolą. I zrozumiała, że mieli za zadanie spalić to, co zostało z Haven, i zrównać wszystko z ziemią. Nie mogła podejść bliżej, nie ryzykując, że zostanie złapana.

Zrobiła krok do tyłu i usłyszała ostry trzask. Aż się skrzywiła, choć od strażaków dzielił ją jakiś kilometr. Zobaczyła, że stanęła na oprawionym zdjęciu i zmiażdżyła pękniętą wcześniej plastikową ramkę. Schyliła się, żeby je podnieść, ale w tym świetle widziała na nim jedynie zarys postaci. Włożyła więc zdjęcie do kieszeni i ruszyła w stronę ukrytego w zaroślach kajaka. Gdy już nie słyszała żadnych głosów, a drzewa na powrót zasłoniły jej pożar, znowu wyjęła telefon, by sobie poświecić.

Dzięki zdjęciu, które widziała wcześniej w internecie, rozpoznała na fotografii mężczyznę z dużą brodą i w fartuchu lekarskim: był to doktor Saperstein, obecny dyrektor Haven. Stał i mrużył oczy w słońcu, a w tle znajdował się budynek, który właśnie płonął – Gemma rozpoznała go, mimo że zdjęcie zrobiono pod innym kątem, najpewniej od strony dziedzińca. Za jego plecami widniał pomnik – ten pomnik.

Wydawało jej się – tak zapisało się to w jej mglistych wspomnieniach – że pomnik przedstawia jakiegoś boga, ale teraz widziała, że była to rzeźba w stylu Dawida, przedstawiająca zwykłego śmiertelnika, z jedną ręką wzniesioną ku niebu, a drugą sięgającą w dół, jak gdyby chciał coś wyciągnąć z ziemi. Pod jego dłonią znajdowała się nić DNA ukazana jako przeplatające się kamienne wstęgi. Mężczyzna przypominał postawą Boga lepiącego Adama z prochu. Posąg miał

najwyraźniej uosabiać ludzi z Haven i pracę, którą wykonywali: sami tworzyli życie, przejąwszy to zadanie od Stwórcy.

A ona, Gemma, pamiętała ten pomnik. Było to jej najwcześniejsze wspomnienie. Co oznaczało, że musiała już tu kiedyś być.

Została tu zrobiona. Ta myśl pojawiła się w jej głowie niespodziewanie, zanim zdołała ją powstrzymać. Zrobiona, wyprodukowana, tak jak ten dziwny kotlet warzywny, który podawano w szkolnej stołówce. Czuła się nieswojo, koszmarne, beznadziejnie. Naszła ją ochota, by po prostu usiąść i już się stąd nie ruszyć, tylko poczekać, aż sól wyżre jej ciało, a kraby rozkradną kości.

Ale nie. Uderzyła ją nowa myśl, która wydała się zbawienna jak lina rzucona rozbitkowi pośrodku zimnych fal – nie mogła zostać zrobiona w Haven, nie sklonowano jej jak tego chłopaka i tę dziewczynę. Albo jak jej sobowtóra. Widziała przecież dziesiątki zdjęć swojej mamy w szpitalu kilka chwil po porodzie, spoconej, wykończonej, tulącej maleńką Gemmę do piersi. Jedno z nich przedstawiało oboje rodziców wraz z nowo narodzoną córką, czerwoną, zawiniętą w żółty kocyk, a inne – pielęgniarzkę z butelką szampana. Bez wątplenia to Gemma była na tych zdjęciach. Już wtedy miała delikatne brązowe loki i zadarty nosek, który wyglądał tak, jakby podtrzymywał go niewidzialny kciuk.

Uspokoiała się. Znowu była w stanie oddychać. Niepotrzebnie panikowała. Mogła przecież odwiedzić Haven razem z tatą. I chociaż ów pomnik kojarzył jej się z dłuższym pobytem, wiedziała, że mogła to sobie tylko wymyślić albo pomylić Haven z jakimś innym szpitalem, w którym wylądowała jako dziecko.

Było tuż po piątej trzydzieści, więc powinna była wracać, ale bała się powrotu, bała się zbliżyć do swojego przerażającego sobowtóra, do martwej dziewczyny, która wkrótce zacznie gnić i po której nikt nie będzie płakał, której nikt nie pochowa. Ale długie, elektryzujące różowe macki wypływały już z ciemności nad horyzontem. Wiedziała, że musi obudzić pozostałych. Czas

opuścić mokradła.

Wyjęła zdjęcie z połamanej ramki, złożyła je i schowała do kieszeni obok zalaminowanego identyfikatora, który znalazła pośród traw, chociaż kusiło ją, by je zostawić – mając je przy sobie, czuła jednocześnie podenerwowanie i zawstydzenie, jak gdyby był to przemycany towar albo dowód zbrodni. I to był dowód, chociaż nie wiedziała, jeszcze nie odgadła, jakiej dokładnie zbrodni.

Wiosłowanie z powrotem okazało się jeszcze trudniejsze. Bolały ją ręce, a brak snu coraz bardziej dawał się we znaki. Była wykończona i chciało jej się pić. Ciemność uciekająca przed wschodzącym słońcem płatała jej figle. Gemmie ciągle wydawało się, że kątem oka widzi jakieś poruszenie, odwracała się prawie pewna, że zobaczy kolejną zakrwawioną wersję samej siebie, i unosiła wiosło niczym broń, tymczasem dostrzegała tylko jakiegoś owada muskającego wodę albo żabę obserwującą ją spomiędzy sitowia.

Miała szczęście, że się rozjaśniało, inaczej pewnie nie znalazłaby drogi powrotnej. Minęła dziesiątki pochylonych nad wodą drzew namorzynowych, z wielu z nich zwisał ciężki mech, który w ciemności mógł wyglądać jak bluza od dresu. Na miejsce przybyła nieco po szóstej. Z zaskoczeniem stwierdziła, że cała trójka wciąż śpi. Uklękła obok Jake'a.

– Hej – szepnęła.

Obudził się nagle i przez chwilę, zanim całkiem się ocknął, Gemma widziała w jego oczach przerażenie. Gdy mrugnął, zniknęło. Może śnił mu się jakiś koszmar.

Nie chciała dotykać tamtych dwojga – wciąż pamiętała wcześniejszą gwałtowną reakcję dziewczyny. Stała więc w bezpiecznej odległości i wołała do nich, aż chłopak zerwał się na równe nogi i sięgnął po nóż.

– Nie bójcie się – powiedziała szybko, gdy jego spojrzenie nabierało ostrości. – To tylko ja, Gemma, pamiętacie?

Chłopak otarł usta wierzchem dłoni. Gemma spojrzała na jego pierś falującą

pod podkoszulkiem i znów uderzyła ją jego uroda, niezwykła i dzika, jakby nowego, nieodkrytego gatunku. Nie mogła pojąć tego, że całe życie spędził w klatce. Wyglądał jak ktoś, kto powinien żeglować po morzach i oceanach albo skakać ze spadochronem z wysokiego urwiska.

Dziewczyna też się obudziła. Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej chorej niż przedtem. Jej skóra była sina, wyglądała jak odmrożona. Ale nie mogło jej być zimno. Noc była upalna.

– Na wyspie wciąż są ludzie – wyjaśniła Gemma. – Palą to, co zostało z Haven.

– Widziałś ich? – Jake się podniósł. Miał włosy w nieładzie, a oczy lekko zapuchnięte od snu, ale wciąż wyglądał jak chłopak z reklamy. – Podeszłaś bliżej? – Kiwnęła głową, a on zmarszczył brwi. – Powinnaś była mnie obudzić. To niebezpieczne.

– Co masz na myśli, mówiąc, że palą to, co zostało z Haven? – Dziewczyna podźwignęła się chwiejnie. Podniosła rękę do oczu, jak gdyby kręciło jej się w głowie.

– Dokładnie to, co powiedziałam – odparła Gemma.

– A więc nie możemy tam wrócić? – Głos dziewczyny był ledwie słyszalny.

Ale zanim Gemma zdołała się odezwać, wtrącił się chłopak:

– Nie możemy tam wrócić. Już ci to mówiłem. Zabiją nas, jeśli nas znajdą. W taki czy inny sposób zabiją nas.

Dziewczyna pokręciła głową, jak gdyby w to nie wierzyła, ale nic nie odrzekła. Gemma zastanawiała się, o co mu chodziło, gdy powiedział: „W taki czy inny sposób zabiją nas”, ale uznała, że pewnie przesadzał. A czas naglił. Nawet teraz słychać było odległy ryk silnika motorówki.

Gemma podjęła decyzję w momencie. Dziewczyna była chora i potrzebowała pomocy. Jedzenia, wody, dachu nad głową. Kryjówki. A ona sama potrzebowała zrozumieć, kim jest ta dwójka i czy mówiła prawdę o liczbie

klonów w Haven, oraz dowiedzieć się, do czego je wykorzystywano. Chciała zrozumieć, kim była dziewczyna z jej twarzą, i poznać prawdę o jej przeszłości. Może nawet odkryć, co jej ojciec wiedział, a czego nie.

– Musimy się stąd wydostać. Teraz, kiedy jest jasno, pojawią się nowe patrole. Będą szukać tych, którzy przeżyli. – „I martwych też, by ich policzyć”, pomyślała. – Chodźcie z nami. Zdobędziemy dla was ubrania i ukryjemy was gdzieś, gdzie nikt nie będzie was szukał. A potem pomyślicie, dokąd pójść. Wspólnie pomyślimy.

Jake pokręcił głową, ale nie zaprotestował. Zauważyła jednak, że kiedy na nią patrzył, wyglądał, jakby się bał. Zastanawiała się, co myśli o niej teraz, po odkryciu ciała, i poczuła się tak, jakby jakaś zimna ręka zaciskała się na jej sercu. Miała jednak większe zmartwienia.

– Okej. – To dziewczyna się odezwała.

Chłopak spiorunował ją wzrokiem, zaskoczony albo poirytowany, albo jedno i drugie – Gemma nie była w stanie tego stwierdzić. Ale się nie sprzeciwił.

– Okej – powtórzyła nieco głośniej. – Pójdziemy z wami.

Nie było czego pakować, nie mieli też żadnego śniadania oprócz dwóch batonów musli, które Jake zaproponował replikom. Gemma, chyba po raz pierwszy w życiu, nie była głodna. Ryk motorówek w oddali stawał się coraz głośniejszy i częstszy. Pewnie zabierali z wyspy dokumenty i sprzęt, zbyt drogi, by go spalić. Ale wkrótce ciała zostaną policzone i trzech będzie brakowało. Wtedy wojsko zabierze się do poszukiwań.

Gemma nie chciała się już zbliżyć do martwej dziewczyny, ale czuła też wyrzuty sumienia, że tak ją tu zostawia, na pastwę much i dzikich zwierząt. Miała nadzieję, że przynajmniej ktoś sprawi jej godziwy pochówek. Odepchnęła od siebie myśl o własnej twarzy leżącej gdzieś w zimnej kostnicy, o piegowatej klatce piersiowej, którą tak dobrze знаła, rozplątanej od mostka aż po brzuch. Zanim odeszli, przedarła się z powrotem przez zarośla i zrobiła zdjęcie

dziewczynie, nieruchomej i niewidomej na zawsze. Jakiś żuczek maszerował po jej lewej kostce i Gemma chciała go strącić, ale się bała. Przerażała ją myśl o lodowatym zimnie skóry, która była jej skórą. Towarzyszył jej też nedorzeczny lęk, że dziewczyna może się obudzić z rykiem i złapać ją za rękę, wściekła, że jej sobowtór wciąż żyje, podczas gdy ona zginęła. Wróciła więc szybko do reszty, wsunąwszy telefon do kieszeni kurtki – liczba dowodów stale rosła.

Ani dziewczyna, ani chłopak nie umieli pływać – było to dziwne, ale jednocześnie miało sens, biorąc pod uwagę, że mieszkali nad oceanem, tyle że po niewłaściwej stronie muru. Postanowiono zatem, że popłyną kajakiem, podczas gdy Jake i Gemma mieli iść przy nich, a w razie konieczności podpływać. Jake schował plecak pod nogami dziewczyny, a Gemma wrzuciła tam pożyczoną od Jake’a kurtkę. Nie przejmowała się, czy reszta jej ubrań zamoknie. Ale musiała mieć dowód tego, co widziała i gdzie była.

Jake zdjął trampki, związał je sznurówkami i przerzucił przez ramię. Podwinął nogawki i wszedł do wody.

Gemma też zdjęła buty i weszła za nim. Woda miała temperaturę tej w brodziku dla dzieci, do którego ktoś nasikał. Zresztą podobnie śmierdziała, z powodu rozkładających się organizmów, spalonych słońcem roślin, martwych owadów i ryb. Grunt był mułowaty i śliski. Jake powiedział jej ostatniej nocy, że mokradła zamieszkują też aligatory i jadowite węże. Teraz modliła się, żeby żadnego nie spotkali.

Posuwali się bardzo powoli. Jake trzymał swój telefon wysoko, by go nie zamoczyć, i instruował repliki, w którą stronę mają kierować kajak. Na płyciźnie, gdzie woda sięgała im do połowy łydki, Gemma i Jake mogli iść szybciej, ale często brnęli w niej aż do pasa i było wtedy tak, jakby ogromna otwarta dłoń powstrzymywała ich wędrówkę. Powoli podążali naprzód i wpatrywali się w niebo w poszukiwaniu helikopterów, a repliki płynęły za nimi. Słońce

wreszcie weszło, wkrótce usłyszeli ryk silników i zobaczyli zmarszczki na wodzie wywoływane przez przepływające w oddali motorówki. Gemma nie wiedziała, że można się pocić, brnąć w wodzie, ale teraz tak właśnie było, a do tego czuła zawroty głowy z powodu gorąca, wysiłku i strachu. Miała wrażenie, że jej płuca zostały ściśnięte skórzanym paskiem i lada moment eksplodują.

– Nie dam rady dłużej – jęknęła. Ledwie miała siłę mówić. – Muszę odpocząć.

Jake odwrócił się, jak gdyby miał zamiar zaproponować, ale gdy tylko na nią spojrzął, kiwnął głową. Musiała wyglądać strasznie – spocona, z czerwoną twarzą, przemoczona aż po pachy. Ale była zbyt wykończona, by się tym przejmować.

Doczłapali do twardego gruntu. Gemma żałowała, że pani Coralee, jej nauczycielka wuefu, nie może jej teraz zobaczyć. Gemma – mistrz survivalu. W ciągu ostatnich dwunastu godzin dokonała nie lada wyczynu: wiosłowała w kajaku i przeszła ponad trzy kilometry przez zabójcze bagna. Głupie babsko pewnie padłoby trupem, gdyby się o tym dowiedziało.

Nogi tak jej się trzęsły, że usiadła tam, gdzie stała, prosto w błocie. Repliki również wysiadły niezdarnie z kajaka. Jake pomógł im podciągnąć go w cień drzewa namorzynowego – w samą porę.

– Kryć się! – wykrzyknął chrapliwym głosem.

Przykucnęli w cieniu splątanych omszałych gałęzi. Ryk nad nimi stale przybierał na sile, a woda rozszczępiała się na fale. Helikopter przeleciał nad ich głowami tak nisko, że podmuch wiatru obryzgał Gemmę błotem i zerwał kilka liści z gałęzi. Ale nie zauważono ich. Tego była pewna. Co za szczęście.

Jake się podniósł. W całym jego ciele, w szczęce i ramionach, było widać napięcie.

– Myślę, że stąd możemy już wrócić do samochodu lądem – powiedział. – Raczej nie jesteśmy daleko. Możesz iść?

Gemma przytaknęła, chociaż bolały ją uda i potwornie chciało jej się pić.

– Będziemy musieli zostawić tu kajak – dodał. – Ciągnięcie go strasznie nas spowolni.

– Ale przecież stracisz depozyt! – wypaliła bezmyślnie. Była tak zmęczona, że nie docierało do niej, że wypożyczalnia kajaków jest najmniejszym z ich problemów.

Jake pomógł jej się podnieść i zacisnął rękę na jej nadgarstku, by się nie odsunęła.

– Gemma, musisz zrozumieć jedno. Jesteśmy w ogromnych tarapatach. – Mówił cicho, tak żeby repliki nie dosłyszały, ale jego ton był swobodny, a nawet miły, jak gdyby rozmawiali o pogodzie. – Ludzie, którzy prowadzą Haven, mają ogromną władzę. Bardzo się wkurzą, gdy okaże się, że dwie ofiary ich eksperymentów są na wolności. Spróbują nas namierzyć. Możliwe, że już próbują. Musisz być tego świadoma.

– Nie możemy tak po prostu ich tu zostawić – wyszeptała w odpowiedzi.

Ponad ramieniem Jake'a widziała, że dziewczyna na nią patrzy. Z puszkami ciemnych włosów przyciętych blisko głowy wyglądała jak ptaszek. Gemma odwróciła wzrok i jeszcze bardziej ściszyła głos.

– Są wygłodzeni. Wiemy, że znęcano się nad nimi. Słyszałaś, jak mówiła, że nie są ludźmi. Kto, do diabła, jej to wmówił? – Pomyślała o swoim ojcu stojącym z szerokim uśmiechem przed wejściem do Haven i znowu zebrało jej się na mdłości. – Poza tym dziewczyna najwyraźniej jest chora. Spójrz na nią.

– To jeszcze inna sprawa – powiedział Jake. Jego oczy zdawały się czarne, bez wyrazu. – Nie wiemy, co z nimi robiono. Mogą przenosić jakieś choroby.

– Przenosić choroby? – powtórzyła. Odsunęła się od niego. Wciąż się trzęsła. – Mówisz o nich jak o zwierzętach.

– Gemma, zastanów się nad tym. – Złapał ją za ramię, zanim zdołała się odwrócić. – Nie mamy pojęcia, co się działo w Haven. Nie robili tam klonów dla

zwykłej satysfakcji.

Doszedł zatem do takiego samego wniosku jak ona: jeśli celem Haven było pomyślne sklonowanie człowieka, to po co ta cała otoczka tajemnicy?

– Mogli tam testować jakieś toksyny albo badać czarną ospę. W każdym razie nie wiemy, czym się tam zajmowano.

Gemma czuła, że Jake ma rację. Ale nie widziała innej możliwości, by poznać prawdę. I była wściekła – wściekła, ponieważ unikał jej wzroku, ponieważ zachowywał się, jak gdyby samo dotknięcie jej sprawiało mu teraz ból. Odwróciła się od niego.

– Mówiłeś, że właśnie tego chcesz. Twój ojciec poświęcił całe swoje życie na badanie Haven i kiedy wreszcie masz szansę wszystkiego się dowiedzieć, strach cię obleciał.

– Oczywiście, że mnie strach obleciał – odparł cicho. – Oni zabili moją tatę, zapomniałaś?

Teraz oprócz gniewu poczuła też wyrzuty sumienia – przez co zrobiła się jeszcze bardziej wściekła.

– Zatem sama zabiorę ich z powrotem – oznajmiła. To było głupie: bez Jake'a nie znajdzie drogi powrotnej. – Nie obchodzi mnie, co zrobisz. W końcu dostałeś odpowiedzi na swoje pytania. Zakończyłeś swoją misję. – Wiedziała, że gra nie fair, ale to było silniejsze od niej. Kręciło jej się w głowie i tak cholernie chciało jej się pić. – Chodźcie – powiedziała głośniejszym głosem do replik, które stały niepewnie z boku. Sama była zdziwiona, jak szorstko brzmiał jej głos.

Chłopak wyglądał na zaskoczonego, a potem na zmieszanego. Poczowała perwersyjną satysfakcję: wystraszyła tego wielkiego, groźnego kolesia z nożem.

Jake dogonił ją, zanim zrobiła choćby dwa kroki.

– Nie wygłupiaj się – rzekł. Na szczęście nie wydawał się zły. A ona już czuła się źle. Przecież jego tata zginął. – Jesteśmy w tym razem. Poza tym nie ma mowy, żebym pozwolił ci przypisać sobie wszystkie zasługi. – Jego uśmiech był

wymuszony, ale przynajmniej się pojawił.

Gemma poczuła ulgę. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo bała się, że straci jego wsparcie.

Znowu objął prowadzenie. Miał rację: dało się tędy wrócić do samochodu na piechotę, obchodząc wąskie kanały, chociaż musiał często przystawać, by sprawdzać kompas i GPS w telefonie, kiedy tylko znowu pojawił się zasięg. W pewnym momencie podłoże lekko się zmieniło, ale dopiero gdy Gemma zobaczyła znak „Nie śmiecić”, uświadomiła sobie, że Jake przeprowadził ich bezpiecznie do rezerwatu przyrody. Gdy po kolejnych dwóch minutach zobaczyła samochód, o mało nie krzyknęła z radości. W bagażniku była skrzynka wody mineralnej, więc każde z nich wypilo duszkiem po butelce. Woda nigdy nie smakowała jej tak bardzo.

Wsiedli do samochodu. Gemma poczuła się lepiej – wreszcie nie znajdowali się na otwartej przestrzeni. W aucie mogli być kimkolwiek. Biwakowiczami, turystami, przyjaciółmi. Z kolei repliki wydawały się bardzo podenerwowane. Pomyślała, że może nigdy wcześniej nie siedziały w samochodzie. Chłopak podskoczył, kiedy Jake włączył silnik i radio zaczęło grać.

Gemma nie miała zasięgu, od kiedy wypłynęli kajakiem, więc gdy tylko wyjechali na polną drogę prowadzącą do Wahlee, jej telefon ożył esemesami, wiadomościami głosowymi i powiadomieniami, z których niemal wszystkie zostały wysłane przez April. Od razu wykręciła numer przyjaciółki, modląc się, by odebrała.

– Jezu. Miałaś do mnie oddzwonić natychmiast. Myślałam, że jakiś wariat z siekierą porąbał cię na kawałki albo że zabrano cię do Guantanamo, albo Bóg wie co. Co się z tobą działo, do cholery?

Gemma nie wiedziała czemu, ale gdy usłyszała głos April – tak znajomy, tak Aprilowy – zachciało jej się płakać. Po raz pierwszy pozwoliła sobie pomyśleć, że są bezpieczni. Że nic im nie jest. Jechali polną drogą w stronę cywilizacji, fast

foodów, kiepskiej muzyki i normalnego życia. Przebywanie na mokradłach pozbawiało orientacji jak koszmar, który trzyma człowieka nawet po przebudzeniu. Tyle że tym razem wyciągnęli z koszmaru dwie osoby. Przywieźli dowód na jego realność.

Wzięła głęboki oddech, szybko mrugając oczami, by odgonić łyzy, świadoma, że Jake na nią patrzy.

– To bardzo długa historia – odparła tylko. – Czy moja mama dzwoniła?

– Eee tam, tylko jakieś siedem razy. Powiedziałam jej, że zjadłaś nieświeże sushi i rzygałaś jak kot, a potem poszłaś spać. Mówię ci, Gem, wiesz mi za to coś ekstra, typu darmowe lunche przez miesiąc. A może przez rok. Albo wakacje w Disney Worldzie.

– Okej. – Gemma zamknęła oczy i oparła głowę o siedzenie. Słońce padało jej na twarz, a klimatyzacja pachniała uspokajająco oparami chemicznymi. – Posłuchaj. Czy twoi dziadkowie wyjechali już na tę całą konferencję medyczną?

– To nie konferencja medyczna, tylko odosobnienie zdrowotne.

– No, nieważne. W każdym razie dom będzie pusty przez kilka dni?

– Tak. – W głosie April pojawiła się podejrzliwość. – A co?

Gemma znowu otworzyła oczy. Właśnie wyjeżdżali z terenu rezerwatu przyrody i wracali do Wahlee. Na poboczu stał wóz policyjny, a światła na jego dachu obracały się bezgłośnie. Siedzenie kierowcy było puste. Zastanawiała się, dokąd poszedł ten gliniarz. Poczowała swędzenie na karku, jak gdyby ktoś przeciągał po nim paznokciem. Nie byli bezpieczni. Wcale a wcale.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała, ściskając telefon tak mocno, że ręka jej się spociła. – Dotarłam aż do Haven, April. I uwierz mi, nie zamykam jeszcze mojego rachunku. To dopiero początek.

– Jasna cholera. – Nastąpiła chwila ciszy. – Co takiego znalazłaś?

– Nie co. – W lusterku wstecznym Gemma widziała intrygujący profil chłopaka. – Ale kogo.

10

Gemma miała nadzieję, że gdy dojadą do dziadków April, uda jej się ulokować repliki w domku dla gości, zanim odpowie na jakiekolwiek pytania. Powinna była się jednak domyślić, że April będzie stać w oknie. Gdy tylko zobaczyła samochód Jake'a wjeżdżający na podjazd, wystrzeliła jak torpeda na trawnik przed domem.

– Gemma! – Siła jej uścisku o mało Gemmy nie przewróciła. April cofnęła się, ściskając ramiona przyjaciółki. – Wyglądasz koszmarnie. I – nie omieszkała pociągnąć nosem – cuchniesz.

– Też się cieszę, że cię widzę – mruknęła Gemma. Była zbyt zmęczona, by się obrażać.

April pachniała kremem do opalania i coca-colą. Jej wzrok powędrował do samochodu.

– Czy to... To znaczy... Czy oni są w środku?

Gemma pokiwała głową. April oblizwała usta. Była opalona i wypoczęta, skóra schodziła jej z ramion, dlatego też Gemma, stojąc obok niej, poczuła się, jakby miała tysiąc lat.

– Mówiłaś poważnie? Myślisz, że naprawdę są klonami? Prawdziwymi klonami?

– Nie, fałszywymi – prychnęła, ale zobaczyła, że April jest zbyt podekscytowana, by załapać ironię. – Tak, prawdziwymi – poprawiła się. – A przynajmniej tak mi powiedzieli.

– Nie masz na to dowodu. – April wydawała się rozczarowana. – Nie widziałas, no wiesz, sobowtórów.

Gemma znowu pomyślała o ciele leżącym na mokradłach, o ciele takim jak jej, tyle że dużo chudszy. Nie powiedziała April, że widziała dziewczynę, która musiała być jej klonem, jej repliką. Nie była na to gotowa. Nie, dopóki sama nie zrozumie więcej. Dlatego odparła tylko:

– Myślę, że mówią prawdę. Dlaczego mieliby kłamać? Wychowali się na tej wyspie. Zostali tam zrobieni. Wmówiono im, że nie są pełnowartościowymi ludźmi. Chłopak nawet nie ma imienia, tylko numer. – Tak powiedziała im w samochodzie ta dziewczyna, Lira.

April otuliła się ramionami.

– Boże – westchnęła. Wciąż wpatrywała się w samochód.

Gemma odwróciła się i z ulgą stwierdziła, że słońce pada na niego pod takim kątem, że widać jedynie niewyraźne sylwetki Liry i 72. Przypuszczała, że gdy tylko ludzie się o nich dowiedzą – a to na pewno nastąpi, nie było już szans, by utrzymać prawdę w tajemnicy – mnóstwo osób będzie się na nich gapić.

– Czy mogę ich poznać? Można wypuścić ich na zewnątrz? To bezpieczne?

– To nie są zwierzęta – warknęła, zaskoczona swoim tonem. April wzdrygnęła się i Gemmę ogarnęły wyrzuty sumienia. – Przepraszam. Jestem zmęczona. Oni też.

April nie skomentowała tego.

– A to kto? – Jej wzrok spoczął na Jake’u. Wyglądała, jakby chciała go polizać. Aż dziwne, że ślina nie kapała jej z ust.

– Posłuchaj, najpierw ulokuję ich w domku dla gości, okej? Wtedy pogadamy i wszystko ci opowiem.

– No, ja myślę – odparła April, nie odrywając wzroku od Jake’a. – W końcu ratowałam ci tyłek przez ostatnie dni.

– Wiem – rzekła Gemma. – Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie.

– We wszechświecie – poprawiła ją April.

Gdy wracali z mokradeł, zatrzymali się w Walmarcie, gdzie Gemma kupiła ciuchy, jedzenie i przybory toaletowe. Zapłaciła kartą kredytową, którą dali jej rodzice. Miała nadzieję, że nigdy nie przyglądali się uważnie wyciągom – była to jedna z niewielu korzyści posiadania rodziców, którzy trzymali dziecko na najkrótszej smyczy na świecie i przynajmniej od czasu do czasu czuli z tego powodu wyrzuty sumienia. Umierała z niecierpliwości, by zapytać repliki o Haven, ale brak snu zbyt mocno dawał jej się we znaki. Czuła, że mózg jej się zlasował.

Domek dla gości był chłodny i utrzymany w tonacji plażowych pastelów. Chłopak poruszał się po nim z dużą ostrożnością, jak gdyby bał się, że coś rozbije. Lira przystanęła przed biblioteczką i spoglądała na wypaczone miękkie okładki, tanie romansidła i thrillery z rozmazanymi od starości tytułami, jak gdyby nigdy wcześniej nie widziała książek. Może rzeczywiście nie widziała. Gemma była ciekawa, czy gdzieś się uczyła, czy umie czytać, czy wie, ile jest kontynentów albo że Ziemia kręci się wokół Słońca. Tyle pytań, tyle rzeczy, które musiała zrozumieć.

– Idźcie się przespać – powiedziała im.

Poczuła się spokojniejsza – dojechali do domu April i nikt nie aresztował ich po drodze, nie otoczył ich oddział antyterrorystyczny ani nic w tym stylu. Byli bezpieczni. Mieli czas.

Zostawili repliki same w domku dla gości. Gemma była wykończona, ale gdy tylko wyszli na zewnątrz, Jake – który milczał prawie całą drogę – odezwał się:

– Wiesz, co nie ma dla mnie sensu? Po co ta cała tajemnica? O klonowaniu ludzi marzono od lat. Ledwie udało się sklonować zwierzęta. Większość klonów szybko umiera. Badacze z Haven powinni dostać Nobla. Powinni być gwiazdami na przemowach TED. Powinni być miliarderami, rozumiesz? Więc dlaczego nikomu nie powiedzieli?

– Nie wiem – odparła, gdy mijali basen. Słońce odbijało się od wody i oślepiało. Żałowała, że nie ma na nosie okularów przeciwsłonecznych. – Ale tak jak powiedziałeś, Fine & Ives ma podpisane kontrakty z wojskiem. Zawsze je mieli. Może Haven wykorzystywało klony do testowania leków. W końcu sam myślałeś, że właśnie o to chodzi z tym doktorem Jak-mu-tam, jego sierocińcem i eksperymentami na ludziach.

Klony, o których nikt nie wiedział, o które nikt się nie troszczył – można je było wykorzystywać jako króliki doświadczalne. Nic dziwnego, że dano im numery zamiast imion.

To by też tłumaczyło, skąd jej ojciec znał Richarda Havena, skąd wzięli się na wspólnych zdjęciach i dlaczego tamten wychwalał w wywiadach geniusz Geoffreya Ivesa. To mogłoby wyjaśnić zmianę stosunku jej ojca do placówki i nagłe odejście z firmy zaraz po śmierci Havena, właśnie wtedy, kiedy Fine & Ives zaczęło tam inwestować. Gemma potrafiła sobie wyobrazić entuzjazm ojca, gdy okazało się, że klonowanie ludzi jest możliwe, i jednocześnie jak był zdegustowany, gdy to się rzeczywiście udało. I chociaż miała o nim jak najgorsze zdanie, nie umiała pomyśleć, że ochoczo przystał na testowanie śmiertelnych leków czy toksyn na ludziach, klonowanych czy nie, bez ich zgody. I nie miało to nic wspólnego z empatią. On po prostu za bardzo lubił zasady.

Mimo wszystko, jakkolwiek by na to spojrzeć, jej tata musiał wiedzieć, co naprawdę działo się w Haven. Wiedział, a mimo to odwrócił się do tego plecami. Wycofał się z rodziną do Chapel Hill i odgrodził wysoką bramą, równo przyciętymi trawnikami i pieniędzmi. Mimo tego wszystkiego, co wiedziała o ojcu – o jego oziębłości i że właściwie nie dbał o rodzinę – nie mogła uwierzyć, że tak postąpił. Jak kiedykolwiek na niego spojrzeć?

– Dyrektorem Haven jest doktor Saperstein. Organizacja dobroczynna, którą rozwinął, nazywa się Fundacja Dom – wyjaśnił spokojnie Jake. – Ale robienie testów medycznych na klonach nie ma sensu. Ich stworzenie jest zbyt drogie.

A w końcu Haven zapewniało im dach nad głową, wyżywienie i utrzymywało je w zdrowiu, a przynajmniej przy życiu. To całkiem spora inwestycja, jeśli założymy, że chcieli po prostu naszpikować je lekami.

Miał rację. Za dużo było tego wszystkiego. Nagle zachciało jej się płakać.

– Błagam – jęknęła. – Błagam, czy nie możemy porozmawiać o tym później?

– Jasne. Oczywiście. – Jake spojrzał na nią, jak gdyby jej twarz była łamigłówką, a on starał się ją rozszyfrować.

Gemma miała wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć, więc przyspieszyła, by znaleźć się w domu szybciej od niego. Jake poszedł wziąć prysznic – napalona April bardzo drobiazgowo objaśniała mu, jak działa kran, jak gdyby spodziewała się, że chłopak zacznie się przy niej rozbierać, jeśli tylko da mu trochę czasu – Gemma skorzystała więc z okazji, by zaszyć się w pokoju przyjaciółki, i rzuciła się na jej łóżko.

Nigdy nie była taka śpiąca. Ale gdy tylko wyjęła telefon, zobaczyła kolejne nieodebrane połączenia i esemesy od mamy. Ostatni przyszedł zaledwie piętnaście minut temu. ZADZWOŃ DO MNIE. To była ostatnia rzecz, o której marzyła, ale wybrała numer domowy.

Mama odebrała po pierwszym sygnale. Najwyraźniej warowała przy telefonie.

– Jak się czujesz? – spytała.

– W porządku – odrzekła ostrożnie Gemma. Spodziewała się, że mama będzie bardziej zła.

– April mówiła, że jesteś chora. Próbowałam się dodzwonić do was do domu kilka razy, do tego dzwoniłam do ciebie na komórkę... – W głosie mamy dało się wyczuć podejrzliwość.

Gemma kompletnie zapomniała o historii wymyślonej przez April.

– Ciągłe jestem bardzo zmęczona – powiedziała szybko. To przynajmniej

była prawda. – W zasadzie od kiedy tu przyjechałam, cały czas śpię.

– No to cieszę się, że masz się choć trochę lepiej – odparła mama. – Posłuchaj, rozmawiałam z tatą. Jest naprawdę zaniepokojony... – Serce Gemmy zaczęło bić mocniej. – ... ale przekonałam go, że nie ma sensu, by aż tak spieszył się do domu – dokończyła Kristina.

Gemma odetchnęła z ulgą.

– Zatem zostaje w Szanghaju?

– Był już w Londynie, kiedy udało mi się do niego dodzwonić – wyjaśniła mama. – Zostanie tam przez kilka dni, ma jakieś spotkania. Ale chce, żebyś była już w domu, gdy wróci w sobotę. Wyślę ci później maila z rozkładem lotów.

To więcej, niż Gemma się spodziewała. Była środa. Dawało jej to niemal całe trzy dni.

– Zamierzałam wrócić do domu samochodem z April... – zaczęła, ale mama jej przerwała.

– Nie przeciągaj struny – powiedziała twardszym tonem. – Wrócisz samolotem w sobotę rano i wymyślimy, jak udobruchać ojca. – Gemma znowu poczuła, jak buzują w niej gniew i nienawiść, wywołując pieczenie w gardle. – I wiesz co? Nie próbowałabym dzwonić do niego teraz. Wciąż jest trochę zły.

„Nawet o tym nie pomyślałam”, chciała rzucić do telefonu. Przypomniała sobie jednak o radzie, jaką dała jej mama, i postanowiła nie przeciągać struny.

– Okej – powiedziała. – Kocham cię, mamo.

– No, ja myślę – mruknęła Kristina. Ale się uśmiechała. Gemma słyszała to w jej głosie. Może, pomyślała, mogłyby z mamą gdzieś uciec. Do Kalifornii. Do Paryża. Gdzieś, gdzie ojciec nie mógłby ich odnaleźć. – Ja też cię kocham.

Na łóżku April leżała płatanina ubrań i strojów kąpielowych. Gemma nawet ich nie sprzątnęła, tylko wczłogała się pod pościel w spodniach i podkoszulku. Słyszała wodę płynącą w łazience obok, ale myśl o Jake’u biorącym prysznic – nagim, tuż za ścianą – nie wywołała już rumieńca na jej twarzy ani w ogóle

żadnych uczuć. Kiedy telefon znowu zaczął dzwonić, odebrała go, nawet nie spoglądając na ekran.

– Mamo – odezwała się – muszę się trochę przespać, okej? Nie czuję się najlepiej.

– A to nowość. – To nie była mama, ale Pete. Poznała go po głosie. – Mówiono już do mnie „tygrysie”, „misiu” albo „ciacho”, ale nikt nigdy nie nazywał mnie mamą.

Gemma uśmiechnęła się i poczuła ból na twarzy. Przyłożyła rękę do policzków. Miała wrażenie, że nie uśmiechała się od wielu dni.

– Nie dam się nabrać – rzekła. – Na pewno nikt nigdy nie nazywał cię ciachem.

– No dobra. – Jego głos się zmienił. – O co chodzi? Źle się czujesz? A może tylko za mną tęsknisz?

Przewróciła oczami, zanim przypomniała sobie, że on jej nie widzi.

– Chciałbyś. Przecież to ty zadzwoniłeś do mnie. Co tam?

– Tylko sprawdzam. Chciałem się upewnić, że nie leżysz w jakimś rynsztoku.

– W Barrel Key nie ma rynsztoków.

– Wiesz, o czym mówię. Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Nawet więcej. – Zamknęła oczy i pozwoliła sobie na odprężenie po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin. Łóżko April było miękkie jak puch i rozkosznie pachniało lawendą. – Posłuchaj, mogę zadzwonić do ciebie później? Naprawdę muszę się przespać.

– Długa noc, co? – Choć głos Pete’a dalej brzmiał lekko, Gemma miała wrażenie, że poczuł się urażony.

Ale była zbyt zmęczona na wyjaśnienia. Zamknęła oczy i znowu ujrzała pod powiekami martwą dziewczynę i żuka wędrującego po jej kostce. Wiedziała, że

ciało wzdyma się po śmierci, i wyobraziła ją sobie nadętą jak balon, więc natychmiast otworzyła oczy.

– Można tak powiedzieć – odparła.

– No to już mi lepiej. – Szybko odzyskał swój zwyczajny, radosny ton. – Tylko trzymaj się z daleka od rynsztoków, okej?

– Postaram się – rzekła, a zanim się rozłączył, dodała jeszcze: – Hej, Pete?

– Mhm?

– Dzięki. Po prostu... dzięki. – A potem rozłączyła się, żeby nie zacząć płakać.

Przewróciła się na łóżku i ukryła twarz w poduszce. Kiedy zamknęła oczy, zmusiła się, by skupić się na oczach Pete'a, na jego jasnych rzęsach, na jego zawadiackim uśmiechu i wspomnieniu, jak śpiewał piosenkę razem z radiem, myśląc słowa. Ale jego twarz szybko zlała się z twarzą Jake'a. Pete marszczył brwi, ubrany na czarno, na pogrzebie jej ojca – tyle że gdy spojrzała do trumny, widziała odbicie własnej twarzy, własne ciało pozszywane i poszarzałe pod krzykliwym makijażem oraz usta otwarte jak do krzyku.

Obudziła się zdezorientowana. Dopiero gdy zobaczyła, że słońce zachodzi, uświadomiła sobie, że przespała większość dnia. Czuła się teraz sto razy lepiej, miała jaśniejszy umysł, była bardziej skupiona. Przez kilka minut leżała w łóżku, pozwalając, by serce wróciło do normalnego rytmu, i starając się odsunąć cień straszliwego koszmaru, który wciąż ją oblepiał niczym warstwa potu.

Dlaczego miała nieodparte wrażenie, że już była w Haven, a nawet że przebywała tam przez dłuższy czas? Czy to możliwe, żeby jej tata pozwolił tamtejszym badaczom pobrać DNA swojego jedyne dziecko po to, by stworzyli jej sobowtóra? Czy wykorzystywał córkę i ukrywał prawdę przed żoną? To była straszna myśl, nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek mógłby zrobić coś takiego, nawet jej ojciec.

Nadszedł czas, by znaleźć odpowiedzi.

W łazience opryskała twarz zimną wodą i wyszorowała zęby palcem, zanim przypomniała sobie, że ma w plecaku szczoteczkę. Zastała Jake'a siedzącego samotnie w kuchni przed laptopem. Podniósł się, gdy ją zobaczył, a potem zaraz usiadł. Zdała sobie sprawę, że jest zdenerwowany i że sprawiła to jej obecność. Czy to dlatego, że było mu żal Gemmy? A może się jej bał?

– Gdzie April? – spytała, nalewając sobie do szklanki wody z kranu. Wypiła ją duszkiem. Miała wrażenie, że zmywa wciąż palący ją w gardle smak mokradeł.

– Wyszła – odparł, rzucając jej uśmiech, który mógłby ozdobić tysiące memów. Co dziwne, to Pete'a chciałaby teraz zobaczyć. Pete należał do jej życia Przed. – Zadawała mi mnóstwo pytań, ale nie byłem pewny, co mogę powiedzieć, a czego nie. Myślę, że się mną zmęczyła.

Wzruszył ramionami, a Gemma powstrzymała się przed komentarzem, że w to wątpi. Bardziej prawdopodobne było to, że April wyszła, by nie zamęczyć go swoją nachalnością na śmierć.

– Spałaś? – zapytał.

Potaknęła. O mało nie opowiedziała mu o swoim koszmarze.

Odsunęła krzesło, usiadła naprzeciwko niego i podparła podbródek na rękach.

– A ty? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Szukałem informacji na temat wybuchu. Próbowałem ustalić, co się tak naprawdę wydarzyło. – Skrzywił się. – Nie uwierzysz w to.

– Dawaj – powiedziała. Dwadzieścia cztery godziny temu nie uwierzyłyby w istnienie ludzkich klonów ani w to, że będzie wiosłować w kajaku przez pokryte popiołami mokradła, próbując się dostać do czegoś, co może być bazą wojskową, i że gdzieś w świecie była dziewczyna, która wyglądała tak jak ona. Teraz uwierzy już we wszystko.

– Kobieta, która okleiła się materiałami wybuchowymi...

– Anielski Ogień. – Gemma pamiętała ten pseudonim z wiadomości, która przyszła na skrzynkę „Z archiwum Haven”.

Skinął głową.

– Tak jest. Anielski Ogień. Zostawiła plecak w Barrel Key. Może rozbiła tam na noc biwak, nie wiem. W każdym razie w tym plecaku znaleziono wydrukowaną każdą jedną stronę „Z archiwum Haven”. – Wyglądał, jakby go lekko mdliło. – Strona ciągle się tnie.

Na dzień jej żołądka zaległo się złe przeczucie, miała wrażenie, że ktoś zacisnął pięść wokół jej wnętrzości.

– To niedobrze, Jake – stwierdziła. – Policja wkrótce się o ciebie upomni.

Roześmiał się, ale w tym śmiechu nie było radości.

– Już to robi. Mam na poczcie głosowej dwa nieodebrane połączenia od jakiegoś detektywa z policji.

– I co teraz zrobisz? – spytała.

Jake zaczął układać rzeczy na stole i wyrównywać krawędzie tak samo jak w restauracji. Najwyraźniej tik nerwowy.

– Nic mi nie będzie – odparł, choć nieprzekonującym tonem. – Przecież nie miałem z tym nic wspólnego. Nie mogą mnie o nic obwinić.

Gemma chciałaby wierzyć, że rzeczywiście tak jest.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, co się stało z Richardem Havenem.

Jake westchnął i zamknął laptopa. Przez krótką chwilę wyglądał, jakby przybyło mu lat.

– Został zabity – rzekł. – Zaledwie kilka lat po wybudowaniu Haven. Miał wypadek samochodowy, kiedy był na urlopie w Palm Beach. – Przypomniało jej się, jak czytała o śmierci Richarda Havena, gdy po raz pierwszy szukała informacji o instytucie. Teraz miała wrażenie, że to było w innym życiu. –

Większość havenitów nie uważa, że to był wypadek.

– Havenitów? – powtórzyła, a Jake się zarumienił.

– Przepraszam – powiedział. – Tak nazywają się pasjonaci Haven. Mój tata był największym havenitą pod słońcem.

Gemma próbowała to sobie przyswoić.

– A więc to było morderstwo? Kolejne morderstwo?

Z tego by wynikało, że ojciec Jake’a, siostra M, kimkolwiek była, i Richard Haven – oni wszyscy stali się ofiarami morderstw upozorowanych na wypadki albo samobójstwa.

– To było w biały dzień – zaczął Jake. Oparł się na krzesło. – Nie było deszczu, złych warunków pogodowych ani niczego podobnego. Położenie samochodu i miejsce, w którym zjechał z drogi, wskazywały na to, że Richard Haven musiał nagle skręcić, by kogoś ominąć. Ale nigdy nie odkryto kogo.

– Tyle że to nie ma sensu – zaprotestowała. – Tamta kobieta, pielęgniarka, która popełniła samobójstwo...

– Siostra M – dopowiedział Jake.

– Właśnie. No więc ona groziła, że wyzna wszystko publicznie, prawda? Twój tata miał przeprowadzić z nią wywiad. – Jake skinął głową. – Można więc zrozumieć, dlaczego uznano ją za zagrożenie. Ale Richard Haven założył instytut. Nie chciałby, żeby go zamknięto czy narażono jego imię na szwank.

Jake potarł oczy.

– Tyle wiemy – powiedział. – Ale właśnie w tym rzecz. Nie wiemy wszystkiego. Richard Haven był zaangażowany w to przedsięwzięcie od samego początku, zanim wmieszało się w to wojsko za pośrednictwem Fine & Ives. Może zaczął mieć wątpliwości. Może chciał się wycofać z całej tej umowy. A może po prostu zapragnął uznania za dzieło swojego życia. Mogły istnieć tysiące powodów, dla których stał się niebezpieczny.

Gemma przyswajała to sobie w ciszy. Za oknem słońce tonęło za dachami

domów, zostawiając za sobą smugę czerwieni jak krwawy odcisk ręki. Wstała.

– Chodź – rzekła. – Pora obudzić nasze śpiące królewny.

Domy w tej dzielnicy stały jeden obok drugiego. Z lotu ptaka musiało to wyglądać jak szachownica dachów, basenów i pękatych krzewów gardenii. Gemma czuła dochodzący skądś zapach grilla i słyszała hałas telewizora z pobliskiego domu. Dziwnie było pomyśleć o tych wszystkich ludziach znajdujących się niemal tuż obok, przygotowujących kolację, oglądających Netflixa albo martwiących się o rachunki, zupełnie nieświadomych eksplozji, która przeorała jej życie.

Poczuła się bardzo samotna.

W domku dla gości było ciemno. Repliki wciąż spały. Gemma słyszała chrapanie chłopaka. Przymknęła drzwi sypialni i stwierdziła, że jeśli chce poznać prawdę o Haven, musi zacząć od wkupienia się w ich łaski, zyskania ich zaufania. Przeszukała szafki, aż znalazła garnek.

– Co ty robisz? – spytał Jake.

– Nie słyszałeś? – Gemma zaczęła otwierać puszki z chili, które kupiła w Walmarcie. – Najszybsza droga do czyjegoś serca wiedzie przez żołądek.

Jake się uśmiechnął.

– Tak, no jasne. To dlatego policja karmi zatrzymanych podczas przesłuchań. – Na głowie sterczał mu śmieszny kosmyk i na ten widok Gemmie z jakiegoś powodu zrobiło się smutno.

To było takie normalne. Wiedziała, że już nigdy nie poczuje się normalna, przenigdy.

Zawsze żartowała, że czuje się jak kosmitka, ale dotarło do niej, że aż do dzisiaj nie miała pojęcia, co to znaczy.

– Nie będziemy ich przesłuchiwać. Będziemy z nimi rozmawiać. A to różnica. – Kuchenka prychała przez kilka sekund, zanim się zapaliła. – Czy

mógłbyś włączyć światło? Nic nie widzę.

Pokój rozjaśnił się i nabrał kształtów, a jego wystrój pokrzepiał swoją zwyczajnością: na ścianie wisiały zdjęcia muszelek, w części kuchennej zaś znak z napisem „Tędy na plażę”. Jake podszedł do małego starego sekretarzyka z roletą, jedyne mebla w całym tym salonie połączonym z kuchnią, który nie był biały ani związany tematycznie z plażą. Nagle głośno wciągnął powietrze do płuc, jak gdyby właśnie ujrzął węża.

– Co jest? – spytała Gemma. – Co się stało?

Jake podniósł szarą teczkę, która Gemmie kojarzyła się z kartotekami dentystycznymi.

– To raport medyczny z Haven. – Uniósł wzrok. Jego oczy znowu płonęły tym ciemnym blaskiem, który pochłaniał światło, zamiast je odbijać. – Musieli go zabrać ze sobą.

Ruszył z raportem do kanapy i znowu włączył komputer. Gemma podeszła do niego, by też rzucić okiem. Teczka była rozczarowująco cienka – zawierała tylko jeden arkusz, zapisany z obu stron. Jednak to było coś. Pochyliła się i zaczęła czytać. Nagłówek głosił: *Formularz 475-A. Zezwolenie i raport toksykologiczny. Model ludzki 576.*

– Co to znaczy? – spytała.

Cały ten raport równie dobrze mógł być napisany w obcym języku. W każdym zdaniu roiło się od słów takich jak „nadkonwersja” czy „upośledzenie neuronowe” albo od dziwnych znaków podobnych do wzorów chemicznych, typu vCJD-12 lub pR-56.

– Zapytajmy wyroczni – powiedział Jake. – Google – wyjaśnił, kiedy spojrzała na niego zdziwiona.

Usiadła z boku na oparciu kanapy, ponieważ gdyby nachyliła się choć trochę bardziej, musiałaby wdychać jego zapach, woń mydła i ciepło jego skóry, co by ją rozpraszało. Ale czuła się dziwnie w tej pozycji, nienaturalnie i niezdarnie, jak

nadmuchana lalka, więc podeszła z powrotem do kuchenki, by się czymś zająć.

Kiedy otwarły się drzwi sypialni, odwróciła się przestraszona. Lira wyglądała dużo lepiej niż na mokradłach. Była ładna mimo ziemistej skóry i wystających kości policzkowych. Ale było coś przerażającego w jej spokoju i twarzy zupełnie pozbawionej wyrazu, jak gdyby była wyzuta z wszelkich uczuć, jak gdyby była wydrażona niczym lalka.

Gemma wlała chili do miski.

– Masz. – Jej głos zabrzmiał w tej ciszy jakoś nerwowo. – Chili. Z puszek. Wybacz, nie umiem gotować. Powinnaś jeść.

Lira jej nie podziękowała. W ogóle nic nie powiedziała. Nawet nie usiadła. Spojrzała tylko na miskę i mechanicznie zabrała się do jedzenia. Krzywo trzymając łyżkę, przyłożyła naczynie do ust i zaczęła pakować sobie chili bezpośrednio do otwartej buzi. Dziwnie było patrzeć na tak delikatną dziewczynę jedzącą w ten sposób, jakby była prasą do odpadów. Ale paradoksalnie Gemma bardziej ją za to polubiła.

– Zakaźne encefalopatie gąbczaste – powiedział Jake i Gemma się wzdrygnęła. – Wreszcie byli blisko poznania prawdy. Nagle cały lęk ją opuścił. Było to jak stanie na szczycie bardzo stromego pagórka i puszczenie się w dół na sankach. Nie pozostawało już nic, tylko jazda. – To kategoria chorób. Choroba wściekłych krów również do niej należy.

– Okej. – Gemma z powrotem usiadła obok Jake'a na kanapie. Wołała tak, niż stać obok Liry, żywego dowodu chorych eksperymentów, które przeprowadzano w Haven. – Ale co to oznacza?

– Nie wiem. – Jake potarł czoło, jak gdyby bolała go głowa. – W raporcie są o tym tylko wzmianki.

Lira z brzękiem odłożyła miskę. Gemma podniosła wzrok i zobaczyła, że dziewczyna znieruchomiała.

– Nie powinniście tego czytać – rzuciła.

Gemnę zastanowiła jej lojalność wobec Haven. Czy chciała chronić tamtejsze tajemnice?

– Dlaczego? – spytał ją Jake. – Ukradłeś ją, prawda?

– Tak – odparła Lira spokojnym głosem. – Ale to co innego.

– Przecież już jej nie potrzebują. Całe to miejsce jest teraz kupą gruzu.

– Jake – skarciła go Gemma.

Lira się skrzywiła.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Przepraszam. Ale przecież to prawda. – Wcale nie brzmiał, jakby mu było przykro. Brzmiał, jakby był zły.

I Gemma wiedziała, jak się czuł. Jeśli nawet ułamek tego, co podejrzewali na temat Haven, był prawdą, cieszyła się, że to miejsce zostało zrównane z ziemią. Znowu pochyliła się nad raportem, starając się rozszyfrować dziwną terminologię medyczną i skróty. W gąszczu pojęć, których nie była w stanie zrozumieć, zauważyła powtarzające się odniesienia do modelu ludzkiego 576: „generacja siedemnasta, żółta gromada”.

– Lira, wiesz, co to znaczy? – spytała łagodnym tonem. Lira wciąż stała nieruchomo przy zlewie, jak gdyby czekała, aż ktoś jej powie, co ma robić. Może rzeczywiście na to czekała. – Pacjent, to znaczy replika... – Podniosła wzrok, zastanawiając się, czy użyła tego terminu prawidłowo. Po chwili dziewczyna dyskretnie skinęła głową. – Należała do żółtej gromady.

– Żółte umarły – odparła Lira, a Gemnę zmroziło. Było coś przerażającego w jej rzeczowym tonie. – Była ich jakaś setka – kontynuowała – wszystkie z młodszych miotów. – Mogłaby mówić teraz o czymkolwiek. O zakupach. O pogodzie. O papierze toaletowym. – Mioty oznaczają różne generacje. A kolory oznaczają gromady. Ja należę do trzeciego miotu, zielonej gromady. – Podniosła rękę i Gemma zobaczyła zieloną szpitalną opaskę, po raz pierwszy tak naprawdę ją zobaczyła. – Musieli popełnić jakiś błąd z Żółtymi. Czasami tak

się zdarza. Popełniają błędy. Różowe także poumierają.

– Wszystkie? – zapytał Jake.

Lira kiwnęła głową.

– Zachorowały.

– O Boże. – Według raportu model ludzki 576 miał nieco ponad roczek, gdy zmarł. – Tutaj jest napisane, że miała zaledwie czternaście miesięcy – jęknęła Gemma, ponieważ z jakiegoś powodu potrzebowała wymówić te słowa na głos, pozbyć się ich z piersi, gdzie boleśnie tkwiły. Nie okaz. Dziecko. Maleństwo z okrągłymi policzkami i drobnymi rączkami, które chciały chwycić wszystko wokół. Gemma od zawsze uwielbiała małe dzieci. Kto ich nie lubi?

– Powiedziałaś, że kolory oznaczają gromady – rzekł powoli Jake. – Gromady czego?

Lira wzruszyła ramionami.

– Istnieją różne gromady, a my dostajemy różne warianty.

– Warianty czego? – Jake nie dawał za wygraną, ale Gemma nie była pewna, czy chce poznać odpowiedź.

Przez chwilę Lira wyglądała niemal na poirytowaną.

– Leku – powiedziała tak ostro, że Jake spojrzał na nią zdziwiony.

– Popatrz, Jake. To jest podpisane przez doktora Sapersteina, tak jak mówiłeś. – Gemma miała ochotę wziąć nożyczki i pociąć jego nazwisko na kawałki, jak gdyby mogła w ten sposób zranić tego człowieka.

Pod podpisem doktora Sapersteina – który był ostry, kanciasty i pasował do wyobrażenia Gemmy, że był to człowiek twardy i bezduszny, ktoś, z kogo wydrążono wszystkie ludzkie uczucia – widniał też podpis pielęgniarki Emily J. Huang.

– Doktor Saperstein nadzoruje rozwój nowych miotów – rzekła Lira, a Gemma starała się nie krzywić na dźwięk słowa „mioty”. Zaskoczyło ją, gdy

Lira sama do nich podeszła. Nie usiadła, ale pochyliła się nad nimi. Może umiała czytać. Jej spojrzenie biegło we właściwym kierunku. Gemma uważała czytanie komuś przez ramię za potwornie irytujące, ale bała się zrobić cokolwiek, żeby nie odstraszyć Liry. – Podpisuje wszystkie świadectwa zgonu. – Ze zdziwieniem zaobserwowała, że Lira uśmiecha się lekko. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcem nazwiska Emily Huang, ostrożnie, jakby to było coś delikatnego, biedronka albo motyl. – Siostra Em też to podpisała.

Siostra Em. W umyśle Gemmy pojawił się błysk. Oparła się o kanapę i zamknęła oczy. Pod powiekami zobaczyła biel, jak gdyby wpatrywała się w słońce, a na jej tle przewracające się sylwetki krzyczące do niej bezgłośnie.

– Siostra Em – powiedziała na głos, by sprawdzić, jak to brzmi. Tak.

– Jasna cholera – zaklął Jake i wiedziała, że on też to zrozumiał.

Emily J. Huang.

Siostra M.

Gemma odczuwała klaustrofobiczny lęk nawet po wyjściu na zewnątrz. W salonie, tym małym jasnym pudełku, miała wrażenie, że sufit zaraz się na nią zawali – i przez chwilę nawet chciała, by tak się stało. Uklęknęła i zanurzyła głowę w basenie, oszałamiająco zimnym. Po chwili wyjęła ją, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Nie przejmowała się tym, że woda spływa jej z włosów na bluzę od dresu. Wciąż czuła wokół okropne ciśnienie, jak gdyby niewidzialna ręka starała się ją wcisnąć do ciasnego foliowego worka. Wiedziała jednak, że tak naprawdę to ciśnienie pochodzi z wewnątrz, wywoływał je ciężar prawdy i tego wszystkiego, co odkryli z Jakiem.

„Proście, a będzie wam dane”.

Chcieli wiedzieć dlaczego i oto się dowiedzieli. Ale teraz czuła, że jej umysł coraz bardziej oddala się od prawdy jak rozpedzona kula bilardowa. Natykała się na kolejne tajemnice, na nowe pytania bez odpowiedzi: Co naprawdę przydarzyło się Emily Huang? Dlaczego opuściła Haven? Czy rzeczywiście zamordowano ją po to, żeby nie mogła porozmawiać z tatą Jake’a?

Jake pojechał do domu, obiecawszy, że zadzwoni później. Tak było lepiej. Potrzebowała odpocząć od niego, od tego, czego się razem dowiedzieli. Był w to uwikłany. Już na zawsze będzie jej się kojarzył z mokradłami, z replikami, z tą straszną chorobą, która się w nich rozwija.

W domku dla gości paliło się światło, Gemma widziała więc przez okno Lireę i 72 siedzących razem na sofie, a w każdym razie jedno obok drugiego. Każde z nich wydawało się zamknięte w kokonie własnej przestrzeni, zupełnie odrębne, zupełnie inne. Zastanawiała się, czy byli świadomi, że ich obserwuje, czy

w ogóle się tym przejmowali. Pewnie byli przyzwyczajeni, że inni na nich patrzą. Nie umiała sobie wyobrazić, przez co przeszli, i aż zadrżała na wspomnienie tego, jak rzeczowo Lira opowiadała o wszystkich tych dzieciach z żółtej gromady, które umarły – jak gdyby mówiła o koszeniu trawnika albo wywożeniu śmieci.

Czuła się jak w pułapce. Nie byłaby teraz w stanie spojrzeć w oczy replikom. Ale nie byłaby też w stanie spojrzeć w oczy April, która co dwie minuty pojawiała się w kuchennym oknie i przykładała twarz do szyby, by wyjrzeć na zewnątrz. Najwyraźniej nie mogła się doczekać, by zobaczyć repliki, ale jednocześnie robiła, co mogła, by – na prośbę Gemmy – uszanować ich prywatność.

Gemma wiedziała, że zachowuje się nie fair – poprosiła April o pomoc i nic jej nie powiedziała – tyle że im więcej się dowiadywała, tym bardziej wydawało się to niemożliwe do wyjaśnienia. Bała się wypowiedzieć te słowa głośno. Miała wrażenie, że spalą jej struny głosowe, wywołają pęcherze na języku albo inne trwałe uszkodzenia. W tej chwili wołałaby, żeby jej noga nigdy nie powstała na Florydzie, by nigdy w ogóle nie usłyszała o Haven. Wyobraziła sobie jedzenie na wynos z Whole Foods, wielką kanapę i ojca w bezpiecznej odległości na drugim krańcu świata. Kristinę na haju wywołanym pigułkami na sen. April wysyłającą jej na Snapchacie zdjęcia śmiesznych psów, które napotkała na Florydzie. Nawet cholerną Chloe DeWitt i jej zgraję chudych, jędzowatych wilczyc. Oddałaby wszystko, żeby jej największym zmartwieniem znowu była Chloe.

Ale to było niemożliwe. Usiadła na wysłużonym leżaku i wstukała w wyszukiwarkę w telefonie „Emily J. Huang”. Było to popularne nazwisko. Spróbowała więc z „Emily J. Huang pielęgniarzka” i od razu wyświetlił się nekrolog sprzed czterech lat. Towarzyszyło mu zdjęcie ładnej, uśmiechniętej kobiety o azjatyckich rysach. Pogrzeb – w pierwszym kościele episkopalnym w Palm Grove. Wcześniej Gemma widziała na autostradzie zjazd na tę miejscowość.

Emily J. Huang niedawno wróciła z siedmioletniego wyjazdu z Lekarzami bez Granic – w odległych zakątkach świata pracowała jako wolontariuszka i pomagała społecznościom, którym doskwiera brak fachowej opieki medycznej...

Musiła wymyślić tę historyjkę dla swoich znajomych i rodziny, gdy pracowała w Haven. Nic dziwnego, że nigdy nie odkryto tożsamości siostry M – Emily zadbała o to, by oddzielić życie osobiste od zawodowego.

... a wcześniej pracowała jako kierownik personelu w organizacji charytatywnej, która umieszczała dzieci z rodzin patologicznych w stabilnym środowisku...

Gemma przeczytała to zdanie po raz drugi, a potem trzeci. Jake wspomniał, że doktor Saperstein rozwinął organizację charytatywną, która zajmowała się szukaniem dla dzieci rodzin zastępczych. Czy mógł to być zbieg okoliczności? Wrzuciła w Google jednocześnie „Emily J. Huang” i „Fundacja Dom” i aż ją zatkało. Wyskoczyły setki artykułów, większość z gazet albo blogów kryminalnych. Jeden z pierwszych, z gazety z Miami, ukazał się zaledwie pół roku przed nekrologiem. Ilustrowało go zdjęcie Emily Huang, jak opuszcza komisariat policji, zasłaniając twarz rękami przed obiektywami aparatów. Gemma wyjęła notes z plecaka i zaczęła robić notatki, mając nadzieję, że wyłoni się z tego jakiś wzór.

Prokurator stanowy odmówił wniesienia oskarżenia przeciwko Fundacji Dom, chociaż wstępne śledztwo wykazało, że pewna liczba jej podopiecznych zaginęła, będąc pod jej kuratelą. Źródła podają różne dane, szacuje się, że doszło od dwudziestu pięciu do ponad dwustu takich przypadków, począwszy od 2001 roku przez następne trzy lata, czyli w okresie szybkiego rozkwitu fundacji, który zaowocował jej rozwojem na skalę krajową i umocnieniem na pozycji najbardziej prężnej i mającej najlepsze wsparcie finansowe organizacji charytatywnej w kraju. Kilkoro krewnych dzieci, które podobno zostały objęte opieką fundacji, zarzuciło organizacji nadużycie, zaniedbanie i oszustwo. Jedna

z osób wniosła nawet oskarżenie o porwanie.

– Po dokładnym zbadaniu zgłoszonych przypadków i mając na względzie to, że Fundacji Dom udało się znaleźć rodziny dla tysięcy dzieci w całym kraju, nie widzimy przesłanek do kontynuowania śledztwa – oznajmił zastępca prokuratora stanowego Charles Lanski.

Fundacja Dom wydała tylko jedno oświadczenie, w którym określa oskarżenia jako „niedorzeczne i wysane z palca”. Na początku nie odpowiadała na prośby o dalsze komentarze. Później jednak Megan Shipman, rzecznik fundacji, wystosowała w tej sprawie mail:

„To bardzo smutne, że oskarżenia kilku osób borykających się z osobistymi problemami podważają dwadzieścia lat pracy organizacji, która umieściła ponad dwa tysiące dzieci w bezpiecznych i szczęśliwych domach. Kto patrzy na te oskarżenia w szerszym kontekście, widzi, że są to tylko próby żerowania na ludzkiej tragedii w celu uzyskania korzyści finansowych”.

Każdy z trojga oskarżycieli był w czasie, kiedy rzekomo doszło do tych wydarzeń, pod wpływem substancji odurzających. Sarah Mueller była zaledwie dziewiętnastoletnią, uzależnioną od kokainy dziewczyną, kiedy kobieta podająca się za przedstawicielkę Fundacji Dom zaproponowała jej dwa tysiące dolarów za tymczasową opiekę prawną nad jej córeczką Diamond.

Mueller, mieszkająca obecnie w rządowym ośrodku resocjalizacji, powiedziała „Highland News”:

– Nie sądziłam, że to na zawsze. Myślałam, że odzyskam córkę, gdy tylko będę czysta.

Ale gdy wreszcie odstawiła narkotyki, po długim okresie wypełnionym bezdomnością, pobytami w więzieniu i ośrodkach resocjalizacji, okazało się, że w dokumentach Fundacji Dom nie ma żadnego śladu po Diamond.

Historia Mueller jest zagadkowo zbieżna z opowieścią Fatimy „Tiny” Aboud, która miała dwadzieścia lat, gdy kobieta podająca się za pielęgniarkę z Fundacji

Dom zapukała do jej drzwi. Aboud twierdzi, że zaproponowano jej trzy tysiące dolarów za jej syna, który miał wówczas dwa lata. Kobieta, cierpiąca na schizofrenię, zgodziła się, bo wierzyła, że jeśli tego nie zrobi, po jej dziecko przyjdzie CIA. Dziesięć lat później, kiedy dzięki lekom jej stan się poprawił, próbowała odnaleźć syna Benjamina, ale namierzenie go okazało się niemożliwe.

Ostatnim z oskarżycieli jest Rick Harliss, którego historia wydaje się najbardziej pogmatwana. „Highland News” dotarło do informacji, że Harliss, trudniący się dorywczo pracami fizycznymi, przebywał w więzieniu na skutek oskarżenia wniesionego przez swojego byłego pracodawcę Geoffreya Ivesa, byłego współwłaściciela farmaceutycznego giganta Fine & Ives.

Gemma poczuła, że wszystko się w niej kotłuje. Słowa rozmazały jej się przed oczami. Zamrugła, by znowu widzieć je wyraźnie. Nazwisko jej ojca wciąż tam było.

Harliss zostawił córkę pod opieką swojej byłej żony Aimee (zmarła kilka lat temu). Twierdziła ona, że ich córka Brandy-Nicole została porwana z samochodu, kiedy ona robiła zakupy. Ale Harliss nabrał podejrzeń, gdy jego żona zaczęła podawać różne wersje wydarzeń i kiedy zauważył, że weszła w posiadanie dużej sumy pieniędzy w czasie, kiedy Brandy-Nicole zniknęła.

Gdy ponad rok temu „Highland News” opublikowało oskarżenia Sarah Mueller, Rick Harliss rozpoznał dwoje ludzi ze zdjęć personelu Fundacji Dom, w tym pielęgniarkę Emily J. Huang, którą, jak twierdzi, widział kilka razy w towarzystwie swojej byłej żony.

Dodatkową trudnością w dochodzeniu do prawdy – i podważającą prawdziwość tych oskarżeń – jest fakt, że Sarah Mueller i Fatima Aboud mogły się wcześniej znać. Obie kobiety przebywały w rządowym ośrodku resocjalizacji w tym samym czasie, chociaż jego pracownicy nie przypominają sobie, żeby się ze sobą przyjaźniły...

Gemma przestała czytać. W głowie znowu jej szumiało. Nie mogła znaleźć

w tym żadnego sensu. Rick Harliss pracował kiedyś dla jej rodziny. Dlaczego go nie pamiętała? Pewnie była wtedy bardzo mała. Ale w jaki sposób historia zaginionych dzieci wiązała się z Haven, z klonami, z fundacją, z jej ojcem?

Była pewna jedynie tego, że takie powiązanie istniało. Jake na początku twierdził, że w Haven przeprowadzano eksperymenty medyczne na sierotach – i miał rację w pięćdziesięciu procentach. Ale dlaczego mieliby porywać dzieci, jeśli Haven produkowało też klony?

Szukała dalej i dowiedziała się, że do większości domniemyanych zniknięć doszło przez trzy lata, dokładnie w tym samym czasie, kiedy jej ojciec procesował się ze swoim byłym partnerem. Podsumowując, fakty były takie: doktor Saperstein przejął zarządzanie instytutem w tym samym roku, w którym zmarł Richard Haven, przypuszczalnie zamordowany. Mniej więcej wtedy jej ojciec wniósł pozew dotyczący kontroli nad firmą, prawdopodobnie dlatego, że jego partner chciał inwestować w Haven. I przegrał.

W tym samym czasie doktor Saperstein był zajęty „gubieniem” dzieci za pośrednictwem swojej fundacji – najprawdopodobniej uprowadzał je w jakimś strasznym celu. Wówczas Fine & Ives wkroczyło do akcji, przejęło Haven, przynajmniej finansowo, i instytut zaczął masowo hodować klony do swoich chorych badań.

Jej tata powiedział: „wystarczy podążać za pieniędzmi”. Była pewna, że brakowało jej jakichś informacji i że miało to związek z forszą, z przepływem gotówki od wojska do Fine & Ives i Haven.

Wpisła w Google „Rick Harliss”, ale chociaż kilka razy wspomniano o nim w artykułach związanych z Fundacją Dom, musiał skutecznie unikać fotografów. Znalazła Ricka Harlissa – prawnika w Tallahassee oraz Ricka Harlissa – trenera personalnego, ale nie mogła znaleźć ani jednego zdjęcia Ricka Harlissa, który wierzył, że jego córka Brandy-Nicole została sprzedana fundacji. A potem, przypomniawszy sobie, że facet siedział w więzieniu, dodała do wyszukiwania

frazę „zdjęcie policyjne”. Niemal natychmiast została przekierowana na stronę o adresie wymyślonym bez polotu: zdjeciapolicyjne.com.

Na dwie–trzy sekundy jej serce przestało bić.

Na zdjęciu był młodszy i choć oczy miał zaczerwienione, a wyraz twarzy zaciekły, z pewnością można go było uznać za przystojnego mężczyznę. Pomyślała o jego cuchnącym kawą oddechu i długich tłustych włosach. Strasznie się postarzał. Ale mimo tych wszystkich różnic nie miała wątpliwości, że to on.

Facet ze stacji benzynowej. „Co wiesz o Haven?” Przypomniało jej się, że miała wrażenie, że to ktoś znajomy. Pamiętała go mgliście, a teraz już wiedziała skąd. Pracował dla jej ojca. Pewnie był jednym z tych ciągle zmieniających się ludzi, którzy zajmowali się terenem wokół budynku, czyścili basen albo malowali dom.

Zawsze wszystko wracało do jej ojca i do Haven. To było jądro tajemnicy, pierwotny rak, guz, który dokonywał przerzutów, tworząc setkę innych tajemnic.

– Gemma?

Podniosła wzrok. Nie słyszała, jak April wychodziła na zewnątrz. Szybko włożyła telefon do kieszeni, jak gdyby z drugiej strony basenu przyjaciółka mogła cokolwiek dojrzeć.

– Co robisz na zewnątrz? – April zmarszczyła brwi i strząsnęła grzywkę z oczu.

– Nic. Rozmyślałam. A raczej starałam się nie myśleć. – Gemma się podniosła. Dystans dzielący ją od April nagle wydał się przeogromny.

– Obiecałaś mi wszystko wyjaśnić – rzekła przyjaciółka ściśniętym głosem.

– Wiem. Przepraszam. – Gemma potarła czoło. – Wciąż sama to rozgryzam.

April zeszła z werandy. Była boso, już przebrana do snu w bawełniane szorty i obszerny podkoszulek. Gemmę uderzyło w tej chwili, jak normalnie April wygląda: opalona, wypoczęta, piękna. Często mówiły, że są kosmitkami, przedstawicielkami innego gatunku wyrzuconymi na tę planetę, by cierpieniem

wśród ludzi zapłacić za zbrodnie popełnione w poprzednim życiu na rodzimej planecie. Ale April nie była kosmitką. Ona była stąd.

I przez ułamek sekundy Gemma jej nienawidziła.

– No więc? – April zatrzymała się kilka kroków od niej i objęła się ramionami. Nie uśmiechała się. – Słucham.

Gemma odwróciła wzrok, zawstydzona. April jej pomogła. April zawsze jej pomagała. Ale jak miała zacząć opisywanie tego, co widziała? Jak mogła opowiedzieć o tej drugiej Gemmie, jej bliźniaczce rodem z koszmaru? To brzmiało jak scenariusz horroru.

– Haven wykorzystywało repliki – zaczęła, ponieważ był to równie dobry punkt wyjścia jak każdy inny. – Tworzyli je z konkretnego powodu. Wydaje nam się, że w Haven zakażano je pewną chorobą – dodała szybko, bojąc się, że zaraz opuści ją odwaga.

– Chorobą? – powtórzyła April. Gapiała się na Gemmę z otwartym ustami. – I sprowadziłaś je tutaj?

– To nie jest tak zaraźliwe jak grypa. – Gemma na myśl o tym poczuła mdłości. Miała nadzieję, że to prawda. Nie do końca rozumiała to wszystko, co czytał jej Jake.

Chłopak, 72, wydawał się w porządku, niemal normalny. Ale widziała, że dziewczyna ma problemy z równowagą. Jak przeczytał Jake, zaburzenia motoryki były jednym z pierwszych objawów tej choroby.

– Można się nią zarazić tylko przez przeszczep organów lub tkanek albo przez ich spożycie – dodała. – I zaczyna działać dopiero po kilku latach. To jak choroba szalonych krów albo alzheimer, albo coś podobnego.

– Dziadkowie by mnie zabili – mruknęła April i w Gemmie znowu zawrzała gniew: tuż obok przebywali ludzie, na których przeprowadzano jakieś chore eksperymenty, a jedyną rzeczą zaprzatającą myśli April były problemy z dziadkami? – A tak w ogóle: jak myślisz, co oni tam robią?

– Nie wiem.

Kiedy Gemma się odwróciła, stwierdziła, że nie ma ich już w salonie. Musieli przejść do kuchni albo do sypialni, bo nie było ich widać. Może to głupie, ale cieszyła się z tego. Nie chciała, by April ich zobaczyła. Nie zasługiwała na to.

– Nie wiem. Jedzą. Śpią. Próbują się odprężyć. Pewnie robią to, co normalnie robią ludzie.

April roześmiała się w sposób, który nie spodobał się Gemmie – jak gdyby opowiedziała jakiś dowcip.

– Jesteś pewna, że nas nie zarażą?

– Chyba że zabawisz się w zombie i zjesz ich mózgi – rzuciła z przekąsem, ale April kiwnęła głową, jakby rzeczywiście ją to uspokoiło. Wciąż wpatrywała się w domek dla gości.

Szklanka wody i otwarta puszka coli na ławie były jedynymi śladami tego, że ktoś tam w ogóle przebywał.

– Potrafią rozmawiać i w ogóle? – zapytała April. – I jedzą normalne jedzenie?

– Tak, potrafią rozmawiać i w ogóle. – Ton jej głosu stawał się coraz bardziej agresywny, ale wcale się tym nie przejmowała. – To są ludzie. – Jeśli kiedykolwiek brała pod uwagę, że mogłaby powiedzieć April o dziewczynie ze swoją twarzą, teraz już wiedziała, że nigdy tego nie zrobi. To było niemożliwe.

– Okej, okej. Jezu. Uspokój się. – April przewróciła oczami, jak gdyby to Gemma zachowywała się niedorzecznie. – Wybacz, jeśli nie jestem ekspertem od klonów.

– Od replik – odruchowo poprawiła ją Gemma. – Nie lubią, kiedy nazywa się ich klonami. – Nie wiedziała, skąd wzięło się w niej to przekonanie. Po prostu Lira skrzywiła się, kiedy Gemma użyła tego słowa, tak samo jak April, kiedy ktoś mówił o jej rodzicach „lesby”, albo Gemma, gdy słyszała słowo „gruba”.

– Mówisz poważnie? – April znowu się roześmiała.

– Tak, mówię poważnie. – Teraz nie była już zła. Była wściekła. Niby nic nie łączyło jej z dziewczyną z mokradeł, ale przecież były ze sobą związane, były poniekąd tym samym. Co oznaczało, że Gemma też umarła. Tylko tak trochę, ale jednak umarła. – Potrafią mówić, mają uczucia, pewne rzeczy lubią, a innych nie, mają marzenia, oddychają i cierpią tak jak każdy inny człowiek.

– Okej, okej, przepraszam. – Teraz April spoglądała dziwnie na przyjaciółkę, jak gdyby ta była dla niej kimś obcym. – Tylko trochę mnie to przeraża, jasne? – Gemma nic nie powiedziała. – Musisz przyznać, że to dziwne... Mówiłaś, że zostali wyprodukowani w laboratorium. Wiesz, brzmi to jak jakaś mieszanka chemiczna.

– Wybacz, że ci to przypominam – odwarknęła Gemma, nawet nie wiedząc dokładnie, dlaczego jest tak wściekła – ale z tobą było podobnie.

Od razu wiedziała, że nie powinna była tego mówić. April znieruchomiała.

– Porównujesz mnie do nich? – wyszeptła. Ton jej głosu nie zwiódł Gemmy. Im ciszej April mówiła, tym bardziej była rozjuszona. – Uważasz, że skoro moje mamy są lesbijkami, to czyni to ze mnie jakieś dziwadło?

Gemma natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Ale nie mogła już cofnąć tych słów. Co powiedziałyby April, gdyby wiedziała, że Gemma ma klona, który dryfuje niedaleko stąd, może nawet więcej niż jednego? Że pamiętała Haven z dzieciństwa?

– Chcę tylko powiedzieć – nie mogła znieść widoku bólu malującego się na twarzy April, więc odwróciła wzrok – że wielu ludzi nie uznałoby, że akurat ty masz prawo osądzać innych.

– Wiem. – Głos April był ostry jak bicz. – Tylko nie wiedziałam, że i ty do nich należysz.

Odwróciła się i Gemma zobaczyła, że szybko podnosi rękę do twarzy. April nigdy nie płakała. Nagle Gemmę przepełniło rwące poczucie winy. Miała wrażenie, że żołądek dosłownie wyskoczy jej przez gardło. Już miała położyć

rękę na ramieniu przyjaciółki – już miała błagać ją o przebaczenie – kiedy ta znowu się odezwała:

– Może powinnaś wyjechać. – Nie odwróciła się, ale jej głos był jednostajny i matowy, dlatego Gemma pomyślała, że może się myliła, że może April wcale nie płakała.

– Co?

– To, co usłyszałaś. Może powinnaś wyjechać. Ty i twoi nowi przyjaciele. – April odwróciła się bokiem, tak że Gemma dojrzała znajomy profil jej nosa przypominający skocznnię narciarską, okrągły policzek, zagarnięte na bok ciemne włosy i już wiedziała, że coś nieodwracalnie się zmieniło. – Masz czas do rana – dodała.

Po cichu przeszła po trawie i weszła do domu. Gemma wolałaby, żeby zamiast tego głośno tupać. Chciała, żeby nastąpiło trzęsienie ziemi, żeby grunt rozstał się pod nogami – wszystko, byle nie ta straszliwa cisza, spokojne cykanie świerszczy i cichy pomruk telewizora, z którym mruzczała reszta świata, podczas gdy jej świat się walił. April nie obejrzała się ani razu. Gdy zamknęła za sobą drzwi, Gemma usłyszała, jak przekręca zamek.

I została sama.

12

Gemma obudziła się z koszmaru. Na policzkach miała odcisnięte paski starego plastikowego leżaka, a słońce świeciło jej mocno w oczy. Od razu przypomniała sobie kłótnię z April. Towarzyszyło jej okropne lepkie uczucie, jak gdyby przylgnęło do niej coś mokrego. Nie pamiętała treści koszmaru, ale pozostawił w niej niepokojące wrażenie, jak gdyby coś ją ścigało, nie chciało zostawić w spokoju.

Usiadła, dotykając policzka i bruzd od leżaka. Okna domu odbijały światło, więc nie widziała, co się dzieje w środku, ale uznała, że pewnie April wciąż śpi. Sprawdziła godzinę na telefonie: 9.30. Zauważyła, że nie ma notesu, choć wydawało jej się, że położyła go na ziemi. Pewnie schowała go do plecaka.

Chciała się zastanowić, co zrobić z replikami, ale postanowiła, że najpierw przeprosi April, że wszystko jej wyjaśni. April była jej najlepszą przyjaciółką – jej jedyną przyjaciółką, chyba żeby liczyć Pete’a, nie była jednak pewna, czy może. Owszem, April przeraziła się replik, ale każdy by tak zareagował. A Gemma zachowała się okropnie. Zasłużyła na to, by spać na zewnątrz, zasłużyła na zeszywniały kark i ramiona, i na ten paskudny smak w ustach.

Przygotuje kawę. Przeprosi. Opowie April o wszystkim, nawet o martwej dziewczynie, którą widziała na mokradłach.

Weszła po schodach. Ulżyło jej, gdy się okazało, że drzwi kuchenne nie są zamknięte. Wyglądało to na znak, że April jest gotowa jej wybaczyć. Kuchnia była pusta, ale dzbanek wypełniała kawa, a brudny talerz leżał na stole obok butelki ketchupu. A więc April nie spała. Gemma już miała ją zawołać, kiedy zobaczyła kartkę przytwierdzoną do blatu czerwonym kubkiem z napisem „San

Francisco”.

Wiadomość była krótka.

Wyszłam pobiegać i pograć w tenisa. Wrócę około południa. Wolałabym, żeby cię już wtedy nie było. April.

Gemma zwinęła papier w kulkę i cisnęła do kosza. Miała ochotę czymś rzucić, ale nie chciała mieć na pieńku z dziadkami April, więc tylko otworzyła drzwi i trzasnęła nimi trzy razy. Znowu była wściekła. Pieprzona April. Ona, Gemma, musiała się przedzierać przez jakieś cholerne mokradła, o mało nie zarobiła kulki w łeb, ukrywała się przed wojskiem, dokopywała się do najgłębszych, najmroczniejszych sekretów swojej rodziny. Natknęła się na swojego kłona. A April wyszła sobie pobiegać i wziąć lekcję tenisa, i wyrzucała Gemmę z domu z powodu jednej głupiej uwagi. Teraz nawet się cieszyła, że jej to powiedziała.

Wzięła prysznic, przy czym zostawiła włosy w odpływie i nie posprzątała po sobie, a potem energicznie wyszorowała zęby. Przynajmniej teraz, gdy się wyspała, wyglądała nieco lepiej, już mniej przypominała zombie, które zbudziło się do życia, bo miało chrapkę na ludzki mózg.

Na dole naląła sobie kawy – znowu ucieszyła się, że zużyła resztę mleka – i zadzwoniła do Jake’a. Nie odbierał. Odczekała kilka minut i spróbowała raz jeszcze. Gdy znowu nie odebrał, wysłała mu esemesa: *Wstałeś?* Była dopiero dziesiąta, ale nie mogła sobie wyobrazić, by Jake mógł jeszcze spać, nie po tym, co się stało wczoraj, nie po tym wszystkim, czego dowiedzieli się na temat Haven.

W połowie drogi do domku dla gości coś chrupnęło jej pod stopą – pomadka ochronna, która pewnie wypadła z plecaka i potoczyła się po kafelkach przy basenie. Zauważyła, że plecak leży przewrócony, a gdy chciała wrzucić do niego pomadkę, zobaczyła, że wszystko w środku jest powywracane. Instynktownie sięgnęła po portfel. Jej karty kredytowe zostały, ale pieniądze –

trzysta dolarów, które dzień wcześniej wybrała z bankomatu w Walmarcie – zniknęły.

Poczuła się tak samo jak wtedy, gdy mama jedyny raz zmięła i zabrała ją do parku rozrywki, gdzie razem wsiadły do rollercoastera o nazwie Kobra. Gdy wjeżdżały wyżej i wyżej, w stronę pierwszego szczytu i pierwszego zjazdu, Gemma wiedziała, że popełniła ogromny błąd, że wcale nie ma ochoty zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Domek dla gości był pusty. Nie miała co do tego wątpliwości już od chwili, kiedy przekroczyła próg. Nawet było czuć tę pustkę, tak że Gemma bała się powiedzieć coś głośno, by nie usłyszeć, jak dywan pochłania jej głos. Mimo to przeszła od pokoju do pokoju, sprawdziła łazienkę, nawet otworzyła szafę, jak gdyby Lira i 72 mogli się tam ukrywać. Na krótką chwilę przyszła jej nawet do głowy absurdalna myśl, że Lira, 72 i April wyszli razem i gdzieś nad oceanem w białych strojach do tenisa ćwiczą grę.

Ale nie było co udawać. Repliki zniknęły.

Jake wciąż nie odpisywał. Znowu próbowała się do niego dodzwonić, a wtedy przypomniała sobie, jak mówił, że dom jego ciotki znajduje się na jakimś odludziu i zasięg jest tam kiepski. Zapisał jej wczoraj swój adres i numer telefonu stacjonarnego na kawałku papieru, który wyglądał jak wydarty z opakowania papierosów. Gemma usiłowała się dodzwonić trzy razy z rzędu. Ponowiła próby z komórką i kolejne dwa razy została przekierowana na pocztę głosową. Nie rozumiała, co to oznacza, ale zaczęła się bać. W plecaku terrorystki znaleziono wydruki ze strony „Z archiwum Haven”. Wydawało się oczywiste, że chłopak będzie miał problemy. Może już zjawiała się u niego policja. A jeśli uznają, że mógł mieć coś wspólnego z eksplozją?

Było już wpół do jedenastej. Zaczynała ją ogarniać panika. Nie będzie jej tutaj, kiedy April wróci, nie ma mowy. Już prędzej pojedzie autostopem. Albo

pójdzie na piechotę.

I wtedy przyszedł jej na myśl Pete.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Tu rycerz w lśniącej zbroi – odezwał się barytonem. – Z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Z damą w opałach – odparła. Dźwięk jego głosu podniósł ją nieco na duchu. – Potrzebuję pomocy.

Pete odchrząknął.

– Ma pani szczęście. To właśnie robią rycerze w lśniącej zbroi. Pomaganie to nasz chleb powszedni. Na czym polega pani problem?

– Potrzebuję podwózki. – Podała mu adres April w Bowling Springs. – Najszybciej, jak to tylko możliwe. Wszystko wyjaśnię ci na miejscu.

– Tak jest, kapitanie – rzekł Pete. – Przybędę, zanim owca zdąży machnąć ogonem dwa razy.

– To znaczy?

– To znaczy, że masz nigdzie się nie ruszać. Zaraz tam będę.

Rozłączyła się i od razu zrobiło jej się lżej na duszy. Może i Pete był męczący, ale był też uroczy i można było na nim polegać. Do tego świetnie się przy nim bawiła. Był jak mały puszysty pomeranian – gdyby tylko psy umiały jeździć samochodem i znały wszystkie słowa *Baby Got Back*.

Przyjechał za niecałe pół godziny. Jej serce znowu zabiło radośnie, gdy zobaczyła na drodze ten dziwaczny fioletowy minivan. Nachylił się, by otworzyć dla niej drzwi, i o mało nie usiadła na torbie z pączkami leżącej na siedzeniu pasażera.

– Stwierdziłem, że pewnie nie jadłaś – oznajmił. – Jest też kawa, jeśli masz ochotę.

Dwa styropianowe opakowania spoczywały w uchwytach na kubki.

Pete musiał spędzić wczorajszy dzień na opalaniu, ponieważ jego ręce i nos były jeszcze bardziej piegowate. Ale w piegach było mu do twarzy, wyglądały niczym gwiazdny pył. Gemma miała świadomość, że szorty wżynają jej się w uda, i żałowała, że nie włożyła džinsów. Nawet jej kolana wyglądały grubo. Żeby ukryć zażenowanie, spuściła wzrok i zaczęła się bawić wieczkiem kubka z kawą.

– Nie żartowałeś, mówiąc o rycerzu w lśniącej zbroi – powiedziała.

Uśmiechnął się do niej promiennie. Dosłownie promiennie. Jego uśmiech niemal ją oślepił.

– Zatem dokąd?

Wiedziała, że próby odnalezienia replik będą bezskuteczne. Nie była Sherlockiem Holmesem, a oni nie zostawili żadnych śladów. Zapewne wyszli w środku nocy, więc teraz mogli być wszędzie. Musiała porozmawiać z Jakiem. Może wpadnie na jakiś pomysł, co robić. Zapisała sobie jego adres wraz z numerem stacjonarnym ciotki. Szczęście w nieszczęściu, że repliki nie ukradły całego portfela.

– Tam. – Wyjęła kawałek papieru i wręczyła go Pete'owi.

Uniósł brwi.

– Mam na podstawie tego rozwiązać zagadkę? Jeśli tak, to według mnie wszystko wskazuje na to, że zbrodniczego czynu dokonał sierżant Pepper w spiżarni, przy użyciu kieliszka na jajko.

– Po prostu jedź, okej? Muszę porozmawiać ze swoim znajomym, Jakiem – wyjaśniła. – Nie odbiera telefonu.

Twarz Pete'a od razu spochmurniała.

– Kiedy poprosiłaś mnie o pomoc, nie sądziłem, że mam cię podwieźć do twojego chłopaka – powiedział.

Chociaż włączył silnik, widziała, że jest urażony.

– Jake nie jest moim chłopakiem. Uwierz mi – odparła. – U niego... – Już

miała powiedzieć, że nie miałyby u niego żadnych szans, ale stwierdziła, że od tego Pete nie poczuje się lepiej. Tym bardziej że tak jakby zaczynała mieć nadzieję, że ma szanse u Pete'a. – Posłuchaj, on mi pomaga. To skomplikowane... – urwała.

Pete się skrzywił, jak gdyby nie był przekonany.

– To niby dlaczego księżę na białym koniu po ciebie nie przyjechał?

– Mówiłam ci już. Nie mogę się do niego dodzwonić – przypomniała, a Pete prychnął. – Posłuchaj, źle to zrozumiałeś. Ojciec Jake'a miał świra na punkcie Haven. Po jego śmierci Jake zajął się tym tematem.

– Haven? – Pete szukał czegoś w pamięci. – To miejsce, o którym słyszeliśmy w radiu? To tam, gdzie był wybuch?

– Tak. – Wzięła głęboki oddech. GPS swoim miarowym, mechanicznym głosem kierował ich teraz poza osiedle. Gemma złapała się na tym, że przepatruje ulice w poszukiwaniu April ubranej w strój do joggingu. Ogarnęło ją dziwne przeczucie, że gdy tylko wjadą na autostradę, zamknie się pewien rozdział. Już nigdy nie zobaczy April. I wiedziała, że częściowo to jej wina. Powinna była porozmawiać z April, zaufać jej wcześniej, odkryć przed nią tajemnicę, wyjaśnić. Odwróciła się do Pete'a. – Jest mnóstwo rzeczy, o których ci nie mówiłam. Zabrzmi to absurdalnie, okej? Jeśli ci o nich opowiem, stwierdzisz, że mam coś z głową. Musisz mi obiecać, że tak nie pomyślisz.

– Przysięgam – rzekł Pete. Już nie wydawał się zły.

Skręć w prawo na drogę powiatową 39, powiedział GPS. Gemma jeszcze raz rozejrzała się za April, ale ulice były zupełnie puste. Jak gdyby czekały na coś lub na kogoś.

– To będzie długa historia – powiedziała. Jej serce mocno uderzało o klatkę piersiową, jakby chciało się z niej wyrwać. Jak w ogóle zacząć?

Pete uśmiechnął się delikatnie.

– Masz sto czterdzieści kilometrów – oznajmił, sięgając po pączka – więc się

nie krępuj.

Otwieranie się przed Pete'em nie było trudne. Gemma nie sądziła, że okaże się takim dobrym słuchaczem. Nie przerywał jej głupimi pytaniami ani nie jęczał w niedowierzaniu, kiedy mu powiedziała, że na mokradłach natknęli się na repliki, a wręcz się o nie potknęli. Tylko raz jej przerwał, gdy opowiadała, jak znalazła martwą dziewczynę z jej, Gemmy, twarzą. Jej replikę. Powiedział wtedy: „O Jezu”, ale zaraz potem dodał:

– Mów dalej.

Akurat gdy skończyła opowiadać o wszystkim – o tym, jak powoli wracali przez mokradła, o raporcie, który Lira przemyśliła z Haven, o zakaźnych encefalopatiach gąbczastych, o tym, jak się obudziła i odkryła, że repliki zniknęły z całą jej gotówką, o Jake'u, jego tacie i „Z archiwum Haven”, o Anielskim Ogniu i misji, którą dostała od Boga – dojechali na ulicę, przy której mieszkał Jake.

Jake nie kłamał, gdy mówił, że dom jego ciotki stoi na odludziu. Route 12, na obrzeżach Little Waller, była zdradliwą, wąską polną drogą pełną dziur. Po obu jej stronach, za zaroślami tak bujnymi, że wyglądały raczej jak karłowate drzewa, domy z prefabrykatów zapadały się w południowym słońcu i robiły wszystko, by to osłabiające gorąco ostatecznie ich nie powaliło. Gemma poczuła nieoczekiwany przypływ litości. Nic dziwnego, że Jake miał obsesję na punkcie śmierci swego ojca. Pewnie nie było tu za wiele do roboty. Miejsce wyglądało na opuszczone.

Musieli się przecisnąć obok ciężarówki firmy energetycznej, która stała przekrzywiona w rowie. Wysoko na słupie siedział mężczyzna w kasku ochronnym i majstrował coś przy drutach, a reszta robotników patrzyła, jak pracuje. Gemma poczuła ulgę na widok samochodu Jake'a na podjeździe, a raczej na małym skrawku ziemi, który udawał podjazd. Po raz pierwszy

zauważyła, że zderzak jest oblepiony naklejkami, tyloma warstwami i tak starymi, że były niemal nieczytelne. Zastanawiała się, czy było to auto jego ojca.

Pete zatrzymał się za samochodem Jake'a, ale nie wysiadł. Pochylił się tylko nad kierownicą i przyjrzał domowi. Budynek miał brzydkie żółte ściany i brązowe okiennice, z których dwie zwisały pod dziwnym kątem. Skrawek trawnika przed domem był wysprzątany – Gemma pomyślała o Jake'u wyrównującym sztukę i talerze i uznała, że pewnie przez niego – ale drzewa powoli odzyskiwały swoje terytorium, a w doniczkach nie było nic prócz ziemi. Ten dom z pewnością nie był niczyją chlubą.

– No cóż – odezwał się Pete ze swoją zwykłą wesołością. – Przynajmniej nie będziemy musieli zdejmować butów.

Gemma oblizwała wargi. Z powodu przesłodzonej kawy czuła teraz piasek w ustach. Pete wciąż nie skomentował jej opowieści, nie wprost. Może jej nie wierzył.

– Posłuchaj: to wszystko, co ci opowiedziałam...

Odwrócił się do niej. Jego oczy miały ten sam kolor co oczy Rufusa. Były ciepłe i jasnobrązowe jak toffi.

– Możesz mi zaufać – oznajmił, jakby czytał w jej myślach. – Nikomu nie powiem.

Poczwała w piersi nieopisaną ulgę.

– Więc... nie uważasz, że jestem stuknięta?

– Ludzie, którzy płacą pięć dolców za kawę, są stuknięci – rzucił. A potem zmarszczył brwi. – Ale ty wpadłaś po uszy w niezłe bagno. – Po raz pierwszy był taki poważny i w tej chwili dotarło do niej, jaki jest przystojny. Nie uroczy. Nie zabawny. Przystojny. Z tym swoim zgrabnym podbródkiem, kilkudniowym zarostem, wszystkimi tymi złotymi piegami i włosami opadającymi miękko na czoło. – Martwię się o ciebie. Wysoko postawieni ludzie zadali sobie wiele trudu, by Haven pozostało tajemnicą. Nie wydaje mi się, żeby teraz mieli odpuścić.

– Nikt nie wie, że byliśmy na mokradłach – stwierdziła Gemma, ale poczuła skręt w żołądku. – Nikt nie wie, co tam znaleźliśmy.

– A przynajmniej tak ci się wydaje – odparł Pete. A potem dodał ciszej: – Nie chcę cię straszyć. Ale musimy być ostrożni.

„To niezwykle – pomyślała Gemma – jak cudownie brzmi ta liczba mnoga”, i o mało nie zarzuciła mu rąk na szyję. O mało go nie pocałowała.

Chryste. Fantazjowała o pocałowaniu Pete’a Zboka. April nigdy w to nie uwierzy. O ile w ogóle kiedyś się do niej odezwie.

Mimo drzew było tu goręcej niż na osiedlu dziadków April i Gemmie zrobiło się żal robotników z firmy energetycznej.

– Polubisz Jake’a – powiedziała, trochę po to, by przekonać samą siebie.

Gałęzie drzew uniosły się i opadły w ciszy, muśnięte przez delikatny wiatr. Nie wiedziała, dlaczego jest taka zdenerwowana. Było w tym miejscu coś niepokojącego, cała ta sceneria wyglądała jak z horroru, po przejściu apokalipsy zombie.

Pete wzruszył ramionami. Ale wciąż sprawiał wrażenie nieszczęśliwego albo zdenerwowanego, albo jedno i drugie.

– Nie wiem, co tu robię. – Westchnął.

– On będzie miał plan. Zobaczysz – rzekła, częściowo po to, by uspokoić samą siebie.

Na obskurnym ganku wygrzewał się pręgowany kot i wpatrywał w nich beczelnie, kiedy dźwięk dzwonka rozległ się echem po domu. „Nie powinno was tu być”, wydawał się mówić i Gemma czuła to samo.

Przez długą chwilę nie słyszała żadnego poruszenia. Teraz już nie tylko była zdenerwowana, ale przestraszyła się nie na żarty. Znowu dźgnęła palcem w dzwonek i jednocześnie chwyciła za klamkę. Zamknięte. Wreszcie usłyszała kroki. Jake rozsunał żaluzje w oknie przy drzwiach i wyjrzały zza nich jego ciemne oczy. A potem rozległ się dźwięk przekręcanego zamka. Gemma poczuła,

że kamień spadł jej z serca.

– Boże – wyrzuciła z siebie, gdy tylko otworzył drzwi. – Bałam się, że coś się stało. Bałam się... – urwała, widząc, że tylko lekko uchylił drzwi i stanął tak, by nie mogli wejść do środka.

– Co ty tu robisz? – Patrzył na nią, jak gdyby widział ją po raz pierwszy. Wyglądał, jakby był wściekły.

Nie takiego powitania się spodziewała. Stojący obok niej Pete odwrócił się, by spojrzeć na drogę, jak gdyby rozważał szybki odwrót.

– Nie odbierałeś telefonu – wyjaśniła. – Dzwoniłam kilkanaście razy.

– Nie mogę znaleźć komórki. Nie wiem, co się z nią stało. – Jego oczy powędrowały w stronę ulicy. – Naprawdę powinniście już iść. – Zaczął zamykać.

– Zaczekaj. – Gemma włożyła rękę między framugę a drzwi.

Przez chwilę wydawało się, że chce je zatrzaskać na jej palcach, ale tego nie zrobił.

– Nie rozumiesz. Repliki zniknęły.

– Cicho – upomniał ją, jak gdyby przeklęła w kościele. Stała wystarczająco blisko niego, by zobaczyć, że się poci. Ze strachu. Jake Witz, jak sobie właśnie uświadomiła, nie był zły. Był przerażony. – Mów ciszej.

– Przyjechaliśmy, by prosić cię o pomoc – zaczął Pete, ale Gemma mu przerwała.

Była wściekła, miała mętlik w głowie i nie myślała już, co robi.

– Nie słyszałeś, co powiedziałam? Oni zniknęli. Musieli uciec w środku nocy. Zabrali mi pieniądze. Może więc zabrali też twój telefon...

– Słyszałem, co powiedziałaś. – Jego oczy znowu pobiegły w stronę ulicy. – Ale to nie mój problem. Ani twój. A teraz zmykaj stąd. Nie powinnaś była tutaj przychodzić. Nie znam cię, jasne? – Podniósł głos. Niemal krzyczał. – Nawet cię nie znam!

Gemma znowu powstrzymała Jake'a przed zamknięciem drzwi, kładąc rękę na framudze. W gardle ją drapało, chciało jej się płakać.

– Co się stało? – spytała. – Masz jakieś problemy z glinami?

– Z glinami. – Jake wydał z siebie dźwięk, który mógłby być śmiechem albo kaszlem. – Nie z glinami. – Zrobił krok do przodu, by wystraszyć Gemmę na tyle, żeby odsunęła się od framugi. – Nie mam żadnych problemów z elektrycznością – dodał niemal ze złością, nachylając się tak blisko, że Gemma czuła na twarzy jego oddech.

Zanim zdążyła go zapytać, co ma na myśli, zamknął i zaryglował drzwi.

Przez chwilę stała nieruchomo. Nie mogła wyjść ze zdumienia. Mimo że Pete był obok, nigdy w życiu nie czuła się tak samotna. Nie potrafiła na niego spojrzeć, tak jej było głupio. Wyciągnęła go tutaj, obiecywała, że Jake im pomoże, a on nawet nie wpuścił ich do środka.

– Coś musiało się stać. Wczoraj się tak nie zachowywał. – Rozmyślała nad tym, jak wyglądał, jaki był zlany potem i co jej powiedział: „Nie mam żadnych problemów z elektrycznością”.

– Gemma. – W głosie Pete'a pobrzmiwało ostrzeżenie, ale ona była zbyt przejęta, by go słuchać.

– Coś musiało się wydarzyć, wczoraj właściwie błagał mnie o informacje...

– Gemma. – Tym razem Pete chwycił ją za rękę, a ona, zaskoczona jego dotykiem, umilkła. – Miała spocone dłonie, jego były suche, chłodne i duże. – To ciekawe, że wysłali tylu ludzi do pracy przy tych drutach, nie sądzisz? – powiedział cichym głosem, prowadząc ją w stronę auta. Nie patrzył na facetów z firmy energetycznej, ale po tym, jak spoglądał przed siebie, widziała, że robi wszystko, by nie patrzeć.

Odruchowo spojrzała w kierunku miejsca, gdzie wciąż stało sześciu czy siedmiu robotników w kaskach i kamizelkach, zupełnie beczynnie, i odniosła wrażenie, że unikają kontaktu wzrokowego. A wtedy zrozumiała, co

powiedział Jake o elektryczności.

On nie bredził. Było w tym ukryte przesłanie. „Nie mam żadnych problemów z elektrycznością”. Czyli: nie ma powodu, dla którego miałyby tu przyjeżdżać firma energetyczna i dla którego po drugiej stronie ulicy mieliby siedzieć ludzie w samochodzie naszpikowanym antenami. Choć szybko odwróciła oczy, złowiła wzrok jednego z mężczyzn: gładko ogolonego, bladego, o twardym spojrzeniu. Nie tak wygląda ktoś, kto cały dzień pracuje na słońcu.

Jake'a obserwowano. To oznaczało, że ich też obserwowano. Nic dziwnego, że Jake praktycznie wyrzucił ich za drzwi i krzyczał, że ich nie zna. Starał się ich chronić. Ogarnęła ją przemożna chęć, by się odwrócić, popędzić z powrotem do drzwi i prosić go, by ją wpuścił, żeby mogła mu podziękować. Ale to byłaby niewyobrażalna głupota. Wróciła więc sztywnym krokiem do samochodu i weszła do środka, udając beztroskę, jak gdyby rzeczywiście to wszystko było pomyłką. Może ci mężczyźni – kimkolwiek byli – uwierzą, że ona i Pete są tylko znajomymi Jake'a, którzy chcieli mu coś oddać albo powiedzieć „cześć”.

W samochodzie Pete, zanim chwycił kierownicę, wytarł ręce w spodnie. Nie odzywali się do siebie. Gdy wycofywał auto, ciągle spoglądał w lusterko wsteczne. „Błagam, nie jedźcie za nami”, pomyślała Gemma. Zaciśnęła pięści, wypowiadając to życzenie. „Nie jedźcie za nami”. Ale chwilę później z innego zagraconego podwórka wyjechało bordowe volvo i ruszyło za nimi. Czy mógł to być przypadek? Wątpiła.

– Czy myślisz, że...? – zaczęła pytanie, ale Pete jej przerwał.

– Nie teraz – rzucił. – Muszę pomyśleć.

W jakimś sensie to, że Pete – Pete, któremu buzia nigdy się nie zamykała – nie wiedział, co powiedzieć, przeraziło ją nawet bardziej niż auto sunące za nimi.

To stanowczo nie był zbieg okoliczności: samochód ciągle ich śledził, nieważne, ile razy skręcali w wiejskie drogi, nawet kiedy dojechali do centrum Little Waller, na które składało się kilka smętnych ulic oraz stojące przy nich

punkty wulkanizacyjne, fast foody, sklepy monopolowe i tanie sieciówki. Kierowca nawet nie dbał o pozory – to też ją przeraziło i rozzłościło. Tak właśnie kot bawi się swoją zdobyczą, uderzając wokół niej łapą, grając na zwłokę, już pewny wygranej.

– Musimy ich zgubić. – Głos Gemmy zabrzmiał obco nawet dla niej samej. Miała wrażenie, że jakiś ufoludek wpełzł jej do gardła i opanował struny głosowe.

– Zgubić ich? – powtórzył Pete. Gemma uświadomiła sobie, jaki był spięty. Siedział zgięty wpół nad kierownicą, ze wzrokiem wbitym przed siebie, jakby bał się, że droga zaraz zniknie. – Chryste. Naprawdę sprawdzasz wytrzymałość rycerza w lśniącej zbroi. Zdajesz sobie z tego sprawę? – Ostro przekręcił kierownicę w lewo i Gemmą rzuciło o drzwi. Ale zaledwie trzydzieści sekund później volvo też leniwie skręciło. Co za złośliwość losu, że jechali oberzynowym minivanem. Równie dobrze mogliby się poruszać poduszkowcem. Mieli raczej marne szanse, żeby zgubić się w tłumie. – Kim w ogóle są ci ludzie?

– Może to gliny – odparła. Czowała we wnętrzościach straszny ciężar, jak gdyby jej organizm próbował strawić papier toaletowy. Wciągnęła w to Pete’a. Wszystkich w to wciągnęła. – Ale stawiałabym na wojsko.

– Wojsko. – Pete powtórzył to słowo, jak gdyby nigdy wcześniej go nie słyszał. Jego piegi wydawały się bardziej wyraziste, jakby i one chciały stąd uciec. – Jezu...

– Powiedziałeś, że chcesz mi pomóc. – Gemma ścisnęła dłonie tak mocno, że bała się, że skóra jej pęknie.

Pete westchnął.

– I chcę. Tylko nie wiedziałem, że scena pościgu nastąpi w tym filmie tak szybko. – A potem dodał: – Okej. Pasy zapięte?

Gemma kiwnęła głową. Ze zdenerwowania nie była w stanie wydobyć

z siebie głosu. Znak nad ich głowami wskazywał drogę międzystanową i tutaj było bardziej tłoczno z powodu samochodów, które wjeżdżały na autostradę albo z niej zjeżdżały. Volvo wciąż za nimi podążało, ale w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów.

Pete włączył kierunkowskaz i zjechał na lewy skrajny pas, jak gdyby zamierzał skręcić do centrum handlowego, które szczyliło się dwoma sklepami monopolowymi, salonem piękności i pizzerią. Przynajmniej jeden samochód stał teraz za nimi, oddzielał ich od volva. Światła zmieniły się na czerwone. Pete podjechał bliżej. Gemma słyszała jego oddech. Sama z trudem oddychała, jakby ktoś ścisnął ją dwoma żelaznymi talerzami.

– Co ty...? – zaczęła, ale wtedy światła zmieniły się na zielone i Pete mocno nadepnął pedał gazu.

Silnik jęknął, a potem rzuciło nimi do przodu. Gemma o mało nie rozbiła sobie czaszki, zanim pasy pociągnęły ją z powrotem, a wtedy uderzyła głową o siedzenie. Pete szarpnął kierownicą w prawo i przeciął dwa pasy ruchu. Kilku kierowców zatrąbiło na znak protestu, a jakiś chevrolet zahamował z piskiem, żeby uniknąć zderzenia.

– Rany boskie, rany boskie! – krzyczała Gemma przy wtórze kolejnych klaksonów, kiedy Pete skierował się w stronę wjazdu na autostradę.

Ale wkrótce wszystko ucichło. Wjeżdżali coraz wyżej. Samochody wokół rozmazywały się, potężna masa aut błyszczała w blasku słońca i już byli na autostradzie, mknęli przed siebie, a volvo zostało daleko w tyle. Po jasnym niebie płynęły puszyste obłoczki. Mogli być kimkolwiek i zmierzać gdziekolwiek.

– I jak ci to pasuje na scenę pościgu? – odezwał się Pete. Z trudem łapał oddech.

Gemma nie mogła się powstrzymać: cały jej strach zamienił się w nagłą chęć śmiechu. O mało nie spadła z siedzenia. Zgięta wpół trzymała się za brzuch i śmiała tak bardzo, że aż bolało. Pete też zaczął się śmiać. A potem parsknął,

przez co Gemma zaczęła się śmiać jeszcze bardziej, aż nie mogła oddychać i musiała się oprzeć, by złapać powietrze.

– Nieźle – odparła. Łzy, które napłynęły jej do oczu, przesłaniały jej widok autostrady i nijakich miasteczek po obu stronach, identycznych, jakby były własnymi replikami. – Naprawdę całkiem nieźle.

13

Jechali tak przez następną godzinę. Pete co jakiś czas zjeżdżał na inne autostrady, tak na wszelki wypadek, choć Gemma nie wyobrażała sobie, żeby po takiej ucieczce ktokolwiek mógł im jeszcze siedzieć na ogonie. Była zdziwiona, gdy ujrzała zjazd na Palm Grove – miasto, w którym mieszkała Emily Huang, pielęgniarzka z Haven, zamordowana, zanim zdążyła porozmawiać z Jacobem Witzem – a potem równie zaskoczona, kiedy Pete zjechał z autostrady.

– Co robisz? – spytała.

– Umieram z głodu – odparł. – Jestem bliski autokanibalizmu. A potrzebuję dwóch rąk do prowadzenia.

– Ja też jestem głodna – przyznała Gemma, zanim przypomniała sobie, że starała się nigdy nie mówić o tym przy ludziach.

Ale oczywiście to, że właśnie uciekli śledzącym ich wojskowym, sprawiło, że jej zwyczajne troski związane z nadwagą zeszły na drugi plan. Poza tym Pete nie patrzył na nią w ten sposób, jak gdyby coś było z nią nie tak, jak gdyby „naprawdę nie powinna była”, jak gdyby „mogłaby być ładna, gdyby tylko nieco schudła”.

Lubiła, jak Pete na nią patrzył.

Zatrzymali się w knajpie naprzeciwko motelu o nazwie Starlite. Parking był prawie pusty, nie licząc białego chevroleta i kilku rozklekotanych, zakurzonych sedanów. Gemma wolała nie myśleć, jacy ludzie korzystali ze Starlite w środku dnia. Wyszła z samochodu i się przeciągnęła – wciąż wszystko ją bolało po nocy spędzonej w niewygodnej pozycji na leżaku. Znowu czuła w ciele to okropne wrażenie, że jest obserwowana. Odwróciła się, pewna, że zobaczyła jakąś twarz

spoglądając na nią z okna motelu. Lecz było to tylko złudzenie.

Mimo to gdy siedli przy stoliku i zaczęli się obżerać gigantycznymi burgerami i frytkami z półmiska, które piętrzyły się tak wysoko, że zaprzeczały prawom fizyki, wciąż spoglądała w okno. Przed knajpę zajechał kolejny samochód i Gemmie stanęło serce. Ale okazało się, że to tylko jakiś ojciec z dwójką dzieci. Po chwili zaczęła się odprężać.

Gdy już skończyli jeść, Pete nachylił się i zapytał cicho:

– Więc jaki jest następny krok? Na Jake’a nie możemy już liczyć. Repliki zniknęły. Chyba już nic tu nie wskóramy.

Znowu spodobała jej się ta liczba mnoga.

– Myślałam o tym. – Zjadła zbyt dużo i zbyt szybko i teraz zrobiło jej się niedobrze. – Muszę porozmawiać z rodzicami, to jedyne wyjście. – Na samą myśl o tym czuła potworny ucisk w piersi, ale mówiła dalej, po części z nadzieją, że sama siebie przekona. – Mój tata zna odpowiedzi. Przez lata był nieszczęśliwy i myślę, że to właśnie Haven było tego powodem. – Gdy tylko to powiedziała, z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że to prawda. – Wygląda, jak gdyby ciągle coś siedziało mu na plecach. Jakiś gigantyczny nietoperz wampir lub coś w tym stylu.

Pete się skrzywił.

– Co? – spytała. – Myślisz, że to kiepski pomysł?

– Myślę, że to świetny pomysł. – Westchnął. Przejechał ręką po włosach. Od razu znowu zaczęły sterczeć. – Tylko że to gruba sprawa. I wmieszane są w to grube ryby. Martwię się... – Spojrzał na nią i coś w jego oczach sprawiło, że wstrzymała oddech. Ale szybko odwrócił wzrok. – Martwię się, i tyle. – Wrócił do swojego normalnego tonu, lekkiego i zabawnego. – Gotowa? Ułożyłem playlistę na drogę powrotną. „Sto największych hitów muzyki country z lat siedemdziesiątych”.

– Wyrzucę cię przez przednią szybę – stwierdziła. Poczowała się zaskakująco

wolna, kiedy podjęła decyzję w sprawie rozmowy z ojcem. Jak gdyby spory ciężar spadł jej z barków. – Spotkamy się za chwilę w samochodzie, okej?

Gdy stanęła w łazience przed lustrem, przypomniała sobie dziewczynę z mokradel, jej odbicie, drugą siebie. Pochyliła się nad umywalką i ochlapała wodą twarz, jak gdyby mogło to usunąć z jej głowy tamten obraz. Zimno dobrze na nią podziałało.

Stanie z ojcem twarzą w twarz i uzyska od niego odpowiedzi na swoje pytania. Już się nie martwiła, czy tata się wkurzy, czy jeszcze kiedykolwiek się do niej odezwie, czy wyrzuci ją z domu.

Niemal miała nadzieję, że tak się stanie.

Świetnie da sobie radę sama. Była silniejsza, niż jej się wydawało. Była silna, kropka.

Na zewnątrz zobaczyła Pete'a siedzącego nieruchomo z obiema rękami na kierownicy, wpatrującego się w nią z przedziwnym wyrazem twarzy. Musiał być dużo bardziej przerażony, niż to po sobie pokazywał. Miał takie wielkie oczy, jakby miały zaraz wylecieć z orbit, i nagle poczuła ogromny przypływ wdzięczności. Starał się, dla jej dobra, zachowywać normalnie.

– W porządku, Rogers – odezwał się Pete, kiedy otwierała drzwi. – Pasażer dostaje przywilej didżejowania, więc ręce z daleka od radia...

Całe powietrze z niej uleciało.

Za plecami Pete'a siedział mężczyzna z rewolwerem wymierzonym w jego głowę. Poznała go od razu: to był człowiek, który dopadł ją na stacji benzynowej – te same długie tłuste włosy, kilkudniowy siwy zarost i dziki wzrok.

– Wsiadaj do samochodu i zamknij drzwi – rzucił do niej. Miał rozbiegane spojrzenie. Chciała się ruszyć, ale była jak sparaliżowana. Nawet powietrze stało się ołowiane. Miała wrażenie, że tonie. – Do samochodu – powtórzył.

Zobaczyła, jak broń w jego ręce się trzęsie, i uświadomiła sobie, że facet jest

spanikowany. O mało się nie potknęła, wsiadając do auta. Czuła się tak, jakby jej ciało się rozpadało.

– Okej – wybąkała. Zamknęła drzwi i podniosła ręce do góry. „Myśl, myśl”. Telefon miała w kieszeni. Gdyby jakoś udało jej się wybrać numer policji... – Niech pan posłucha. Tylko spokojnie. Nie róbmy niczego głupiego. Mogę panu oddać swój portfel. Mogę panu oddać, co tylko pan chce.

– Nie chodzi mi o pieniądze. – Szturchnął Pete’a bronią. Pete zbladł tak mocno, że widać było delikatną błękitną żyłę biegnącą przez jego skroń. – Jedź.

Gemnę zdumiało, że Pete dał radę wyjechać z parkingu, w nic nie uderzając. On ją zdumiewał, po prostu. Nigdy w życiu nie była tak przerażona. Czuła skurcz w żołądku i bała się, że zaraz się zsika.

– Błagam – wyszeptała. – Błagam. Czego pan chce?

– Nie zrobię wam krzywdy – odparł mężczyzna, ale nie brzmiał przekonująco. Był ubrany w starą kurtkę moro, w samochodzie roznosił się zapach jego potu. Rick Harliss. Gemma przypomniała sobie jego nazwisko z artykułu o Emily Huang i jej związkach z Fundacją Dom. Kiedyś pracował dla jej ojca. Stracił córkę Brandy-Nicole, kiedy poszedł do więzienia. – Chcę tylko pogadać, jasne? Niczego więcej nie chcę. O nic innego nigdy mi nie chodziło. Tylko żeby ktoś mnie wysłuchał, do cholery. Nikt mnie nie słucha, nikt mi nie wierzy...

Był coraz bardziej wzburzony. Ręka znowu mu się trzęsła. Gemma bała się, że broń wystrzeli przez przypadek.

– My pana posłuchamy. Wysłuchamy wszystkiego, co tylko ma pan do powiedzenia. Prawda, Pete?

– Jasne. – Pete’owi głos się załamał. Obliznął usta. – Oczywiście, że wysłuchamy.

– Jedź dalej – powiedział Rick Harliss, znów szturchając Pete’a w kark, kiedy chłopak zaczął zwalniać na żółtym świetle. Pete przyspieszył i przejechał przez

skrzyżowanie. – Na autostradę – rzucił, kiedy ich oczom ukazał się zjazd na I-27 i Gemma poczuła w ustach kwaśny smak.

Wjazd na autostradę w jakiś sposób czynił rzeczy nieodwracalnymi. Nie żeby chciała wyskoczyć z samochodu na czerwonym świetle, ale miała poczucie nieodwracalności.

Zamknęła oczy. Musiała się skupić.

– Okej, chce pan porozmawiać. To porozmawiajmy, dobrze? – Kiedyś słyszała, że w razie porwania ważne jest, by być rozmownym, wymienić z porywaczem jakieś osobiste informacje, nadać sobie w jego oczach ludzkie cechy. – Zacznijmy od imion, dobrze? To mój kolega Pete. Pete ma fatalny gust muzyczny...

– Zamknij się – warknął Harliss. – Próbuję myśleć.

– ... ale to naprawdę porządny facet. Pewnie najporządniejszy, jakiego znam. – Gdy wypowiadała te słowa, zdała sobie sprawę, jakie są prawdziwe.

Biedny Pete. Wciągnęła go w niezłe bagno. A on się nie skarżył, nie poskarżył się ani razu. Jeśli wyjdą z tego cało, zapewni mu dożywotni zapas misiów żelków.

Pocałuje go.

– Gemma – powiedział delikatnie Pete. W jego głosie usłyszała ostrzeżenie, ale się tym nie przejęła.

– A ja nazywam się Gemma Ives – kontynuowała. – Egzemma Ives. Przynajmniej tak mnie nazywają dziewczyny w klasie. Nie żebym cierpiała na jakieś choroby skóry, ale ogólnie dużo chorowałam, gdy byłam mała...

– Wiem, kim jesteś – rzekł Harliss chrapliwym głosem. – Jezu. Przestań gadać, dobra? Zaraz mi łeb pęknie.

Gemma mocno przycisnęła ręce do ud i wbiła w nie paznokcie, żeby skupić się na bólu. Bała się go bardziej rozzłościć. Ale musiało do niego dotrzeć, że ona go zna. Że jest po jego stronie. Musiała zyskać na czasie.

– Ja też wiem, kim pan jest, panie Harliss.

Pete ostro wciągnął powietrze do płuc. Przez ułamek sekundy w samochodzie panowała elektryzująca cisza i Gemma przeraziła się, że popełniła błąd. Za głęboko w to jednak zabrnęła, by teraz przestać. Musiała mówić dalej.

– Pracował pan dla mojego taty, prawda? Musiałam być wtedy bardzo mała, ale i tak... Wtedy na stacji benzynowej mój pies pana rozpoznał. Po tylu latach wciąż pamiętał pana zapach.

– Co mówił ci o mnie twój ojciec? – zapytał Harliss zbolalym głosem.

– Nic mi nie powiedział – odparła. Bała się odwrócić. – Czytałam o panu. O panu i pana córeczce Brandy-Nicole. Wiem, że zniknęła, kiedy była mała. – Harliss zaczął łkać. – I że pana zdaniem jest w to zamieszana Fundacja Dom. Ale powtarzam, Pete i ja nic nie wiemy. Jesteśmy tak samo zdezorientowani jak pan...

– Bzdura. – To słowo zabrzmiało jak eksplozja. Pete się skrzywił, a Gemma przygryzła wargę, żeby się nie rozpłakać. – Twój ojciec tkwił w tym po uszy. Nie chrzań, że nic nie wiesz. To wszystko stało się z powodu Haven. To była jego wina, że potrzebowali pieniędzy. Gdyby nie on, nie zaczęliby porywać dzieci. Twój ojciec wiedział. Wiedział, cholera, o wszystkim. – Rick Harliss odsunął broń od głowy Pete'a tylko na chwilę, by wytrzeć nos rękawem. Zanim Gemma mogła zrobić cokolwiek, zanim cokolwiek przyszło jej do głowy, przyłożył ją z powrotem. – Zabrali mi ją.

– Błagam – jęknęła. – Pomożemy panu. Zobacz pan, ludzie pana wysłuchają. Ale niech nas pan wypuści...

Pokręcił głową.

– Przykro mi – odparł. I chyba rzeczywiście było mu przykro. Zbliźali się do zjazdu na Randolph. Wskazał go bronią. – Zjedź tutaj. To wystarczająco daleko.

Skierował ich do motelu Super 8. Wyszli z samochodu. Gemma pierwsza,

ostrożnie, świadoma broni skierowanej w swoją stronę – miała wrażenie, że to coś żywego, ujadający pies, który lada chwila może się zerwać z łańcucha. Pete i Rick Harliss wyszli z samochodu razem. Porywacz ukrył broń w kieszeni kurtki i celował ją w plecy Pete'a. Zmusił ich, by szli jedno przy drugim tuż przed nim, więc przemaszerowali dziwnym krokiem w stronę recepcji, zderzając się łokciami. Harliss ciągle deptał Gemmie po piętach. Byłoby to zabawne, gdyby nie było takie straszne.

– Marny ze mnie rycerz – szepnął Pete. Odnalazł jej rękę i ją uściskał. Kiedy chciał ją wypuścić, nie pozwoliła na to, tylko spłotła swoje palce z jego. – Przepraszam, Gemma.

Zatkało ją.

– Ty mnie przepraszasz? – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Przecież to wszystko moja wina.

– Cicho – warknął Harliss, gdy przepychali się przez drzwi.

Gemma czuła się jak piłeczka pingpongowa odbijana w ciasnej przestrzeni. Była pewna, że recepcjonistka zauważy, że coś jest nie tak – pragnęła tego ze wszystkich sił – i próbowała zakomunikować swoje przerażenie wzrokiem. On ma broń. On ma broń.

Ale kobieta przeglądała jakieś czasopismo i ledwie zaszczyliła ich spojrzeniem.

– W czym mogę pomóc? – Miała długie różowe paznokcie ozdobione wyblakłymi wzorkami. Słoneczniki.

– Chcemy wynająć pokój. – Harliss wyjął z kieszeni dwie pomięte dwudziestodolarówki i położył je na ladzie.

– Jeden czy dwa?

– Jeden wystarczy.

Recepcjonistka na chwilę podniosła wzrok, ale dopiero gdy przeszli do pieniędzy, odłożyła czasopismo z miną męczennicy.

- Czterdzieści pięć dolarów za noc – rzuciła.
- Przed wejściem jest napisane, że czterdzieści.
- Stawki poszły w górę.
- Nie uważa pani, że w takim razie wypadałoby zmienić informację?

Gemma widziała plastikową paprotkę w rogu, tanią niebieską wykładzinę na podłodze, była świadoma broni wymierzonej w ich plecy. Czuła się jak we śnie: niby wszystko było prawdziwe i znajome, a potem nagle pojawiał się jeden nierealny element, jakiś gadający ptak albo zdolność latania. Wreszcie Harliss wyjął dodatkowy pięciodolarowy banknot – Gemma już miała zaproponować, że sama zapłaci, kiedy przypomniała sobie, że to porwanie – po czym objając się o siebie, wyszli z powrotem na słońce. Pokój 33 znajdował się na drugim piętrze – wchodziło się na nie wąskimi betonowymi schodami pokrytymi - graffiti – na samym końcu korytarza-balkonu. Nie żeby miało sens krzyczenie czy walenie w ściany. Wydawało się, że są w motelu jedynymi gośćmi.

Pokój śmierdział papierosami. Gdy tylko weszli do środka, Rick Harliss zaryglował drzwi i zamknął je na łańcuch, po czym spuścił żaluzje. Przez kilka chwil było tak ciemno, że Gemma zobaczyła przed oczami kolorowe plamki. Harliss włączył żółtą obszarpaną lampę i usiadł na łóżku. Wyjął broń z kieszeni, Gemma wstrzymała oddech, ale ku jej zaskoczeniu położył ją na Biblii znajdującej się w stoliku nocnym i zamknął szufladę.

– Mówiłem wam już. Nie chcę wam zrobić krzywdy. Usiądźcie. – Wskazał na drugie łóżko. – No dalej, siadajcie – powtórzył i przejechał palcami po przerzedzonych włosach, które zaczęły sterczeć.

Gemma przypomniała sobie, że kiedyś był przystojny. To straszne, jakie spustoszenie w wyglądzie człowieka wyrządza czas.

Gemma i Pete podeszli do łóżka razem, jak gdyby byli związani niewidzialnym sznurkiem. Gdy usiedli, dzielił ich od Harlissa niecały metr. Gemma zauważyła jego tanią kurtkę, tłustą cerę, paznokcie poobgryzane aż do

skóry i ze zdziwieniem stwierdziła, że już się go nie boi, tylko jest jej go żal. W tej chwili uświadomiła sobie, że rzeczywiście wierzy, że ten człowiek nie chce zrobić im krzywdy. Była pewna, że nie potrafiłby tego zrobić, nawet gdyby chciał.

– Powiedziałam panu – odezwała się delikatnym głosem, jak do dziecka. – Wiemy nawet mniej niż pan. Dlatego tu przyjechałam. Ponieważ nic nie wiedziałam. Ponieważ nie miałam pojęcia o istnieniu Haven.

– A to zabawne. – Harliss roześmiał się ponuro. – Zupełnie się nie dziwię, że chciałybyś wiedzieć o nim wszystko.

Gemma poczuła gęsią skórkę. W pokoju zaszła delikatna zmiana – nastąpiła elektryzująca cisza.

– Co ma pan na myśli?

Harliss spojrział na nią tymi swoimi smutnymi psimi oczami.

– W końcu to tam powstałaś, prawda?

Docierało do niej jak przez mgłę, że Harliss wciąż coś mówi. Czuła, jakby otwarła się w niej jakaś dziura, a zarazem jakby w nią wpadała.

Powstała tam. Została tam zrobiona.

Tak jak tamta dziewczyna z mokradeł...

Gemma nie była oryginałem. Ona też była repliką.

„To niemożliwe”, chciała powiedzieć. Przecież pamiętała swoje zdjęcia jako noworodka z mamą w szpitalu. Czy to wszystko zostało sfingowane? Nie. Nikt nie byłby w stanie udawać tej euforii i wyczerpania, które malowały się na twarzy mamy, potu na jej czole, oszołomienia i radości. Niemożliwe. Ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, więc to Pete się odezwał.

– To niemożliwe – rzucił. Wpatrywał się w nią, a ona odwróciła wzrok, zbyt oziębiała, by nawet czuć zawstydzenie.

Wydawało jej się, że jest przerażony. Czy można mu się dziwić?

– Sporo czasu mi zajęło, żeby poskładać to wszystko do kupy – mówił Harliss. – W więzieniu nie miałem nic innego do roboty, a w końcu spędziłem tam dwanaście lat. Nie mówię, że sobie na to nie zasłużyłem, bo zasłużyłem. Pracowałem u was w domu, zanim przywieźli cię z tamtego miejsca. Ale źle się ze mną działo. Uzależniłem się od tego cholerstwa, które przepisali mi na ból pleców. Przez większość czasu nie miałem kontaktu z rzeczywistością.

– Teraz też nie ma pan kontaktu z rzeczywistością – powiedział Pete. – To niemożliwe.

Nawet jeśli Harliss usłyszał Pete’a, nie dał tego po sobie poznać. Wciąż patrzył na Gemmę.

– Moja była żona pracowała u was dorywczo jako sprzątaczką. Twoja mama była wtedy w kiepskim stanie. Naprawdę kiepskim. Właśnie straciła dziecko, córeczkę. Nagła śmierć łóżeczkowa. Małeństwo miało zaledwie pół roku.

Serce Gemmy przestało bić.

– Jakie małeństwo? – wyszeptała z trudem. Nigdy nie słyszała, by jej rodzice wspominali o innym dziecku.

Ale Harliss ciągnął dalej:

– Aimee, moja była, mówiła, że to zabawne: mieć wszystkie pieniądze świata, ale nie móc kupić tego. Kiedy zaszła w ciążę z Brandy-Nicole, twoja mama siedziała z ręką na jej brzuchu, by poczuć ruchy dziecka. Zaczęła wycinać artykuły, żeby Aimee wiedziała, jak powinna się odżywiać, że powinna odstawić alkohol i fajki. Nawet kupiła nam kilka rzeczy, łóżeczko i wózek, parę ciuchów dla małej. Było widać, że naprawdę z nią źle. Mówiła, że nie może znowu zająć się w ciążę. Przez jakieś problemy przy pierwszym porodzie.

A więc było inne dziecko, siostra, o której istnieniu Gemma nie miała pojęcia. Kristina straciła córeczkę. I gdzieś głęboko w głowie Gemmy zbierały się pewne myśli jak ciężkie chmury przed burzą, które lada chwila miały się ze sobą zetrzeć.

– Kiedy Brandy-Nicole miała dziesięć miesięcy, aresztowano mnie za posiadanie narkotyków i skazano na półtora roku w Johnston, więzieniu stanowym niedaleko Smithfield. Karę skrócono do dwunastu miesięcy za dobre sprawowanie. Gdy tylko mnie wypuścili, od razu znowu zacząłem brać. – Dotknął szyi, jak gdyby zdumiony, że wciąż bije tam puls, utrzymując go przy życiu. – Twój ojciec był porządnym gościem. Wiedział, że siedziałem w pace, ale zatrudnił mnie z powrotem. Powiedziałem mu, że jestem czysty. Uwierzył mi.

„Życie nie daje drugiej szansy”. Czy nie to zawsze powtarzał jej tata? Kiedyś musiał myśleć inaczej.

Było inne dziecko...

– Aimee wciąż przychodziła do was od czasu do czasu, by posprzątać. Byłaś już wtedy w domu, pół roku młodsza od Brandy-Nicole. Ale twoja mama nie lubiła, gdy bawiliście się razem. W ogóle prawie nikogo do ciebie nie dopuszczała. Myśleliśmy, że bała się, że zachorujesz jak ta pierwsza.

Ta pierwsza. Pierwsza córka. Oryginał. I ona, Gemma, jej cień.

– „Zabawne”, mówiła do mnie Aimee. „Wyglądają dokładnie tak samo. Mogłyby być bliźniaczkami, tyle że Emma miała znamię na ramieniu”. Wtedy jakoś się nad tym nie zastanawiałem. Ale później, kiedy zacząłem się domyślać, po co stworzono Haven i za co płacił im twój ojciec, dodałem dwa do dwóch.

Emma. Ona miała imię, ta jej fantomowa siostra, która tak właściwie była kimś dużo więcej niż siostrą. Gemma zamknęła oczy i pomyślała o swojej matce, spoconej, zmęczonej, ale szczęśliwej, o dziecku w jej ramionach. To nie była Gemma. To była Emma.

Przez wszystkie te lata Kristina żyła z żywym wspomnieniem tej pierwszej, utraconej córki. Emmy. Co za śliczne imię. Dużo ładniejsze niż Gemma. To tamta była oryginałem. Ona, Gemma, była kopią. A wszyscy wiedzieli, że kopie nie są tak dobre. Czy to dlatego jej mama zaczęła brać tyle leków? Oksykodon, klonopin i zoloft? Całą masę środków, byle tylko zapomnieć, wyprzeć wspomnienia.

Wszystko dlatego, że Gemma była potworem.

– Maską Frankenstein. – Otworzyła oczy. – To pan wrzucił tę halloweenową maskę.

Przypomniała sobie, co jej tata powiedział o Frankensteinie: w oryginalnej historii, w jej prawdziwej wersji, to on stworzył potwora. Myślała, że chodziło mu o to, że jego córka jest chora i gruba, że jest dziwolągiem. Ale on mówił dosłownie. Nie przesadzał.

Harliss szarpnął kołnierzykiem koszuli i Gemma zobaczyła, że na szyi po lewej stronie ma wytatuowany krzyżyk.

– Byłem wściekły – powiedział. – Próbowałem porozmawiać z twoim ojcem. Poszedłem do jego biura. Powiedział, że naśle na mnie gliny, jeśli przyjdę raz jeszcze. Powiedział, że go nękam. Ale zrozum mnie. Chciałem tylko poznać odpowiedzi. Musiałem dotrzeć do prawdy.

Pete wstał i przeklął.

– To jakieś szaleństwo. – Ruszył w stronę drzwi, a Harliss nie próbował go zatrzymać. Gemma myślała, że będzie chciał wyjść, ale tylko stanął przy drzwiach. – To czyste szaleństwo, wie pan?

Gemma tego nie skomentowała. Dla niej to nie było szaleństwo. Tak naprawdę po raz pierwszy wszystko zaczynało mieć sens. To, że jej ojciec nie mógł na nią patrzeć. Dziwne napięcie między jej rodzicami, jak gdyby stali po dwóch stronach przepaści, sekret, który sprawił, że ich świat rozpadł się na pół. Wspomnienie Gemmy o posagu i wszystkie te wizyty w szpitalach – prawdopodobnie była tak podatna na choroby, ponieważ została sztucznie stworzona. Zastanawiała się, czy Bóg nie mścił się w ten sposób na ludziach, którzy zostali powołani do życia w tak nienaturalny sposób. Ciągłe starał się ich od-tworzyć.

– Co się stało z pana córką? – spytała nieswoim głosem. – Co się stało z Brandy-Nicole?

Harliss splótł ręce. Mogłoby się wydawać, że się modli, gdyby jego knykcie nie były takie białe. Ścisnął je mocno, aż do bólu.

– Wtedy nie działało się najlepiej – rzekł cicho. – Ja i Aimee ciągle skakaliśmy sobie do gardeł. Chodziło głównie o pieniądze. Wciąż nam ich brakowało. Strasznie je przepuszczaliśmy. Oboje co wieczór byliśmy na haju. Biedna Brandy-Nicole nie miała nawet trzech lat... – Głos mu się załamał. – Pamiętam, jak raz obudziłem się w środku nocy, a ona leżała w swoich szczytach od kilku godzin. Ja wcześniej odleciałem, a Aimee nawet nie pomyślała o przyjsciu do domu. Wtedy właśnie zerwaliśmy na dobre.

Dziwne, że Gemma miała ochotę go pocieszyć, powiedzieć, że wszystko jest dobrze. Ale oczywiście nie było.

– Strasznie potrzebowałem pieniędzy – mówił niemal szeptem. Zastanawiała się, czy komukolwiek wcześniej opowiadał tę historię. Pete dalej stał przy drzwiach. Zastygły. Przerażony. – Wciąż pracowałem dla twojego ojca. Cała ta forsa wokół... – Spuścił wzrok. Czuł się winny. – Na początku kradłem drobne rzeczy. Takie, których zniknięcia nikt nie zauważał. Zastawiałem je za czyimś pośrednictwem. Wiem, że postępowałem źle, ale musisz mnie zrozumieć. Nie myślałem jasno...

Gemma pokręciła głową, by powiedzieć, że to nie ma znaczenia.

Harliss oblizał usta.

– Ale wtedy zacząłem myśleć o poważniejszej zdobyczy. Wiesz, o czymś konkretnym. Pomyślałem, że twój ojciec musi mieć jakieś tajemnice i nie chce, by inni się o nich dowiedzieli. Każdy ma coś za uszami, a zwłaszcza tacy faceci jak on... – Jego wzrok znowu pobiegł nerwowo do Gemmy, ale dziewczyna go nie poprawiała.

Już nigdy nie będzie bronić własnego ojca.

– Mówi pan o szantażu. – Głos Pete'a wydał się bardzo donośny.

Harliss kiwnął głową.

– Tak, o to chodziło. – Wyglądał, jak gdyby znów chciał przeprosić.

Gemma przerwała mu.

– Co się stało?

Harliss wziął głęboki oddech.

– Zacząłem przetrząsać gabinet twojego ojca, przeszukałem jego maile. – Poruszył się nerwowo. – Tak jak powiedziałem, byłem w amoku...

– Niech pan mówi dalej – zachęciła go. Brakowało jej tchu, jak gdyby jakaś gigantyczna ręka ścisnęła jej płuca.

– Nie wiedziałem, jak się dostać do plików związanych z jego pracą. Za dużo zabezpieczeń. Ale i tak zależało mi na czymś bardziej osobistym. Dotarłem do jego prywatnej skrzynki pocztowej. „Kłopoty”. To był tytuł jednego z pierwszych maili. Kłopoty.

Powietrze w pokoju stało. Gemma miała poczucie, że nawet pyłki kurzu są zawieszane nieruchomo.

– Nic z tego nie rozumiałem. Nie wtedy. Mail dotyczył jakiejś inwestycji twojego ojca, z której chciał się wycofać. Pisał, że dał już mnóstwo forsy i nie chce mieć z tym nic wspólnego, że stwierdził, że to niewłaściwe. A ten, z którym pisał, Mark Saperstein, chciał od niego więcej pieniędzy. Jego zdaniem, skoro Haven zmierzało w nowym kierunku, wszyscy staną się bogaci, jeśli tylko twój ojciec zaangażuje w to Fine & Ives. Jedno zdanie pamiętam dokładnie: „I tak szybko umierają”. To było na końcu wiadomości od Sapersteina.

Gemma odczuwała odstępy między uderzeniami swojego serca jak długie momenty nieistnienia. Czego uczyli się na biologii o klonach? Niedoskonała nauka. Rak, guzy, które wykwiwały jak pączki kwiatów w sztucznie wyhodowanych płucach, sercach i wątrobach. Tak jakby wzrost ich komórek, nienaturalnie zapoczątkowany, nie mógł się potem zatrzymać.

Zastanawiała się, kiedy jej komórki zaczną się namnażać.

– Twój ojciec mnie przyłapał. Nie wtedy, ale innym razem, w swoim gabinecie. Wpadł w szal. Był naprawdę wściekły. Nie mógł uwierzyć, że zachowuję się tak po tym wszystkim, co dla mnie zrobił, po tym, jak dał mi drugą szansę. Nie winię go. Gliniarze znaleźli też w naszym mieszkaniu parę rzeczy należących do twoich rodziców. Zegarek i kilka innych przedmiotów. Ciagle chodziłem naćpany i nie pozbyłem się wszystkiego. Straciłem czujność. Wsadzili mnie za kradzież i posiadanie narkotyków, bo miałem w mieszkaniu kilka działek. Tym razem dostałem dłuższy wyrok, wicie, recydywa. Ale najpierw kilka tygodni spędziłem na detoksie. Detoks mało mnie nie zabił.

Czułem się potwornie. Modliłem się o śmierć. Ale nie umarłem. – Jego ręka znowu powędrowała do krzyżyka na szyi. – Potem obiecałem sobie, że już nigdy w życiu nie tknę tego syfu. I nie tknąłem. Nie wypilem nawet łyka piwa i nigdy tego nie zrobię, przenigdy.

Te oczy, niespodziewanie ciepłe i sympatyczne, zatopione w zniszczonej twarzy – Gemma ledwie mogła na niego patrzeć.

– To moja wina, że zabrano Brandy-Nicole. Gdybym nie był na haju, gdybym nie wylądował w więzieniu, dalej by tu była. Ze mną. Moje maleństwo... – Głos znowu mu się załamał i odwrócił wzrok, ocierając oczy wierzchem dłoni. – Aimee powiedziała, że mała została porwana w supermarkecie. – Pokręcił głową. – To od początku nie trzymało się kupy. Ta kobieta nigdy nie była w normalnym sklepie. Chodziła tylko do monopolowych po papierosy i piwo. Poza tym dlaczego czekała dwa dni, żeby zadzwonić na policję? Ciagle też zmieniała wersje wydarzeń. Najpierw twierdziła, że Bran została porwana z wózka na zakupy. Potem, że z tylnego siedzenia samochodu. Przyszła do mnie w odwiedzin, na haju, opowiedziała te swoje bzdurne historyjki i nawet nie potrafiła się rozplakać. – Harliss spojrział na swoje ręce, które znowu splótł.

Gemma zastanawiała się, jak można zachować wiarę po takiej stracie. Jak można się jeszcze modlić.

– Na początku myślałem, że Aimee gdzieś ją porzuciła. Nawet że może zrobiła jej krzywdę. Gliniarze wkrótce dali sobie spokój z tą sprawą. Myśleli, że po prostu się wkurzyłem, że odgrywam się na byłej i takie tam. Aimee znalazła nowego faceta, a przynajmniej tak to wyglądało. Nagle nie wiadomo skąd miała mnóstwo forsy. Nowe ciuchy, lepszy samochód, ostro imprezowała. No cóż. – Po raz pierwszy się uśmiechnął. Ale był to okropny uśmiech, złośliwy i wąski, jakby wycięty brzytwą. – Dostała za swoje. Zmarła kilka miesięcy później, przedawkowała. Te wszystkie brudne pieniądze... Biblia mówi prawdę. Co

posiejesz, to zbierzesz.

– Myśli pan, że sprzedawała Brandy-Nicole – powiedziała Gemma, ale Harliss wziął to za pytanie i potaknął.

– Nie wiedziałem, co myśleć, nie wtedy – rzekł. – Ale kilka lat później usłyszałem historię pewnej kobiety, Monique White, która oddała swoje dziecko jakiejś organizacji, gdy była ćpunką, ale kiedy wyszła z nałogu, chciała odzyskać córkę. Tyle że dziewczynka zniknęła. A ona mieszkała zaledwie godzinę od Durham, naszego miasteczka. Pewnie nie myślałbym o tym zbyt dużo, gdyby jeden z ważniaków z Fundacji Dom nie orzekł, że kobieta jest niespełna rozumu, bla, bla, bla... Takie typowe pieprzenie. Saperstein. Gdy usłyszałem to nazwisko, doznałem szoku. To był ten sam facet, z którym korespondował twój ojciec.

Gemma powoli zaczynała wszystko rozumieć. Doktor Saperstein – inteligentny, bezwzględny i okrutny. I jej ojciec – pan Nadziany, który nagle zmienia zdanie. Pewnie był jednym z pierwszych inwestujących w Haven, jednym z tak zwanych aniołów biznesu.

Czy uznał, że nie chce mieć z tym nic wspólnego, gdy tylko Gemma przyjechała do domu? Czy może dopiero wtedy, kiedy zaczęła mówić, kiedy zaczęły się ujawniać jej defekty, które uczyniły ją, w porównaniu ze zmarłą córką, tak niedoskonałą? A Richard Haven został zamordowany – możliwe, że przez Sapersteina, któremu robienie klonów nie wystarczało, pragnął wykorzystać je do innych celów. Instytutowi groziło zamknięcie właśnie wtedy, kiedy Saperstein objął stanowisko dyrektora. Musiał się czuć przyparty do muru.

– Nie rozumiem – odezwał się znowu Pete, obejmując się rękami, jak gdyby w pokoju było zimno, choć wcale nie było. Było duszno, brakowało powietrza. – Jeśli w Haven produkowano klony, dlaczego interesowano się zwykłymi dziećmi? O co im chodziło?

– O pieniądze – odparła Gemma piskliwym głosem. Harliss spojrział na nią

zdumiony, jak gdyby zapomniał, że tu jest. Pete w ogóle na nią nie patrzył. – Pewnie Saperstein chciał, żeby firma mojego taty inwestowała w Haven, aby instytut przetrwał. Może uświadomił sobie, że odtwarzanie martwych dzieci dla bogaczy wcale nie jest taką żylą złota. – Pete zaklął pod nosem. Gemma odczuła zimną satysfakcję przy słowach „odtworzenie martwych dzieci”. Sekret wyszedł na jaw. Była dziwolągami i potworem. Teraz już nie miała co do tego wątpliwości. – Fine & Ives zawsze współpracowało z wojskiem, więc Saperstein, by zdobyć duży kontrakt, próbował udowodnić, że klony mogą być użyteczne. Ale skoro nie mogli sobie pozwolić na dalszą ich produkcję... Sprowadził do Haven dzieci, za którymi, jak myślał, nikt nie będzie tęsknił. Wykorzystał je, by przeprowadzać na nich testy. Trwało to dopóty, dopóki nie dostał pieniędzy, których potrzebował.

– A więc w Haven były normalne dzieci – powiedział Pete – wymieszane z replikami.

Nawet nie mogła się na niego złościć za to, że nazwał je normalnymi. Bo niby kim były?

– Pewnie tylko w pierwszym pokoleniu – odparła. Harliss powiedział, że jego córka była prawie w jej wieku. – Gdy tylko Saperstein dostał kontrakt z wojskiem dzięki Fine & Ives, nie chciał już ryzykować. Repliki są drogie, ale można z nimi robić, co się chce. A przynajmniej tak uważali wszyscy w Haven. – Przypomniały jej się drżące ręce Liry, jej chudość, jej zakłopotanie. Pomyślała o jej chorobie, jak gdyby to był rodzaj jakiejś plagi, jak gdyby czarne robaki pełzały w jej żyłach, by zagnieździć się w fałdach jej mózgu.

– Przez cały ten czas myślałem, że może Bran tam jest – kontynuował Harliss. Znowu mruganiem odgonił łzy. Te zakwaszone oczy i wilgotny nos upodabniały go do psa. – Zwolniono mnie z więzienia sześć tygodni temu i zaraz po wyjściu zacząłem poszukiwania. Gdy zobaczyłem ciebie – kiwnął głową w stronę Gemmy, jak gdyby spotkali się wtedy w Chapel Hill ot tak, na

herbatkę – stwierdziłem, że przyjadę tu osobiście. Myślałem, że może uda mi się dostać na wyspę, zobaczyć na własne oczy, co tam robią tym biednym duszyczkom. Ale się spóźniłem. Ogień był wysoki na dwa–trzy piętra. Ktokolwiek to spalił, dobrze zrobił.

– Wiem – powiedziała Gemma cicho. – Widzieliśmy to. Byliśmy tam.

Harliss pokręcił głową.

– Nie wiedziałem, co robić. Nazwisko pewnej kobiety, Emily Huang, przewijało się we wszystkich artykułach o Fundacji Dom. W jednej z gazet było nawet jej zdjęcie. I wtedy mi się przypomniało. Widziałem ją raz z Aimee. To było w waszym domu. Musiała tam przyjść z Sapersteinem, ale zobaczyła Aimee, gdy już wychodziła, i zaczęła zagadywać do Brandy-Nicole. Pomyślałem, że pojedę do Palm Grove, chociaż słyszałem, że się powiesiła. Co innego mi pozostało? I siedzę sobie w swoim pokoju w motelu, zastanawiam się, co dalej, i nagle po drugiej stronie ulicy widzę ciebie. – Podniósł wzrok z niedowierzaniem. – To było jak znak. Jak gdyby Bóg chciał mi powiedzieć, że jestem na właściwej drodze.

Gemma niemal zapomniała, że nie byli tutaj z wyboru – że zostali tu doprowadzeni siłą, że nawet teraz Harliss miał broń na wyciągnięcie ręki. Zrobiło jej się go żal, ale to nie znaczyło, że powinna mu ufać. Był zrozpaczony. To akurat wydawało się oczywiste. Był zrozpaczony i nie miał nic do stracenia. Fatalne połączenie.

– Niech pan posłucha – zaczęła. – Widziałam tamtą wyspę. Dotarłam bardzo blisko niej. Cały instytut został zniszczony. Nikt nie ocalał. Jeśli pana córka rzeczywiście tam była, już po niej. I wątpię, by mógł ją pan odnaleźć.

– Gemma. – Pete wypowiedział jej imię cicho, ale równie dobrze mógłby krzyknąć.

Ale ona miała to w nosie. Wszystko legło w gruzach. Czy nie lepiej było skończyć z tym raz na zawsze, przyjąć ból i pozwolić, by ją stąd zabrał? Czy nie

było to lepsze niż te wszystkie lata nakłuć i nacięć, bolesnych kłamstw i półprawd, które raniły do krwi?

– Niech się pan podda, tak będzie lepiej – rzekła. – Przykro mi. Inaczej tylko się pan rozczaruje. Dalsze poszukiwania złamią panu serce.

– Dla mojego serca jest już za późno – odparł nagle ostrym tonem.

Strach i czucie wróciły do Gemmy, gdy tylko się podniósł. Ale nic jej nie zrobił, przeszedł po prostu kilka kroków i stanął do niej plecami. Pomyślała o tym, że musi zabrać broń, ale nie była w stanie po nią sięgnąć. Harliss stał tak przez dłuższy czas i wpatrywał się w kąt, gdzie zwijała się tapeta i gdzie otwarte drzwi ukazywały wnętrze obskurnej łazienki. Gdy Gemma zobaczyła, że jego ramiona drżą, uświadomiła sobie, że mężczyzna płacze.

– Kiedy Bran była mała, naćpałem się z jej matką, a ona w jakiś sposób wydostała się z łóżeczka i rozbiła sobie głowę o szklany stolik. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Było tam tyle krwi. Na całym dywanie. Założono jej na czole dwadzieścia szwów. Mało wtedy nie umarła. – Zupełnie się rozklejał. – Nigdy nie miałem okazji jej przeprosić. Nigdy nie miałem okazji powiedzieć jej... – Ale zakrztusił się tym, cokolwiek miał rzec.

Gemma chciała wstać i go pocieszyć, ale nie mogła się ruszyć. Poraziło ją wspomnienie Liry i jej blizny nad prawą brwią. Starej blizny. Pochodzącej z dzieciństwa.

– Panie Harliss – odezwała się. – Ma pan jakieś zdjęcie Brandy-Nicole?

Odwrócił się. Jego twarz była sina, a górna warga lśniła od smarków, ale na szczęście zaraz wytarł ją rękawem.

– Tak – powiedział, biorąc się w garść. – Noszę je przy sobie, od kiedy poszedłem do więzienia po raz drugi. – Wyjął z kieszeni stary skórzany portfel i zaczął w nim grzebać. Gemma spojrzała na swoją rękę, jakby było to coś obcego, białego, wzdętego i martwego. Emma. Ta pierwsza miała na imię Emma i nie żyła. – Mieliśmy tego więcej, ale u Aimee, więc kto wie, co się z nimi stało.

Zdjęcie było małe. Dziewczynka mogła mieć co najwyżej trzy lata. Siedziała na podłodze w niebieskiej sukience i białych rajstopkach, brązowe włosy spięto jej różowymi spinkami, w ręce ścisnęła plastikowy kubek ozdobiony maszerującymi lwami i uśmiechała się do kogoś znajdującego się na lewo od aparatu.

– To było pół roku przed tym, jak ją zabrano. – Harliss usiadł koło Gemmy. Ich uda praktycznie się stykały. Zachowywał się tak, jak gdyby zapomniał, w jaki sposób i po co ich tu sprowadził. Jak gdyby byli starymi przyjaciółmi, których połączył smutek. – Uwielbiała ten kubek. Pamiętam, jak Aimee krzyczała na nią, żeby go odłożyła, ale nie chciała. Nigdzie się nie ruszała bez tego cholernego kubka.

Blizna nad brwią dziewczynki wyglądała wyraźniej niż teraz. Ale to bez wątpienia była ona.

Lira, replika, zaginione dziecko.

Gemma wstała. Niektóre części jej ciała wydawały się ołowiane, inne niemożliwie lekkie, jak gdyby została rozmontowana, a potem niewłaściwie złączona w całość. Nagle pomyślała, że jej płuca się zapadają. Nie mogła oddychać. Było zbyt gorąco. Powietrze wydawało się mokre od upału, jakby próbowała oddychać błotem.

Pete spojrzał na nią zaniepokojony.

– Wszystko w porządku?

Co za głupie pytanie – nie sądziła, żeby kiedykolwiek cokolwiek znowu było w porządku.

– Co? – wtrącił się Harliss. – Co się dzieje?

Czuła, że zaraz zwymiotuje. Miała wrażenie, że od nowa uczy się chodzić, jak gdyby dopadały ją skurcze mięśni i zaraz miała się przewrócić. Spodziewała się, że Harliss ją zatrzyma, ale tego nie zrobił.

– Co się dzieje? – powtarzał. – O co chodzi?

Ale ona była już przy drzwiach. Niezdarnie odsunęła łańcuch i zasuwę, jej ciało wciąż się buntowało.

A potem znalazła się na zewnątrz, na powietrzu, które było jeszcze gorsze, cięższe, bardziej martwe niż tamto w środku. Słońce wydawało się zniewagą. Oparta o barierkę spojrzała w dół na parking, pluła i kaszłała, próbując pozbyć się tego, co tkwiło w środku niej, tego potwornego uczucia, które załęgło się w jej wnętrznościach. Chciała je z siebie wyrzucić, ale nic nie wychodziło. Nagle zaczęła płakać. Świat wybuchnął jasnością, a ból w jej głowie zwęził się do ostrego punktu i stała tak w tym głupim słońcu, szlochając i mażąc się. Dziewczyna-potwór. Kosmitka. Nie powinno jej tu być.

Za plecami usłyszała skrzypnięcie drzwi. Nie odwróciła się. Podejrzewała, że to Harliss, że zaraz każe jej wrócić do środka.

Ale to nie był on. Pete stanął obok niej i położył jej rękę na łokciu.

– Gemma?

Odsunęła się od niego. Wiedziała, że musi wyglądać koszmarnie. Zawsze tak było, kiedy płakała, cała czerwona i obślizgła, przypominała noworodka. Chociaż to i tak bez znaczenia. On już nigdy nie spojrzy na nią tak jak dawniej.

– Odezwij się do mnie, Gemma. – To, że wciąż starał się być dla niej miły, tylko pogarszało jej samopoczucie.

– Przestań. Nie musisz.

– Czego nie muszę?

Gdy tak stał w popołudniowym słońcu, spokojny, cierpliwy i smutny, do Gemmy dotarło, że w życiu nie widziała niczego piękniejszego. Jakby człowiek skręcił za róg, wyczerpany, zagubiony, i zobaczył swój dom, a w nim światła palące się we wszystkich oknach. Oczywiście była świadoma tego, że zakochała się w nim w tym samym czasie, kiedy dowiedziała się prawdy o swoich rodzicach i o tym, jak powstała z tkanek swojej siostry, która powinna była żyć.

– Słyszałeś, co powiedział. – Gemma nie potrafiła się zmusić, by powtórzyć

tamte słowa. Mocno ścisnęła barierkę, mając głupią nadzieję, że jeśli wbije sobie drzazgę, to coś wypłynie z niej razem z krwią. Parking oślepił światłem słonecznym i brzydotą. – Już wiesz, czym jestem.

– Czym jesteś? – Pete położył rękę na jej dłoni. – O czym ty mówisz?

Nie mogła znieść jego dotyku. Pomyślała o swojej ręce, o swojej skórze wyhodowanej w jakimś laboratorium. Czy właśnie tak to robili? Hodowali komórki jej skóry tak samo jak robi się to z jogurtem, z bakteriami? Cofnęła dłoń.

– Jestem dziwolągiem – powiedziała. Nie mogła powstrzymać łez. Jezu. – Jestem potworem. – Serce podeszło jej do gardła i mówienie przychodziło z trudem. – Najgorsze, że chyba zawsze to wiedziałam. Zawsze to czułam.

– Gemma, nie. – Pete złapał ją za ramiona, tak że nie miała wyjścia, musiała na niego spojrzeć. Otarła twarz ręką, rozmazując po niej łzy, a może nawet i smarki. Fantastycznie. – Posłuchaj mnie, dobrze? Ci ludzie w Haven, ci, którzy porywali dzieci, by zdobyć fundusze, ci, którzy tworzyli ludzi, żywych ludzi, tylko po to, żeby ich wykorzystać i zatruć, to są potwory, jasne? Nie ty. Ty jesteś cudowna, słyszysz mnie? Jesteś doskonała.

W jakiś sposób dotarło to do niej przez gęste opary nieszczęścia. Nikt nigdy nie powiedział jej, że jest doskonała. Była tak daleka od doskonałości, jak to tylko możliwe. A mimo to, gdy spojrzała na niego, na jego piegi i ciepłe, dobre oczy, uwierzyła, że tak ją widzi.

Ze wszystkich rzeczy, które ujrzała i których dowiedziała się w ciągu ostatniego tygodnia, ta wydawała się najbardziej niezwykłą.

– A więc mnie nie nienawidzisz? – Przełknęła czkawkę. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak teraz wygląda, ale nie czuła się przy nim brzydka.

Wciąż trzymał rękę na jej ramionach, a ona zdała sobie sprawę, jak blisko siebie stoją. Nikt nigdy nie patrzył na nią tak jak on teraz ani nie dotykał jej w taki sposób, jakby była czymś pięknym i wymagającym ochrony. Gdy się

uśmiechnął, jego oczy były jak drzwi, które się otwały i zapraszały do środka.

– Rany, Gemma, czasami jesteś taka głupiutka. Wiesz o tym?

Musiał się nieco pochylić, by ją pocałować. Gemma nigdy w życiu nie czuła się mała, ale w tej chwili – owszem. Mała i chroniona, zamknięta w przestrzeni stworzonej przez jego pierś, przez jego ręce na jej policzkach. Miał takie miękkie wargi. Nie starał się włożyć języka do jej ust i tak było dobrze. To był jej pierwszy pocałunek w życiu i była zdenerwowana, zbyt zdenerwowana, by jeszcze myśleć o tym, czy robi to właściwie, albo martwić się, czy odpowiednio otwiera usta, czy operuje językiem za dużo lub za mało. Chciała po prostu tak stać w słońcu, czuć miękkość jego warg i delikatność jego palców na swoich policzkach. Przesunęła ręce do jego pasa i poczuła, jak jego ciało zadrżało pod podkoszulkiem, poczuła jego wąską talię, tak rozkoszną, obcą i inną.

Odsunął się, a ona zrobiła krok w tył i przyłożyła rękę do swoich ust. Mrowiły lekko. Jej pierwszy pocałunek. Z Pete'em Zbokiem. Nigdy nie czuła się tak szczęśliwa. Miała wrażenie, że ktoś otworzył w jej piersi słoik miodu. Wypełniało ją powolne ciepło.

– Wow – powiedział Pete. – Nieźle, co? – Jego uśmiech był tak szeroki, że przesłaniał wszystko.

Przytaknęła tylko. Bała się, że jeśli się odezwie, zacznie chichotać.

– To znaczy, bez fałszywej skromności, chyba zrobiłem to po mistrzowsku. Jeśli za wybranie odpowiedniego momentu na pocałowanie dziewczyny można by zdobyć królestwo, pewnie byłbym już królem.

– Pete? Nie psuj tego, dobrze? – Ale ona też się uśmiechała.

Na parkingu stał facet w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych i najwyraźniej ich obserwował. Gemma już chciała się odwrócić zakłopotana – czy on gapił się na nich przez cały czas jak jakiś świr? – kiedy zauważyła krój jego garnituru oraz mężczyznę ubranego identycznie, ledwie widocznego za błyszczącą szybą, siedzącego za kierownicą samochodu, obok którego stał

tamten.

Samochodem tym było bordowe volvo.

To bordowe volvo.

Śledzono ich. I odnaleziono.

Dobry nastrój prysł. Nagle Gemma poczuła przeszywające zimno.

– Dwóch facetów – powiedziała do Pete’a. Gdy tylko mężczyzna zdał sobie sprawę, że go zauważyła, odwrócił się, udając, że rozmawia przez telefon. – Na parkingu, obserwują nas. Jak dla mnie wyglądają na wojskowych. Nie oglądaj się – dodała, łapiąc Pete’a za nadgarstek, gdy zaczął się odwracać.

– Wojskowi. Chryste Panie. – Chłopak zbladł. Nawet jego piegi zbladły. – Jesteś pewna?

Gemma nie chciała na nich spoglądać. Ich obecność była dla niej jak policzek. Jednak spojrzała w tamtą stronę, akurat w samą porę, by zobaczyć, jak facet w okularach przeciwsłonecznych znowu próbuje udawać, że na nich nie patrzy. Gdy wsiadł do samochodu, przez chwilę wyobrażała sobie – modliła się o to – że tamci po prostu odjadą. Ale nie, siedzieli w środku i czekali. Kiwnęła głową.

– Jak, do licha, nas znaleźli?

– Nie mam pojęcia. – Nie wiedziała, na co czekają. Może nie chcieli robić scen. Ale była pewna, że ci ludzie, kimkolwiek są, nie pozwolą im odjechać. Jeszcze godzinę temu marzyła, by ktoś, ktokolwiek, przeszkodził Harlissowi, by ich przed nim uratował. A teraz chciała z powrotem znaleźć się w tym zatęchłym, ciemnym pokoju, gdzie czekał na nich mężczyzna z bronią.

– Posłuchaj, ale co oni mogą nam zrobić? Bo pomyśl: w końcu nic nie przeskrobaliśmy, prawda? Nie mogą nas aresztować tylko za to, że rozmawialiśmy z Jakiem Witzem. Nie mogą nas wsadzić do więzienia. Jasne, złamaliśmy kilka przepisów ruchu drogowego. Może są tutaj, by wręczyć nam

mandat za przekroczenie prędkości, za brak kierunkowskazu, wlepić mi punkty karne... – urwał.

Gemma wiedziała, że sam nie wierzy w to, że ci ludzie przejechali za nimi całą Florydę, ponieważ nie włączył kierunkowskazu.

Kątem oka zobaczyła jakiś ruch na parkingu. Promień odbitego słońca. Drzwi samochodu otworzyły się i obaj mężczyźni wysiedli. Usłyszała metaliczny dzwonek i zajęło jej chwilę, by rozpoznać dźwięk własnego telefonu. Wyjęła komórkę z kieszeni. Jake.

– Jesteśmy w Ameryce – dokończył Pete szeptem. Jak gdyby to mogło pomóc. Jak gdyby mogło ich ochronić. – Więc nie zrobią nam krzywdy. Nie mogą. Nie zrobiliby tego. Prawda?

Gemma na widok telefonu od Jake’a poczuła falę ulgi i radości. On im pomoże. Będzie wiedział, co zrobić. Znowu był po jej stronie.

– Jake? – Niemal się zakrztusiła przy tym słowie. Znów była bliska łez. – Czy to ty?

Ale to nie był on.

Głos dziewczyny brzmiał odległe, jak gdyby trzymała telefon z daleka od ust.

– To nie Jake – powiedziała Lira, a właściwie Brandy-Nicole. – Jake nie żyje. A my potrzebujemy twojej pomocy.

Jake nie żyje.

Umysł Gemmy skupił się na tym fakcie, chociaż nie chciał przyjąć go do wiadomości. Jake Witz nie żył. Jake: jego czarne oczy, ten jego dziwny spokój, jego niespodziewane, oszałamiające uśmiechy, które zapierały dech w piersi.

Nie żyje, nie żyje, nie żyje. Nawet te słowa brzmiały okropnie.

Ci mężczyźni byli temu winni. Nawet jeśli nie zrobili tego osobiście, wydali rozkazy. Była tego pewna.

– Gdzie jesteś? – spytała.

Lira podała jej namiary: znajdowali się w restauracji Blue Gator w Little Waller. Łatwe do zapamiętania.

– Jadą za nami ważniacy – dodała Lira. – Dwoje.

Znaczenie jej słów było jasne. Ich też śledzono.

– Nie ruszajcie się stamtąd – rzuciła Gemma. – Jedziemy po was. – Rozłączyła się i wsunęła telefon z powrotem do kieszeni.

Obaj mężczyźni udawali, że nie patrzą na pokój 33, tylko że coś jest nie tak z ich oponami i wymaga to bacznej uwagi ich obu. Może nie wiedzieli, że Gemma ich rozpoznała. Może właśnie dlatego się nie spieszyli. I z pewnością nie chcieli robić widowiska, nie chcieli, by Gemma i Pete zaczęli krzyczeć i wołać o pomoc.

Widowisko. Właśnie tego było im trzeba.

Ta rozmowa, zarówno wiadomość o Jake’u, jak i to, że Lira i 72 nie przepadli na zawsze, sprawiła, że umysł Gemmy zaczął pracować na zwiększonych obrotach. Gdy zapukała do pokoju 33, Harliss od razu im otworzył. Pewnie stał przy drzwiach i podsłuchiwał, żeby mu nie uciekli.

– Niech mnie pan posłucha – powiedziała, gdy tylko weszli do środka i Harliss zamknął za nimi drzwi. – Myliłam się. Pana córka wciąż żyje i wiem, gdzie można ją znaleźć.

Harliss cofnął się, jak gdyby dostał pięścią. Przyłożył rękę do piersi.

– Skąd...?

– Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Śledzą nas. – Gemma czuła suchość w ustach. – Musimy odwrócić ich uwagę. Ci, którzy po nas przyjechali, nie lubią widowni. Chcieliby zgarnąć nas po cichu. Jeśli uda nam się stąd wydostać, zaprowadzę pana do córki. Mogę zapewnić jej ochronę.

– Cholera. – Pete rozejrzał się po pokoju. Ale oczywiście nie było dokąd uciec.

Harliss wpatrywał się w Gemmę, jakby widział ją pierwszy raz. Najwyraźniej

nie dotarło do niego nic z tego, co przed chwilą powiedziała.

– Brandy... – szepnął nabożnie, jak gdyby był w kościele. – Gdzie ona jest? Czy wszystko z nią dobrze?

Gemma walczyła ze zniecierpliwieniem.

– Teraz jest z nią dobrze. Ale to się zmieni, jeśli tamci ludzie dopadną ją przed nami.

Harliss zasyczał jak przekłuta piłka.

– Niech pan posłucha. Miał pan rację: przez cały ten czas przebywała w Haven. Mieszano jej w głowie, wmawiano, że została tam zrobiona.

– Przez cały ten czas... – Pokręcił głową. Chociaż musiał się tego spodziewać, wyglądał, jakby wyciągano z niego wnętrzności. – A więc nie pamięta mnie? Zupełnie mnie zapomniała?

– Pamięta kilka rzeczy – skłamała Gemma. Jak długo to potrwa, zanim tamci zmęczą się czekaniem i przyjdą załatwić całą ich trójkę? Wiedziała, że to oni zabili Jake'a. Czuła to. I była pewna, że nie zawahają się znowu zabić. – A teraz niech mnie pan posłucha. Musimy uciec tym facetom. Potrzebujemy pańskiej pomocy. Pańska córka jej potrzebuje.

Harliss zamrugął oczami.

– Dobrze. – Przesunął ręką po twarzy, jak gdyby chciał się otrząsnąć ze snu. – Gdzie oni są?

– Tam, na parkingu. Jest ich dwóch. W bordowym volvie.

Wciąż miał zaczerwienione oczy.

– Nie żartujesz sobie ze mnie? Wiesz, gdzie jest moja córeczka?

– Przysięgam – powiedziała Gemma.

– I jeśli ja wam pomogę, wy pomożecie mnie?

Gemma kiwnęła głową. Harliss spojrzał na Pete'a, a ten podniósł obie ręce.

– Tak, tak – rzucił szybko. – Tylko... Chryste. Wydostaniemy się stąd, okej?

Harliss nie odpowiedział, tylko odwrócił się do Gemmy.

– A teraz ty mnie posłuchaj. – Zrobił krok w jej stronę i Gemma zmarszczyła brwi, spodziewając się, że złapie ją za rękę. Ale on tylko wyciągnął palec w jej stronę. – Jedź po moją córkę. Przywieź ją do mnie całą i zdrową, jasne? Ale najpierw zabierz ją ze sobą do domu, do Chapel Hill, i pilnuj jej tam, dopóki nie uda mi się wydostać.

– Wydostać się? – powtórzyła. Czowała ścisk w piersi, ze strachu. – Wydostać się z czego? Nie jedzie pan z nami?

Harliss jednak nie odpowiedział. Rzucił Gemmie pożegnalne spojrzenie, a potem minął ją i zabrał broń z szuflady. Zanim zdążyła go zapytać, co zamierza, wyszedł z pokoju. Przez cienkie ściany słychać było, że się oddala, ponieważ krzyczał – z jego ust wydobywał się potok bełkotliwych wulgaryzmów, a nawet urywki piosenek.

Pete podszedł do okna i rozchylił zasłony, by wyjrzeć na zewnątrz.

– Chyba udaje pijanego – powiedział. – Zatacza się po całym parkingu.

– Niezłe – stwierdziła Gemma.

Przyciągnie to uwagę przynajmniej kobiety z recepcji. A może i innych gości, jeśli w ogóle byli tu jacyś.

– Czy nie powinniśmy zadzwonić na policję? – spytał Pete.

– I co powiemy? Że jacyś wojskowi próbują nas zabić, ponieważ zajmują się klonowaniem ludzi i robią na nich eksperymenty? – Gemma pokręciła głową. Wiedziała, że muszą się dostać do Little Waller, i to jak najszybciej. Nie mieli czasu na kłótnię z policją i na pytania typu: „Gdzie są wasi rodzice?”.

– Nie wiem. – Pete chodził w kółko po pokoju. – Nawet jeśli ci faceci są z wojska, nic nie mogą zrobić, jeśli policja jest w pobliżu, prawda?

Miał rację. Potrzebna im była policja, straż pożarna, potrzebne im było zbiegowisko. Ale nie mogli tak po prostu po nich zadzwonić. Coś zaświtało jej w głowie – jakaś myśl, nadzieja. Chwyliła Pete'a za rękę i pociągnęła do

łazienki.

– To chyba nie jest odpowiednia pora na prysznic – próbował żartować, ale jego głos był drżący i niepewny. – Czy nie powinniśmy stąd uciekać?

Z łazienki nie było jak uciec. Znajdowało się tam tylko wąziutkie okienko szerokości pudełka po pizzy. Rzuciła wzrokiem na smętny prysznic, na umywalkę z gniazdem włosów przylegającym do niej jak napęczniały owad i na alarm przeciwpożarowy. Chwyciła rolkę papieru toaletowego i wrzuciła go do umywalki.

Pete gapił się na nią zdumiony.

– Co ty...?

– Szybko – ponagliła. – Potrzebuję zapalniczki albo zapalek. – Schyliła się, by przeszukać szafkę pod umywalką.

Półkę ze sklejki wyłożono starymi gazetami. Zgniotła je i również wrzuciła do umywalki.

Pete, który przed chwilą zniknął w sypialni, wrócił z pudełkiem zapalek. W środku były tylko trzy sztuki.

– Szuflada w komodzie – powiedział, rzucając je Gemmie. – Zawsze ktoś je zostawia.

Była tak zdenerwowana, że próbując potrzeć zapalniczkę, odłamała jej główkę. Ale druga się zapaliła. Gazeta zajęła się ogniem i zwinęła. Papier toaletowy dymił.

– Zamknij drzwi – przykazała, gdy dym zaczął odpływać w stronę sypialni.

Pete wszedł do środka i zamknął za sobą, po czym oboje zaczęli delikatnie dmuchać w ogień, aż płomień podskoczył pod lustro. Chemikalia z gazety wydzielaly gryzący zapach. Gemmie zaczęły łzawić oczy.

Wreszcie zawył alarm przeciwpożarowy. Był głośniejszy, niż się spodziewała. Zatkaną uszy. W łazience kłębił się dym. Oczy łzawiły jej coraz bardziej. Wreszcie, gdy już nie mogli wytrzymać, otworzyli drzwi do pokoju i wytoczyli

się na zewnątrz, kaszląc i łapczywie wciągając do płuc czyste powietrze. Były tu zamontowane tryskacze, ale chyba nikt ich nie konserwował. Z wąskiej rury w suficie wypłynęła tylko strużka wody i ledwie zamoczyła dywan. Gemma słyszała już wycie syren w oddali. Nie sądziła, że będzie tyle dymu...

– Cholera. – Pete przyłożył podkoszulek do ust. Wykaszłał te słowa. – Ściany.

Tapeta w łazience zajęła się ogniem. Gemma nigdy nie widziała czegoś podobnego. Do tej pory patrzyła na ogień tylko z daleka, kiedy siedziała w domu przed zasilanym na gaz kominkiem, w którym płomień wydobywał się z małej kraty ulokowanej za sztucznymi drewnkami. Pstryk – włączone, pstryk – wyłączone. Ale teraz przez otwarte drzwi łazienki zobaczyła prawdziwy ogień, który pełzał w górę po ścianach, przeskoczył na plastikowe zasłony prysznic i pochłonął je w jednej chwili. Naszła ją przedziwna chęć, by rzucić się tam i zdusić ten pożar – jak gdyby mogło to cokolwiek zmienić – ale zaraz strach chwycił ją mocno za brzuch. Wyjście. Muszą stąd wyjść. Syreny słyhać było coraz głośniej. Kawałek dywanu zajął się ogniem i płomień wyciągnął rękę, pomachał do niej palcami, po czym wpełzł głębiej do sypialni.

Nie byli w stanie otworzyć drzwi. Przez jedną straszliwą chwilę pomyślała, że tamtym udało się złapać ich w pułapkę i zamknąć w środku, by ułatwić sobie zadanie. A wtedy uświadomiła sobie, że w panice Pete zasunął zasuwę, zamiast ją odsunąć, więc sama odsunęła ją z impetem i szarpnięciem otworzyła drzwi. Ogień zaryczał jak dzikie zwierzę – jakby był żywym, głodnym stworzeniem – i chmury dymu wydostały się na korytarz razem z nimi. Ale oni byli już na słońcu, na motelowym balkonie. Gemma zobaczyła na parkingu samochód policyjny i nadjeżdżający wóz strażacki oraz kilkunastu gapiów napływających powoli. Zbiegowisko.

Świat prezentował jej się w obrazach i błyskach. Parking: nastolatka trzyma dziecko – swojego syna? – za rękę, chłopczyk próbuje włożyć do buzi

ogromnego lizaka. Recepcjonistka rozmawia przez telefon, starsza kobieta wskazuje na coś, wokół kostek ma zwinięte skarpetki. Obok bordowego volva stoi chłopiec i wystawia telefon w stronę balkonu, nagrywa. Czas poruszał się dla niej bardzo szybko, więc cała reszta wydawała się niemal zastygła. Wóz strażacki męczy się z wjazdem na parking. Policjant wysiada z samochodu.

– Niech mi pan nie mówi, co mam robić. Już ja znam takich jak wy. Ręce przy sobie!

Wylot klatki schodowej: piętnaście metrów dalej Harliss zatacza się i udaje pijanego, tak że dwóch mężczyzn w garniturach jest zmuszonych wokół niego tańczyć. Gemma widziała tę scenę poszatowaną na fragmenty, instynktownie. Starali się zgarnąć go na spokojnie, bez użycia przemocy. Ale Harliss krzychał, próbował strząsnąć z siebie rękę jednego z nich.

– Znam swoje prawa. Tu jest Ameryka. Wiem, co mówi konstytucja...

Nie było innej drogi na parking – musieli z Pete'em przejść obok tamtych mężczyzn. Ale zanim zdążyli się ruszyć, jeden z nich odwrócił się i ich dojrzał. Wciąż miał na nosie okulary przeciwsłoneczne i to było w tym wszystkim najbardziej przerażające, nawet gorsze niż pożar, który palił, bo taka jest jego natura – ta nienaturalność człowieka, który wykonywał swoje zadanie na zimno... nawet nie zdjął okularów, nawet się nie spocił, nawet się nie zdenerwował.

I w tej chwili dotarło do niej, co tak naprawdę powiedział Pete. Nikt nie rodził się potworem, nie czyniły tego okoliczności ani los. Potwory chciały być potworami. Tylko takie narodziny były przerażające i one ciągle, każdego dnia, zdarzały się na nowo.

Ruszył w ich stronę. Wokół wciąż uwijali się strażacy, rozlegał się szum radia, gliniarz stał bezużytecznie. Mężczyzna nie mógł zaciągnąć ich do samochodu – nie, jeśli by krzyknęła, nie, jeśli zaczęłyby się opierać. Zwróciłoby to uwagę, podbiegłby policjant i zaczął zadawać niewygodne pytania. Ale

z każdą minutą spędzoną tutaj rosło ryzyko, że stracą Lire i 72.

Znajdował się wystarczająco blisko, by jego głos dało się usłyszeć mimo huku ognia, krzyków Harlissa i złowrogiego pomruku ścian, które groziły, że zaraz mogą się zawalić.

– Będzie łatwiej i lepiej dla wszystkich, jeśli pójdziecie ze mną – odezwał się. – Grozi wam niebezpieczeństwo. Jestem tu, by wam pomóc.

Gemma nie spodziewała się tych słów, ale i tak rozpoznała kłamstwo, i to najgorszego rodzaju – takie, które stroi się w piórka życzliwości. Słyszała je przez całe życie.

– Nigdzie nie idziemy – odparł Pete, stając przed Gemmą, jak gdyby pragnął ją ochronić, gest tak uroczo daremny, że aż chciało jej się płakać.

Oboje odbijali się w jego okularach. Miała ochotę roztrzaskać je na kawałki, rozkwasić tę beczelną gębę. Wyobraziła sobie, że jest superbohaterką, która w zawrotnym tempie okłada go pięściami.

– Źle mnie zrozumieliście – ciągnął tamten. – Jestem po waszej stronie. – Zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę do Pete'a. – Ale chyba muszę być bardziej stanowczy...

Wystrzał z broni zabrzmiał ostro, jakby powietrze pękło na pół. Wcześniej Gemma słyszała, jak niektórzy porównywali ten dźwięk do strzelania gaźnika albo do petardy, ale sama nie miała wątpliwości, co to było, jeszcze zanim zobaczyła Harlissa – wciąż w ten dziwny, migawkowy sposób – z pistoletem w rękę, z lufą skierowaną w niebo. Wydawało się, że nastąpiła chwila ciszy, zanim ludzie zaczęli krzyżeć, choć wiedziała, że tak naprawdę wszystko działo się jednocześnie: broń, wystrzał, mężczyzna trzymający Harlissa pada na ziemię, ten stojący przed Pete'em również – ponieważ, rzecz jasna, nie mogli inaczej.

Harliss wystrzelił po raz drugi. Teraz krzyczały już dziesiątki ludzi. Połowa osób na parkingu padła na ziemię albo schowała się za samochody. Przez ułamek sekundy spojrzenia Gemmy i Harlissa spotkały się i wiadomość od niego odczuła

niemal fizycznie, jak pierwszy wdech po ciosie w pierś. Zrozumiała, dlaczego poprosił ją, by zapewniła Lirze bezpieczeństwo, dopóki się nie wydostanie. Zrozumiała, że czekał ponad dziesięć lat, by zobaczyć swoją córkę, i że znowu pójdzie do więzienia z powodu obietnicy złożonej przez nieznajomą, z powodu ziarna nadziei, że to pomoże.

Czas zniknął, był tylko ruch, wirujące atomy, tylko Gemma, Pete i Rick Harliss oraz miłość tak dziwna, niedoskonała i ślepa, że mogła być nazwana jedynie wiarą. Rzeczy, które istniały poza sekundami, minutami i latami. Teraz Gemma czuła w sobie spokój. Obaj mężczyźni wciąż leżeli na ziemi, policjant biegł do klatki schodowej, dwóch strażaków za nim – mimo to zobaczyła ich zawieszonych, nieruchomych, zatrzymanych w tym momencie przez siłę dużo większą od nich i dużo bardziej złożoną – a mały chłopiec upuścił lizaka i zaczął krzyczeć. W oddali wyły kolejne syreny.

Aż wreszcie dotarli na dół schodów, biegli przez parking w stronę auta. Byli gdzieś poza falą ciał, głosów, krzyków. Znajdowali się we wszechświecie złożonym nieskończenie z siebie samego, a mimo to na tyle małym, by zatrzymać te chwile, te wydarzenia: zapach dymu w powietrzu, echo głosów i dotyk ręki Pete'a, większej niż jej, silniejszej, doskonałej.

Gemma wiele by dała, żeby pozbyć się vana i zamienić go na coś mniej rzucającego się w oczy. Czowała się tak, jak gdyby podróżowali w gigantycznym neonowym znaku. Ale udało im się dojechać do Little Waller, nie napotkawszy bordowego volva. Wyglądało na to, że nikt ich nie śledził.

Od ich rozmowy minęła ponad godzina, dlatego Gemma bała się, że Lira i 72 sobie poszli albo zostali złapani. Zastała ich jednak przycupniętych przy stoliku na tyłach restauracji Blue Gator, gdzie między telewizorami a boksami z zielonego skaju wisiały papierowe koniczynki, a za barem sprzedawano podkoszulki z napisem „Pocałuj mnie, jestem Irlandczykiem”. Mieli problemy: kelner męczył ich, by coś zamówili, a 72 patrzył na niego wilkiem.

– Mówiłem już, to nie ja o tym decyduję. – Kelner miał na sobie czarny podkoszulek, a na ramionach koszmarną warstwę łupieżu. – To polityka restauracji. Te kabiny są dla gości, a goście zamawiają posiłki...

– Już w porządku. – Gemma zauważyła, że na jej widok twarz Liry od razu się rozchmurzyła. To niesamowite, że w tak krótkim czasie poczuła się odpowiedzialna za to małe, chude stworzenie z wielkimi oczami i straszliwą przeszłością, za Brandy-Nicole. – Oni są z nami, już wychodzimy.

– Śledzono was? – spytała Gemma, gdy tylko znaleźli się z powrotem w samochodzie.

Pete natychmiast wjechał na autostradę, chociaż nie uzgodnili, dokąd jadą. Wiadomo, że łatwiej zniknąć na dużych drogach i w dużych miastach.

Lira pokręciła głową.

– Przedtem tak – odparła. – Ale nie tutaj. Nie w tym miejscu.

– Jakiś mężczyzna tam zaglądał – dodał 72. – Ale nas nie widział.

Niebo ponad nimi zrzucało z siebie błękit, odsłaniając warstwę niesamowitych fioletoów i różów. Gemma złapała się na tym, że modli się, by noc i ciemność – dzięki której wszystkie samochody traciły swoje cechy i stawały się parą reflektorów – nadeszły szybko. Wolałaby nie pytać o Jake’a – poniekąd nie chciała znać szczegółów – ale było za późno, by udawać, że nic się nie stało. Zresztą była mu winna, by stawić czoła prawdzie o tym, co mu zrobiono.

– Co się stało z Jakiem?

Lira opowiedziała im całą historię: o tym, jak namierzyli Emily Huang i dowiedzieli się, że pielęgniarka nie żyje, jak przypomnieli sobie, że mają adres Jake’a, i postanowili do niego pojechać, o mężczyźnie i kobiecie, którzy przyjechali zatrzeć ślady.

– Oboje powieszni, żeby wyglądało to na samobójstwo. – Gemma czuła w ustach gorycz, jak gdyby razem z dymem nawdychała się popiołu, i nie mogła przestać kaszleć. – To pewnie taka mała specjalność wojska.

– Pewnie mniej podejrzane niż broń – powiedział Pete cicho. Położył rękę na jej kolanie.

Serce Gemmy zareagowało i drgnęło pod wpływem jego dotyku. Przynajmniej wynikła z tego wszystkiego jedna dobra rzecz, może jedyna: miała Pete’a.

– Dlaczego uciekliście? – spytała Gemma.

Lira i 72 milczeli przez chwilę.

– To był pomysł Caeluma... – odparła wreszcie dziewczyna.

– Caeluma? – Gemma odwróciła się i z zaskoczeniem stwierdziła, że 72 się uśmiecha, spoglądając za okno, jak gdyby smugi autostrad kryły największy sekret świata. Nie widziała wcześniej, żeby się uśmiechał, nawet nie sądziła, że w ogóle jest do tego zdolny, i nie mogła się nadziwić tej zmianie. W jej oczach natychmiast awansował z ponurego socjopaty na przystojniaka, który miał

zadatki na modela.

– Dałam mu imię – powiedziała Lira z dumą. – Tak jak doktor O'Donnell mnie.

– Nie byłem pewny, czy można wam ufać. – Chłopak zwany teraz Caelumem odwrócił się od okna i spojrzał Lirze w oczy. – Przepraszam.

Gemma zastanawiała się, czy nadanie imienia zmieniło go też na głębszym poziomie. Nie potrafiła wyobrazić sobie, by ten chłopak, siedzący spokojnie na tylnym siedzeniu w podkoszulku 7 Up, był w stanie wyciągnąć nóż, jak wtedy na mokradłach.

– Prawie bym zapomniała. – Lira rozpięła plecak, który pewnie ukradli z domku dla gości dziadków April. – Przed śmiercią siostra Em dała swojej sąsiadce trzy grafiki. Znalazłam to ukryte pod ramkami. – Podała jej dwa wydruki i jedną zapisaną ręcznie kartkę z nazwiskami.

Gemie wywrócił się żołądek. Brandy-Nicole Harliss była trzecia na liście, ale znajdowało się tam też czterdzieści siedem innych nazwisk. To mogło oznaczać, że wszystkie te osoby to dzieci, które zabrano rodzicom albo rodzinom zastępczym, kiedy Haven było na skraju bankructwa, i wykorzystywano do eksperymentów, zanim wyprodukowano nowe ciało.

– Czy mogę to zatrzymać? – zapytała Gemma, a Lira wzruszyła ramionami, chociaż na jej twarzy malował się głód. W taki sam sposób patrzyła na książki: jak wygłodniały człowiek na suto zastawiony stół. – Oddam je, obiecuję.

Dalsze odwlekanie nie miało sensu: musiała powiedzieć Lirze o jej ojcu. Nie wiedziała, dlaczego aż tak się denerwuje. Lira pewnie się ucieszy. Tak, na pewno się ucieszy. Miała ojca, co oznaczało, że pewnie ma dalszą rodzinę: kuzynów, ciotki.

– Lira, jest coś, co muszę ci powiedzieć. Coś na temat twojej przeszłości.

– Teraz? – odezwał się Pete. – Tutaj?

Gemma odwróciła się do niego.

– A na co czekać?

– Co? – spytała Lira. Kiedy Gemma znowu się odwróciła, zobaczyła, że Caelum i Lira trzymają się za ręce. A raczej położyli dłoń przy dłoni, jak gdyby chcieli się złapać za ręce, ale nie bardzo wiedzieli, jak to zrobić. – Co takiego?

Gemma wzięła głęboki oddech. Słońce wykrwawiało się na czerwono na horyzoncie.

– Tak naprawdę nie zostałaś zrobiona w Haven.

– To znaczy? – Caelum odezwał się pierwszy. Było coś dziwnego w jego głosie. Nie gniew. Strach. – Gdzie ją zrobiono?

– Nigdzie. – Gemma nie zdawała sobie sprawy, jak trudno będzie jej to wyjaśnić. – Wydaje mi się, że to lista dzieci, które zabrano od rodzin albo z domów dziecka i umieszczono w Haven w czasie, kiedy instytut nie mógł sobie pozwolić na produkowanie ludzkich modeli. – Lira siedziała z wielkimi oczami, z twarzą bladą jak ściana. Nagle Gemma poczuła chęć, by ją przeprosić, by cofnąć to, co powiedziała. Ale to nie miało sensu. Może dziewczyna po prostu nie rozumiała? – Trzecie nazwisko, Brandy-Nicole Harliss, to twoje nazwisko, które nosiłaś po urodzeniu. Twoje prawdziwe nazwisko. To imię nadali ci rodzice.

– Moi... – Lira wciągnęła do płuc słowa, które chciała powiedzieć.

– Masz rodziców – rzekła Gemma. Spodziewała się, że Lira się rozpłacze albo roześmieje, albo chociażby uśmiechnie. Ale ona tylko spoglądała przed siebie z przerażoną miną, jak gdyby Gemma otwarła przed nią trumnę i pokazała czyjeś zwłoki. – To znaczy masz ojca. Szukał cię przez cały ten czas. Kochał cię przez cały czas.

Lira krzyknęła, jakby ktoś ją uderzył. A Caelum cofnął rękę i odwrócił się do okna.

Nadszedł czas, by wrócić do domu. Nic innego im nie pozostało. Gemma musiała stanąć twarzą w twarz z rodzicami. Co dziwne, ta myśl już jej nie przerażała. Miała wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku dni postarzała się o całe lata. Poczła jedynie odrobinę litości na myśl o swoim ojcu, o tajemnicy dźwiganej przez cały ten czas i dziecku, którego śmierci nie chciał przyjąć do wiadomości. O obojgu rodzicach, którzy myśleli, że pieniędzmi wykupią się od tragedii.

Wróci do domu, ale pod jednym warunkiem: koniec z kłamstwami.

Była jedenasta. Pete siedzący za kierownicą był ledwie przytomny ze zmęczenia. Znajdowali się w okolicy Savannah, kiedy zobaczyli przy drodze kemping, więc Gemma zaproponowała, by się zatrzymali. Nie miała nic przeciwko spędzeniu jeszcze jednej nocy poza domem. Wiedziała, że jutro rano wszystko się zmieni. Domyślała się, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo, już nigdy nie będzie się martwić o Chloe czy Aubrey i zgraję wilczyc, nie spędzi kolejnej lekcji wuefu, siedząc żałośnie na trybunach i męcząc się nad zadaniem z matematyki.

Miała poczucie, że to jej ostatnia noc wolności.

Kemping był ogromny i – o dziwo – dosyć zatłoczony. Gemma policzyła z grubsza, że było tu przynajmniej pięćdziesiąt kamperów o rozmiarach autobusu wycieczkowego, a mniejszych samochodów kempingowych jeszcze więcej, nie mówiąc o namiotach, które wyrastały z wydeptanej trawy jak szpiczaste grzyby. Noc była przepiękna, na zewnątrz panował biesiadny nastrój. Starsze pary siedziały obok siebie na krzesłach ogrodowych wystawionych na popękany asfalt

i piły wino z jednorazowych kubków. Między namiotami biegały dzieci, a grupa dwudziestokilkulatków, bosych, z długimi dreadami, gotowała coś na kuchence turystycznej. Raz na jakiś czas w ciemności rozbłyskiwały świetliki. Ludzie krzyczeli coś do siebie, dzielili się piwem i opowieściami o tym, dokąd jadą i skąd przybywają.

Pete poszedł po jedzenie na stację benzynową. Caelum ruszył w stronę płatnych toalet, a Lira zaraz za nim. Gemma podejrzewała, że chłopak chce zostać sam, ale podążyła za nimi w bezpiecznej odległości, częściowo z lęku, że mogą znowu rozpląnąć się w ciemności. Jednak gdy Lira poprosiła ją o pieniądze na prysznic, Gemma wiedziała, że nie może dłużej odwlekać nieuniknionego. Nadszedł czas, by zadzwonić do domu.

Miała trzydzieści siedem nieodebranych połączeń od rodziców. Kiedy zaczęła czytać esemesy, stwierdziła, że ich ton ewoluował – najpierw biła z nich wściekłość, potem histeria, a na końcu rozpacz.

Błagam – pisał jej ojciec – *gdziekolwiek jesteś, zadzwoń do nas*. Musiał wrócić wcześniej. A to oznaczało, że sytuacja była naprawdę poważna.

Wybrała numer komórkowy taty. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Gem? – Jego głos brzmiał histerycznie, co było tak do niego niepodobne, że zachwiało jej twardym postanowieniem. – Gem, czy to ty? Jesteś tam?

– Tak, jestem, tato.

Musiała odsunąć telefon od ucha, bo w tle rozległy się krzyki Kristiny:

– Czy to ona?! Gdzie teraz jest?! Czy wszystko w porządku?! Daj, ja z nią porozmawiam!

– Posłuchaj, nic mi nie jest. Nie dzieje mi się żadna krzywda.

– Gdzie jesteś? Chryste Panie, tak się martwiliśmy...

– Geoff, daj, ja z nią porozmawiam. – W tle znowu dał się słyszeć głos Kristiny, bełkotliwy od płaczu, a może i od środków uspokajających.

– Zaczekaj, Gem, przełączam na głośnomówiący. Mama chce cię usłyszeć.

Nastąpiły trzaski, a potem dotarło do niej echo nachodzących na siebie głosów. Gemma nienawidziła trybu głośnomówiącego – miała wtedy wrażenie, że mówi do metalowej puszki.

– Gemmo, jesteś tam jeszcze? Słyszysz nas?

– Tak, słyszę. Nie musicie krzyczeć. – Obserwowała jakąś matkę krążącą przed kamperem i kołyszącą w ramionach śpiące dziecko, którego ciemne loki spoczywały na jej ramieniu. Przez chwilę czuła tak ogromny smutek, jak gdyby spadała w jakąś otchłań.

– Gdzie jesteś? – Kristina najwyraźniej znowu płakała. – Tak się martwiliśmy. Zadzwoniliśmy do April i powiedziała, że wyjechałaś. Tata wskoczył w pierwszy lepszy samolot, który wylatywał z Londynu. Ona też się martwiła...

– April się martwiła? – spytała Gemma z niedowierzaniem.

– A co sobie myślisz? Powiedziała nam, że się pokłóciliśmy i kazała ci się wynieść. Czuła się z tym okropnie. Zamartwiła się na śmierć. Tak jak my z tatą.

– Nic mi nie jest – zapewniła Gemma. – Jestem ze swoim znajomym Pete'em. Będziemy w domu jutro.

– Masz być w domu jeszcze dziś wieczorem – oznajmił tata, co brzmiało już bardziej po staremu. Teraz, kiedy wiedział, że jego córka nie leży martwa w jakimś rowie, najwyraźniej postanowił wrócić do roli złego gliniarza. – Gdzie jesteś? Zaraz po ciebie jadę.

To był ten moment. Wzięła głęboki oddech.

– Pojechałam zobaczyć Haven.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Gemma obserwowała świetliki, jak rozbłyskiwały, a potem niknęły w ciemności.

– Co... co zrobiłaś? – Jej ojciec ledwie był w stanie wydusić z siebie słowo.

– Pojechałam do Haven. – Zamknęła oczy i pomyślała o posągu klęczącego

mężczyzny, o tym starym odkopanym wspomnieniu z dzieciństwa, o DNA innego dziecka zwiniętym w środku niej. – Pojechałam zobaczyć, gdzie powstałam.

– Gdzie... co? – Głos ojca się załamał. Po chwili jednak Geoff odchrząknął. – O czym ty mówisz?

– Nie ma sensu zaprzeczać. Wiem o wszystkim. – Nagle poczuła się strasznie zmęczona. Czowała się taka stara, starsza od własnych rodziców. – Wiem, co próbowałeś robić w Haven. Wiem, że opuściłeś Fine & Ives, ponieważ chcieli inwestować w instytut. Wiem, że wmieszało się w to wojsko i misja placówki została zmieniona. – Jej mama załkała. Ta część będzie najtrudniejsza. – Wiem też o Emmie.

Jej rodzice milczeli tak długo, że aż sprawdziła, czy jej nie rozłączyło. Wreszcie usłyszała coś w rodzaju jęku, co upewniło ją, że wciąż tam są. Wyobraziła sobie kłamstwa, które opowiadali jej przez te wszystkie lata, jako fizyczną siłę, coś, co ma ręce i teraz wyciąga je, by ich udusić.

– Gemmo. – Ojciec płakał. A przecież on nigdy, przenigdy nie płakał. Była zdumiona, ale odczuwała też perwersyjną satysfakcję. Maski opadała. Ukazywały się szczeliny. Niech płacze, tak jak ona płakała. – Możemy ci to wyjaśnić. Błagam. Tylko przyjedź do domu.

– Przyjedź do domu, kochanie – powiedziała Kristina zduszonym, udręczonym głosem i Gemma znowu poczuła się okropnie.

Nawet teraz nie radziła sobie ze smutkiem swojej mamy. Ale wiedziała, że musi być silna.

– Nie, dopóki nie zgodzicie się mi pomóc – rzekła. W oddali zobaczyła Pete'a, który wracał ze stacji benzynowej z papierową torbą wetkniętą pod ramię.

Gdy minął lampę i wszedł na teren kempingu, jakiś mężczyzna palący papierosa odwrócił się i spojrzał na niego, a Gemma poczuła niepokój. Tamten jednak szybko się odwrócił i wkrótce zniknął jej z oczu.

– Musicie też pomóc moim znajomym.

– Twoim znajomym?

– Uratowaliśmy na mokradłach dwie repliki – powiedziała Gemma. Znowu odsunęła telefon od ucha, żeby nie ogłuszyły jej krzyki rodziców. Musiała podnieść głos, by mówić dalej: – Zginęliby bez mojej pomocy. I tak umierają. W Haven zostali zarażeni śmiertelną chorobą.

– Posłuchaj mnie, Gemmo. Grozi ci niebezpieczeństwo. – Ojciec odzyskał spokój, a jej zrobiło się słabo. Nawet nie zareagował na wiadomość, do czego Haven wykorzystywało klony. A to oznaczało, że o tym wiedział. Nie było to dla niej zaskoczeniem, ale i tak mdliło ją na tę myśl. Czy wiedział też o dzieciach wykradanych rodzicom, podpinanych pod system opieki zastępczej, a potem wygodnie „gubionych”? – Wiem, że musisz być wściekła. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak się czujesz. Przysięgam, że z mamą wszystko ci wyjaśnimy. Ale musisz w tej chwili wrócić do domu. Jeszcze dziś w nocy. Ludzie związani z Haven są bardzo niebezpieczni... Nie mam jak cię chronić, gdy jesteś setki kilometrów od domu.

Pomyślała o siostrze Em i o Jake’u, których powieszono.

– Musisz przysiąc, że nam pomożesz, albo w ogóle nie wracam – oznajmiła. Blefowała. Nie miała dokąd pójść, a gdyby rodzice zablokowali jej karty kredytowe, byłaby zupełnie bezradna, liczyła jednak na to, że są zbyt zdenerwowani, by jasno myśleć.

– To nie jest zabawa, Gemmo. – Geoff najwyraźniej się rozklejał. Gemma nie pamiętała, żeby kiedykolwiek był w takim stanie. – Nie rozumiesz, jaka to poważna sprawa...

– Przysięgnij albo się rozłączę – rzekła stanowczym tonem.

Przez chwilę po drugiej stronie słuchawki słychać było tylko ciężki oddech ojca i łkanie mamy.

– Przysięgam – powiedział wreszcie. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Gemma odetchnęła. Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymywała oddech.

– Będę w domu nad ranem – oznajmiła i przerwała połączenie. Od razu wyłączyła telefon. Nie chciała, żeby znowu do niej dzwonili, zawracali jej głowę przez całą noc. Oparta o samochód Pete’a przysłuchiwała się, jak matki wołają dzieci do łóżek, patrzyła, jak światła w oknach kamperów przygasają jedno po drugim. Pomyślała o wszystkich tych ludziach będących w drodze dokądś, w drodze skądś. O wszystkich tych historiach i życiach skupionych na chwilę wokół tego samego parkingu, zanim znowu się rozjadą. Odmówiła krótką modlitwę za Jake’a Witza.

Pomyślała o swojej siostrze – czy Emmę można nazwać jej siostrą, skoro tak naprawdę była Gemmą, skoro Gemma była nią? – i o życiu-cieniu, które może wiodła w jakimś równoległym świecie.

Poczuła się taka mała i taka zmęczona.

Pete już wrócił. Kupił wodę i napoje gazowane, słodyczne, chipsy i burrito, a nawet tackę przygotowanych na stacji benzynowej nachosów.

– Pomyślałem, że urządzimy sobie pod chmurką kolację we dwoje – powiedział i przykucnął, żeby położyć jedzenie na chodniku. Kiedy zobaczył twarz Gemmy, znieruchomiał. – Co się stało?

– Nic – odparła. – Jestem po prostu zmęczona. I boję się tego, co nadejdzie.

Podniósł się. Na jego plecy padało światło z najbliższego kampera, więc twarz miał skrytą w cieniu, a włosy wyglądały jak piórka. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, jego dłoń była taka ciepła, taka bliska. To było dziwne i zaskakujące odkrycie: ludzie, których powinniśmy znać najlepiej, okazują się obcy, a ci niemal obcy nagle stają się jak rodzina.

– Nic nam nie będzie – powiedział i to było cudowne. Cudowne było, gdy używał liczby mnogiej, cudownie było być jego częścią. Delikatnie przejechał kciukiem po jej policzkach i tam, gdzie jej dotknął, czuła się piękna. Jak gdyby zablizniał to, co było w niej brzydkie. Uśmiechnął się tym swoim głupkowatym

uśmiechem, a Gemma nie mogła uwierzyć, że nie była w tym uśmiechu zakochana od zawsze. – Tylko o tym pomyśl. Klony w szkole. Prawdziwe klony, nie tylko Chloe i reszta jej świty.

– Tak. – Gemma zmusiła się do uśmiechu.

To było nierealne. Lira i Caelum nigdy nie pójda do szkoły. Jeśli chcą żyć, będą musieli stale się ukrywać, stale być w drodze. Do tego będą coraz bardziej podupadać na zdrowiu. Ale to była urocza wizja i nie chciała jej burzyć.

– Idź spać – powiedział Pete cichym głosem. Pochylił się i dotknął ustami jej ust, ale ten lekki nacisk wystarczył, by zadrżała. – Ja postoję na warcie.

Po złożeniu tylnych siedzeń w vanie mieli wystarczająco dużo miejsca, by się w nim położyć. Pete miał też koc i nalegał, by zwinęła jego dres pod głową jako poduszkę.

– Dobranoc, Gemmo. – Pochylił się, by jeszcze raz ją pocałować. Tym razem jego usta zostały tam na dłużej, a ona poczuła nad sobą jego ciepło, niezwykłą i rozkoszną maszywność jego ciała. Kości, krew i skórę, które nas oddzielają, ale i łączą. Ich dar.

Chociaż była zmęczona, nie sądziła, żeby mogła usnąć, nie po tym wszystkim, co się wydarzyło tego dnia. Ale jednak usnęła.

Obudziła się jakiś czas później, ponieważ Pete nią potrząsał.

– Ktoś tu idzie – szepnął.

Usiadła. Ciemność była gęsta jak smoła, a całe jej ciało oblepiał pot. Przez otwarte tylne drzwi vana dobiegało ją terkotanie rzekotek, a sporadycznie również przytłumiony dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, gdy ludzie wychodzili do toalety albo z niej wracali. Nie miała pojęcia, która jest godzina, ale raczej nie spała zbyt długo. Pete wyglądał, jakby nie spał wcale. Był rozbudzony, czujny, miał wszystko pod kontrolą.

Wskazał na promień latarki, który poruszał się między zaparkowanymi

samochodami. Po jej ruchach Gemma była w stanie stwierdzić, że ktokolwiek to był, oglądał każdy samochód, jakby szukał czegoś konkretnego.

Albo kogoś konkretnego.

– Gdzie jest Lira? – wyszeptała Gemma. Jej ciało było nabuzowane strachem. – A Caelum?

– Są na zewnątrz – odparł Pete. – Śpią.

Jakim cudem ktoś ich wysłedził? Przecież byli tacy ostrożni, zmieniali autostrady, ciągle sprawdzali, czy nikt za nimi nie jedzie. Może, pomyślała, ktoś monitorował jej rozmowy telefoniczne. Widziała w telewizji program, w którym pokazywano, jak policja odnajduje poszukiwanych przestępców, namierzając połączenia komórkowe. Osaczona. Właśnie tak się czuła – jak zwierzę przyczajone w jamie, które lada chwila zostanie rozerwane na strzępy.

Nie było szans, żeby obudziła Lirę i Caeluma, tak by weszli ukradkiem do samochodu. Latarka – i osoba za nią skryta – była już jakieś pięć metrów od nich i obchodziła kamper należący do starszej pary, z którą Gemma wcześniej rozmawiała. Nie było też jak stąd uciec, nie w ciemności, nie bez ryzyka powalenia jakiegoś biednego tatuśka zmierzającego do toalety albo dzieci śpiących w namiocie.

– Połóż się – szepnęła Gemma.

Najlepsze, co mogli zrobić, to udawać, że śpią, i modlić się, by ten ktoś ich ominął, nie rozpoznał ich w ciemności. Pete przykrył ją kocem, a ona naciągnęła go na ich głowy, tak że ich oddechy zdawały się głośniejsze. Była tak przerażona, że nawet nie myślała o tym, jak blisko siebie leżą, z kolanem przyciśniętym do kolana, że jego pierś unosi się i opada z każdym oddechem, a ich nosy praktycznie się stykają.

Ale nie minęła chwila, kiedy usłyszała głos.

– Gemma? Gemma?

Natychmiast usiadła, półprzytomna. Nie wierzyła własnym uszom. Znała

ten głos.

– April? – wyszeptała zdumiona.

– O Boże, Gemma. Dzięki Bogu. – Latarka upadła na ziemię i na chwilę, zanim April ją podniosła, oświetliła znajome zielone trampki. – Cholera. Gdzie jesteś?

Gemma zrzuciła z siebie koc i wyskoczyła z samochodu. Poruszała się niezdarne, pijana szczęściem.

– Tutaj – powiedziała i latarka zatrzymała się na niej na chwilę. – Tutaj. – Wyciągnęła ramiona i April padła w jej objęcia, o mało jej nie przewracając.

– Tak się o ciebie martwiłam! – April westchnęła. – Byłam wściekła, znasz mnie przecież, ten południowy temperament, ale kilka godzin po tym, jak wyszłam z domu, zaczęłam się czuć naprawdę, naprawdę koszmarnie. Jak gdyby mój żołądek próbował zjeść sam siebie. Więc wróciłam do domu, ale ciebie już nie było, a potem twoi rodzice do mnie zadzwonili...

– Jak mnie znalazłaś? – Gemma miała ochotę dotknąć włosów April, jej nosa i ramion, by się upewnić, że jest prawdziwa.

– Przez „Znajdź mój telefon”, a co? – odparła. Gemma o mało się nie roześmiała. No jasne. – Ale wtedy go wyłączyłaś i oczywiście jak tylko tu dotarłam, mój się rozładował. Więc łąziłam wokół jak jakiś zbok, zaglądając ludziom do okien... Zbok? – pisnęła, gdy Pete wygramolił się z vana.

Gemma cieszyła się, że jest ciemno i że nie widzi miny przyjaciółki.

– April, znasz Pete’a – powiedziała, rozmyślnie kładąc nacisk na imię, z nadzieją, że April załapie. – To Pete podwiózł mnie na Florydę.

– Mhm. – April chyba po raz pierwszy w życiu odebrało mowę. Gemma niemal widziała, jak wszystko kalkuluje: rozmiar vana, to, że oboje spali w środku, razem. – Gdzie są... inni? – Unikała słowa „klony”, a Gemma przypomniawszy sobie, o co się pokłóciły i co musiała teraz wyznać April: że była jedną z nich.

Zrobiona. Wyprodukowana. Musiała jej opowiedzieć o pierwszym dziecku swoich rodziców, o utraconej córce, której miała być kopią. Musiała jej opowiedzieć o Ricku Harlissie i śmierci Jake'a Witza. Znowu ogarnęła ją fala zmęczenia. To był teraz jej świat.

Jak gdyby wiedział, o czym teraz myśli, Pete otoczył ją ramieniem.

– Śpią – powiedział. – Wszystko u nich w porządku.

Gemma wtuliła się w niego z wdzięcznością, nie przejmując się tym, co pomyśli April.

– U nas też wszystko w porządku. – Wyciągnęła rękę i ucisnęła dłoń April. W tej ciemności, na jakimś zapadłym kempingu, byli z nią jej chłopak i najlepsza przyjaciółka: w tych okolicznościach trudno było sobie wymarzyć coś cudowniejszego.

April spała w swoim samochodzie. Przez większość nocy Pete obejmował Gemmę ręką w pasie, a twarz wtulał w jej włosy. Gemma obudziła się zaskakująco rześka, biorąc pod uwagę to, że spała z policzkiem przyciśniętym do gryzącego chodnika i jedno ramię miała zdrętwiałe.

Było tuż po szóstej. Wyszła z vana i zobaczyła, że Lira i Caelum jeszcze śpią, przykryci kocem aż po głowy. Pod nim wydawali się jedną osobą. Wzięła prysznic i umyła zęby w obślizgłej łazience, obok dzieci narzekających na niewygodę kempingu i ich mam z podpuchniętymi oczami. Potem obudziła April i poszły po coś na śniadanie do małego sklepiku i na stację benzynową, na której Pete dzień wcześniej zaopatrzył się w jedzenie na kolację. Kupiły gorącą kawę i gąbczaste muffinki, ale były tak głodne, że im to nie przeszkadzało. Zjadły je na ławce śliskiej od rosy, obserwując, jak mgła podnosi się znad ziemi pod wpływem słońca. Zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Gemma opowiedziała April o wszystkim. Kiedy mówiła o tym, co spotkało Jake'a Witza, uświadomiła sobie, że do oczu napływają jej łzy. Ale zmusiła się, by mówić dalej. Wyjaśniła, czego się dowiedziała od Ricka Harlissa – o tym, co zrobili jej rodzice po śmierci pierwszego dziecka. O tym, dlaczego i jak powstała. Wtedy już płakała, nawet nie dlatego, że było jej żal samej siebie, ale dlatego, że opłakiwała tamto dziecko: Emmę. Było jej nawet żal swoich rodziców. Musieli rozpaczać. I to przez lata. Jak to było patrzeć na swoją córkę i widzieć w niej odbicie dziecka, które się straciło?

April stanęła na wysokości zadania. Nie przestraszyła się. Poczekała, aż Gemma skończy, a potem przysunęła się, by ją przytulić. Nikt nie przytulał tak

jak ona. Chociaż Gemma była od niej większa, April jakimś cudem potrafiła sprawić, że przyjaciółka czuła się przez nią całkowicie otulona i otoczona troską.

– Jestem z ciebie dumna, ufoku – powiedziała April, używając starej ksywki, co sprawiło, że Gemma roześmiała się, choć jednocześnie jeszcze mocniej popłynęły jej łzy.

Odsunęła się.

– Jezu. Jestem jak fabryka glutów. – Westchnęła.

– Podobno glutu to ostatnio dochodowy biznes.

Gemma znowu się roześmiała, dławiąc się łzami, i wytarła twarz rękawem.

– Myślisz, że jeszcze kiedykolwiek poczuję się normalna?

April parsknęła.

– Daj spokój, Gemma. Czy kiedykolwiek czułyśmy się normalne? – Szturchnęła ją w ramię. – Jesteśmy kosmitkami, zapomniałaś?

– Ty jesteś kosmitką – powiedziała Gemma. – Ja jestem klonem.

– „Przygody Kosmitki i Klona”. Brzmi jak tytuł filmu Marvela. Wchodzę w to – oznajmiła April. A potem już innym tonem dodała: – Poza tym normalność jest przereklamowana. „Normalny” to słowo wymyślone przez nudnych ludzi, by poczuli się lepiej z tym, że są nudni.

– Może i masz rację. – Gemmie rzeczywiście zrobiło się raźniej. Nieco lżej na duszy. Wciąż bała się powrotu do domu i spotkania z rodzicami, ale wiedziała, że nie może tego odwlekać w nieskończoność.

Słońce już wzeszło. Po pomarańczowawym niebie płynęły puszyste chmury. Gemma się podniosła.

– Chyba powinniśmy obudzić resztę.

– O nie. Nie ma mowy. Nie doszłaś jeszcze do najważniejszej części tej historii. – April chwyciła Gemmę za nadgarstek i pociągnęła ją z powrotem na ławkę. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – No więc – zaczęła, opierając się na

łokciu – przyznaj się: co łączy ciebie i Zboka?

Wyruszyli jeszcze przed dziesiątą. April podążała za ich vanem, od czasu do czasu trąbiła na nich albo jechała równoległym pasem, by im pomachać lub pokazać kciuk. Pete ciągle nawijał, jak zwykle, ale teraz mówił głównie do Liry i Caeluma, starając się opowiedzieć im jak najwięcej o świecie, który ledwie znali.

– Małe centra handlowe są jak arterie Ameryki. Utrzymują cały kraj przy życiu. Pizzerie, salony piękności, podrzędne sklepy z narzędziami... To jest to, wiecie? Szczyt ludzkich osiągnięć. Jeśli kiedyś polecimy na Marsa, najpierw zbudujemy tam salon piękności.

Gemma głównie słuchała. Przez większość czasu patrzyła w okno i obserwowała w nim swoje półprzezroczyste, podwójne odbicie na tle mijanego krajobrazu: Gemmę inną od tej, która opuściła dom niecały tydzień temu – silniejszą, bardziej, a zarazem mniej pewną siebie. Nie miała pojęcia, co ją czeka, ale wiedziała, że będzie na to gotowa. Chwilowo była bezpieczna. Byli razem. Miała April i Pete'a. Lira miała ją. Caelum zaś miał imię.

Mimo tego, co powiedziała April, czuła się kosmitką w mniejszym stopniu niż wcześniej. Z pewnością też była mądrzejsza. Ale i bardziej oszołomiona – tymi wszystkimi tajemnicami, które poznała, złożonością wszechświata i żyjących w nim ludzi.

A nawet nieco bardziej ludzka.

Tytuł oryginału: *Replica*

Copyright © 2016 by Laura Schechter

Copyright © for the translation by Monika Bukowska

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Korekta: Alicja Listwan / d2d.pl,
Katarzyna Gniewko / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce:

dziewczyna z rozpuszczonymi włosami – © Aleshyn_Andrei / Shutterstock.com,
dziewczyna z krótkimi włosami – © Oleg Gekman / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-669-0

moondrive
www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl
Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink

